

- Uciekaj, Eleni! - krzyknął Connor Thistledown, wymachując mieczem i idąc w stronę drowa. - To mroczny elf! Drow! Uciekaj, jeśli ci życie miłe!

Ze wszystkiego, co krzyczał Connor, Drizzt zrozumiał tylko słowo „drow”. Zachowania i zamiarów młodego mężczyzny nie można było jednak z niczym pomylić, ponieważ Connor kierował się dokładnie pomiędzy Drizzta i Eleni, mierząc czubkiem miecza w stronę drowa. Eleni zdołała wstać za swym bratem, lecz nie uciekała, jak jej polecił. Ona również słyszała o złych mrocznych elfach i nie miała zamiaru zostawić Connora sam na sam z jednym z nich.

- Odejdź, mroczny elfie - warknął Connor. - Jestem doświadczonym szermierzem, znacznie silniejszym od ciebie.

Drizzt rozłożył bezradnie ręce, nie rozumiejąc ani słowa.

- Odejdź! - wrzasnął Connor.

Kierując się impulsem, Drizzt próbował odpowiedzieć w języku migowym drowów, skomplikowanym systemie znaków dłoni i twarzy.

- On rzuca czar! - krzyknęła Eleni wskakując w jagody. Connor wrzasnął i zaatakował.

Zanim Connor dostrzegł kontratak, Drizzt chwycił go za przedramię, wykorzystał drugą dłoń, by wykręcić nadgarstek chłopca i wyrwać mu miecz, machnął toporną bronią trzykrotnie nad głową Connora, obrócił ją w swej szczupłej dłoni, po czym oddał mu ją, rękojeścią do przodu.

Drizzt rozłożył szeroko ramiona i uśmiechnął się. Według zwyczajów drowów taki pokaz wyższości bez zranienia przeciwnika nieodmiennie sygnalizował pragnienie przyjaźni. U najstarszego syna rolnika, Bartłomieja Thistledown, oślepiający spektakl drowa wzbudził jedynie wywołane zachwytem przerażenie.

Connor przez długą chwilę stał z otwartymi ustami. Miecz wypadł mu z ręki, lecz tego nie zauważył. Mokra spódnie kleiły mu się do ud, tego też nie zauważył.

Gdzieś z wnętrza Connora rozległ się wrzask. Chwycił Eleni, która przyłączyła się do krzyku, po czym uciekli w stronę zagajnika, by zabrać pozostałych. Biegli bez przerwy, dopóki nie przestąpili progu swojego domu.

Drizzt pozostał, jego uśmiech szybko zniknął, a ręce wciąż miał rozłożone. Stał samotnie obok kępy jagód.

**FORGOTTEN REALMS**

**R.A. SALVATORE**

# **NOWY DOM**

Tłumaczenie:

Piotr Kucharski

Tytuł oryginału:

SOJOURN

## **PRELUDIUM**

Mroczny elf usiadł na nagim zboczu góry, obserwując pojawiającą się nad wschodnim horyzontem czerwoną linię. To będzie chyba jego setny świt, na który patrzył, i wiedział doskonale, że palące światło przyniesie ból jego lawendowym oczom - oczom, które przez ponad cztery dziesięciolecia znały jedynie ciemność Podmroku.

Kiedy jednak górna krawędź płonącego słońca wyłoniła się ponad horyzontem, drow nie odwrócił się. Przyjął światło jako swoje oczyszczenie, ból konieczny do podążania wybraną ścieżką, do stania się istotą z powierzchni.

Przed ciemnoskórą twarzą drowa pojawiły się kłęby szarego dymu. Bez spoglądania wiedział, co to znaczy. Jego piwafwi, stworzony przy pomocy magii płaszcz drowów, który w Podmroku tak wiele razy osłaniał go przed niepożądanymi spojrzeniami, poddał się w końcu światłu dnia. Magia w płaszczu zaczęła słabnąć już przed tygodniami, a sam materiał po prostu się topił. W miejscach, gdzie tkanina się rozpadała, pojawiały się spore dziury i drow zacisnął kurczowo ramiona, by ocalić tak wiele, jak tylko się dało.

Wiedział, że nic to nie zmieni, ponieważ płaszcz był skazany na zagładę w świecie tak odmiennym od tego, w którym został stworzony. Drow uchwycił się z desperacją tej myśli, widząc w niej pewną analogię do swojego własnego losu.

Słońce wspięło się wyżej i z przymrużonych, lawendowych oczu drowa polały się łzy. Nie widział już dymu, nie widział już nic poza oślepiającym blaskiem tej strasznej kuli ognia. Mimo to, siedział i patrzył prosto na świt.

Aby przetrwać, musiał się zaadaptować.

Uderzył boleśnie stopą o krawędź kamienia i odwrócił swą uwagę od zawrotów głowy, które zaczęły go ogarniać. Rozmyślał o tym, czym stały się jego starannie uszyte buty. Wiedział, że one również wkrótce rozpadną się w nicość.

A później jego sejmity? Czy ta wspaniała broń drowów, która umożliwiła mu przejście tak wielu niebezpieczeństw, również zniknie? Jaki los czekał Guenhwyvar, jego magiczną panterę? Nieświadomie drow wsunął dłoń do sakiewki, by dotknąć cudownej figurki tak doskonałej w każdym detalu, za pomocą której przywoływał kocicę. Jej nie naruszona forma wzmocniła go w tej chwili zwątpienia, lecz jeśli ona również została stworzona przez mroczne elfy, nasączona magią tak wyjątkową dla ich świata, czy Guenhwyvar również ulegnie wkrótce zagładzie?

- Jakże żalonym stworzeniem się stałem - skarżył się drow w swym ojczyństym języku. Zastanawiał się, nie po raz pierwszy i z pewnością nie ostatni, nad słusznością swej decyzji o opuszczeniu Podmroku, porzuceniu świata jego złego ludu.

Zaciążyła mu głowa, a na oczy polał się pot. Jego ból wzmógł się jeszcze bardziej. Słońce kontynuowało swą wędrówkę, a drow nie mógł już tego znieść. Wstał i odwrócił się w stronę małej jaskini, którą obrał sobie za dom, po czym znów położył nieświadomie dłoń na figurce pantery.

Piwafwi powiewał wokół niego w strzępach, nie był już najlepszą ochroną przed mroźnymi podmuchami górskiego wiatru. W Podmroku nie było wiatru, nie licząc lekkich podmuchów, unoszących się znad zbiorników magmy, oraz nie było mrozu, nie licząc lodowatego dotyku nieumarłych potworów. Świat powierzchni, który drow znał od kilku miesięcy, ukazał mu wiele różnic, wiele odmienności - zbyt wiele, jak często sądził.

Drizzt Do'Urden się nie podda. Podmrok był światem jego pobratymców, jego rodziny, a w tej ciemności nie odnajdzie spokoju. Postępując zgodnie ze swymi zasadami, sprzeciwił się Lloth, Pajęczej Królowej, złej bogini, którą jego lud wielbił ponad życie. Mroczne elfy, rodzina Drizzta, nie przebaczeniu tego bluźnierstwa, a w Podmroku nie było jam na tyle głębokich, by mógł uciec przed ich długimi rękoma.

Nawet jeśli Drizzt wierzył, że słońce go spali, jak spalało jego buty i drogocenny piwafwi, nawet jeśli stanie się jedynie niematerialnym, szarym dymem, niesionym mroźnym, górskim wiatrem, zachowa swoje zasady i godność, te elementy, które czyniły życie wartościowym.

Drizzt zerwał resztki swego płaszcza i cisnął je w głęboką przepaść. Mroźny wiatr musnął

jego zlaną potem skroń, lecz drow szedł prostym i dumnym krokiem, trzymając swe lawendowe oczy szeroko otwarte.

Był to los, który wybrał.

\* \* \*

Na zboczu innej góry, niedaleko, inne stworzenie obserwowało wschodzące słońce. Ulgulu również opuścił swą ojczyznę, brudne, dymiące rozpadliny przecinające plan Gehenny, lecz potwór nie odszedł stamtąd z własnej woli. Był to los Ulgulu, jego pokuta, by dorastać w tym świecie, dopóki nie zdobędzie wystarczającej potęgi, by wrócić do domu.

Zajęciem Ulgulu było zabijanie, karmienie się siłą życiową otaczających go śmiertelników. Był już blisko osiągnięcia dojrzałości, ogromny, silny i straszliwy.

Każde zabójstwo czyniło go silniejszym.

# CZEŚĆ 1

## WSCHÓD SŁOŃCA

*Palilo moje oczy i wywoływało ból w każdej części mego ciała. Zniszczyło mikiwafwi i buty, skradło magię ze zbroi oraz osłabiło moje zaufane sejmitary. Mimo to, każdego dnia, bez wyjątku, siedziałem na swojej grani, mojej lawie oskarżonych, by oczekiwać nadejścia słońca.*

*Przychodziło do mnie każdego dnia w paradoksalny sposób. Nie mogłem nie czuć bólu, jednak nie mogłem również nie dostrzegać piękna tego widoku. Kolory, jakie powstawały tuż przed pojawieniem się słońca, chwytaly mnie za duszę w sposób, do jakiego nie byłyby zdolne emanacje ciepła w Podmroku. Z początku sądziłem, że to zauroczenie powstaje w związku z niezwykłością całej sceny, jednak nawet teraz, wiele lat później, czuję poruszenie w sercu w chwili, gdy delikatny poblask obwieszcza świt.*

*Wiem teraz, że czas spędzany przeze mnie w słońcu - moje codzienne oczyszczenie - było czymś więcej niż tylko zwykłym pragnieniem dostosowania się do zwyczajów świata powierzchni. Słońce stało się symbolem różnicy pomiędzy Podmrokiem a moim nowym domem. Społeczeństwo od którego uciekłem, świat tajemnych konszachtów i podstępnych spisków nie mógłby istnieć na otwartej przestrzeni pod światłem dnia.*

*To słońce, z całym fizycznym bólem, jaki mi zadawało, odzwierciedlało dla mnie zaprzeczenie tego drugiego, mroczniejszego świata. Te promienie odłaniającego świat blasku wzmacniały moje zasady z równą siłą, jak osłabiały stworzone przez drowy magiczne przedmioty.*

*W świetle słońca piwafwi, ochronny płaszcz, który osłaniał przed niepożądanymi spojrzzeniami, ubiór złodziei i zabójców, stał się jedynie bezużyteczną szmatą.*

1

## SUROWE LEKCJE

Drizzt przedarł się przez osłonę krzaków, a później przemknął przez obszar płaskiej i nagiej skały, który prowadził do służącej mu teraz za dom jaskini. Wiedział, że coś przeszło tędy niedawno - bardzo niedawno. Nie było żadnych widocznych śladów, lecz pozostał silny zapach.

Guenhwyvar okrążała łukiem głazy powyżej położonej na zboczu jaskini. Widok pantery dał drowowi odrobinę spokoju. Drizzt ufał panterze bez żadnych zastrzeżeń i wiedział, że kocica wypłoszyłaby każdego wroga, który kryłby się w zasadzce. Drizzt zniknął w ciemnym otworze i uśmiechnął się słysząc, jak pantera schodzi za nim na dół, pilnując go.

Drizzt przystanął za głazem tuż przy wejściu, pozwalając swym oczom dostosować się do mroku. Słońce wciąż było jasne, choć szybko zdążało na zachodnie niebo, lecz grota była ciemniejsza - wystarczająco ciemna, by Drizzt mógł przestawić wzrok na spektrum podczerwieni. Kiedy tylko przemiana się zakończyła, Drizzt zlokalizował intruza. Wyraźne ciepło, oznaczające żyjące stworzenie, emanowało zza kolejnego głazu, leżącego głębiej w jedynym pomieszczeniu jaskini. Drizzt uspokoił się. Guenhwyvar była zaledwie kilka kroków z tyłu, a zważywszy na wielkość kamienia, intruz nie mógł być dużą istotą.

Jednak Drizzt wychował się w Podmroku, gdzie każde żyjące stworzenie, niezależnie od swych rozmiarów, było szanowane i uważane za niebezpieczne. Gestem wskazał Guenhwyvar, by pozostała w pobliżu wyjścia i skierował się w bok, by spojrzeć na intruza.

Drizzt nigdy wcześniej nie widział takiego zwierzęcia. Wyglądało niemal jak kot, lecz miało znacznie mniejszą i ostro zakończoną głowę. Nie mogło ważyć więcej niż dwa, trzy kilogramy. Fakt ten, oraz bujny ogon i gęsta sierść wskazywały, że stworzenie to było bardziej roślinożercą niż drapieżnikiem. Przetrzęsało teraz zapasy żywności, najwyraźniej nieświadome obecności drowa.

- Uspokój się, Guenhwyvar - Drizzt zawołał cicho, chowając sejmitary do pochew. Podszedł o krok bliżej do intruza, aby lepiej mu się przyjrzeć, lecz wciąż utrzymywał bezpieczną odległość, żeby go nie spłoszyć, ponieważ uważał, że znalazł kolejnego towarzysza. Gdyby tylko udało mu się zdobyć zaufanie zwierzęcia...

Małe stworzenie odwróciło się gwałtownie na głos Drizzta i szybko oparło swe krótkie, przednie łapki o ścianę.

- Spokojnie - powiedział cicho Drizzt, tym razem do intruza. - Nie chcę cię skrzywdzić. - Drizzt zrobił następny krok, a stworzenie syknęło i postawiło przednie łapki na kamienną podłogę.

Drizzt niemal roześmiał się głośno, uważając, że stworzenie zamierza przedrzeć się przez tylną ścianę jaskini. Guenhwyvar wpadła pomiędzy nich, a niepokój pantery skradł radość z twarzy drowa.

Zwierzę podniosło wysoko w górę ogon, a Drizzt zauważył w nikiłym świetle, że stworzenie ma na grzbiecie wyraźne pręgi. Guenhwyvar wzdrygnęła się i rzuciła do ucieczki, lecz było już za późno...

Niemal godzinę później Drizzt i Guenhwyvar szli wzdłuż dolnych szlaków, u podnóża góry, w poszukiwaniu nowego domu. Ocalili to, co mogli, lecz nie było tego wiele. Guenhwyvar zachowywała sporą odległość od Drizzta. Im bliżej, tym smród był gorszy.

Drizzt przeszedł nad tym do porządku, lecz odór jego własnego ciała uczynił lekcję surowszą, niż by mu to odpowiadało. Nie znał oczywiście nazwy małego zwierzątka, lecz dobrze zapamiętał jego wygląd. Będzie się miał na baczności, gdy następnym razem napotka skunksa.

- Co z moimi innymi towarzyszami w tym dziwnym świecie? - Drizzt wyszeptał do siebie. Nie był to pierwszy raz, gdy drow wygłaszał takie obawy. Wiedział bardzo mało o powierzchni, a jeszcze mniej o żyjących tu stworzeniach. Ostatnie miesiące spędził wewnątrz i w pobliżu jaskini, tylko czasami zapuszczał się w niższe, bardziej zamieszkane tereny. Podczas tych wypraw widział parę zwierząt, zazwyczaj z oddali, a także zaobserwował kilku ludzi. Nie znalazł jednak jeszcze odwagi, by wyjść z ukrycia, ponieważ obawiał się ewentualnego odrzucenia i wiedział, że nie ma dokąd uciec.

Odgłos płynącej wody doprowadził cuchnącego drowa oraz panterę do wartkiego potoku. Drizzt natychmiast znalazł ukryte, ocienione miejsce i zaczął zdzierać z siebie zbroję oraz ubranie, zaś Guenhwyvar ruszyła w dół strumienia, by spróbować złowić rybę. Odgłosy wydawane przez baraszkuje w wodzie panterę wywołały uśmiech na poważnych rysach drowa. Będą dobrze jeść tego wieczora.

Drizzt delikatnie odpiął klamrę paska i ułożył swą doskonałą broń obok plecionej kolczugi. Czuł się niezwykle odsłonięty bez pancerza i broni - w Podmroku nigdy nie odłożyłby ich tak daleko od siebie - lecz minęło wiele miesięcy, odkąd Drizzt ich potrzebował. Spojrzał na swe sejmity i załamywały go jednocześnie miłe i gorzkie wspomnienia ostatnich chwil, kiedy musiał ich użyć.

Walczył wtedy z Zaknafeinem, swym ojcem, mentorem i najdroższym przyjacielem. Tylko Drizzt przetrwał to spotkanie. Legendarny fechtmistrz odszedł, lecz zwycięstwo w tej walce należało w równym stopniu do Żaka, jak i do Drizzta, ponieważ tak naprawdę to nie Zaknafein dopadł Drizzta na pomoście w wypełnionej kwasem jaskini. Było to widmo Zaknafeina, kontrolowane przez złą matkę Drizzta, Opiekunkę Malice. Pragnęła zemsty na Drizzcie za porzucenie przez niego Lloth oraz całego chaotycznego społeczeństwa drowów. Drizzt spędził ponad trzydzieści lat w Menzoberranzan, lecz nigdy nie zaakceptował podstępnych i okrutnych zwyczajów, które w mieście drowów były normą. Pomimo swoich ogromnych umiejętności w walce przynosił nieustanny wstyd Domowi Do 'Urden. Kiedy uciekł z miasta, by wieść życie wygnańca w dzicy Podmroku, pozbawił swoją matkę, wysoką kapłankę, łaski Lloth.

Tak więc Opiekunka Malice Do'Urden przywołała ducha Zaknafeina, fehmistrza, którego złożyła w ofierze Lloth, i wysłała nieumarłą istotę za swym synem. Malice źle oceniła jednak sytuację, ponieważ w ciele Żaka pozostało wystarczająco wiele duszy, by powstrzymać atak na Drizzta. W chwili gdy Żak zdołał wydrzeć Malice kontrolę, zakrzyknął zwycięsko i wskoczył do jeziora kwasu.

- Mój ojciec - wyszeptał Drizzt, czerpiąc siłę z tych prostych słów. Zwyciężył tam, gdzie Zaknafeinowi się nie powiodło. Porzucił złe zwyczaje drowów, w których Żak był więziony przez stulecia, służąc jako marionetka w walkach Opiekunki Malice o władzę. W porażce Zaknafeina i przekazanych mu przez niego cechach Drizzt odnalazł siłę. W zwycięstwie Żaka w kwasowej jaskini odnalazł determinację. Drizzt zignorował pajęczynę kłamstw, którą próbowali go owinać dawni nauczyciele z Akademii w Menzoberranzan, i wyszedł na powierzchnię, by rozpocząć nowe życie.

Drizzt wzdrygnął się, wchodząc do lodowatego strumienia. W Podmroku znał względnie stałą temperaturę i niezmienną ciemność. Tutaj jednak świat zaskakiwał go w każdej chwili. Zauważył już, że okresy światła i ciemności nie są stałe; słońce każdego dnia zachodziło wcześniej, a temperatura - jak się wydawało, zmieniająca się z godziny na godzinę - miarowo opadała w ciągu ostatnich kilku tygodni. Nawet w ramach tych okresów światła i mroku można było zauważyć niestałości. Niektóre noce były nawiedzane przez błyszczącą srebrem kulę, zaś niektóre dni nakryte były szarym oparem, a nie kopułą błyszczącego błękitu.

Niezależnie od tego wszystkiego Drizzt zazwyczaj pochwalał swoją decyzję przyjscia do tego nieznanego świata. Spoglądając teraz na swoją broń i zbroję, leżące w cieniu cztery metry od niego, Drizzt musiał przyznać, że pomimo swojej dziwaczności powierzchnia oferowała więcej spokoju niż jakiegokolwiek miejsce w Podmroku.

Pomimo swego spokoju Drizzt był teraz w dziczy. Spędził cztery miesiące na powierzchni i wciąż był sam, nie licząc chwil, kiedy mógł przyzywać swą magiczną kocią towarzyszkę. Teraz, kiedy poza obszarpanymi spodniami był nagi, a oczy piekły go od wydzieliny skunksa, jego zmysł węchu zagubił się w ostrym zapachu, zaś czuły zmysł słuchu został przytłumiony przez szmer płynącej wody, czuł się naprawdę odsłonięty.

- Jakże nieporządnie muszę wyglądać - mruknął Drizzt, przejeżdżając palcami po gąszczu swych gęstych, białych włosów. Kiedy jednak znów zerknął na swój ekwipunek, myśl ta szybko wyparowała z jego umysłu. Pięć zwalistych sylwetek przetrząsało jego własność i najwyraźniej niewiele dbało o obszarpany wygląd mrocznego elfa.

Drizzt zastanowił się nad szarawą skórą i ciemnymi pyskami mierzących ponad dwa metry humanoidów o psich twarzach, jednak większą uwagę zwrócił na włócznie i miecze, które teraz pochyliły w jego stronę. Znał ten rodzaj potworów, ponieważ widywał podobne stworzenia służące w Menzoberranzan za niewolników. W tej jednak sytuacji gnolle wyglądały inaczej, bardziej



złowieszczo.

Przez krótką chwilę myślał o przedarciu się do swych sejmitarów, odrzucił jednak ten pomysł, wiedział bowiem, że zanim zdoła się zbliżyć, zostanie przebity włócznią. Największy z bandy gnolli, prawie dwuipółmetrowy olbrzym z uderzająco czerwonymi włosami, spoglądał przez dłuższą chwilę na Drizzta, później na ekwipunek drowa, a następnie znów na niego.

- Co ty sobie myślisz? - Drizzt mruknął pod nosem. Wiedział bardzo niewiele o gnollach. W Akademii Menzoberranzan został nauczony, że gnolle pochodziły z rasy goblinoidów, były nieprzewidywalne i dość niebezpieczne. Mówiono mu jednak również o elfach z powierzchni i ludziach - i, jak zdał sobie teraz sprawę, o każdej rasie, która nie była drowami. Pomimo swego nieprzyjemnego położenia Drizzt niemal się roześmiał. Ironią było, że rasą, która najbardziej zasługiwała na miano złej i nieprzewidywalnej, były same drowy!

Gnolle nie ruszały się i nic nie mówiły. Drizzt rozumiał ich wahanie na widok mrocznego elfa i wiedział, że jeśli ma mieć w ogóle jakąś szansę, musi wykorzystać ten naturalny strach. Przyzywając należne mu z racji magicznego dziedzictwa wrodzone zdolności, Drizzt machnął swą ciemną dłonią i otoczył pięć gnolli nieszkodliwymi, purpurowymi płomieniami.

Jedna z bestii padła natychmiast na ziemię, jak Drizzt oczekiwał, lecz pozostałe zatrzymały się na sygnał dany przez wyciągniętą dłoń ich bardziej doświadczonego przywódcy. Rozglądali się dookoła nerwowo, najwyraźniej zastanawiając się nad sensem przeciągania tego spotkania a. Wódz gnolli widział już jednak wcześniej nieszkodliwy ogień faerie, w walce z pozbawionym szczęścia - a teraz już martwym - tropicielem, i wiedział, czym on był.

Drizzt napiął mięśnie w oczekiwaniu i starał się określić swój następny ruch.

Wódz gnolli zerknął na swych towarzyszy, jakby badając stopień, w jaki byli otoczeni tańczącymi płomieniami. Sądząc po dokładności zaklęcia, w strumieniu nie stał zwyczajny drow wieśniak - a przynajmniej Drizzt miał nadzieję, że wódz tak myśli.

Drizzt rozluźnił się trochę, gdy przywódca opuścił włócznię i gestem nakazał pozostałym, by zrobili podobnie. Następnie gnoll wyszczał szereg słów, które dla drowa brzmiały jak bełkot.

Widząc wyraźne zdziwienie Drizzta, gnoll zawołał coś w gardłowym języku goblinów.

Drizzt rozumiał mowę goblinów, lecz dialekt gnolla był tak dziwny, że zdołał odszyfrować zaledwie kilka słów, między innymi „przyjaciel” i „przywódca”.

Drizzt ostrożnie wykonał krok w stronę brzegu. Gnolle rozstały się, dając mu drogę do jego ekwipunku. Drizzt znów postąpił niepewnie do przodu, po czym uspokoił się jeszcze bardziej, gdy zauważył kawałek dalej przy czaj ona w krzakach czarną, kocią sylwetkę. Na jego rozkaz Guenhwyvar, jednym potężnym skokiem, wpadłaby na bandę gnolli.

- Wy i ja iść razem? - Drizzt spytał przywódcę gnolli, korzystając z języka goblinów i starając się naśladować dialekt stwora.

Gnoll odpowiedział szybkim krzykiem i jedyną rzeczą, jaką Drizzt zdołał zrozumieć, było

ostatnie słowo pytania - ... sprzymierzeniec?

Drizzt przytaknął powoli w nadziei, że zrozumiał, o co chodzi stworowi.

- Sprzymierzeniec! - zakrakał gnoll, a wszyscy jego towarzysze uśmiechnęli się z ulgą, po czym zaczęli klepać się po plecach. Drizzt sięgnął wtedy po swój ekwipunek i natychmiast przypiął sejmitary. Widząc, że uwaga gnolli jest rozproszona, drow zerknął na Guenhwyvar i głową wskazał gęsty zagajnik, leżący dalej przy szlaku. Szybko i bezszelestnie Guenhwyvar zajęła nową pozycję. Drizzt uznał, że nie ma potrzeby zdradzać wszystkich swoich sekretów, nie, dopóki nie zrozumie w pełni zamiarów swych nowych towarzyszy.

Drizzt zszedł wraz z gnollami na niższe, kręte szlaki. Gnolle trzymały się daleko po bokach drowa, choć Drizzt nie wiedział, czy robią tak z szacunku dla niego i reputacji jego rasy, czy też z innego powodu. Najprawdopodobniej, jak Drizzt podejrzewał, utrzymywały dystans po prostu z powodu jego odoru, którego kapiel nie zdołała zbytnio stłumić.

Przywódca gnolli często zwracał się do Drizzta, akcentując swe podekscytowane słowa przebiegłym mrugnięciem lub nagłym potarciem wielkich, skórzastych dłoni. Drizzt nie miał pojęcia, o czym mówi gnoll, jednak widząc, że stwór ochoczo oblizuje wargi, uznał, że prowadzi go na jakąś ucztę.

Drizzt wkrótce odgadł cel, do którego zdążała banda, ponieważ z poszarpanych szczytów w wysokich górach obserwował często małą rolniczą osadę w dolinie. Drizzt mógł jedynie podejrzewać związek pomiędzy gnollami a ludzkimi rolnikami, wyczuwał jednak, że nie jest przyjazna. Kiedy zbliżyli się do wioski, gnolle przeszły do pozycji obronnej, przemykały się wzdłuż krzaków i trzymały się cieni, gdy tylko było to możliwe. Gdy grupa otaczała wioskę, by dostać się do oddzielonego gospodarstwa od strony zachodniej, zaczął szybko zapadać zmierzch.

Wódz gnolli wyszeptał do Drizzta, powoli wymawiając każde słowo, by drow mógł zrozumieć - Jedna rodzina - zakrakał. - Trzy mężczyzny, dwie kobiety...

- Jedna młoda kobieta - dodał ochoczo inny. Przywódca gnolli warknął. - I trzy młode mężczyzny - zakończył.

Drizzt uznał, że zna już cel wyprawy, a jego zdumiona i pytająca mina popchnęła gnolla do usuwającego wszelkie wątpliwości potwierdzenia.

- Wrogowie - oznajmił przywódca.

Nie wiedząc nic o obydwu rasach, Drizzt znalazł się w dylemacie. Gnolle były łupieżcami - to było jasne - i zamierzały napaść na gospodarstwo, gdy tylko znikną ostatnie promienie słońca. Drizzt nie miał zamiaru przyłączać się do ich walki, dopóki nie zdobędzie więcej informacji dotyczących natury ich konfliktu.

- Wrogowie? - spytał.

Przywódca gnolli zmarszczył brew w widocznej konsternacji. Wyrzucił z siebie bełkotliwą wypowiedź, w której Drizztowi wydawało się, że usłyszał; „człowiek... słabeusz... niewolnik”.

Wszystkie gnolle wyczuły nagłą niepewność drowa, zaczęły macać swą broń i spoglądać na siebie nerwowo.

- Trzej mężczyźni - powiedział Drizzt.

Gnoll dźgnął włócznią energicznie ziemię. - Zabić najstarszy! Złapać dwa!

- Kobiety?

Złowieszczy uśmiech, który rozkwitł na twarzy gnolla, odpowiedział na pytanie, nie pozostawiając cienia wątpliwości i Drizzt zaczął rozumieć, gdzie znajduje się jego miejsce w tym konflikcie.

- Co z dziećmi? - patrzył prosto na przywódcę gnolli i wymawiał wyraźnie każde słowo. Nie mogło być nieporozumień. Ostatnie pytanie potwierdzało wszystko, ponieważ choć Drizzt mógł zaakceptować typową dzikość, jeśli chodziło o ludzkich przeciwników, nie mógł zapomnieć jedyne raz, kiedy brał udział w takiej wyprawie. Ocalił tamtego dnia elfie dziecko, ukrył dziewczynkę pod ciałem jej matki, by uchronić ją przed szalem jego towarzyszy drowów. Ze wszystkich niezliczonych niegodziwości, których Drizzt był świadkiem, mordowanie dzieci było najgorsze.

Gnoll uderzył włócznią w ziemię, a jego psia twarz wykrzywiła się w paskudnym uśmiechu.

- Nie sądzę - powiedział krótko Drizzt, a w jego lawendowych oczach rozgorzał ogień. W jakiś sposób, jak zauważyły gnolle, w jego dłoniach pojawiły się sejmitary.

Pysk gnolla znów się skrzywił, tym razem ze zdziwienia. Próbował podnieść włócznię, nie wiedząc co ten dziwny drow zamierza teraz zrobić, jednak było na to za późno.

Drizzt był zbyt szybki. Zanim czubek włóczni gnolla w ogóle się poruszył, drow rzucił się w jego stronę, trzymając przed sobą sejmitary. Pozostałe cztery gnolle patrzyły z podziwem, jak ostrza Drizzta uderzają dwukrotnie, rozdzierając gardło ich potężnego przywódcy. Gnom padł w milczeniu na grzbiet, chwytając się bezskutecznie za szyję.

Gnoll z boku zareagował jako pierwszy, opuszczając włócznię i szarżując na Drizzta. Zwiny drow z łatwością uchylił się przed prostym atakiem, lecz celowo nie spowolnił pędu gnolla. Kiedy wielki stwór przemykał obok, Drizzt przetoczył się wokół niego i kopnął go w kostki. Pozbawiony równowagi gnoll zachwiał się, wbijając swą włócznię głęboko w pierś zaskoczonego towarzysza.

Gnoll szarpnął broń, lecz zakleszczyła się mocno, zadziory na ostrzu owinęły się wokół kręgosłupa drugiego stwora. Gnoll nie przejmował się umierającym towarzyszem, wszystkim czego chciał, była broń. Ciągnął, kręcił, kłął i pluł w wykrzywioną bólem twarz kompana, dopóki w jego czaszkę nie wbił się sejmitar.

Kolejny gnoll, widząc że drow ma rozproszoną uwagę i uważając, że rozsądniej jest atakować z dystansu, uniósł włócznię do rzutu. Podniósł wysoko rękę, lecz zanim broń ruszyła naprzód, wpadła na niego Guenhwyvar i gnoll wraz z panterą odtoczyli się na bok. Gnoll

wymierzał silne ciosy w umięśniony bok pantery, lecz rozdzierające pazury Guenhwyvar były jak na razie skuteczniejsze. W ułamku sekundy, jaki zajęło Drizztowi odwrócenie się od trzech leżących u jego stóp martwych gnolli, czwarty członek bandy zginął pod wielką panterą. Piąty rzucił się do ucieczki.

Guenhwyvar wyrwała się z upartego uchwytu martwego gnolla. Mięśnie kocicy zafalowały niespokojnie, gdy czekała na spodziewaną komendę. Drizzt spojrział na pobojuwisko przed sobą, krew na swych sejmitarach oraz przerażające grymasy zastygłe na twarzach trupów. Chciał to zakończyć, ponieważ zdawał sobie sprawę, że zabrnął w sytuację przekraczającą jego doświadczenie, przeciął drogę dwóch ras, o których wiedział bardzo mało. Jednakże po chwili zastanowienia jedyną myślą, jaka pozostała w umyśle drowa, była radosna obietnica przywódcy gnolli, obiecująca śmierć ludzkim dzieciom. Zbyt wiele wisało na włosku.

Drizzt odwrócił się do Guenhwyvar, a w jego głosie zabrzmiało więcej determinacji niż zrezygnowania. - Bierz go!

\* \* \*

Gnoll przedzierał się szlakiem, a jego oczy szamotały się w tył i przód, jakby wyobrażał sobie za każdym drzewem czy kamieniem ciemne sylwetki.

- Drow! - chrypiał raz za razem, używając tego słowa jako zachęty do ucieczki. - Drow! Drow!

Sapiąc i dysząc Gnoll dotarł do kępy drzew rozciągających się pomiędzy dwoma stromymi skalnymi ścianami. Potknął się o leżącą kłodę, przewrócił i przejechał zebrami po nachylonej krawędzi porośniętego mchem głazu. Drobny ból nie mógł jednak spowolnić przerażonego stwora, nawet w najmniejszym stopniu. Gnoll wiedział, że jest ścigany, na skraju swego pola widzenia dostrzegł sylwetkę wychylającą się i znikającą w cieniach.

Gdy zbliżył się do końca zagajnika, a wieczorny mrok zgęstniał jeszcze bardziej, gnoll zauważył spoglądającą na niego parę błyszczących żółto oczu. Gnoll widział, jak jego towarzysz został pokonany przez panterę i był w stanie odgadnąć, co blokowało mu teraz drogę.

Gnolle były tchórzliwymi potworami, jednak gdy były zapędzone w kozi róg, mogły walczyć ze zdumiewającą wytrwałością. Tak było teraz. Zdając sobie sprawę, że nie ma wyjścia - z pewnością nie mógł wrócić w stronę mrocznego elfa - gnoll warknął i cisnął swą ciężką włócznią.

Usłyszał szelest, uderzenia i pisk bólu, gdy włócznia trafiła w cel. Żółte oczy zniknęły na chwilę, po czym sylwetka rzuciła się w stronę drzewa. Poruszała się przy ziemi niemal jak kot, jednak gnoll zdał sobie sprawę, że jego celem nie była pantera. Kiedy ranne zwierzę dotarło do drzewa, obróciło się w jego stronę i gnoll rozpoznał je z łatwością.

- Szop - wybełkotał gnoll i zaśmiał się. - Uciekam przed szopem! - Gnoll potrząsnął głową i w głębokim odetchnięciu przekazał całą swoją radość. Widok szopa dał mu pewną ulgę, lecz gnoll nie mógł zapomnieć, co stało się na dole. Musiał teraz wrócić do legowiska, złożyć Ulgulu, swemu

wielkiemu goblinowskiemu panu, swemu bóstwu, doniesienie o drowie.

Podszedł, aby podnieść włócznię, po czym zatrzymał się nagle, wyczuwając za sobą ruch. Gnoll powoli odwrócił głowę. Widział swoje własne ramię oraz porośnięty mchem gałąz.

Gnoll zastygł w bezruchu. Nic tam się nie poruszało, z żadnego miejsca w zagajniku nie wydobywał się żaden dźwięk, lecz bestia wiedziała, że coś tam było. Oddech wydobywał się z goblinoida w urywanych sapnięciach, a zwisające po bokach dłonie otwierały się i zamykały.

Gnoll obrócił się szybko i ryknął, lecz okrzyk wściekłości stał się wrzaskiem przerażenia, gdy trzystukilowa pantera skoczyła na niego z niskiej gałęzi.

Siłą uderzenia przewróciła gnolla, nie był jednak słabym stworem. Ignorując ból wywołany przez okrutne szpony pantery, gnoll chwycił pochyloną głowę Guenhwyvar i trzymał ją desperacko, starając się nie dopuścić, by śmiercionośne szczęki wbiły się w jego szyję.

Gnoll walczył niemal przez minutę, a ramiona drżały mu pod naciskiem potężnych mięśni szyi pantery. Następnie głowa opadła i Guenhwyvar chwyciła. Wielkie zęby wgryzły się w szyję gnolla i pozbawiły go oddechu.

Gnoll wił się i miotał szaleńczo, w jakiś sposób zdołał obrócić się tak, że znalazł się nad panterą. Guenhwyvar jednak się tym nie przejęła. Jej szczęki trzymały mocno.

Po paru minutach miotanie się zakończyło.

## 2

### PYTANIA SUMIENIA

Drizzt pozwolił, by jego wzrok przeszedł na spektrum podczerwieni, by mógł widzieć różnice ciepła równie wyraźnie, jak dostrzegał przedmioty w świetle. Dla jego oczu sejmityary błyszczą teraz jasno ciepłem świeżej krwi, a rozszarpane ciała gnolli wylewały swe ciepło w otwartą przestrzeń.

Drizzt próbował odwrócić wzrok, próbował obserwować szlak, którym Guenhwyvar udała się w pościgu za piątym gnollem, jednak za każdym razem jego spojrzenie powracało do martwych gnolli oraz pokrytych krwią ostrzy.

- Co ja zrobiłem? - zastanawiał się głośno Drizzt. Szczerze mówiąc, nie wiedział. Gnolle mówiły o zabijaniu dzieci, a myśl ta wyzwalała w Drizzcie wściekłość, cóż jednak drow wiedział o konflikcie pomiędzy gnollami a ludźmi z wioski? Może ludzie, a nawet ludzkie dzieci, byli potworami? Może najeżdżali wioskę gnolli i zabijali bez litości? Może gnolle chciały kontratakować, ponieważ nie miały innego wyboru, ponieważ musiały się bronić?

Drizzt odbiegł od straszliwego pobojuwiska w poszukiwaniu Guenhwyvar, żywiąc nadzieję, że dotrze do pantery, zanim piąty gnoll zginie. Gdyby znalazł gnolla i schwytał go, mógłby poznać niektóre z odpowiedzi, których tak desperacko potrzebował.

Poruszał się szybkimi i pełnymi gracji krokami, ledwo wywołując szmer, gdy przemykał

obok rosnących wzdłuż szlaku krzaków. Z łatwością odnajdywał ślady przejścia gnolla i ujrzał również, ku swej obawie, że Guenhwyvar też odkryła trop. Gdy dotarł w końcu do wąskiego zagajnika, spodziewał się całkowicie, że jego poszukiwania dobiegły końca. Mimo to, serce podskoczyło mu do gardła, gdy ujrzał kocicę, wyciągniętą obok swej ostatniej ofiary.

Guenhwyvar zerknęła z ciekawością na zbliżającego się wyraźnie podenerwowanym krokiem Drizzta.

- Co zrobiłaś, Guenhwyvar? - wyszeptał Drizzt. Pantera przekrzywiła głowę, jakby nie rozumiała.

- Kimże ja jestem, by wydawać taki wyrok? - ciągnął Drizzt, mówiąc bardziej do siebie niż do kocicy. Odwrócił się od Guenhwyvar oraz martwego gnolla i podszedł do liściastego krzaka, gdzie mógł otrzeć krew z broni. - Gnolle mnie nie zaatakowały, choć miały mój los w garści, gdy spotkaliśmy się przy potoku. A ja odpłaciłem się im, przelewając ich krew!

Mówiąc to Drizzt odwrócił się z powrotem do Guenhwyvar, jakby oczekiwał, a nawet żywił nadzieję, że pantera w jakiś sposób go zgani, w jakiś sposób potępi i osądzi jego winę. Guenhwyvar nie poruszyła się nawet o centymetr, zaś okrągłe oczy pantery, błyszczące w nocy zielonkawą żółcią, nie wpatrywały się w Drizzta, w żaden sposób nie oskarżały jego czynów.

Drizzt chciał zaprotestować, chciał zagłębić się w swej winie, lecz nie mógł otrząsnąć się z cichej akceptacji Guenhwyvar. Kiedy Drizzt żył sam w dziczy Podmroku, kiedy zagubił się w dzikich żądzach, które wymagały zabijania, Guenhwyvar czasami mu się sprzeciwiała, a raz nawet wróciła sama na Plan Astralny, zanim została odesłana. Teraz jednak pantera nie okazywała żadnej chęci odejścia albo uczucia rozczarowania. Guenhwyvar wstała, otrząsnęła ze swej błyszczącej, czarnej sierści piach i gałązki, po czym podeszła do Drizzta.

Stopniowo Drizzt rozluźnił się. Wytarł jeszcze raz swe sejmity, tym razem w gęstą trawę, po czym wsunął je z powrotem do pochew, a następnie położył dziękczynnie rękę na wielkiej głowie Guenhwyvar.

- Ich słowa znaczyły, że są źli - wyszeptał drow, by się upewnić. - Ich zamiary zmusiły mnie do działania. - W jego słowach brakowało przekonania, jednak Drizzt musiał im w tej chwili zawierzyć. Wziął głęboki oddech, by się uspokoić i zajrzał w głąb siebie, by odnaleźć potrzebną mu teraz siłę. Zdawszy sobie sprawę, że Guenhwyvar była u jego boku przez dłuższy czas i musiała wrócić na Plan Astralny, by odpocząć, sięgnął do małej sakiewki.

Zanim jednak Drizzt zdołał wyciągnąć onyksową figurkę, pantera podniosła łapę i wytraciła ją. Drizzt spojrział z zaciekawieniem na Guenhwyvar, a kocica oparła się ciężko o niego, niemal go przewracając.

- Moja lojalna przyjaciółko - rzekł Drizzt, zdając sobie sprawę, że pantera zamierzała zostać przy nim. Wyciągnął dłoń z sakwy i przyklęknął na jedno kolano, obejmując mocno Guenhwyvar. Drizzt nie spał w ogóle tej nocy, obserwował gwiazdy i rozmyślał. Guenhwyvar wyczuwała jego

niepokój i pozostała blisko przez wschód i zachód słońca, zaś gdy Drizzt wstał, by powitać nowy świt, Guenhwyvar, choć wyczerpana i zmęczona, szła u jego boku. Odnaleźli u podstawy wzgórza skaliste wyniesienie i zasiedli tam, by obserwować nadchodzące widowisko.

Przed nimi ostatnie światła zniknęły z okien wioski. Wschodnie niebo przeszło w róż, a później w karmazyn, jednak Drizzt zauważył, że ma rozproszoną uwagę. Jego wzrok błąkał się po leżących w dole zabudowaniach, zaś umysł próbował odgadnąć zwyczaje tej nieznanej społeczności oraz odnaleźć jakieś usprawiedliwienie dla wydarzeń poprzedniego dnia.

Ludzie byli rolnikami, tyle Drizzt wiedział, byli także pilni i pracowici, ponieważ wielu z nich zajmowało się już swymi polami. Wprawdzie fakty te były obiecujące, jednak Drizzt nie był jeszcze w stanie odgadnąć ogólnych cech całej ludzkiej rasy.

Wtedy gdy blask dnia rozlewał się coraz szerzej, oświetlając drewniane budynki wioski oraz rozległe pola, Drizzt podjął decyzję. - Muszę dowiedzieć się więcej, Guenhwyvar - powiedział cicho. - Jeśli mam... jeśli mamy pozostać w tym świecie, musimy zrozumieć zwyczaje naszych sąsiadów.

Drizzt skinął głową, rozważając swoje słowa. Zostało już dowiedzione, boleśnie dowiedzione, że nie mógł pozostać neutralnym obserwatorem wydarzeń mających miejsce w świecie powierzchni. Drizzt był często pobudzany do działania przez swoje sumienie, z siłą, której nie był w stanie się przeciwstawić. Teraz jednak, gdy jego wiedza o zasiedlających ten region rasach była tak niewielka, jego sumienie mogło z łatwością zaprowadzić go w złym kierunku. Mógł wyrządzić szkody niewinnym, łamiąc w ten sposób zasady, którymi się szczycił.

Drizzt przymrużył oczy, spoglądając na odległą wioskę w poszukiwaniu jakichś wskazówek. - Pójdę tam - powiedział panterze. - Pójdę tam, by obserwować i uczyć się.

Guenhwyvar przez cały czas siedziała w milczeniu. Drizzt nie był w stanie stwierdzić, czy pantera zgadzała się z nim, czy nie, a nawet czy w ogóle rozumiała jego zamiary. Tym razem jednak Guenhwyvar nie sprzeciwiała się, gdy Drizzt sięgnął po onyksową figurkę. Kilka chwil później pantera biegła planarnym tunelem do swego astralnego domu, zaś Drizzt szedł szlakiem prowadzącym do ludzkiej wioski i... odpowiedzi. Zatrzymał się tylko raz, przy ciele samotnego gnolla, by zabrać płaszcz stwora. Drizzt wzdrygnął się, uważając to za kradzież, lecz chłodna noc przypomniała mu, że strata piwafwi może okazać się poważna.

Do tej chwili wiedza Drizzta o ludziach i ich społeczeństwie była poważnie ograniczona. Głęboko w trzewiach Podmroku mroczne elfy nie miały zbyt dużego kontaktu, ani nie interesowały się zbyt światem powierzchni. Jedyny raz, kiedy Drizzt słyszał cokolwiek o ludziach, miał miejsce w Akademii Menzoberranzan podczas sześciu miesięcy, jakie spędził w Sorcere, szkole czarodziejów. Mistrzowie ostrzegali swych studentów przed używaniem magii w sposób, „w jaki mógłby to zrobić człowiek”, sugerując niebezpieczną beztroskę zazwyczaj kojarzoną z żyjącą krócej rasą.

- Ludzcy czarodzieje - mówili mistrzowie - mają nie mniejsze ambicje niż czarodzieje drowów, jednak podczas gdy drow może poświęcić pięć wieków na osiągnięcie tych celów, człowiek ma na to zaledwie kilka krótkich dekad.

Przez dwadzieścia lat Drizzt nosił w sobie wnioski płynące z tego stwierdzenia, a nasiliły się one znacznie podczas ostatnich kilku miesięcy, odkąd niemal codziennie spoglądał na ludzką wioskę. Jeśli wszyscy ludzie, nie tylko czarodzieje, byli równie ambitni jak tak wielu drowów - fanatyków, którzy mogli spędzić znaczną część tysiąclecia na osiągnięciu swych celów - czy nie zostaliby pochłonięci przez to dążenie, które zahacza o histerię? Albo też, jak Drizzt miał nadzieję, opowieści o ludziach, jakie słyszał w Akademii, były po prostu kolejnymi typowymi kłamstwami, jakie owijały jego społeczeństwo siecią intryg i paranoi. Może ludzie ustawiali swe cele na rozsądniej szych poziomach i znajdowali radość oraz satysfakcję w małych przyjemnościach, jakie dawało krótkie życie.

W czasie swych podróży przez Podmrok Drizzt tylko raz spotkał człowieka. Mężczyzna ów, czarodziej, zachowywał się irracjonalnie, nieprzewidywalnie i niezwykle niebezpiecznie. Przemienił przyjaciela Drizzta z pecza, nieszkodliwego, małego, humanoidalnego stworzenia, w przerażającego potwora. Kiedy Drizzt i jego towarzysze przybyli do wieży czarodzieja, by przywrócić wszystko do normy, zostali powitani potężnym uderzeniem błyskawicy. Człowiek w końcu zginął, a przyjaciel Drizzta, Clacker, pozostał w swym cierpieniu.

Drizztowi pozostała gorzka pustka, przykład człowieka, który wydawał się potwierdzać prawdę ostrzeżeń drowów. Tak więc teraz Drizzt ostrożnymi krokami zbliżał się do ludzkiej osady, spowalniała go rosnąca obawa, że pomylił się zabijając gnolle.

Drizzt postanowił obserwować to samo oddzielone gospodarstwo na zachodnim skraju wioski, które gnolle postanowiły napaść. Była to długa i niska budowla z bali z jednymi drzwiami i kilkoma oknami, które były zasłonięte okiennicami. Przez całą długość ściany frontowej biegła otwarta, nakryta dachem weranda. Obok stała stodoła, wysoka na dwie kondygnacje, z szerokimi i wysokimi wrotami, w których mógł się zmieścić duży wóz. Podwórze podzielone było na rozmaitego kształtu zagrody, w wielu z nich znajdowały się kury i świnię, w jednej pasła się koza, zaś w innych widać było rzędy liściastych roślin, których Drizzt nie znał.

Podwórze z trzech stron stykało się z polami, lecz tył domu znajdował się w pobliżu rosnących na zboczu górskim gęstych krzaków i głązów. Drizzt usadowił się pod niskimi gałęziami pinii, z boku tylnego rogu budynku, co pozwalało mu widzieć większą część podwórza.

Trzej dorośli mężczyźni - trzy pokolenia, co Drizzt odgadnął po ich wyglądzie - pracowali w polu, zbyt daleko od drzew, by drow mógł dostrzec więcej szczegółów. Jednak bliżej domu czwórka dzieci, córka właśnie wchodząca w kobiecość oraz trzech młodszych chłopców, zajmowało się swymi obowiązkami, pielęgnując kury i świnię, a także pieląc chwasty w ogrodzie z warzywami. Przez większość poranka pracowali oddzielnie przy prawie całkowitym braku kontaktu



z pozostałymi, a Drizzt zdołał w tym czasie sporo się dowiedzieć o ich koneksjach rodzinnych. Kiedy na werandę wyszła krępa kobieta o tym samym, słomianym kolorze włosów co dzieci, i zadzwoniła wielkim dzwonkiem, wyglądało na to, że duch, który przyczaił się w pracujących, wydostał się spod kontroli.

Z pohukiwaniem i pokrzykiwaniem trzech chłopcy pobiegli do domu, przystając na chwilę, by rzucić zgniłymi warzywami w swą starszą siostrę. Z początku Drizzt sądził, że będzie to preludium do większego konfliktu, jednak kiedy młoda kobieta oddała salwę, cała czwórka wybuchła śmiechem i drow zauważył, że to zabawa.

Chwilę później najmłodszy z mężczyzn, najprawdopodobniej starszy brat, wpadł na podwórze krzycząc i wymachując żelazną motyką. Młoda kobieta krzyknęła zachęcająco do nowego sprzymierzeńca i trzech chłopcy rzucili się w stronę werandy. Mężczyzna był jednak szybszy, chwycił silną ręką jedno z dzieci i wrzucił je do świńskiego koryta.

Przez cały ten czas kobieta z dzwonkiem potrząsała bezradnie głową i bez przerwy wylewała z siebie potok narzekań. Starsza kobieta, siwa i chuda jak patyk, stanęła obok niej, wymachując złowieszczo drewnianą łyżką. Wyraźnie zadowolony młody mężczyzna otoczył ręką ramiona młodej kobiety, po czym za dwoma pierwszymi chłopcami weszli do domu. Ostatni dzieciak wygrzebał się z brudnej wody i ruszył za nimi, lecz powstrzymała go drewniana łyżka.

Drizzt nie mógł oczywiście zrozumieć ani słowa z rozmowy, stwierdził jednak, że kobieta nie wpuści małego do środka, dopóki ten się nie wysuszy. Niesforny młodzik wymamrotał coś do pleców tej z łyżką, gdy wchodziła do domu, lecz nie spieszył się zbytnio.

Pozostali dwaj mężczyźni, jeden obdarzony gęstą, siwą brodą, zaś drugi gładko ogolony, wrócili z pola i wślizgnęli się za narzekającego chłopca. Uniósł się on znowu w powietrze i z chłupotem wrócił do koryta. Gratulując sobie serdecznie, mężczyźni ku uciesze pozostałych weszli do środka domu. Ociekający wodą chłopiec tylko jęknął i chlapnął wodą w pysk maciory, która przyszła sprawdzić, co się dzieje.

Drizzt obserwował to wszystko z rosnącym podziwem. Nie widział niczego przekonującego, jednak zabawowe zwyczaje rodziny oraz zrezygnowana akceptacja tego, który przegrał, dały mu odwagę. Drizzt wyczuł w tej grupie wspólnego ducha, wszyscy jej członkowie zmierzali do wspólnego celu. Jeśli to gospodarstwo okazałoby się odzwierciedleniem całej wioski, to miejsce to z pewnością bardziej przypominało Blingdenstone, miasto głębinowych gnomów niż Menzoberranzan.

Popołudnie przebiegło w podobny sposób jak ranek, z widoczną w całym gospodarstwie mieszaniną pracy i zabawy. Rodzina wróciła wcześniej, zapalając lampy tuż po zachodzie słońca, a Drizzt wślizgnął się głębiej w zarośla u podnóża góry, by rozważyć swoje obserwacje.

Wciąż nie mógł być niczego pewien, jednak tej nocy spał spokojniej, nie niepokoiliły go już nieprzyjemne wątpliwości, związane z martwymi gnollami.

\* \* \*

Drow przez trzy dni czał się w cieniach za gospodarstwem, obserwując rodzinę przy pracy i zabawie. Bliskość grupy stawała się coraz bardziej oczywista, zaś za każdym razem, gdy pomiędzy dziećmi wybuchała prawdziwa walka, natychmiast podchodził najbliższy dorosły i przywracał ją do granic rozsądku. Po krótkiej chwili niedawni przeciwnicy znów się ze sobą bawili.

Drizzta opuściły wszelkie wątpliwości. - Strzeżcie się moich ostrzy, łotry - wyszeptał pewnej nocy w stronę cichych gór. Młody drow renegat uznał, że jeśli jakiegokolwiek gnolle czy gobliny - albo stwory z którejś innej rasy - postanowią napaść na tę określoną rodzinę, to najpierw będą mieć do czynienia z wirującymi sejmitarami Drizzta Do'Urden.

Drow rozumiał ryzyko, jakie brał na siebie, obserwując rodzinę rolników. Jeśli ludzie zauważą go - co nie było zbyt prawdopodobne - z pewnością wpadliby w panikę. W tym momencie swego życia Drizzt chciał jednak wziąć na siebie to ryzyko. Część jego nawet chciała, by został odkryty.

Wczesnego poranka czwartego dnia, zanim słońce pojawiło się na wschodnim niebie, Drizzt wyruszył na swój codzienny patrol, sprawdzając wzgórza i zagajniki otaczające samotne gospodarstwo. W chwili gdy drow wrócił na swoje stanowisko, praca była już w pełnym rozkwicie. Drizzt usiadł wygodnie na kępie mchu i spoglądał z cieni na jasność bezchmurnego dnia.

Mniej niż godzinę później samotna postać wyszła z domu i ruszyła w stronę Drizzta. Było to najmłodsze z dzieci, chłopiec o włosach w kolorze piasku, który wydawał się spędzać równie wiele czasu w korycie jak poza nim, zazwyczaj nie z własnej woli.

Drizzt schował się za pnem pobliskiego drzewa, niepewny co do zamiarów chłopca. Szybko zdał sobie sprawę, że dzieciak go nie widzi, ponieważ wślizgnął się w gąszcz, parsknął przez ramię, w stronę domu, po czym skierował się na zalesione wzgórza, przez cały czas gwizdząc. Drizzt zrozumiał wtedy, że chłopiec ucieka przed swymi obowiązkami i niemal pochwalił jego swobodne zachowanie. Nie był jednak przekonany, czy dzieciak robi rozsądnie, oddalając się od domu w tak niebezpiecznym terenie. Chłopiec nie mógł mieć więcej niż dziesięć lat, wyglądał na szczupłego i delikatnego, a spod bursztynowych loków wyglądały niewinne, błękitne oczy. Drizzt poczekał kilka chwil, by chłopiec zdołał się oddalić, sprawdził czy ktoś za nim nie idzie, po czym ruszył jego szlakiem, kierując się gwizdaniem.

Chłopiec oddalał się nieprzerwanie od domu, idąc w góry, zaś Drizzt trzymał się sto kroków za nim, zdecydowany chronić go przed niebezpieczeństwem.

W ciemnych tunelach Podmroku Drizzt mógłby się skradać tuż za chłopcem - lub goblinem czy praktycznie każdym innym - i klepnąć go w plecy, zanim zostałby odkryty. Po jednak mniej więcej półgodzinie tego pościgu i gwałtownych zmianach kierunku oraz prędkości, połączonych z faktem, że gwizdanie ucichło, Drizzt doszedł do wniosku, że dzieciak wie, iż jest śledzony.

Zastanawiając się, czy chłopiec wyczuje trzecią stronę, Drizzt przyzwał z onyksowej figurki

Guenhwyvar i wysłał jaz poleceniem zajścia z flanki. Drizzt znów wyruszył przed siebie w ostrożnym tempie.

Chwilę później, gdy rozległ się krzyk dziecka, drow wyciągnął sejmity i porzucił wszelką ostrożność. Drizzt nie rozumiał słów chłopca, jednak desperacja w jego głosie mówiła wystarczająco wiele.

- Guenhwyvar! - zawołał drow, próbując przywołać znajdującą się w oddali panterę z powrotem. Drizzt nie mógł stać i czekać na kocicę, ruszył więc dalej.

Szlak wdzierał się po stromym podejściu, wyłaniał się nagle z drzew i kończył krawędzią szerokiej rozpadliny, mierzącej ponad sześć metrów. Przepaść była przecięta zaledwie jedną belką, zaś po obydwu jej stronach zwiślał chłopiec. Jego oczy powiększyły się znacznie na widok mahoniowoskórego elfa z sejmityrami w dłoniach. Wyjąkał kilka słów, których Drizzt nie był w stanie rozszyfrować.

Obraz znajdującego się w niebezpieczeństwie chłopca zalał Drizzta falą winy. Dzieciak znalazł się w tej sytuacji tylko z powodu pościgu. Rozpadlina była zaledwie tak głęboka, jak szeroka, lecz na dnie znajdowały się poszarpane głazy i kłujące krzaki. Zbity z tropu nagłym spotkaniem i wynikającymi z niego nieuniknionymi skutkami, z początku Drizzt się zawahał, jednak szybko odepchnął na bok te myśli. Wsunął sejmity w pochwy i, składając ramiona na piersi w geście pokoju drowów, postawił jedną stopę na belce.

Chłopiec wpadł na inny pomysł. Zaraz gdy otrząsnął się z szoku, jaki wywołał w nim widok dziwnego elfa, skoczył na półkę skalną pod przeciwległą krawędzią rozpadliny i zepchnął belkę z jej mocowania. Drizzty szybko cofnął się ze spadającej kłody. Drow rozumiał, że dzieciak nie znajdował się w prawdziwym niebezpieczeństwie, lecz udawał przerażenie, by oszukać prześladowcę. Poza tym, jak doszedł do wniosku drow, gdyby tak jak chłopiec przypuszczał, prześladowcą okazał się ktoś z rodziny, niebezpieczeństwo oddaliłoby jakiegokolwiek myśli o karze.

Teraz Drizzt znajdował się w niekorzystnej sytuacji. Został odkryty. Starał się obmyślić jakiś sposób porozumienia z chłopcem, by wyjaśnić mu swą obecność i stłumić panikę. Dzieciak nie czekał jednak na wyjaśnienia. Z rozszerzonymi strachem oczyma wdrapał się na przeciwległy brzeg - drogą, którą najwyraźniej dobrze znał - i zniknął w krzakach.

Drizzt rozejrzał się bezradnie. - Zaczekaj! - krzyknął w języku drowów, choć rozumiał, że chłopiec nie zrozumie i nie zatrzyma się nawet, gdyby chciał.

Obok drowa przemknęła i wzbiła się w powietrze czarna kocia sylwetką, z łatwością pokonując rozpadlinę. Guenhwyvar wylądowała lekko po drugiej stronie i zniknęła w gąszczu.

- Guenhwyvar! - krzyknął Drizzt, próbując zatrzymać panterę. Drow nie miał pojęcia jak Guenhwyvar zareaguje na dzieciaka. Z tego co wiedział Drizzt, pantera spotkała dotąd zaledwie jednego człowieka, czarodzieja, którego następnie zabili towarzysze Drizzta. Drow rozejrzał się w poszukiwaniu jakiejś drogi, którą mógłby za nimi iść. Mógł zejść na dół, pokonać dno rozpadliny i

wspiąć się z powrotem, lecz to trwałoby zbyt długo.

Drizzt cofnął się kilka kroków, po czym ruszył w stronę rozpadliny i wzbił się w powietrze, przyzywając swe wrodzone moce lewitacji. Odczuł szczerą ulgę, gdy jego ciało oderwało się od siły grawitacji. Nie korzystał z lewitacji, odkąd wyszedł na powierzchnię. Czar był bezcelowy dla drowa ukrywającego się pod otwartym niebem. Początkowy pęd Drizzta przeniósł go w pobliże drugiego brzegu. Zaczął się koncentrować na opadnięciu w dół na skały, lecz nagle czar skończył się gwałtownie i Drizzt spadł. Zignorował siniaki na kolanie oraz pytanie, dlaczego czar go zawiódł, i rzucił się biegiem, krzycząc w desperacji do Guenhwyvar, by się zatrzymała.

Drizzt odczuł ulgę, gdy znalazł kocicę. Guenhwyvar siedziała spokojnie na polance, jedną łapą przy ciskając niedbale chłopca twarzą do ziemi. Dzieciak znów krzyczał - o pomoc, jak stwierdził Drizzt - lecz nie wyglądał na zranionego.

- Chodź Guenhwyvar - powiedział cicho Drizzt. - Zostaw dziecko. - Guenhwyvar ziewnęła leniwie i usłuchała, idąc przez polankę, by stanąć u boku swego pana.

Chłopiec przez dłuższą chwilę pozostał w pozycji leżącej. Nagle, przyzwawszy swą odwagę, poruszył się raptownie, podnosząc się i obracając w stronę mrocznego elfa i pantery. Jego oczy wciąż były rozszerzone, wyglądały karykaturalnie, spoglądając z tej brudnej twarzy.

- Czym jesteś? - chłopiec zapytał wspólnym ludzkim językiem.

Drizzt rozłożył ręce po bokach, by pokazać, że nie rozumie. Kierowany impulsem wymierzył palec w swoją pierś i powiedział - Drizzt Do'Urden. - Zauważył, że dzieciak poruszył się lekko, stawiając jedną stopę za drugą. Drizzt nie zdziwił się - i tym razem upewnił się, by Guenhwyvar pozostała przy nim - gdy chłopiec odwrócił się na pięcie i uciekł, wrzeszcząc na całe gardło - Pomocy! To drizzit!

Drizzt spojrział na Guenhwyvar i wzruszył ramionami. Wydawało mu się, że kocica zrobiła to samo.

### 3

#### SZCZENIAKI

Nathak, goblin o ramionach jak patyki, wspinał się powoli po stromym, kamienistym podejściu, a każdy jego krok był obciążony przerażeniem. Goblin musiał donieść o swoim znalezisku - nie można było zlekceważyć pięciu martwych gnolli - jednak nieszczęsne stworzenie szczerze wątpiło, czy Ulgulu lub Kempfana z radością przyjmą wieści. Jednak jaki Nathak miał wybór? Mógł uciec wzdłuż drugiego zbocza góry i dalej, w dzicz. Wydawało się to jednak gorszą ewentualnością, zważywszy na zamiłowanie Ulgulu do zemsty. Wielki purpurowoskóry pan mógł gołymi rękoma wyrwać drzewo z ziemi, mógł garściami wyrywać kamienie ze ściany jaskini, a także z łatwością mógł rozerwać gardło goblina dezterera.

Każdy krok wywoływał dreszcze, gdy Nathak wychynął spod osłony krzaków i wszedł do

małego pomieszczenia w kompleksie jaskiń jego pana.

- Na czas żeś wróciłeś - parsknął jeden z dwóch obecnych wewnątrz goblinów. - Dwa dni cię nie było!

Nathak tylko przytaknął i wziął głęboki oddech.

- Czego się strachasz? - spytał trzeci goblin. - Znalazłeś żeś gnolle?

Nathak zbladł i nawet najgłębszy oddech nie mógł osłabić przerażenia, jakie naszło goblina.

- Ulgulu jest? - zapytał piskliwie.

Dwaj strażnicy spojrzeli na siebie z zaciekawieniem, po czym znów skierowali wzrok na Nathaka. - On znalazł gnolle - stwierdził jeden z nich, odgadując naturę problemu. - Martwe gnolle.

- Ulgulu nie będzie szczęśliwy - wtrącił się drugi, po czym odsunęli się, a jeden uniósł ciężką zasłonę, która oddzielała przedsionek od sali audiencyjnej.

Nathak zawahał się i zaczął oglądać w tył, jakby rozważając wszystko od początku. Uznał, że ucieczka byłaby chyba lepsza. Strażnicy chwycili swego chudego towarzysza i szorstko wrzucili go do komnaty audiencyjnej, krzyżując za Nathakiem włócznie, by nie pozwolić mu umknąć.

Nathak zdołał trochę dojść do siebie, gdy ujrzał, że to Kempfana, nie Ulgulu, siedzi w wielkim fotelu po drugiej stronie pomieszczenia. Kempfana zdobył wśród szeregów goblinów reputację spokojniejszego z rządzących braci, choć on również pożarł wystarczająco wielu swoich poddanych, by zdobyć sobie ich szacunek. Kempfana ledwo zauważył wejście goblina, ponieważ był zajęty rozmową z Piwobrzuchem, tłustym gigantem wzgórzowym, do którego wcześniej należał kompleks jaskiń.

Nathak szurając szedł przez komnatę, przyciągając spojrzenia giganta wzgórzowego oraz wielkiego - niemal tak dużego jak gigant - szkarłatnoskórego goblinoidea.

- Tak, Nathaku - zachęcił Kempfana, uciszając nadchodzący protest giganta wzgórzowego prostym machnięciem dłoni. - Co chcesz powiedzieć?

- Ja... ja - wyjąkał Nathak.

Wielkie oczy Kempfany błysnęły nagle pomarańczowo, co było wyraźnym sygnałem niebezpiecznego podniecenia.

- Ja żem znalazł gnolle! - wypalił Nathak. - Martwe. Pomordowane.

Piwobrzuch wydał z siebie niski i groźny warkot, lecz Kempfana chwycił mocno rękę giganta, przypominając mu, kto tu rządzi.

- Martwe? - spytał cicho szkarłatnoskóry goblin. Nathak przytaknął.

Kempfana żałował straty tak godnych zaufania niewolników, lecz w tej chwili myśli młodego barghesta były bardziej skoncentrowane na jego bracie i jego nieuchronnej gwałtownej reakcji na te wiadomości. Kempfana nie musiał długo czekać.

- Martwe! - dobiegł ryk, który niemal rozszczepiał kamienie. Wszystkie trzy obecne w pomieszczeniu potwory instynktownie pochyliły się i odsunęły, akurat w porę, by ujrzeć jak wielki

głaz, prymitywne drzwi do kolejnej komnaty, wylatuje z hukiem i leci w bok.

- Ulgulu! - pisnął Nathak, po czym padł twarzą na ziemię, nie ważąc się podnieść wzroku.

Wielki, purpurowoskóry goblinoid wpadł do sali audiencyjnej, a jego oczy płonęły pomarańczowym szafem. Trzy wielkie kroki doprowadziły Ulgulu do Piwobrzucha i gigant zaczął nagle wyglądać na niezwykle małego i kruchego.

- Martwe! - zaryczał ponownie z wściekłością Ulgulu. Gdy jego plemię goblinów się zmniejszało, czy to zabijane przez ludzi z wioski albo inne potwory, czy też zjadane przez Ulgulu podczas jego częstych napadów szału, to mała banda gnolli stawała się główną siłą łowiecką legowiska.

Kempfana spojrział ze złością na swego większego brata. Razem przybyli na Plan Materialny jako dwa barghesty szczeniaki, by jeść i rosnąć. Ulgulu szybko zaczął dominować, pożerał najsilniejsze ofiary i w ten sposób stawał się większy oraz potężniejszy. Z koloru skóry Ulgulu a także jego rozmiaru można było wnioskować, że wkrótce będzie mógł wrócić do cuchnących dolin Gehenny.

Kempfana miał nadzieję, że ten dzień nadejdzie wkrótce. Kiedy Ulgulu odejdzie, on będzie rządził, będzie jadł i rósł w siłę. Następnie Kempfana również zakończy swój szczenięcy okres na tym przeklętym planie i będzie mógł wrócić, by wraz z innymi barghestami walczyć o pozycję na swoim prawomocnym planie istnienia.

- Martwe - warknął znów Ulgulu. - Wstawaj, nędzny goblinie, i powiedz mi, jak to się stało! Kto zrobił to moim gnolom!

Nathak jęczał jeszcze przez chwilę, po czym zdołał wstać na kolana. - Ja nie wiem - wymamrotał. - Gnolle martwe, pocięte i rozszarpane.

Ulgulu zakołysał się na piętach swych plaskatych, przerośniętych stóp. Gnolle miały napaść na gospodarstwo, a później wrócić z rolnikiem i jego najstarszym synem. Te dwa spore ludzkie posiłki poważnie wzmocniłyby wielkiego barghesta, być może nawet wprowadziłyby Ulgulu na poziom dojrzałości, którego potrzebował, aby wrócić do Gehenny. Teraz, w świetle raportu Nathaka, Ulgulu będzie musiał wysłać Piwobrzucha albo nawet iść sam, a widok giganta lub potwora o purpurowej skórze może popchnąć ludzką osadę do niebezpiecznego, zorganizowanego działania. - Tephans! - Ulgulu ryknął nagle.

Od ściany, leżącej naprzeciwko tej, z której z hukiem wyszedł Ulgulu, odczepił się mały kamyk i zaczął spadać. Musiał pokonać jedynie około dwóch metrów, lecz w chwili gdy kamień uderzył w podłogę, z małej wnęki, służącej mu za sypialnię, wyłonił się smukły skrzat, po czym przeszedł kilka metrów i wbiegł po boku Ulgulu, by zasiąść wygodnie na ogromnym ramieniu barghesta.

- Wzywałś - mnie, tak - rzeczywiście - tak - było, mój - panie - zabzyczał zbyt szybko Tephans. Pozostali nawet nie zdali sobie sprawy, że półmetrowy skrzat pojawił się w komnacie.

Kempfana odwrócił się, potrząsając ze zdumieniem głową.

Ulgulu ryknął śmiechem; tak uwielbiał widok Tephana, swego najcenniejszego sługi. Tephani był szybcioszkiem, drobniutkim skrzatem, który wykraczał poza zwyczajne postrzeganie czasu. Posiadając nieograniczoną energię i zręczność, która zawstydziłaby najbieglejszego niziołka złodzieja, szybcioszki mogły wykonywać wiele zadań, do których żadna inna rasa nie mogłaby nawet się zabrać. Ulgulu zaprzyjaźnił się z Tephaniem na początku swej niewoli na Planie Materialnym - Tephani był jedynym członkiem różnorodnej populacji legowiska, nad którym barghest nie zażądał władzy - i więc ta dała młodemu szczeniakowi poważną przewagę nad bratem. Dysponując Tephaniem, który mógł wysledzić potencjalne ofiary, Ulgulu wiedział dokładnie, które pożreć, a które zostawić Kempfanie, wiedział również, jak zwyciężyć z tymi poszukiwaczami przygód, którzy byli od niego silniejsi.

- Drogi Tephanie - Ulgulu wycedził dziwnym, chrapliwym głosem. - Nathak, biedny Nathak - goblin nie przegapił konsekwencji, jakie najprawdopodobniej przyniesie to odwołanie się do niego - poinformował mnie, że moje gnolle spotkała katastrofa.

- A - ty - chcesz - żebym - poszedł - i - zobaczył - co - się - z - nimi - stało - mój - mistrzu - odparł Tephani. Ulgulu potrzebował chwili, by pojąć ten niemal niezrozumiały potok słów, po czym skinął ochoczo głową.

- Już - się - robi, mój - panie. Wrócę - wkrótce.

Ulgulu poczuł lekkie drżenie na ramieniu, lecz do chwili gdy ktokolwiek zdał sobie sprawę, co powiedział Tephani, ciężka zasłona oddzielająca komnatę od przedsionka powracała już do wiszącej pozycji. Jeden z goblinów wsunął na chwilę głowę do środka, by sprawdzić czy Kempfana lub Ulgulu go nie wzywali, po czym wrócił na posterunek, uważając ruch zasłony za sztuczkę wiatru.

Ulgulu znów wybuchnął śmiechem. Kempfana zerknął na niego z niesmakiem. Kempfana nienawidził skrzata i zabiłby go już dawno temu, jednak nie mógł zlekceważyć potencjalnych korzyści, ponieważ Tephani mógł pracować dla niego, gdy Ulgulu wróci już do Gehenny.

Nathak cofnął jedną stopę za drugą, zamierzając cicho wymknąć się z pomieszczenia. Ulgulu zatrzymał goblina spojrzeniem.

- Twój raport dobrze mi się przysłużył - zaczął barghest. Nathak uspokoił się, lecz jedynie na chwilę, jakiej Ulgulu potrzebował, by wyciągnąć wielką dłoń, chwycić goblina za gardło i podnieść go z podłogi.

- Jednak przysłużyłby się lepiej, gdybyś poświęcił trochę czasu, żeby sprawdzić, co stało się moim gnollom!

Nathak niemal zemdłał, zaś w chwili, gdy połowa jego ciała była już wciśnięta w żarłoczną paszczę Ulgulu, chudy goblin żałował, że tak się nie stało.

\* \* \*

- Ból łagodzi w tył drapanie, lecz po ciosie znów powstanie. Ból łagodzi w tył drapanie, lecz po ciosie znów powstanie - powtarzał raz za razem Liam Thistledown, litania ta miała odwrócić jego uwagę od bólu promieniującego spod spodni, litania, którą psotny Liam znał aż za dobrze. Tym razem było jednak inaczej, ponieważ po chwili Liam przyznał przed sobą, że naprawdę uciekł od swoich obowiązków.

- Ale drizzit był prawdziwy - warknął butnie Liam.

Jakby w odpowiedzi na to stwierdzenie drzwi do szopy na drewno uchyliły się odrobinę i do środka wślizgnęły się Shawno, drugi najmłodszy po Liamie, oraz Eleni, jedyna siostra.

- Nieźle się wpakowałeś tym razem - Eleni strofowała go swoim wypracowanym głosem starszej siostry. - Wystarczająco źle, że uciekłeś, gdy była robota, ale jeszcze wracasz do domu z takimi opowieściami!

- Drizzit był prawdziwy - zaprotestował Liam, któremu nie podobało się to, że Eleni bawi się w matkę. Liam pakował się w wystarczające kłopoty, gdy strofowali go sami rodzice, nie potrzebował wiecznie ostrego języka Eleni. - Czarny jak kowadło Connora i z równie czarnym lwem!

- Cisza, wy dwoje - ostrzegł Shawno. - Jeśli tata dowie się, że opowiadamy tu takie rzeczy, zleje nas wszystkich.

- Drizzit - prychnęła ze zważaniem Eleni.

- Prawda! - Liam zaprotestował zbyt głośno, wskutek czego otrzymał bolesny policzek od Shawno. Cała trójka spoglądała ze zbiegającymi twarzami na otwierające się wrota.

- Właż tu! - wyszeptwała ostro Eleni, chwytając Flanny'ego, który był trochę starszy niż Shawno, lecz trzy lata młodszy od niej, za kołnierz i wciągając go do szopy na drewno. Shawno, zawsze najbardziej się przejmujący z całej grupy, szybko wystawił głowę na zewnątrz, by sprawdzić, czy nikt nie patrzy, po czym delikatnie zamknął drzwi.

- Nie powinieneś nas szpiegować! - zaprotestowała Eleni.

- Skąd miałem wiedzieć, że tu jesteście? - odparł Flanny. - Przyszedłem tylko po to, by pobawić się z małym. - Spojrzał na Liama, wykrzywił usta i pomachał groźnie palcami. - Strzeż się, strzeż - zakrakał Flanny. - Jestem drizzit, przyszedłem, by pożreć małych chłopców!

Liam odwrócił się, lecz na Shawno nie zrobiło to wrażenia. - Och, zamknij się! - warknął na Flanny'ego, akcentując swoje stwierdzenie uderzeniem brata w tył głowy. Flanny zamierzał oddać, lecz pomiędzy nich weszła Eleni.

- Przestańcie! - krzyknęła tak głośno, że wszystkie dzieci Thistledownów przyłożyły palec do warg i wyszczały - Óóó!

- Drizzit był prawdziwy - znów zaprotestował Liam. - Mogę tego dowieść - jeśli się nie boicie!

Trójka rodzeństwa Liama spojrzała na niego z zaciekawieniem. Był notorycznym



kłamczuchem, tyle wiedzieli, lecz co chciał na tym zyskać? Ich ojciec nigdy nie wierzył Liamowi, a tylko to się liczyło, jeśli chodziło o karę. Mimo to Liam był nieugięty, a jego ton mówił pozostałym, że za tym oświadczeniem kryje się coś rzeczywistego.

- Jak możesz dowieść istnienia drizzita? - spytał Flanny.

- Jutro nie mamy obowiązków - odpowiedział Liam. - Pójdziemy zbierać jagody w górach.

- Mama i tata nas nie puszcza - wtrąciła Eleni.

- Puszcza, jeśli zabierzemy ze sobą Connora - rzekł Liam, myśląc o ich najstarszym bracie.

- Connor ci nie uwierzy - spierała się Eleni.

- Ale uwierzy tobie! - odparł ostro Liam, wywołując kolejne wspólne - Ćććć.

- Nie wierzę ci - odrzekła cicho Eleni. - Zawsze wszystko mieszasz, zawsze robisz kłopoty, a potem kłamiesz, by się z nich wydostać!

Liam skrzyżował małe ręce na piersi i tupnął niecierpliwie nogą, słuchając wyводу swej siostry. - Ale mi uwierzysz - warknął Liam - jeśli przekonasz Connora, by poszedł!

- Och, zrób to - Flanny poprosił Eleni, choć Shawno, myśląc o ewentualnych konsekwencjach, potrząsnął głową.

- A więc idziemy w góry - Eleni powiedziała do Liama, nakłaniając go, by kontynuował i w ten sposób zdradzając swą zgodę.

Liam uśmiechnął się szeroko i przyklęknął na jedno kolano, zbierając kupkę trocin, na których mógł naszkicować mapę okolicy, w której spotykał drizzita. Jego plan był prosty: wykorzystanie Eleni, zbierającej jagody, jako przynęty. Czterej bracia pójda za nią w tajemnicy i będą obserwować, jak Eleni udaje, że skreśliła kostkę. Już wcześniej drizzita sprowadził niepokój, a z pewnością powróci, jeśli przynętą będzie tak śliczna dziewczyna.

Eleni obruszyła się na ten pomysł, nie podobało jej się to, że będzie użyta jak robak na haczyku.

- Ale ty mi i tak nie wierzysz - szybko stwierdził Liam. Jego uśmiech, uzupełniony szczerbą w miejscu, gdzie wybito mu ząb, pokazywał, że padła ofiarą własnej upartości.

- No dobrze, zrobię to! - prychnęła Eleni. - I nie wierzę w twojego drizzita, Liamie Thistledown! Jeśli jednak lew jest prawdziwy, i mnie ugryzie, wygarbuję ci skórę! - Z tymi słowami Eleni odwróciła się i wypadła z szopy.

Liam i Flanny splunęli w dłoń, po czym spojrzeli ośmielające na Shawno, dopóki ten nie przezwyciężył swych obaw. Następnie bracia stuknęli o siebie dłońmi z triumfalnym, wilgotnym trzaskiem. Jakikolwiek spory pomiędzy nimi zawsze wydawały się zniknąć, jeśli tylko jeden z nich znalazł sposób na pogębienie Eleni.

Żadne z nich nie powiedziało Connorowi o planowanych łowach na drizzita. Zamiast tego Eleni przypomniawszy mu o licznych przysługach, jakie był jej winien i obiecała, że uzna dług za w pełni spłacony - jednak dopiero wtedy, gdy Liam zgodzi się wziąć na siebie przysługi Connora, w

przypadku gdyby nie znaleźli drizzita - jeśli Connor zabierze ją i chłopców na zbieranie jagód.

Connor narzekał i mamrotał, skarżąc się, że ma coś do zrobienia z jedną z kobył, lecz nigdy nie mógł się oprzeć błękitnym oczom swej siostry, a jej szeroki, jasny uśmiech oraz obietnica wymazania znacznego długu przypieczętowały sprawę. Z błogosławieństwem rodziców Connor poprowadził dzieci Thistledownów w góry. Dzieci w rękach trzymały wiadra, zaś u pasa najstarszego wisiał topornie wykonany miecz.

\* \* \*

Drizzt odgadł podstęp na długo przedtem, jak młoda córka rolnika weszła sama w kępę jagód. Widział również czterech chłopców, przyczajonych w cieniu pobliskiej kępy klonów. Connor niezbyt zręcznie trzymał prymitywny miecz.

Drow wiedział, że przyprowadził ich tu najmłodszy dzieciak. Dzień wcześniej Drizzt był świadkiem, jak chłopiec jest wciągany do szopy na drewno. Po każdym ciosie rozlegały się krzyki „drizzit!”, przynajmniej na początku. Teraz uparty dzieciak chciał dowieść prawdziwości swej opowieści.

Zbieraczka jagód zadrżała nagle, po czym upadła na ziemię i krzyknęła. Drizzt rozpoznał „Pomocy!” jako ten sam wyraz niepokoju, którego użył jasnowłosy chłopiec, a na jego ciemnej twarzy wykwitł szeroki uśmiech. Po zabawnym sposobie, w jaki upadła dziewczyna, Drizzt poznał, że to gra. Nie była ranna, po prostu wołała drizzita.

Potrząsnawszy z niedowierzaniem swą białą czupryną, Drizzt chciał odejść, lecz nagle chwycił go impuls. Znów spojrzął na kępę jagód, gdzie siedząca dziewczyna pocierała kostkę, po czym zerknął na jej ukrytych braci. Coś zagrało w tym momencie na strunach w sercu Drizzta, pragnienie, którego nie mógł powstrzymać. Od jak dawna był sam, wędrując bez towarzystwa? Tęsknił w tej chwili za Belwarem, svirfnebli, który towarzyszył mu w licznych niebezpieczeństwach w dziczy Podmroku. Tęsknił za Zaknafeinem, swoim ojcem i przyjacielem. Obserwowanie więzi pomiędzy rodzeństwem było czymś więcej, niż Drizzt Do'Urden mógł znieść.

Nadszedł czas, by Drizzt poznał swoich sąsiadów.

Drizzt naciągnął na głowę kaptur płaszcz gnolla, choć łachman ten niewiele pomógł w ukryciu prawdy o jego naturze, po czym skierował się w stronę polanki. Miał nadzieję, że jeśli w jakiś sposób zdoła złagodzić początkową reakcję dziewczyny, może znaleźć z nią nic porozumienia. Nadzieja ta była co najmniej naciągana.

- Drizzit! - sapnęła pod nosem Eleni, gdy zobaczyła, że idzie. Chciała głośno krzyknąć, lecz nie mogła oddychać, chciała uciekać, lecz strach trzymał ją w miejscu.

Z kępy drzew odezwał się Liam - Drizzit! - krzyknął chłopiec. - Mówiłem ci! Mówiłem ci! - Gdy spojrzął na swoich braci, Flanny i Shawno mieli spodziewane, podekscytowane miny. Twarz Connora była jednak wykrzywiona takim przerażeniem, że widok ten pozbawił Liama całej radości.

- Na bogów - wymamrotał najstarszy syn Thistledownów. Connor został przez swojego ojca

wyćwiczony w rozpoznawaniu wrogów. Spojrzał teraz na swoich trzech zdumionych braci i mruknął jedno słowo, które nic nie wyjaśniało niedoświadczonym chłopcom - Drow.

Drizzt zatrzymał się tuzin kroków od wystraszonej dziewczyny, pierwszej ludzkiej kobiety jaką widział z bliska, i obserwował ją. Eleni była ładna według standardów każdej z ras, miała duże, spokojne oczy, dołki w policzkach oraz gładką, złocistą skórę. Drizzt wiedział, że nie będzie tu walki. Uśmiechnął się do Eleni i skrzyżował delikatnie ramiona na piersi. - Drizzt - poprawił ją, wskazując na swoją pierś. Poruszenie z boku odwróciło jego uwagę od dziewczyny.

- Uciekaj, Eleni! - krzyknął Connor Thistledown, wymachując mieczem i idąc w stronę drowa. - To mroczny elf! Drow! Uciekaj, jeśli ci życie miłe!

Ze wszystkiego, co krzyczał Connor, Drizzt zrozumiał tylko słowo „drow”. Zachowania i zamiarów młodego mężczyzny nie można było jednak z niczym pomylić, ponieważ Connor kierował się dokładnie pomiędzy Drizzta i Eleni, mierząc czubkiem miecza w stronę drowa. Eleni zdołała wstać za swym bratem, lecz nie uciekała, jak jej polecił. Ona również słyszała o złych mrocznych elfach i nie miała zamiaru zostawić Connora sam na sam z jednym z nich.

- Odejdź, mroczny elfie - warknął Connor. - Jestem doświadczonym szermierzem, znacznie silniejszym od ciebie.

Drizzt rozłożył bezradnie ręce, nie rozumiejąc ani słowa.

- Odejdź! - wrzasnął Connor.

Kierując się impulsem, Drizzt próbował odpowiedzieć w języku migowym drowów, skomplikowanym systemie znaków dłoni i twarzy.

- On rzuca czar! - krzyknęła Eleni wskakując w jagody. Connor wrzasnął i zaatakował.

Zanim Connor dostrzegł kontratak, Drizzt chwycił go za przedramię, wykorzystał drugą dłoń, by wykręcić nadgarstek chłopca i wyrwać mu miecz, machnął toporną bronią trzykrotnie nad głową Connora, obrócił jawną swą szczupłą dłoń, po czym oddał ją, rękojeścią do przodu.

Drizzt rozłożył szeroko ramiona i uśmiechnął się. Według zwyczajów drowów taki pokaz wyższości bez zranienia przeciwnika nieodmiennie sygnalizował pragnienie przyjaźni. U najstarszego syna rolnika Bartłomieja Thistledown oślepiający spektakl drowa wzbudził jedynie wywołane zachwytem przerażenie.

Connor przez długą chwilę stał z otwartymi ustami. Miecz wypadł mu z ręki, lecz tego nie zauważył. Mokre spodnie kleiły mu się do ud, tego też nie zauważył.

Gdzieś z wnętrza Connora rozległ się wrzask. Chwycił Eleni, która przyłączyła się do krzyku, po czym uciekli w stronę zagajnika, by zabrać pozostałych. Biegli bez przerwy, dopóki nie przestąpili progu swojego domu.

Drizzt pozostał, jego uśmiech szybko zniknął, a ręce wciąż miał rozłożone. Stał samotnie obok kępy jagód.

\* \* \*

Para nieustannie poruszających się oczu obserwowała spotkanie w jagodach z czymś więcej niż tylko niedbałym zainteresowaniem. Nieoczekiwane pojawienie się mrocznego elfa, zwłaszcza noszącego płaszcz gnolla, odpowiedziało Tephanisowi na wiele pytań. Szybcioszek zbadał już ciała gnolli, lecz nie mógł powiązać ich śmiertelnych ran z prymitywną bronią, zazwyczaj stosowaną przez prostych rolników z wioski. Widząc wspaniałe bliźniacze sejmitary, niedbale przypięte do bioder mrocznego elfa, oraz łatwość, z jaką drow rozbroił chłopca, Tephanis odgadł prawdę.

Kłęby kurzu pozostawione przez szybcioszka zadziwiłyby nawet najlepszych tropicieli w Krainach. Tephanis, który nigdy nie wybierał prostych dróg, śmigał po górskich szlakach, zataczał kręgi wokół niektórych drzew, wbiegał i zbiegał po pniach innych, i ogólnie podwajał, a nawet potrajał przebytą drogę. Odległość nigdy nie była dla Tephanisa powodem do zmartwień - stanął przed purporowoskórym szczeniakiem barghestem, zanim jeszcze Drizzt, rozważający konsekwencje wynikające z tego straszego spotkania, opuścił kępę jagód.

#### 4

### ZMARTWIENIA

Rolnik Bartłomiej Thistledown zmienił znacznie swój punkt widzenia, gdy Connor, jego najstarszy syn, przemianował „drizzita” Liama na mrocznego elfa. Thistledown spędził wszystkie czterdzieści pięć lat swego życia w Maldobar, wiosce leżącej nad Rzeką Martwego Orka, osiemdziesiąt kilometrów na północ od Sundabar. Żył tu ojciec Bartłomieja, a przed nim ojciec jego ojca. Przez cały ten czas jedynymi wieściami, jakie rolnik Thistledown słyszał o mrocznych elfach, był domniemany najazd drowów na małą osadę dzikich elfów, sto pięćdziesiąt kilometrów na północ, w Chłodnym Lesie. Ów najazd, nawet jeśli został przeprowadzony przez drowy, miał miejsce ponad dekadę temu.

Brak osobistych doświadczeń z rasą drowów nie zmniejszył obaw rolnika Thistledowna, gdy usłyszał opowieści swych dzieci o spotkaniu przy kępie jagód. Connor i Eleni, dwa zaufane źródła wystarczająco dojrzałe, by zachować rozsądek w kryzysowych sytuacjach, widziały elfa z bliska i nie miały wątpliwości w kwestii koloru jego skóry.

- Jedyną rzeczą, której nie mogę odgadnąć jest - Bartłomiej powiedział Bensonowi Desmo, grubemu i jowialnemu sołtysowi Maldobar, a także kilku innym rolnikom zgromadzonym tej nocy w jego domu - dlaczego drow pozwolił dzieciom odejść. Nie jestem ekspertem, jeśli chodzi o zwyczaje mrocznych elfów, jednak słyszałem o nich wystarczająco wiele, by spodziewać się innego postępowania.

- Może Connorowi powiodło się lepiej w ataku, niż sam przypuszcza - wtrącił się taktownie Delmo. Wszyscy słyszeli opowieść o rozbrojeniu Connora. Liam i pozostałe dzieci Thistledownów, oprócz oczywiście biednego Connora, szczególnie upodobali sobie powtarzanie tej części przygody.

Connor doceniał pokładane w nim przez sołtysa zaufanie, jednak potrząsnął energicznie głową, słysząc tę sugestię. - Pokonał mnie - przyznał Connor. - Może byłem zbyt zaskoczony na jego widok, ale mnie pokonał - czysto.

- A to niełatwy wyczyn - wtrącił się Bartłomiej, powstrzymując ewentualne uśmieški zgromadzonych rolników. - Wszyscy widzieliśmy Connora w walce. Tylko ostatniej zimy pokonał trzy gobliny oraz wilki, na których jechały.

- Spokojnie, drogi Thistledown - odezwał się sołtys. - Nie wątpimy w dzielność twojego syna.

- Mam wątpliwości w kwestii prawdy o przeciwniku! - rzekł Roddy McGristle, wielki jak niedźwiedź i owłosiony jak niedźwiedź mężczyzna, najbardziej doświadczony w walce z całą grupą. Roddy spędził więcej czasu w górach niż na zajmowaniu się gospodarstwem, za czym nie przepadał, zaś gdy tylko ktoś oferował nagrodę za uszy orka, Roddy zawsze zabierał z kufra największą część, często większą niż reszta wioski razem wzięta.

- Połóż włosy na karku - Roddy powiedział do Connora, gdy chłopak zaczął wstawać, chcąc ostro zaprotestować. - Wiem, że mówisz, co widziałeś i wierzę, że widziałeś to, co mówisz. Nazwałeś to jednak drowem, a ta nazwa niesie w sobie więcej, niż sobie wyobrażasz. Gdybyś natknął się na drowa, przypuszczam, że ty i twoi krewni leżelibyście teraz martwi w tych jagodach. Nie, nie drow według mnie, lecz w górach są inne istoty, które mogły zrobić to, o czym mówisz.

- Wymień je - powiedział opryskliwie Bartłomiej, któremu nie podobały się wątpliwości, jakie Roddy rzucił na opowieść jego syna. Bartłomiej nie przepadał za Roddym.

Rolnik Thistledown miał szanowaną rodzinę i za każdym razem, gdy prymitywny i hałaśliwy Roddy McGristle przychodził z wizytą, Bartłomiej i jego żona musieli poświęcić wiele dni, by przypomnieć dzieciom, zwłaszcza Liamowi, o odpowiednim zachowaniu.

Roddy tylko wzruszył ramionami, nie obrażony tonem Bartłomieja. - Goblin, troll, może leśny elf, który widział za dużo słońca. - Jego śmiech, który rozległ się po tym ostatnim stwierdzeniu, przetoczył się następnie przez całą grupę, pozbawiając ją powagi.

- A więc jak możemy być pewni? - spytał Delmo.

- Dowiemy się, odnajdując to - zaproponował Roddy. - Jutro rano - wskazał gestem każdego mężczyznę siedzącego przy stole Bartłomieja - udamy się zobaczyć, co to jest. - Uznavszy zaimprovizowane spotkanie za zakończone, Roddy położył gwałtownie dłonie na stole i wstał. Obejrzał się jednak za siebie, zanim dotarł do drzwi chałupy, po czym mrugnął przesadnie i uśmiechnął się niemal bezzębnie do grupy. - Jeszcze jedno, chłopcy - powiedział. - Nie zapomnijcie zabrać broni!

Rechot Roddy'ego dźwięczał w uszach grupy długo po tym, jak nieokrzesany traper wyszedł.

- Moglibyśmy wezwać tropiciela - zaproponował z nadzieją jeden z rolników, gdy grupa

zaczęła się rozchodzić. - Słyszałem, że jeden jest w Sundabar, jedna z siostr Pani Alustriel.

- Trochę na to za wcześnie - odpowiedział sołtys Delmo, likwidując w zarodku optymistyczne uśmiechy.

- Czy zawsze jest za wcześnie, jeśli chodzi o drowy? - szybko wtrącił Bartłomiej.

Sołtys wzruszył ramionami. - Chodźmy z McGristlem - odparł. - Jeśli ktoś potrafi coś odnaleźć w górach, jest to on. - Taktownie odwrócił się do Connora. - Wierzę w twoją opowieść, Connorze. Naprawdę. Musimy się jednak upewnić, zanim wezwiemy tak szacowną pomoc jak siostra pani z Silverymoon.

Sołtys i reszta rolników odeszli, zostawiając Bartłomieja, jego ojca Markhe i Connora samych w kuchni Thistledownów.

- To nie był goblin ani leśny elf - powiedział Connor niskim głosem, w którym brzmiał zarówno gniew, jak i wstyd.

Bartłomiej klepnął syna w plecy. Nigdy w niego nie wątpił.

\* \* \*

Wysoko w górskiej jaskini Ulgulu i Kempfana również spędzili noc, martwiąc się pojawieniem mrocznego elfa.

- Jeśli to drow, to jest doświadczonym awanturnikiem - Kempfana powiedział do większego brata. - Może wystarczająco doświadczonym, by dać Ulgulu dojrzałość.

- I powrót do Gehenny - Ulgulu dokończył za wspierającego go brata. - Tak mocno pragniesz, abym odszedł.

- Ty również czekasz na dzień, w którym będziesz mógł wrócić do dymiących rozpadlin - przypomniał mu Kempfana.

Ulgulu parsknął i nie odpowiedział. Pojawienie się mrocznego elfa mogło oznaczać więcej rozmyślań i obaw niż proste logiczne stwierdzenie Kempfany. Barghesty, jak wszystkie inteligentne stworzenia na niemal każdym planie egzystencji, wiedziały o drowach i żywiły spory szacunek dla tej rasy. Wprawdzie jeden drow mógł nie być dużym problemem, jednak wyprawa wojenna mrocznych elfów, a może nawet cała armia, mogła okazać się katastrofalna w skutkach. Szczeniaki nie były niezniszczalne. Ludzka wioska dostarczała łatwej zdobyczy barghestom i mogłoby tak dziać się dalej, jeśli Ulgulu i Kempfana ostrożnie planowałiby swoje ataki. Jeśli jednak pokazałaby się banda mrocznych elfów, te łatwe ofiary mogły dość nagle zniknąć.

- Trzeba załatwić sprawę z drowem - stwierdził Kempfana. - Jeśli jest zwiadowcą, to nie możemy mu pozwolić wrócić.

Ulgulu zmierzył brata chłodnym spojrzeniem, po czym zawołał swego szybcioszka. - Tephani! - krzyknął, a skrzat znalazł się na jego ramieniu, zanim zdołał skończyć jego imię.

- Chcesz, żebym - poszedł - i - zabił - drowa - mój - panie - rzeki szybcioszek. - Rozumiem - co - chcesz, żebym - zrobił.

- Nie! - wrzasnął natychmiast Ulgulu, wyczuwając, że szybcioszek zamierza wyjść.

Tephanis był w połowie drogi do drzwi, gdy Ulgulu kończył sylabę, lecz wrócił na jego ramię, zanim przebrzmiała ostatnia nuta krzyku.

- Nie - powtórzył spokojniej Ulgulu. - Możemy zyskać na pojawieniu się drowa.

Kempfana zauważył złowieszczy uśmiezek Ulgulu i odgadł zamiary brata. - Nowy wróg dla wieśniaków - stwierdził młodszy szczeniak. - Nowy wróg, na którego spadną zabójstwa Ulgulu?

- Wszystko można obrócić na własną korzyść - odpowiedział przebiegle wielki, purpurowoskóry barghest - nawet pojawienie się mrocznego elfa. - Ulgulu odwrócił się z powrotem do Tephanisa.

- Chcesz - dowiedzieć - się - więcej - o - drowie, mój - panie - wypalił z siebie podekscytowany Tephanis.

- Czy jest sam? - spytał Ulgulu. - Czy jest zwiadowcą większej grupy, jak się obawiamy, czy też samotnym wojownikiem? Jakie są jego zamiary względem wieśniaków?

- Mógł - zabić - dzieci - zauważył Tephanis. - Przypuszczam, że - on - pragnie - przyjaźni.

- Wiem - parsknął Ulgulu. - Mówiłeś to już wcześniej. Idź już i dowiedz się więcej.

Potrzebuję więcej niż twoje przypuszczenia, Tephanisie, zaś działania drowów rzadko ujawniają ich prawdziwe zamiary!

Tephanis zeskoczył z barku Ulgulu i przystanął, oczekując dalszych instrukcji.

- W rzeczy samej, drogi Tephanisie - wycedził Ulgulu. - Sprawdź, czy możesz mi przynieść jedną z broni drowa. Może się okazać przydat... - Ulgulu przerwał, gdy zauważył powiewanie ciężkiej kurtyny, która zasłaniała drzwi.

- Pobudliwy mały skrzat - zauważył Kempfana.

- Ale przydatny - odparł Ulgulu, a Kempfana musiał przytaknąć twierdząco.

\* \* \*

Już z odległości ponad kilometra Drizzt widział, że nadchodzą. Dziesięciu uzbrojonych rolników podążało za młodym mężczyzną, którego poznał w kępie jagód poprzedniego dnia. Choć rozmawiali i żartowali, ich krok był zdecydowany, a broń znajdowała się na widoku, w oczywisty sposób gotowa do użycia. Jeszcze gorszy był idący z boku głównej grupy ponury mężczyzna o potężnej piersi, odziany w grube skóry, trzymający dobrze wykuty topór i prowadzący dwa wielkie, warczące żółte psy na grubych łańcuchach.

Drizzt chciał dalszego kontaktu z wieśniakami, chciał kontynuować wydarzenia, które wprowadził w ruch poprzedniego dnia i dowiedzieć się, czy zdoła w końcu odnaleźć miejsce, które będzie mógł nazwać domem, jednak zdał sobie sprawę, że nadciągające spotkanie nie zapowiadało realizacji jego pragnień. Jeśli rolnicy znajdą go, z pewnością wynikną z tego kłopoty, i choć Drizzt nie martwił się zbyt swym bezpieczeństwem wobec tej obszarpanej bandy, nawet zważywszy na

ponurego wojownika, obawiał się, że któryś z rolników może zostać ranny.

Drizzt uznał, że jego dzisiejsze zadanie będzie polegać na wymykaniu się grupie i unikaniu jej ciekawości. Drow znał doskonały podstęp, za pomocą którego mógł osiągnąć te cele. Położył na ziemi przed sobą onyksową figurkę i wezwał Guenhwyvar.

Bzyczący odgłos z boku, po którym nastąpił nagły szmer liści, odwrócił na chwilę uwagę Drizzta, gdy wokół figurki zaczęła się kłębić zwyczajowa mgła. Drizzt nie dostrzegł jednak, by zbliżało się coś złowieszczonego, więc szybko się uspokoił. Uznał, że ma ważniejsze problemy.

Gdy Guenhwyvar się pojawiła, Drizzt i pantera przemknęli w dół szlaku za kępę jagód, gdzie według drowa rolnicy mieli zacząć polowanie. Jego plan był prosty: pozwoli rolnikom pokręcić się trochę po okolicy, a tymczasem syn rolnika znów przytoczy swoją opowieść o spotkaniu. Następnie na skraju kępy pojawi się Guenhwyvar i pociągnie za sobą grupę w bezskutecznym pościgu. Pantera o czarnym futrze może rzucić pewne wątpliwości na relację chłopca, być może starsi mężczyźni przyjmą, że dzieci napotkały nie mrocznego elfa, lecz wielkiego kota, a ich wyobraźnia dodała resztę szczegółów. Drizzt wiedział, że ryzykuje w ten sposób, lecz w najgorszym przypadku Guenhwyvar rzuci wątpliwości na istnienie mrocznego elfa i odciągnie na chwilę od Drizzta tę grupę łowiecką.

Rolnicy przybyli do kępy jagód zgodnie z planem. Część z nich miała ponure twarze i była gotowa do walki, lecz większość grupy toczyła swobodne rozmowy wypełnione śmiechem. Znaleźli leżący miecz i Drizzt obserwował, przytakując głową, jak syn rolnika opisuje wypadki wczorajszego dnia. Drizzt zauważył również, że wielki mężczyzna z toporem, bez przekonania przysłuchujący się opowieści, otacza grupę wraz ze swymi psami, wskazując na różne miejsca w kępie i nakazując psom węszyć. Drizzt nie miał praktycznych doświadczeń z psami, wiedział jednak, że wiele stworzeń ma silne zmysły i można je wykorzystać w polowaniu.

- Idź, Guenhwyvar - wyszeptał drow, nie czekając, aż psy złapią wyraźny trop.

Wielka pantera podążyła bezszelestnie szlakiem i zajęła pozycję na jednym z drzew w tym samym zagajniku, gdzie poprzedniego dnia ukryli się chłopcy. Nagły ryk Guenhwyvar w jednej chwili uciszył narastające w grupie rozmowy, wszystkie głowy obróciły się w stronę drzew.

Pantera wskoczyła w jagody, przemknęła obok oszołomionych ludzi i rzuciła się w kierunku głązów zaścielających zbocze góry. Rolnicy krzyknęli i podjęli pościg, wzywając mężczyznę z psami, by objął prowadzenie. Wkrótce cała grupa, z ujadającymi dziko psami, oddaliła się, a Drizzt wszedł do zagajnika w pobliżu kępy jagód, by przemyśleć wydarzenia dnia i obrać najlepszy kurs działania.

Uznał, że ten bzyczący odgłos go śledzi, jednak zignorował go, biorąc za insekta.

\* \* \*

Obserwując dziwne zachowanie psów, Roddy McGristle szybko odkrył, że pantera nie jest tym samym stworzeniem, które pozostawiło zapach w kępie jagód. Co więcej, Roddy zdał sobie



sprawę, że jego obszarpani towarzysze, zwłaszcza opasły sołtys, nawet z jego pomocą nie mają zbyt dużych szans na złapanie wielkiego kota, bowiem pantera mogła przeskakiwać parowy, których obejście zajmowało rolnikom wiele minut.

- Idźcie! - Roddy powiedział reszcie grupy. - Ścigajcie tę istotę dalej tym szlakiem. Ja wezmę moje psy, skrucę w bok i odetnę jej drogę, zawracając ją do was! - Rolnicy krzyknęli twierdząco i oddalili się, a Roddy ściągnął łańcuchy i poprowadził psy w bok.

Wytrenowane do polowania psy chciały iść dalej, jednak ich panu coś innego chodziło po głowie. W tej chwili męczyło go kilka myśli. Mieszkał w tych górach od trzydziestu lat, lecz nigdy nie widział ani nawet nie słyszał o takim kocie. Poza tym, choć pantera z łatwością mogła umknąć prześladowcom, zawsze znajdowała się na otwartej przestrzeni niedaleko od nich, jakby prowadziła rolników. Roddy odgadł podstęp i miał swoje przypuszczenia, gdzie może kryć się intruz. Założył psom kagańce, by je uciszyć, po czym skierował się w stronę, z której przyszedł, z powrotem do kępy jagód.

\* \* \*

Drizzt oparł się o drzewo w cieniu rzadkiego zagajnika i zastanawiał, jak może się bardziej ujawnić rolnikom, nie wywołując w nich więcej paniki. Podczas dni spędzonych na obserwacji rodziny, Drizzt doszedł do przekonania, że mógłby sobie znaleźć miejsce wśród ludzi, w tym czy innym osiedlu. Gdyby tylko zdołał im udowodnić, że jego zamiary nie są niebezpieczne.

Bzyczenie z lewej strony wyrwało nagle Drizzta z rozmyślań. Wyciągnął szybko sejmitary, po czym coś po nim przemknęło, zbyt szybko by zdołał zareagować. Krzyknął czując nagły ból w nadgarstku, a jego sejmitar został mu wyrwany z dłoni.

Zdziwiony Drizzt spojrział na ranę, spodziewając się ujrzeć strzałę lub bełt wbity głęboko w rękę.

Rana była czysta i pusta. Piskliwy śmiech obrócił Drizzta w prawo. Stał tam skrzat, z sejmitarem Drizzta przerzuconym niedbale przez ramię, niemal dotykającym ziemi za niewielkim stworzeniem, oraz z ociekającym krwią sztyletem.

Drizzt stał bardzo spokojnie, starając się odgadnąć następny ruch istoty. Nigdy wcześniej nie widział szybcioszka ani nie słyszał o tych niezwykłych stworzeniach, zdawał sobie już jednak sprawę z posiadanej przez niego przewagi prędkości. Zanim jednak drow zdążył ukształtować jakiś plan pokonania szybcioszka, pokazała się kolejna nemezis.

Zaraz gdy Drizzt usłyszał wycie, doszedł do wniosku, że ujawnił go okrzyk bólu. Pierwszy z warczących ogarów Roddy'ego McGristle przedarł się przez krzaki, nacierając na drowa. Drugi, biegnący kilka kroków za pierwszym, wyskoczył w stronę gardła Drizzta.

Tym razem jednak to Drizzt był szybszy. Wykonał cięcie pozostałym mu sejmitarem, rozcinając pierwszemu psu głowę i uderzając w czaszkę. Bez chwili wahania drow rzucił się w tył, odwracając uchwyt na broni i unosząc ją przed twarz, na linii skaczącego psa. Rękojeść sejmitara

opierała się mocno o pień drzewa i pies, nie będąc w stanie zmienić w locie kierunku, wpadł z całej siły na wystający drugi kraniec broni, nabijając się na niego gardłem i klatką piersiową.

Siła uderzenia wyrwała sejmitar z dłoni Drizzta i pies wraz z ostrzem odtoczyli się w krzaki obok drzewa.

Drizzt ledwo zdążył dojsć do siebie, gdy wpadł Roddy McGristle.

- Zabiłeś moje psy! - ryknął wielki traper, kierując Broczyciela, swój wielki, podniszczony w walce topór, w głowę Drizzta. Cios był podstępnie szybki, lecz drow zdołał uchylić się na bok. Drizzt nie mógł zrozumieć ani słowa z nieustannych okrzyków McGristle'a i wiedział, że ogromny mężczyzna nie zrozumiałby również żadnych wyjaśnień, jakie drow mógł zaoferować.

Ranny i bezbronny Drizzt mógł tylko unikać ciosów. Kolejny zamach niemal go trafił, rozcinając płaszcz gnolla, lecz drow wciągnął brzuch i topór zaledwie drasnął jego wspaniałą kolczugę. Drizzt przemknął w bok, w stronę ciasniejszej kępy drzew, gdzie jak uważał, większa zręczność da mu pewną przewagę. Musiał spróbować zmęczyć rozwścieczonego człowieka, a przynajmniej zmusić go do ponownego przemyślenia brutalnego ataku. Gniew McGristle'a jednak nie zmniejszał się. Nacierał tuż za Drizztem, warcząc i wymachując toporem przy każdym kroku.

Drizzt dostrzegł niedociągnięcia swego planu. Mógł wprawdzie utrzymać się z dala od zwalistego mężczyzny pomiędzy ciasno rosnącymi drzewami, jednak topór McGristle'a mógł się dość sprawnie przedzierać pomiędzy nimi.

Potężna broń nadciągała z boku na poziomie ramienia. Kierowany desperacją Drizzt padł płasko na ziemię, ledwo unikając śmierci. McGristle nie zdołał na czas spowolnić zamachu i ciężka, dobrze naostrzona broń wbiła się w dziesięciocentymetrowy pień młodego klonu, powalając drzewo.

Topór tkwił silnie w drzewie. Roddy warknął i starał się oswobodzić broń, lecz do ostatniej chwili nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Zdołał odskoczyć spod upadającego pnia, lecz został pogrzebany pod koroną drzewa. Gałęzie podrapały mu twarz i boki głowy, tworząc wokół niego sieć i przyciskając go silnie do ziemi.

- Niech cię cholera, drowie! - ryknął McGristle, miotając się bezskutecznie w swym naturalnym więzieniu.

Drizzt odczołgał się na bok, wciąż trzymając się za ranny nadgarstek. Znalazł pozostały mu sejmitar, tkwiący aż po rękojeść w nieszczęsnym psie. Widok ten przeszył Drizzta bólem, ponieważ znał wartość zwierzęcych towarzyszy. Kilka nieprzyjemnych chwil zajęło mu oswobodzenie ostrza, a ruchy te czynił bardziej dramatycznymi drugi pies, który zaledwie ogłuszony, znów zaczął się poruszać.

- Niech cię cholera, drowie! - ryknął ponownie McGristle.

Drizzt rozumiał odniesienie do swego pochodzenia, a resztę mógł odgadnąć. Chciał pomóc leżącemu mężczyźnie, uważając, że mogłoby to otworzyć mu drogę do bardziej cywilizowanej

formy komunikacji. Nie sądził jednak, by budzący się pies miał większą ochotę na podanie mu łapy. Rozejrzawszy się jeszcze w poszukiwaniu skrzata, który zaczął całą aferę, Drizzt wyszedł z zagajnika i uciekł w góry.

\* \* \*

- Mogliśmy go dostać! - pomrukiwał Bartłomiej Thistledown, gdy grupa wracała do kępy jagód. - Gdyby McGristle poszedł tam, gdzie powiedział, że będzie, z pewnością dostalibyśmy kota! A tak w ogóle, gdzie jest ten przywódca watahy?

Nieprzerwany ryk - Drow! Drow! - dobiegający z dębowego zagajnika odpowiedział na pytanie Bartłomieja. Rolnicy znaleźli Roddy'ego wciąż leżącego pod przewróconym klonem.

- Cholerny drow! - grzmiał Roddy. - Zabił mojego psa! Cholerny drow! - Gdy uwolniono mu rękę, sięgnął nią do lewego ucha, odkrył jednak, że już go nie ma. - Cholerny drow! - ryknął ponownie.

Connor Thistledown pozwolił, by wszyscy ujrzeli powrót jego dumy, wywołany potwierdzeniem wątpliwej opowieści, lecz był jedynym zadowolonym z niespodziewanego oświadczenia Roddy'ego. Pozostali rolnicy byli starsi od Connora i zdawali sobie sprawę, jakie konsekwencje może przynieść nawiedzający okolicę mroczny elf.

Benson Delmo, ocierając pot z czoła, nie robił większej tajemnicy ze swojej reakcji na najświeższą wiadomość. Odwrócił się natychmiast do stojącego przy nim rolnika, młodszego mężczyzny, znanego ze swoich zdolności pielęgnacji i jeżdżenia na koniach. - Jedź do Sundabar! - rozkazał sołtys. - Natychmiast znajdź tropiciela!

Po kilku minutach Roddy był wolny. Do tego czasu dołączył do niego ranny pies, lecz świadomość, że jedno z jego cennych zwierząt prze trwało, nie uspokoiło zbytnio nieokrzesanego mężczyzny.

- Cholerny drow! - ryknął chyba po raz tysięczny Roddy, ocierając krew z policzka. - Załatwię tego cholernego drowa! - Zaakcentował swoje zamiary, uderzając Broczycielem w pień kolejnego pobliskiego klonu, który także niemal się przewrócił.

## 5

### WIDMO ZAGŁADY

Goblińscy strażnicy czmychnęli na bok, gdy potężny Ulgulu rozdarł zasłonę i wyszedł z kompleksu jaskiń. Rzeńskie powietrze mroźnych gór cieszyło barghesta, a poczuł się jeszcze lepiej, gdy pomyślał o stojącym przed nim zadaniu. Spojrzał na przyniesiony przez Tephansa sejmitar, wspinała broń, wyglądającą na niezwykle małą w wielkiej, ciemnoskórej dłoni Ulgulu.

Ulgulu nieświadomie upuścił broń na ziemię. Nie chciał jej używać tej nocy, pragnął wykorzystać swą własną śmiercionośną broń - kły i pazury - by smakować swoje ofiary i pożerać ich esencję życiową, żeby stawać się silniejszym. Ulgulu był jednak istotą inteligentną i jego

racjonalne myślenie szybko przewyciężyło pierwotne instynkty, które tak pożały smaku krwi. W oczekującym na niego nocnym zadaniu był cel, metoda obiecująca większe korzyści, a także eliminacja bardzo rzeczywistego zagrożenia, jakie stwarzało nieoczekiwane pojawienie się mrocznego elfa.

Wydawszy z siebie gardłowy pomruk, drobny protest pierwotnych żądz, barghest znów chwycił sejmitar i popędził w dół zbocza, pokonując z każdym krokiem ogromne odległości. Bestia zatrzymała się na skraju parowu, gdzie wąski szlak wił się wzdłuż prostej ściany klifu. Sporo czasu zajmie mu schodzenie tą niebezpieczną ścieżką.

Jednak Ulgulu był głodny.

Świadomość Ulgulu zapadła się w sobie, skupiając na swojej istocie, która promieniowała magiczną energią. Nie był stworzeniem z Planu Materialnego, a pozaplanarne istoty mogły przenosić ze sobą moce, które wydawały się magiczne stworzeniom z goszczącego je planu. Oczywiście Ulgulu błyszcząły pomarańczowo z podniecenia, gdy kilka minut później wyłonił się z transu. Spojrzał w dół klifu, wyobrażając sobie punkt na płaskim gruncie poniżej, około czterystu metrów w dół.

Przed Ulgulu pojawiły się migoczące, wielokolorowe drzwi, wiszące w powietrzu ponad krawędzią rozpadliny. Ze śmiechem brzmiącym bardziej jak ryk, Ulgulu pchnięciem otworzył wrota i tuż za progiem dostrzegł miejsce, które sobie właśnie wyobraził. Przeszedł, pokonując materialną odległość do dna przepaści jednym ponadwymiarowym krokiem.

Uglulu biegł w dół zbocza, w stronę ludzkiej wioski, biegł ochoczo, by ujrzeć, jak obracają się tryby jego okrutnego planu.

Gdy barghest dotarł do podnóża góry, znów odnalazł magiczny zakątek swego umysłu. Jego kroki zwolniły, po czym całkowicie się zatrzymały. Stwora chwyciły spazmy i zaczął niezrozumiale bełkotać. Kości przesuwwały się głośno, skóra pękała i zrastała, ciemniejąc niemal do czerni.

Gdy Ulgulu znów ruszył w drogę, jego kroki - kroki mrocznego elfa - nie były już takie długie.

\* \* \*

Bartłomiej Thistledown siedział tego wieczora wraz ze swoim ojcem, Markhe, oraz najstarszym synem w kuchni samotnego gospodarstwa na zachodnich obrzeżach Maldobar. Żona i matka Bartłomiej a poszły do stodoły, by przygotować zwierzęta do snu, zaś czwórka najmłodszych dzieci leżała bezpiecznie w swych łóżkach w małym pokoju za kuchnią.

Podczas zwyczajnej nocy reszta rodziny Thistledownów, wszystkie trzy pokolenia, również chrapały w swoich łóżkach, jednak Bartłomiej obawiał się, że minie wiele nocy, zanim do cichego gospodarstwa wróci choć odrobina zwyczajności. W okolicy widziano mrocznego elfa, i choć Bartłomiej nie był przekonany, by ten obcy chciał szkody - drow mógł z łatwością zabić

Connora i pozostałe dzieci - wiedział, że pojawienie się drowa wprowadzi na jakiś czas zamęt w Maldobar.

- Moglibyśmy wrócić do samej wioski - zaproponował Connor. - Znaleźliby dla nas miejsce i wtedy stałoby za nami całe Maldobar.

- Stałoby za nami? - odparł z sarkazmem Bartłomiej. - A czy każdego dnia opuszczaliby swoje gospodarstwa, by przychodzić tu i pomagać nam w pracy? Kto z nich, według ciebie, przyjeżdżałby tu co noc, by zajmować się zwierzętami?

Connor opuścił głowę, słysząc naganę ojca. Położył dłoń na rękojeści miecza, przypominając sobie, że nie jest dzieckiem. Mimo to, Connor podziękował w myśli, gdy jego dziadek niedbale poklepał go po ramieniu.

- Musisz pomyśleć, chłopcze, zanim wystosujesz takie wezwanie - ciągnął Bartłomiej, a jego ton złagodniał, gdy zdał sobie sprawę z efektu, jaki jego słowa wywarły na synu. - Gospodarstwo jest twoją krwią, jedyną rzeczą, jaka się liczy.

- Moglibyśmy odesłać malców - wtrącił Markhe. - Chłopak ma prawo się bać, gdy w pobliżu jest mroczny elf.

Bartłomiej odwrócił się i zrezygnowany opuścił brodę na złożone ręce. Nienawidził myśli o dzieleniu rodziny. Rodzina była ich źródłem siły, tak jak przez pięć pokoleń Thistledownów i wcześniej. Mimo to, Bartłomiej złażał Connora, nawet jeśli chłopcu chodziło o dobro rodziny.

- Powinienem być pomyśleć, tato - usłyszał szept Connora i wiedział, że jego własna duma nie zniesie bólu odczuwanego przez syna. - Przepraszam.

- Nie musisz - odpowiedział Bartłomiej, odwracając się do pozostałych. - To ja powinienem przeprosić. Wszyscy są niespokojni, gdy ten mroczny elf jest w pobliżu. Masz rację, Connorze. Jesteśmy zbyt daleko, aby być bezpieczni.

Jakby w odpowiedzi zza domu, z kierunku stodoły, dobiegł gwałtowny trzask łamanego drewna i stłumiony krzyk. W tej jednej przerażającej chwili Bartłomiej Thistledown zdał sobie sprawę, że powinien był wcześniej podjąć tę decyzję, kiedy to światło dnia dawało jeszcze jego rodzinie jakiś stopień ochrony.

Connor zareagował pierwszy, podbiegł do drzwi i otworzył je gwałtownie. Podwórze było śmiertelnie ciche, nawet muzyka świerszcza nie zakłócała tej surrealistycznej scenerii. Nisko na niebie majaczył milczący księżyc, rzucając długie i diabelskie cienie z każdej sztachety i drzewa. Connor patrzył, nie ważąc się odetchnąć, przez sekundę, która wydawała się godziną.

Wrota do stodoły zatrzeszczały i zakołysały się na zawiasach. Na podwórze wyszedł mroczny elf.

Connor zatrzasnął drzwi i oparł się o nie, potrzebując materialnego wsparcia. - Mama - wydyszał do zaskoczonych twarzy ojca i dziadka. - Drow.

Starsi Thistledownowie zawahali się, a w ich umysłach zawirowały tysiące przerażających

możliwości. Równocześnie wstali ze swoich stołków, Bartłomiej poszedł po broń, a Markhe ruszył w stronę Connora i drzwi.

Ich nagłe działanie oswobodziło Connora z paraliżu. Wyciągnął miecz i otworzył drzwi, zamierzając wybiec i stawić czoła intruzowi.

Ulgulu skierował potężny skok prosto pod drzwi chałupy. Connor ruszył przez próg i wpadł na stwora - który tylko wyglądał jak szczupły drow - i odbił się od niego, oszołomiony, wpadając z powrotem do kuchni. Zanim którykolwiek z mężczyzn zdążył zareagować, na czubek głowy Connora opadł sejmitar, z całą posiadaną przez barghesta siłą, niemal rozszczępiając młodzieńca na pół.

Nie kryjąc się, Ulgulu wszedł do kuchni. Dostrzegł jak starzec - słabszy pozostały wróg - rusza w jego stronę i wezwał swą magiczną naturę, by odbić atak. Po Markhe Thistledownie przetoczyła się fala skoncentrowanego uczucia, fala desperacji i przerażenia tak silnego, że nie mógł z nią walczyć. Jego pomarszczone usta otworzyły się w bezgłośnym krzyku i zachwiał się do tyłu, wpadając na ścianę i trzymając się bezradnie za pierś.

Atak Bartłomieja niósł za sobą cały ciężar wyzwolonej wściekłości. Rolnik warczał i wydawał z siebie nieartykułowane dźwięki, gdy opuszczał swoje widły i kierował je w intruza, który zabił mu syna.

Szczupła, przybrana sylwetka, w której tkwił barghest, nie zmniejszyła gigantycznej siły Ulgulu. Gdy czubki wideł pokonywały ostatnie centymetry dzielące je od piersi stwora, Ulgulu walnął dłonią w drzewce broni. Bartłomiej zatrzymał się nagle, a tępy koniec drąga wbił mu się mocno w brzuch, pozbawiając go tchu.

Ulgulu podniósł szybko rękę, podnosząc Bartłomieja z łatwością z podłogi i uderzając głową rolnika w strop wystarczająco mocno, by złamać mu kark. Barghest niedbale cisnął Bartłomiejem i jego żalosną bronią przez kuchnię i ruszył w stronę starca.

Być może Markhe zobaczył, że się zbliża, być może starzec był zbyt rozdarty bólem i wściekłością, by rejestrować to, co działo się w pomieszczeniu. Ulgulu podszedł do niego i otworzył szeroko usta. Chciał pożreć mężczyznę, ucztować na jego sile życiowej, tak jak to zrobił z młodszą kobietą w stodole. Kiedy jednak ekstaza wywołana zabójstwem osłabła, Ulgulu żałował swoich czynów w stodole. Znow racjonalizm barghesta zwyciężył nad jego żądzami. Wydawszy z siebie pełne frustracji warknięcie, Ulgulu wbił sejmitar w pierś Markhe, kończąc cierpienie starca.

Ulgulu spojrział na swoje przerażające dzieło, żałując że nie pożywił się silnymi młodymi mężczyznami, lecz przypomniał sobie o większych zyskach, jakie może mu przynieść ta noc. Zdumiony krzyk zaprowadził go do bocznego pokoju, gdzie spały dzieci.

\* \* \*

Drizzt z wahaniem zszedł następnego dnia z gór. Jego nadgarstek pulsował bólem w miejscu, gdzie dźgnął go skrzat, jednak rana była czysta i Drizzt był przekonany, że się zaleczy.

Przykucnął w krzakach na zboczu wzgórza za gospodarstwem Thistledownów, gotów spróbować kolejnego spotkania z dziećmi. Drizzt zbyt długo przyglądał się ludzkiej społeczności i za wiele czasu spędził sam, aby się poddać. Właśnie tu zamierzał stworzyć sobie dom, jeśli tylko zdoła przełamać oczywiste bariery uprzedzeń, uosabiane najsilniej przez wielkiego mężczyznę z warczącymi psami.

Ze swojej pozycji Drizzt nie mógł widzieć roztrzaskanych drzwi i gospodarstwo wyglądało tak jak zawsze przed świtem.

Rolnicy nie wyszli jednak wraz ze słońcem, a pojawiali się zawsze nie później niż ono. Kury wędrowały, a kilka zwierząt błąkało się obok szopy, lecz dom pozostawał cichy. Drizzt wiedział, że jest to niezwykle, uznał jednak, że wczorajsze spotkanie w górach zmusiło rolników do ukrywania się. Być może rodzina zupełnie opuściła gospodarstwo, szukając schronienia w większym zbiorowisku domów w samej wiosce. Myśl ta ciążyła mocno Drizztowi, ponieważ znów zakłócił życie otaczających go osób, gdy tylko pokazał swą twarz. Pamiętał Blingdenstone, miasto gnomów svirfhebli, oraz zamęt i potencjalne niebezpieczeństwo, jakie na nich sprowadził.

Słoneczny dzień stawał się coraz jaśniejszy, lecz z gór dał mroźny wiatr. Mimo to, na podwórzu ani w domu nie krzątała się żadna osoba, przynajmniej z tego, co widział Drizz. Z każdą mijającą sekundą martwił się coraz bardziej.

Znajome bzyczenie wyrwało Drizzta z rozmyślań. Wyciągnął swój samotny sejmitar i rozejrzał się. Żałował, że nie może wezwać Guenhwyvar, lecz nie upłynęło jeszcze wystarczająco wiele czasu od ostatniej wizyty kocicy. Pantera musiała jeszcze przez dzień odpoczywać w swym astralnym domu, zanim będzie wystarczająco silna, by znów znaleźć się u boku Drizzta. Nie widząc nic w najbliższej okolicy, Drizzt przemknął pomiędzy pnie dwóch dużych drzew, na lepszą pozycję obronną przeciwko oszałamiającej prędkości skrzata.

Bzyczenie ucichło chwilę później i nigdzie nie było widać skrzata. Drizzt spędził resztę dnia krzątając się pośród krzaków, zastawiając sidła i kopiać płytkie dołki. Jeśli miał znów walczyć ze skrzatem, zamierzał zmienić rezultat potyczki.

Wydłużające się cienie i karmazynowa barwa zachodniego nieba znów skierowały uwagę Drizzta na gospodarstwo Thistledownów. W domu nie zapalono żadnych świec, by odpędzić pogłębiający się mrok.

Drizzt coraz bardziej się niepokoił. Powrót paskudnego skrzata przypomniał mu o niebezpieczeństwach kryjących się w okolicy, a ciągły brak działania na podwórzu zasiał w nim strach, który wkrótce się spotęgował i zmienił w przerażenie.

Zmierzch ściemniał w noc. Wstał księżyc i zaczął się miarowo wspinać na wschodnie niebo.

Mimo to, w domu nie płonęła żadna świeca, żaden dźwięk nie dochodził zza ciemnych okien.

Drizzt wyslizgnął się z krzaków i przemknął przez małe, znajdujące się z tyłu poletko. Nie

miał zamiaru zbliżyć się do domu, po prostu chciał sprawdzić, czego może się dowiedzieć. Być może zniknęły również konie i mały wóz rolnika, co dowiodłoby słuszności wcześniejszych podejrzeń Drizzta o tym, że rolnicy uciekli do wioski.

Gdy drow obszedł stodołę i ujrzał wyłamane drzwi, wiedział instynktownie, że nie o to chodzi. Spojrzał przez wrota do stodoły i nie był zdumiony widząc, że na środku stoi wóz, a w zagrodach jest pełno koni.

Obok wozu leżała jednak starsza kobieta, skulona i pokryta własną zakrzepłą krwią. Drizzt podszedł do niej i od razu poznał że nie żyje, zabita jakąś ostrą bronią. Jego myśli natychmiast podążyły ku złemu skrzatowi i skradzionemu sejmitarowi. Kiedy za wozem znalazł drugie zwłoki, wiedział już, że w grę wchodzi jakiś inny potwór, coś bardziej występnego i potężniejszego. Drizzt nie mógł nawet określić tożsamości tego pozartego do połowy ciała.

Drizzt pobiegł ze stodoły do domu, pozbywając się wszelkiej ostrożności. W kuchni znalazł ciała mężczyzn Thistledownów, w sypialni zaś, ku jego absolutnemu przerażeniu spostrzegł dzieci, które leżały zbyt spokojnie. Słowo „drizzit” zabrzmiało boleśnie w jego myślach na widok jasnowłosego chłopca.

Zgiełk panujący w uczuciach Drizzta stał się nie do zniesienia. Zakrył uszy, by nie słyszeć tego przekłętego słowa „drizzit!”, lecz bez końca odbijało się echem, prześladowając go, przypominając mu.

Nie mogąc złapać oddechu, Drizzt wybiegł z domu. Gdyby dokładniej przeszukał pomieszczenie, znalazłby na podłodze pod łóżkiem swój własny zaginiony sejmitar, pęknięty na pół i zostawiony dla wieśniaków.



## CZEŚĆ 2

# TROPICIEL

*Czy cokolwiek na świecie może bardziej obciążać niż wino? Często czuję to brzemie, niosłem je wielokrotnie, długimi drogami.*

*Wino przypomina mi miecz o dwóch ostrzach. Z jednej strony tnie dla sprawiedliwości, zaszczerpia praktyczną moralność w tych, którzy się go obawiają. Wino, wynikająca z sumienia, jest tym, co oddziela dobre osoby od złych. Jeśli wziąć pod uwagę sytuację, która obiecuje zyski, większość drowów zabije się nawzajem, nieważne czy są krewniakami, czy też nie, i odejdzie nie czując żadnego emocjonalnego brzemienia. Drow zabójca może obawiać się odwetu, lecz nie uрони nawet łzy za swoją ofiarę.*

*Dla ludzi - oraz elfów z powierzchni, a także innych dobrych ras - cierpienie wywoływane przez sumienie znacznie przekracza jakiegokolwiek zewnętrzne zagrożenia. Niektórzy twierdzą, że wino - sumienie - jest podstawową różnicą pomiędzy różnymi rasami Krain. W tym sensie wino musi być uważana za pozytywną siłę.*

*Jest jednak jeszcze jedna strona tego obciążającego uczucia. Sumienie nie zawsze przychyli się do racjonalnego osądu. Wino jest zawsze brzemieniem, które każdy sam na siebie nakłada, lecz nie zawsze jest nałożona słusznie. Tak było w moim przypadku na drodze z Menzoberranzan do Doliny Lodowego Wichru. Z Menzoberranzan wyniosłem winę za Zaknafaína, mojego ojca, poświęconego w moim imieniu. Z Blingdenstone wyniosłem winę za Belwara Dissengulpa, svirfnebli, którego okaleczył mój brat. Na licznych drogach natknąłem się na wiele innych ciężarów: Clacker, zabity przez potwora, który polował na mnie; gnolle, zabite z mojej własnej*

*ręki; oraz rolnicy - najbardziej bolesne brzemie - zwykła rodzina, zabita przez barghesta szczeniaka.*

*Racjonalnie uważam, że nie mam się za co winić, że te wydarzenia pozostawały poza moim wpływem lub też w niektórych przypadkach, jak przy okazji gnolli, że uczyniłem prawidłowo.*

*Racjonalność nie jest jednak najlepszą ochroną przed ciężarem winy.*

*Po jakimś czasie, wzmocniony przez zaufanych przyjaciół, zrzuciłem z siebie wiele tych brzemion. Inne pozostały i na zawsze pozostaną. Akceptuję je jako nieuniknione i wykorzystuję ich ciężar, by kierować swoimi przyszłymi krokami.*

*To, jak sądzę, jest prawdziwym celem sumienia.*

- Drizzt Do'Urden

## 6

### SUNDABAR

- Och, już dość, Frecie - wysoka kobieta powiedziała do odzianego w białą szatę krasnoluda z żółtą brodą, odpychając jego ręce. Przejechała palcami po swych gęstych, brązowych włosach, targając je.

- Tak, tak - odpowiedział krasnolud, natychmiast przesuwając dłonie z powrotem do brudnej plamy na płaszczu kobiety. Szorował energicznie, lecz bezustanne wiercenie się tropicielki nie pozwalało mu wiele osiągnąć. - Dlaczego, Pani Falconhand, wierzę, że przydałoby ci się przeczytać kilka książek na temat dobrego zachowania.

- Właśnie przyjechałam z Silverymoon - odparła z oburzeniem Dove Falconhand, mrugając do Gabriela, drugiego wojownika w pomieszczeniu, wysokiego mężczyzny o niewzruszonej twarzy. - Na drodze można się trochę zakurzyć.

- Niemal tydzień temu! - zaprotestował krasnolud. - Uczestniczyłaś zeszłego wieczora w bankiecie w tym samym płaszczu! - następnie krasnolud zauważył, że zajmując się płaszczem Dove poplamiał swoją własną jedwabną szatę, a ta katastrofa odwróciła jego uwagę od tropicielki.

- Drogi Frecie - ciągnęła Dove, liżąc palec i niedbale szorując nim plamę na swym płaszczu. - Jesteś najniezwyklejszym ze służących.

Twarz krasnoluda stała się czerwona jak burak i tupnął błyszczącym pantoflem w posadzkę.

- Służącym? - prychnął. - Powinienem być powiedzieć...

- Więc zrób to! - zaśmiała się Dove.

- Jestem najbardziej... jednym z najbardziej doświadczonych mędrców na północy! Moje tezy związane z odpowiednią etykietą na rasowych bankietach...

- Albo brakiem odpowiedniej etykiety... - nie mógł się powstrzymać przed przerwaniem Gabriel. Krasnolud obrócił się do niego z kwaśną miną. - ...przynajmniej jeśli chodzi o krasnoludy - dokończył wojownik niewinnie wzruszając ramionami.

Krasnolud trząsał się wyraźnie, a jego pantofle wygrywały szybki rytm na twardej posadzce.

- Och, drogi Frecie - odezwała się Dove, kładąc uspokajająco dłoń na ramieniu krasnoluda i przejeżdżając nią po całej długości jego doskonale przystrzyżonej, żółtej brody.

- Fred! - odrzekł ostro krasnolud, odpychając rękę tropicielki. - Fredegar!

Dove i Gabriel spoglądali na siebie przez krótką, pełną zrozumienia chwilę, po czym w wybuchu śmiechu wykrzyknęli nazwisko krasnoluda - Rockcrusher!

- Bardziej pasowałyby Fredegar Quilldipper! - dodał Gabriel. Jedno spojrzenie na nadąsanego krasnoluda powiedziało mężczyźnie, że nadszedł już na niego czas, podniósł więc swój plecak i wymknął się z pokoju, przystając jedynie na chwilę, by ostatni raz mrugnąć do Dove.

- Chciałem tylko pomóc. - Krasnolud wsunął ręce w niewiarygodnie głębokie kieszenie i opuścił nisko głowę.

- I tak się stało! - krzyknęła Dove, by go pocieszyć.

- Chodzi mi o to, że masz audiencję u Helma Przyjaciela Krasnoludów - ciągnął Fret, odzyskując swą dumę. - Należy się odpowiednio zachowywać przy Panu Sundabar.

- Istotnie, należy - zgodziła się Dove. - Mimo to wszystko co mogę na siebie włożyć, widzisz przed sobą, drogi Frecie, brudne i zakurzone od drogi. Obawiam się, że nie okażę się żadną wspaniałą osobistością w oczach pana Sundabar. On i moja siostra tak się zaprzyjaźnili. - Tym razem nadeszła kolej Dove, by udąć zasmuconą, i choć jej miecz zmienił wielu gigantów w jadło dla sępów, silna tropicielka potrafiła rozgrywać tę grę lepiej niż wielu innych.

- Co powinnam zrobić? - Przekrzywiła z zaciekawieniem głowę, zerkając na krasnoluda. - Może - powiedziała przymilnym głosem - gdyby tylko...

Twarz Freta rozjaśniła się, gdy usłyszał tę wskazówkę.

- Nie - rzekła Dove wzdychając ciężko. - Nie mogłabym cię tak obciążyć.

Fret podskoczył z radości, klaszcząc o siebie grubymi dłońmi. - Ależ oczywiście, że mogłabyś, pani Falconhand! Oczywiście, że mogłabyś!

Dove przygryzła wargę, by powstrzymać narastający w niej śmiech, gdy podekscytowany krasnolud wybiegał z pokoju. Wprawdzie Dove często dokuczała Prętowi, jednak z chęcią przyznałaby, że uwielbia małego krasnoluda. Fret spędził wiele lat w Silverymoon, gdzie władała jej siostra, i przyczynił się wydatnie do rozbudowy tamtejszej słynnej biblioteki. Fret naprawdę był uznanym mędrce, znanym ze swych dokładnych badań na temat zwyczajów rozmaitych ras, zarówno dobrych, jak i złych, a poza tym był ekspertem, jeśli chodziło o kwestie półludzkie. Był również doskonałym kompozytorem. Jakże wiele razy Dove zastanawiała się ze szczerą pokorą, jechała konno górskim szlakiem, gwizdząc radosną melodię napisaną przez tego samego krasnoluda?

- Drogi Frecie - tropicielka wyszeptwała pod nosem, gdy krasnolud wrócił, trzymając na ramieniu jedwabną suknię, pieczołowicie złożoną, by nie ciągnęła się po ziemi, w ręku

odpowiednią biżuterię i parę stylowych butów. Spomiędzy wydętych warg wystawał mu tuzin szpilek, a wokół ucha miał za wini etą miarkę krawiecką. Dove ukryła swój uśmiech i zdecydowała, że odda krasnoludowi tę walkę. Podrepcze na audiencję u Helma Przyjaciela Krasnoludów w jedwabnej sukni, oznace szlachectwa, a u jej boku będzie dumnie prychał niewielki mędrzec.

Dove wiedziała, że przez cały ten czas buty będą ją uwierać w stopy, a suknia będzie ją łaskotać w miejscach, w których nie będzie mogła się podrapać. Wszystko dla pozycji, pomyślała Dove, wpatrując się w suknię i akcesoria. Następnie spojrzała na rozjaśnioną twarz Freta i zdała sobie sprawę, że to wszystko warte jest trudów.

Wszystko dla przyjaźni, pomyślała w zadumie.

\* \* \*

Rolnik jechał przez ponad dzień, tak silny efekt wywierał na prostych wieśniakach widok mrocznego elfa. Zabrał dwa konie z Maidobar, jednego z nich pozostawił trzydzieści kilometrów za sobą, w połowie drogi. Jeśli będzie miał szczęście, odnajdzie zwierzę całe i zdrowe w drodze powrotnej. Drugi koń, drogocenny ogier rolnika, zaczynał się męczyć. Mimo to, jeździec pochylił się nisko w siodle i popędzał wierzchowca. W polu widzenia pojawiły się już pochodnie nocnej warty Sundabar, zatknięte wysoko na grubych kamiennych ścianach miasta.

- Zatrzymaj się i powiedz swoje imię! - dobiegł z wieży formalny krzyk kapitana straży, gdy pół godziny później jeździec zbliżył się do bramy.

\* \* \*

Dove wsparła się na Frecie, gdy podążali za służącym Helma długim i ozdobnym korytarzem prowadzącym do sali audiencyjnej. Tropicielka mogła chodzić po mostach linowych bez poręczy, mogła strzelać ze swego łuku ze śmiertelną skutecznością, stojąc na galopującym rumaku, mogła wspiąć się na drzewo w pełnej zbroi kolczej, z mieczem i tarczą w dłoni. Nie potrafiła jednak, mimo całego swego doświadczenia i zręczności, poradzić sobie z modnymi butami, w jakie Fret wcisnął jej stopy.

- I ta suknia - Dove wyszeptwała rozgoryczona, wiedząc, że niepraktyczny strój rozdarłby się w sześciu czy siedmiu miejscach, gdyby mając go na sobie postanowiła zamachnąć się mieczem, nie mówiąc już o zbyt gwałtownym wciągnięciu powietrza.

Fret spojrzał na nią ze zbolą miną.

- Ta suknia jest z pewnością najpiękniejsza... - wyjąkała Dove, uważając by nie wprawić małego krasnoluda w zły nastrój. - Naprawdę, nie mogę znaleźć słów, by wyrazić swą wdzięczność, drogi Frecie.

Szare oczy krasnoluda zaślniły jasno, choć nie był pewien, czy wierzy choć w jej jedno słowo. Mimo to, Fret uznał, że Dove wystarczająco mocno przejmuje się nim, by postępować zgodnie z jego sugestiami, a fakt ten był wszystkim, co się dla niego liczyło.

- Błagam o tysiącrotne wybaczenie, pani - dobiegł głos z tyłu. Cały orszak obrócił się, by

dostrzec kapitana nocnej warty z rolnikiem przy boku, biegnących ponurym korytarzem.

- Dobry kapitanie! - Fret zaprotestował przeciwko złamaniu protokołu. - Jeśli pragniesz audiencji u pani, musisz dokonać przedstawienia w sali. Wtedy i tylko wtedy, jeśli pan pozwoli, będziesz mógł...

Dove położyła krasnoludowi dłoń na ramieniu, by go uciszyć. Zauważyła wyrytą w twarzach mężczyzn pilność, spojrzenie, które awanturnicza bohaterka widziała wiele razy. - Dalej, Kapitanie - ponagliła, po czym, by ułagodzić Freta, dodała - mamy kilka chwil, zanim nasza audiencja się rozpocznie. Pan Hełm nie będzie musiał czekać.

Rolnik wyszedł śmiało naprzód. - Tysiącrotne wybaczenie, pani - zaczął, ściskając nerwowo czapkę w rękach. - Jestem tylko rolnikiem z Maldobar, małej wioski na północ...

- Znam Maldobar - zapewniła go Dove. - Wiele razy spoglądałam na to miejsce z gór. Wspaniała i zwarta społeczność. - Rolnik spogodniał słysząc jej słowa. - Mam nadzieję, że żadna szkoda nie spadła na Maldobar.

- Jeszcze nie, pani - odparł rolnik - widzieliśmy jednak kłopoty, w to nie wątpimy. - Przerwał i spojrzał na kapitana w poszukiwaniu wsparcia. - Drow.

Oczy Dove rozszerzyły się, gdy usłyszała tę wiadomość. Nawet Fret, tupiący niecierpliwie nogą przez całą rozmowę, zaczął uważać.

- Ilu? - spytała Dove.

- Tylko jeden, z tego co widzieliśmy. Obawiamy się, że jest zwiadowcą lub szpiegiem, a to nie wróży nic dobrego.

Dove przytaknęła twierdząco. - Kto widział drowa?

- Najpierw dzieci - odpowiedział rolnik, a Fret westchnął i znów zaczął tupać niecierpliwie.

- Dzieci? - parsknął krasnolud.

Determinacja rolnika nie osłabła. - Później widział go McGristle - powiedział, spoglądając bezpośrednio na Dove - a McGristle sporo widział!

- Kto to jest McGristle? - parsknął Fret.

- Roddy McGristle - odpowiedziała dość kwaśno Dove, zanim rolnik zdążył wyjaśnić. - Znany łowca nagród, traper i zbieracz skór.

- Drow zabił jednego z psów Roddy'ego - wtrącił podekscytowany rolnik - i niemal powalił Roddy'ego! Przewrócił prosto na niego drzewo! Roddy stracił w wyniku tego ucho.

Dove nie do końca rozumiała, o czym mówi rolnik, lecz tak naprawdę nie musiała. W okolicy widziano mrocznego elfa i zostało to potwierdzone, a sam ten fakt pobudził tropicielka do działania. Zsunęła modne buty i podała je Prętowi, po czym powiedziała jednemu ze służących, by poszedł znaleźć jej towarzyszy podróży, zaś pozostałym, by przekazali jej wyrazy ubolewania Panu Sundabar.

- Ależ Pani Falconhand! - krzyknął Fret.

- Nie ma czasu na przyjemności - odpowiedziała Dove, a z jej widocznego podniecenia Fret mógł wywnioskować, że nie jest zbyt rozczarowana odwołaniem audiencji u Helma. Właśnie się szamotała, próbując otworzyć zapięcie na plecach jej wspaniałej sukni.

- Twoja siostra nie będzie zadowolona - warknął głośno Fret, tupiąc butem.

- Moja siostra dawno odwiesiła swój plecak - odparła Dove

- lecz mój wciąż ma na sobie świeży kurz z drogi!

- Istotnie - wymamrotał krasnolud, w niezbyt komplementujący sposób.

- A więc zamierzasz przyjechać? - spytał z nadzieją rolnik.

- Oczywiście - odpowiedziała Dove. - Żaden szanujący się tropiciel nie może zlekceważyć widoku mrocznego elfa! Moi trzej towarzysze i ja wyruszmy do Maldobar jeszcze tej nocy, choć błagam, abyś pozostał tutaj, dobry rolniku. Miałeś ciężką drogę - to oczywiste - i potrzebujesz snu.

- Dove rozglądała się przez chwilę z zaciekawieniem, po czym przyłożyła palec do wydętych warg.

- Co? - zapytał ją zdenerwowany krasnolud.

Twarz Dove rozjaśniła się, gdy jej spojrzenie padło na Freta.

- Mam mało doświadczenia z mrocznymi elfami - zaczęła - a moi towarzysze, z tego co wiem, nigdy nie mieli z nimi do czynienia.

- Jej rozszerzający się uśmiech postawił Freta na baczność.

- Chodź, drogi Frecie - Dove wycedziła do krasnoluda. Klapiąc nagimi stopami o posadzkę poprowadziła Freta, kapitana i rolnika z Maldobar korytarzem aż do sali audiencyjnej Helma.

Fret był zdumiony - i nabrał nadziei - gdy Dove nagle zmieniła kierunek. Kiedy jednak zaczęła rozmawiać z Hełmem, panem Freta, przepaszając za nieoczekiwane niedogodności i prosząc Helma, by posłał z nią kogoś, kto mógłby jej pomóc w misji w Maldobar, krasnolud zaczął rozumieć.

\* \* \*

W chwili gdy słońce wydstało się następnego poranka zza wschodniego horyzontu, oddział Dove, w którym znajdował się elfi łucznik i dwóch potężnych ludzkich wojowników, odjechał już ponad piętnaście kilometrów od ciężkiej bramy Sundabar.

- Faj! - jęknął Fret, gdy zaczęło się rozjaśniać. Jechał na krępym kucyku o imieniu Adbar u boku Dove. - Widzisz jak błoto pobrudziło moje doskonałe ubrania! Z pewnością będzie to koniec dla nas wszystkich! Zginę brudny na tej zapomnianej przez bogów drodze!

- Napisz o tym pieśń - zaproponowała Dove, odwzajemniając poszerzające się uśmiechy swoich towarzyszy. - Będzie się nazywać Ballada o Pięciorgu Zabłoconych Łowcach Przygód.

Wściekle spojrzenie Freta przetrwało tylko chwilę, której Dove potrzebowała, by przypomnieć mu, że to Hełm Przyjaciel Krasnoludów, Pan Sundabar, kazał Prętowi udać się z nią.

## MIGOCZĄCA WŚCIEKŁOŚĆ

Tego samego poranka, co drużyna Dove wyjechała na drogę do Maldobar, Drizzt wyruszył we własną podróż. Początkowe przerażenie wywołane dokonaniem zeszłej nocy odkryciem nie zmniejszyło się i drow obawiał się, że nigdy się nie zmniejszy, lecz w jego myśli wtargnęło jeszcze jedno uczucie. Nie mógł nic zrobić dla niewinnych rolników i ich dzieci, nic oprócz pomszczenia ich śmierci. Myśl ta nie była dla Drizzta przyjemna, ponieważ dotąd miał nadzieję, że pozostawił za sobą nie tylko Podmrok, ale również dzikość. Mając w umyśle wciąż świeżą scenę morderstwa, Drizzt mógł szukać sprawiedliwości tylko w swym sejmitarze.

Drizzt podjął dwa środki ostrożności, zanim ruszył tropem mordercy. Po pierwsze, z powrotem zakradł się do gospodarstwa, na tyły domu, gdzie rolnicy położyli złamany lemiesz od pługa. Metalowe ostrze było ciężkie, lecz zdeterminowany drow podniósł je i zabrał, nie myśląc o niewygodach.

Następnie Drizzt przywołał Guenhwyvar. Gdy tylko pantera pojawiła się i zauważyła zawzięty wyraz twarzy drowa, przyczaiła się czujnie. Guenhwyvar towarzyszyła Drizztowi wystarczająco długo, by rozpoznawać tę minę i wiedzieć, że zanim wróci do swego astralnego domu, czeka ją walka.

Wyruszyli przed świtem, a Guenhwyvar z łatwością podążała wyraźnym śladem barghesta, jak tego chciał Ulgulu. Ich tempo było powolne, ponieważ Drizzt był obciążony przez lemiesz, ale miarowe, a w chwili gdy Drizzt usłyszał w oddali odgłos bzyczenia, wiedział już, że słusznie postąpił zabierając ze sobą nieporęczne żelastwo.

Mimo to pozostała część poranka przeszła spokojnie. Trop zaprowadził towarzyszy do kamienistego parowu i podstawy wysokiego, niepewnego klifu. Drizzt obawiał się, że będzie musiał wspinać się po ścianie - i zostawić lemiesz - lecz szybko dostrzegł kręty szlak prowadzący na górę. Podejście było gładkie, przedzierało się wokół niebezpiecznych załomów w ścianie klifu. Pragnąc wykorzystać teren dla własnej przewagi, Drizzt wysłał Guenhwyvar przodem, po czym sam ruszył, ciągnąc lemiesz i czując się wystawiony na atak na otwartej ścieżce.

Uczucie to nie zdołało jednak zgasić ogni migoczących w lawendowych oczach Drizzta, które płonęły wyraźnie pod nisko naciągniętym kapturem zbyt dużego płaszczka gnolla. Jeśli widok rozpościerającej się z boku przepaści niepokoił drowa, wystarczyło tylko, by przypomniawsobie rolników. Krótką chwilę później, gdy Drizzt usłyszał z jakiegoś miejsca, położonego niżej na wąskiej ścieżce, oczekiwane bzyczenie, tylko się uśmiechnął.

Bzyczenie szybko zbliżało się z tyłu. Drizzt oparł się o ścianę i zaczął wymachiwać swym sejmitem, dokładnie obliczając czas, jaki zajmuje skrzatowi zbliżenie się.

Tephanis śmignął obok drowa, mały sztylet szybcioszka szukał luki pomiędzy defensywnymi zamachami sejmitarza. Skrzat zaraz zniknął, wysuwając się przed Drizzta, jednak

zdołał trafić, drasnął drowa w bark.

Drizzt obejrzał ranę i ponuro skinął głową, akceptując to jako drobną niedogodność. Wiedział, że nie mógł się obronić przed niemal niewidocznym atakiem, miał jednak również świadomość, że pozwolenie na ten pierwszy cios było warunkiem koniecznym do własnego ostatecznego zwycięstwa. Warknięcie na ścieżce z przodu znów wprowadziło Drizzta szybko w stan czujności.

Skrzat natknął się na Guenhwyvar, zaś pantera, ze swymi pazurami, których prędkość mogła dorównać szybcioszkowi, bez wątpienia odwróciła bieg wydarzeń.

Drizzt ponownie oparł się o ścianę, wyczekując zbliżającego się buczenia. W chwili gdy skrzat wyłonił się zza zakrętu, Drizzt wskoczył na wąską ścieżkę, trzymając sejmitar w gotowości. Druga ręka drowa mniej rzucała się w oczy, trzymając silnie metalowy przedmiot, gotowa pochylić go, by zablokować lukę.

Pędzący skrzat skręcił w stronę ściany, z łatwością mogąc, jak zdał sobie sprawę Drizzt, ominąć sejmitar. Skupiając się jednak na swym celu, szybcioszek nie zauważył drugiej ręki Drizzta.

Drizzt ledwo dostrzegał ruchy skrzata, jednak nagły brzdęk i gwałtowne wibracje w jego dłoni, gdy stworzenie wpadło na lemiesz, wywołało na jego wargach pełen satysfakcji uśmiech. Puścił żelastwo i chwycił nieprzytomnego skrzata za gardło, trzymając go z dala od ziemi. Guenhwyvar wyłoniła się zza zakrętu mniej więcej w tej samej chwili, gdy skrzat potrzasał swą głową o ostrych rysach, a przy każdym ruchu jego długie, spiczaste uszy niemal uderzały o drugą stronę twarzy.

- Czym jesteś? - Drizzt spytał w języku goblinów, mówie która pozwoliła mu porozumieć się z gnollami. Ku swemu zaskoczeniu zauważył, że skrzat rozumie, choć jego piskliwa, niewyraźna odpowiedź była wypowiedziana zbyt szybko, aby Drizzt cokolwiek z niej pojął.

Potrząsnął gwałtownie skrzatem, by go uciszyć, po czym warknął - Powoli! Jak się nazywasz?

- Tephanis - powiedział oburzony skrzat. Mógł poruszać nogami sto razy na sekundę, lecz niewiele mu to dawało, gdy wisiał w powietrzu. Rozejrzał się po ścieżce i zauważył, że jego mały sztylet leży obok nadwierzęzonego lemiesza.

Sejmitar Drizzta poruszył się nerwowo. - Czy to ty zabiłeś rolników? - spytał bezceremonialnie drow. Ledwo powstrzymał cios, gdy w odpowiedzi usłyszał chichot skrzata.

- Nie - rzekł szybko Tephanis.

- Więc kto?

- Ulgulu! - oznajmił skrzat. Tephanis wskazał na ścieżkę i wyrzucił z siebie potok podekscytowanych słów. Drizzt zdołał zrozumieć tylko kilka z nich. Najbardziej niepokojące były „Ulgulu”, „czeka” i „kolacja”.

Drizzt naprawdę nie wiedział, co zrobić ze schwytanym skrzatem. Tephanis był po prostu



zbyt szybki, by drow mógł czuć się bezpiecznie. Spojrzał na Guenhwyvar, siedzącą niedbale kilka kroków dalej na ścieżce, lecz pantera tylko ziewnęła i przeciągnęła się.

Drizzt zamierzał właśnie zadać kolejne pytanie, chcąc dowiedzieć się, jaką rolę Tephanis odgrywa w tym całym scenariuszu, jednak czupurny skrzat uznał, że wycierpiał już wystarczająco wiele. Poruszając rękoma zbyt szybko, by Drizzt zdążył zareagować, Tephanis sięgnął do buta, wyciągnął drugi sztylet i uderzył nim w zraniony już nadgarstek drowa.

Tym razem skrzat nie docenił swego przeciwnika. Drizzt nie mógł dorównać mu szybkością, nie mógł nawet nadążyć wzrokiem za małym, opadającym sztyletem. Jednak pomimo tego, że rany były bolesne, Drizzt był zbyt wypełniony wściekłością, by to zauważyć. Zacisnął tylko uchwyt na szyi skrzata i pchnął sejmitem. Nawet z tak ograniczoną możliwością poruszania się Tephanis był wystarczająco szybki i zwinny, by się uchylić, śmiejąc się szaleńczo przez cały czas.

Skrzat znów zaatakował, wbijając sztylet głęboko w przedramię Drizzta. Drow zastosował w końcu taktykę, której Tephanis nie mógł się przeciwstawić, która zabierała skrzatowi przewagę. Uderzył Tephaniszem o ścianę, po czym rzucił oszołomione stworzenie w dół klifu.

\* \* \*

Jakiś czas później Drizzt i Guenhwyvar przyczaili się w krzakach u podstawy stromego, kamienistego zbocza. Na jego szczycie, za starannie umieszczonymi krzewami i gałęziami, leżała jaskinia, z której czasami dobiegały głosy goblinów.

Przed jaskinią, z boku zbocza, znajdowała się stroma ściana. Za jaskinią skała wznosiła się pod jeszcze większym kątem. Choć na nagich kamieniach nie było zbyt wiele śladów, Drizzt i Guenhwyvar dotarli do tego miejsca. Nie mieli wątpliwości, że potwór, który zamordował wieśniaków, znajdował się w tej jaskini.

Drizzt znów walczył ze swą decyzją pomszczenia śmierci ludzi. Wolałby bardziej cywilizowaną sprawiedliwość, praworządny sąd, co jednak mógł zrobić? Z pewnością nie mógł się udać ze swymi podejrzeniami do wioski ani do nikogo innego. Czając się w krzakach, Drizzt znów pomyślał o rolnikach, o jasnowłosym chłopcu, o pięknej dziewczynie, która dopiero stała się kobietą, o młodzieńcu, którego rozbroił w kępie jagód. Drizzt starał się mocno, by zachować miarowość oddechu. W dzikim Podmroku poddawał się czasami swym instynktownym pragnieniom, swojej mroczniejszej stronie, która walczyła z brutalną i śmiercionośną skutecznością, i czuł teraz, że to alter ego znów się w nim budzi. Z początku starał się uspokoić wściekłość, jednak przypomniał sobie, czego się nauczył. Ta mroczna strona była jego częścią, narzędziem koniecznym do przetrwania, i nie była całkowicie zła.

Była konieczna.

Drizzt rozumiał jednak swą niekorzystną sytuację. Nie miał pojęcia na jak wielu przeciwników się natknie ani też jakimi potworami będą. Słyszał gobliny, jednak scena w domu

wskazywała, że w sprawę zaangażowane było coś potężniejszego. Zdrowy rozsądek mówił Drizztowi, by siedział i obserwował, by dowiedział się więcej o wrogach.

Kolejna iskierka przypomnienia, scena w domu, odrzuciła zdrowy rozsądek na bok. Trzymając w jednej dłoni sejmitar, a w drugiej sztylet skrzata, Drizzt zaczął wspinać się po kamienistym zboczu. Nie zwolnił zbliżając się do jaskini, po prostu odrzucił gałęzie i wdarł się do środka.

Guenhwyvar zawahała się i obserwowała z tyłu, zaskoczona prostolinijną taktyką drowa.

\* \* \*

Tephanis czuł jak jego twarz jest smagana chłodnym powietrzem i przez chwilę sądził, że przeżywa właśnie jakiś przyjemny sen. Skrzat pozbył się jednak szybko złudzeń i zdał sobie sprawę, że szybko zbliża się do ziemi. Na szczęście nie spadał daleko od klifu. Zaczął poruszać dłońmi i stopami na tyle szybko, by wytworzyć miarowe bzyczenie, a następnie próbował ucześcić się ścianą, by spowolnić upadek. Rozpoczął inkantację czarnej lewitacji, najprawdopodobniej jedynej rzeczy, która mogła go ocalić.

Minęło kilka bolesnych sekund, zanim skrzat poczuł, jak jego ciało jest pod wpływem zaklęcia. Mimo wszystko uderzył mocno w ziemię, lecz zdał sobie sprawę, że obrażenia są powierzchowne.

Tephanis podniósł się względnie powoli, zostawiając za sobą podmuch kurzu. Jego pierwszą myślą było ostrzec Ulgulu o zbliżającym się drowie, jednak zastanowił się jeszcze raz. Nie był w stanie wznieść się na czas do kompleksu jaskiń za pomocą lewitacji, a na górę prowadziła tylko jedna ścieżka - na której był drow.

Tephanis nie miał ochoty mieć z nim znów do czynienia.

\* \* \*

Ulgulu w ogóle nie próbował zacierać za sobą śladów. Mroczny elf przysłużył się barghestowi. Teraz miał zamiar zrobić sobie z Drizzta posiłek, który da mu dojrzałość i pozwoli wrócić do Gehenny.

Dwaj goblinscy strażnicy Ulgulu nie byli zbyt zdziwieni wejściem Drizzta. Ulgulu powiedział im, że mają oczekiwać drowa i zatrzymać go w przedsionku wystarczająco długo, by barghest mógł przyjść i się nim zająć. Gdy Drizzt zaczął się zbliżać, gobliny natychmiast przerwały rozmowę, skrzyżowały swoje włócznie, by zasłonić kurtynę i wysunęły do przodu zapadłe piersi, bezmyślnie wykonując polecenia szefa.

- Nikt nie może wejść... - zaczął jeden z nich, lecz nagle, po jednym świesnięciu sejmitaru Drizzta, zarówno goblin, jak i jego towarzysz zachwiali się, trzymając za rozcięte gardła. Bariera z włócznie opadła i Drizzt nie zwalniając, przedarł się przez zasłonę.

Na środku następnego pomieszczenia drow dostrzegł swego przeciwnika. Szkarłatnoskóry barghest o rozmiarach giganta czekał na niego ze skrzyżowanymi ramionami i paskudnym,

pewnym siebie uśmiechem.

Drizzt cisnął sztyletem i natarł tuż za nim. Rzut ocalił drowowi życie, ponieważ kiedy pocisk przeleciał nieszkodliwie przez ciało wroga, Drizzt rozpoznał pułapkę. Nie mógł jednak powstrzymać swego pędu i jego sejmitar zanurzył się w wizerunku, nie znajdując nic namacalnego, w co mógłby się wbić.

Prawdziwy barghest znajdował się za kamiennym tronem w tylnej części pomieszczenia. Wykorzystując kolejną moc ze swego sporego magicznego repertuaru, Kempfana wysłał swój wizerunek na środek sali, by zatrzymać drowa.

Instynkty Drizzta natychmiast powiedziały mu, że został oszukany. Miał do czynienia nie z prawdziwym potworem, lecz obrazem, który miał go wystawić na atak. Pomieszczenie było ubogo umeblowane, nie było w nim nic, co mogłoby oferować jakąś osłonę.

Lewitujący ponad drowem Ulgulu opadł w dół, lądując lekko za Drizztem. Plan był doskonały, a cel znajdował się w odpowiednim miejscu.

Drizzt, którego refleks i mięśnie zostały wyćwiczone do perfekcji, wyczuł obecność i rzucił się do przodu, na wizerunek, gdy Ulgulu wymierzył ciężki cios. Wielka dłoń barghesta chwyciła tylko powiewające włosy Drizzta, lecz samo to niemal oderwało drowowi głowę.

Upadając Drizzt wykonał półobrót i wstał zwrócony do Ulgulu. Stał przed nim potwór jeszcze większy niż ogromny obraz, lecz fakt ten nie wystraszył rozwścieczonego drowa. Niczym napięta cięciwa Drizzt wystrzelił w stronę barghesta. Zanim Ulgulu otrząsnął się z chybionego trafienia, samotny sejmitar Drizzta zagłębił się trzykrotnie w jego brzuchu i wyżłobił sympatyczny mały otwór pod jego podbródkiem.

Barghest ryknął z wściekłości, lecz nie był zbyt mocno ranny, ponieważ stworzony przez drowy sejmitar Drizzta stracił większość swej magii podczas okresu, jaki mroczny elf spędził na powierzchni, a tylko magiczna broń - jak kły i pazury Guenhwyvar - mogła naprawdę zranić stworzenie z rozpadlin Gehenny.

Wielka pantera uderzyła w tył głowy Ulgulu z siłą wystarczającą, by powalić barghesta twarzą na podłogę. Ulgulu nigdy dotąd nie czuł takiego bólu jak teraz, gdy pazury Guenhwyvar drapały mu głowę.

Drizzt podbiegał, by się do niej przyłączyć, gdy z tylnej części pomieszczenia usłyszał szelest. Zza tronu nacierał na niego Kempfana, rycząc w proteście.

Nadeszła kolej na Drizzta, by wykorzystał swą magię. Na drodze szkarłatnoskórego barghesta postawił kulę ciemności, po czym skoczył w nią, padając na dłonie i kolana. Kempfana z rykiem wpadł do środka, potknął się o przykucniętego drowa - kopiać Drizzta z siłą wystarczającą, by pozbawić go powietrza w płucach - i wypadł ciężko z drugiej strony ciemności.

Kempfana potrząsnął głową, by się otrzeźwić i rozstawił wielkie ręce, by wstać. Drizzt nie dał na to barghestowi czasu, wskoczył mu na plecy, siekąc zaciekle swym strasznym sejmitarem.

Gdy Kempfana zdołał oprzeć się i zrzucić drowa, jego włosy były posklejane krwią. Chwiejąc się wstał i odwrócił do drowa.

\* \* \*

Po drugiej stronie sali Ulgulu czołgał się i miotał, zataczał i obracał. Pantera była zbyt szybka i zwinna, by mogły ją trafić ospałe kontrataki giganta. Twarz Ulgulu była poprzecinana tuzinem szram, a teraz Guenhwyvar wbiła zęby w kark olbrzyma, zaś wszystkimi czterema łapami orała jego grzbiet.

Ulgulu miał jednak inne wyjście. Kości popękały i zrosły się. Poraniona twarz Ulgulu stała się wydłużonym pyskiem wypełnionym psimi zębami. Całe ciało giganta pokryło się gęstymi włosami, powstrzymując ataki pazurów. Obwisłe ręce stały się wierzgającymi łapami.

Guenhwyvar walczyła z ogromnym wilkiem i jej przewaga się skończyła.

\* \* \*

Kempfana zbliżał się powoli, okazując teraz Drizztowi szacunek.

- Zabiliście ich wszystkich - Drizzt powiedział w języku goblinów głosem tak chłodnym, że szkarłatnoscóry barghest aż się zatrzymał.

Kempfana nie był głupi. Barghest widział kotłującą się w drowie wściekłość i poczuł ostre ciosy jego sejmity. Wiedział, że lepiej nie nacierać bezpośrednio, tak więc kolejny raz wezwał swe niezemskie zdolności. W mgnieniu płonącego na pomarańczowo oka szkarłatnoscóry barghest zniknął, przechodząc przez ponadwymiarowe drzwi i wyłonił się tuż za Drizztem.

W chwili gdy Kempfana zniknął, Drizzt instynktownie rzucił się na bok. Cios z tyłu był jednak szybszy, wylądował dokładnie na plecach Drizzta i posłał go przez komnatę. Drow uderzył o podstawę ściany i przyklęknął, starając się złapać oddech.

Tym razem Kempfana natarł bezpośrednio. Drow upuścił swój sejmity w połowie drogi do ściany, zbyt daleko, by teraz go chwycić.

\* \* \*

Wielki barghest - wilk, niemal dwa razy przewyższający rozmiarami Guenhwyvar, przetoczył się i stanął okrakiem nad panterą. Wielkie szczęki kłapały tuż przy gardle i pysku Guenhwyvar, a pantera miotała się szaleńczo, by ich do siebie nie dopuścić. Guenhwyvar nie mogła żywić nadziei na wygraną wilkiem w równej walce. Jedyłą przewagą, jaka pozostała panterze, była jej zwinność. Niczym strzała o czarnym drzewcu Guenhwyvar wypadła spod wilka i rzuciła się w stronę zasłony.

Ulgulu zawył i podjął pościg, rozrywając kurtynę i nacierając w kierunku jaśniejszego światła dnia.

Guenhwyvar wypadła z jaskini w chwili, gdy Ulgulu przedzierał się przez kurtynę, zawróciła natychmiast i wskoczyła prosto na zbocze nad wejściem. Kiedy pojawił się wielki wilk, pantera spadła mu na grzbiet i wróciła do przerwanej rozdzierania pazurami.

\* \* \*

- Ulgulu zabił rolników, nie ja - warknął zbliżający się Kempfana. Kopnął sejmitar Drizzta na drugą stronę pomieszczenia. - Ulgulu chce ciebie, bo zabiłeś gnolle. Ale ja cię zabiję, drowie. Ja pożywię się twoją siłą życiową i nabiorę potęgę!

Wciąż walcząc o oddech, Drizzt ledwo słyszał jego słowa. Jedynymi myślami, jakie chodziły mu teraz po głowie, były obrazy martwych rolników, obrazy, które dawały Drizztowi odwagę. Barghest się zbliżał, a drow utkwiał w nim złowrogie spojrzenie, zdeterminowane spojrzenie, którego ani trochę nie zmniejszyła w oczywisty sposób niekorzystna sytuacja.

Kempfana zawahał się widząc te zmrużone, płonące oczy, a niezdecydowanie barghesta dało Drizztowi potrzebny mu czas. Walczył już wcześniej z ogromnymi potworami, z których najważniejsze były hakowe poczwary. Zawsze te walki były kończone przez sejmitary Drizzta, lecz do początkowych uderzeń za każdym razem używał własnego ciała. Ból pleców nie mógł się równać powiększającej wściekłości. Oderwał się od ściany, pozostając pochylony, i wpadł na nogi Kempfany, obracając się i chwytając barghesta za kolanem.

Nie przejmując się tym, Kempfana pochylił się, by chwycić szamotającego się drowa. Drizzt uchylał się przed długim ramieniem giganta wystarczająco długo, by zastosować dźwignię. Mimo to Kempfana uważał ataki za drobną niedogodność. Gdy Drizzt pozbawił barghesta równowagi, Kempfana dobrowolnie się przewrócił, zamierzając zmiażdżyć małego elfa. Drizzt znów był jednak zbyt szybki. Wymknął się spod upadającego olbrzyma, odwrócił i ruszył w stronę przeciwnego krańca pomieszczenia.

- O nie! - wrzasnął Kempfana, najpierw się czołgając, a później biegnąc za nim. W chwili gdy Drizzt podniósł swój sejmitar owinęły się wokół niego ogromne ręce i z łatwością podniosły w powietrze.

- Zmiażdżę cię i pożrę! - ryknął Kempfana i Drizzt rzeczywiście usłyszał, jak jedno z jego żeber pęka. Próbował się obrócić, by znaleźć się twarzą w twarz z przeciwnikiem, jednak porzucił ten zamysł, koncentrując się zamiast tego na uwolnieniu ręki z bronią.

Kolejne żebro pękło, a uścisk wielkich ramion Kempfany zacieśnił się jeszcze bardziej. Barghestnie chciał jednak po prostu zabić drowa, zdawał sobie sprawę, jak daleko może zabrnąć w stronę dojrzałości, jeśli pożre tak potężnego przeciwnika, jeśli pożywi się siłą życiową Drizzta.

- Pożrę cię, drowie! - zaśmiał się gigant. - Pożrę!

Drizzt chwycił oburącz swój sejmitar z siłą pobudzoną przez obrazy z wioski. Oswobodził broń i uderzył nią za głowę. Ostrze zanurzyło się w otwartych ustach Kempfany i wbiło w gardło potwora.

Drizzt zaczął nim obracać.

Kempfana miotał się szaleńczo, a mięśnie i stawy Drizzta niemal rozrywały się od napięcia. Drow miał jednak na czym się skoncentrować, na rękojeści sejmitara, którą bez przerwy obracał.

Kempfana upadł ciężko, wydając z siebie bulgoczące odgłosy, po czym przetoczył się na Drizzta, próbując wycisnąć z niego życie. Do świadomości drowa zaczął przesączać się ból.

- Nie! - krzyknął chwytając się obrazu jasnowłosego chłopca, zabitego we własnym łóżku. Bulgot trwał nadal, dołączył się do niego świszczący odgłos powietrza, przedzierającego się przez krtani wypełnioną krwią. Gdy leżący na nim stwór przestał się ruszać, Drizzt wiedział, że walka się zakończyła.

Drizzt chciał tylko się oswobodzić i zaczerpnąć powietrza, jednak powiedział sobie, że jeszcze nie skończył. Wyczołgał się spod Kempfany, otarł z warg krew, swoją krew, po czym bezceremonialnie wyciągnął z ust Kempfany sejmitar i odnalazł swój sztylet.

Wiedział, że jest poważnie ranny, a obrażenia mogły okazać się śmiertelne, jeśli natychmiast się nimi nie zajmie. Oddychał wymuszonymi, przebijającymi się przez krew sapnięciami. Nie przejmował się tym jednak, ponieważ Ulgulu, który zabił rolników, wciąż żył.

\* \* \*

Guenhwyvar zeskoczyła z grzbietu gigantycznego wilka, wracając na stromy stok nad wejściem do jaskini. Ulgulu obrócił się warcząc i skoczył w stronę pantery, drapiąc pazurami kamienie, próbując dostać się wyżej.

Guenhwyvar zeskoczyła za barghesta - wilka, zawróciła natychmiast i rozdarła Ulgulu grzbiet. Wilk obrócił się, lecz Guenhwyvar zdążyła wrócić na zbocze.

Ta zabawa trwała przez kilka chwil, Guenhwyvar uderzała, a później odskakiwała. W końcu jednak wilk przewidział unik pantery. Ulgulu ściągnął skaczącą panterę w dół swymi masywnymi szczękami. Guenhwyvar zdołała się oswobodzić, lecz była blisko stromej przepaści. Ulgulu zawisł nad kocicą, blokując jej drogę ucieczki.

Drizzt wyszedł z jaskini, gdy wielki wilk napierał na Guenhwyvar, zmuszając ją do cofania się. W dół zaczęły osypywać się kamyki, a tylne łapy pantery ześlizgnęły się, po czym szarpnęły z powrotem, próbując znaleźć uchwyt. Drizzt wiedział, że nawet potężna pantera nie była w stanie przewyciężyć ciężaru i siły barghesta - wilka.

Drow natychmiast zauważył, że nie zdoła na czas odciągnąć wielkiego wilka od Guenhwyvar. Wyciągnął onyksową figurkę i cisnął ją pomiędzy walczących. - Odejdź, Guenhwyvar! - rozkazał.

Guenhwyvar normalnie nie opuściłaby swego pana w obliczu tak wielkiego niebezpieczeństwa, jednak rozumiała, co Drizzt ma namyśli. Ulgulu wciąż napierał, z determinacją spychając panterę w przepaść.

Nagle bestia spychała jedynie niematerialną mgłę. Ulgulu rzucił się naprzód, zrzucając w dół jeszcze więcej kamieni oraz onyksową figurkę. Pozbawiony równowagi wilk nie mógł utrzymać oparcia i spadł.

Kości znów popękały, a psia sierść przerzedziła się, ponieważ w postaci wilka Ulgulu nie

mógł uaktywnić zaklęcia lewitacji. Zdesperowany barghest starał się skoncentrować, sięgając do swej goblinoidalnej formy. Jego pysk skrócił się do twarzy o płaskich rysach, łapy poszerzyły i zmieniły w ramiona.

Stwór nie zdołał jednak dokończyć przemiany, w połowie uderzył o skały.

Drizzt zszedł z półki skalnej i uaktywnił własny czar lewitacji, opadając w dół powoli i blisko ściany. Podobnie jak to miało miejsce wcześniej, zaklęcie szybko się zakończyło. Drow pokonał ostatnie kilka metrów upadku, próbując złapać się skały, lecz zatrzymał się nagle na kamienistym dnie. Zaledwie kilka kroków dalej zobaczył poruszającego się barghesta. Próbował wstać, by przyjąć pozycję obronną, lecz ogarnęła go ciemność.

\* \* \*

Drizzt nie wiedział, ile czasu minęło, gdy kilka godzin później obudził go potężny ryk. Była już ciemna, pochmurna noc. Powoli do oszołomionego i rannego drowa powróciły wspomnienia z walki. Ku swojej uldze zauważył, że Ulgulu wciąż leży obok niego na kamieniach, w połowie goblin, w połowie wilk, najwyraźniej martwy.

Drugi ryk, dochodzący z góry, z jaskini, skierował wzrok drowa w stronę półki skalnej. Stał tam Piwobrzuch, gigant wzgórzowy, który właśnie wrócił z polowania i rozwścieczył się, widząc pobojuwisko.

Gdy Drizzt zdołał wstać, doszedł do wniosku, że tego dnia nie jest już w stanie walczyć po raz kolejny. Po chwili poszukiwań odnalazł onyksową figurkę i wrzucił ją do sakiewki. Nie martwił się zbytnio o Guenhwyvar. Widział jak pantera wychodzi cało z większych oparów - znajdowała się już w centrum wybuchu magicznej różdżki, została wciągnięta na Plan Ziemi przez rozjuszonego żywiołaka, nawet wpadła do jeziora syczącego kwasu. Figurka wyglądała na nie uszkodzoną i Drizzt był pewien, że Guenhwyvar odpoczywa teraz wygodnie w swym astralnym domu.

Drizzt nie mógł sobie jednak pozwolić na odpoczynek. Gigant zaczął już schodzić w dół skalistego zbocza. Spojrzawszy ostatni raz na Ulgulu, Drizzt doznał uczucia zemsty, które jednak nie potrafiło przezwyciężyć bolesnych, gorzkich wspomnień o zabitych rolnikach. Wyruszył w drogę, idąc głębiej w dzikie góry, uciekając przed gigantem i winą.

## 8

### WSKAZÓWKI I ZAGADKI

Minął ponad dzień od masakry, zanim pierwszy z sąsiadów Thistledownów przybył do ich, oddalonego od pozostałych, gospodarstwa. Smród śmierci ostrzegł rolnika o rzezi, zanim jeszcze zajrzał do domu czy stodoły.

Godzinę później wrócił z sołtysem Delmo i kilkoma innymi uzbrojonymi rolnikami. Przeszli ostrożnie przez dom Thistledownów i okolicę, przykładając szmaty do twarzy, by zatrzymać okropny odór.

- Kto mógł to zrobić? - zapytał sołtys. - Jaki potwór? - Jakby w odpowiedzi jeden z rolników wyszedł z sypialni, trzymając w rękach złamany sejmitar.

- Broń drowa? - spytał rolnik. - Powinniśmy wezwać McGristle'a.

Delmo zawahał się. Oczekiwał, że drużyna z Sundabar może przyjechać w każdej chwili i czuł, że sławna tropicielka Dove Falconhand lepiej poradzi sobie z sytuacją niż kapryśny i nie kontrolujący się traper.

Dyskusja nie zdążyła się jednak tak naprawdę zacząć, ponieważ warkot psa ostrzegł wszystkich w domu, że przyszedł McGristle. Wielki, brudny mężczyzna wtoczył się do kuchni. Boczna część jego twarzy była pokryta okropnymi bliznami oraz brunatną, zakrzepłą krwią.

- Broń drowa! - wycedził, aż nadto dobrze rozpoznając sejmitar. - Taka sama, jakiej użył przeciwko mnie!

- Wkrótce przyjedzie tropicielka - zaczął Delmo, lecz McGristle niezbyt go słuchał. Przeszedł po pomieszczeniu i sąsiedniej sypialni, obcesowo przesuwając ciała nogą i pochylając się nisko, by sprawdzić jakieś drobniejsze szczegóły.

- Widziałem na zewnątrz ślady - stwierdził nagle McGristle. - Dwa tropy według mnie.

- Drow ma sojusznika - uznał sołtys. - Kolejny powód by poczekać na drużynę z Sundabar.

- Ba, nie wiesz, czy w ogóle przyjadą! - parsknął McGristle. - Trzeba iść za drowem teraz, gdy trop jest silny i pies go wyczuje!

Kilku ze zgromadzonych rolników przytaknęło zgadzając się - jednak Delmo szybko przypomniał im, z czym mogą mieć do czynienia.

- Pokonał cię jeden drow, McGristle - powiedział sołtys. - Teraz sądzisz, że jest ich dwóch, może więcej, i chcesz, abyśmy poszli na nich polować?

- Zły los, to mnie pokonało! - warknął Roddy. Rozejrzał się, zwracając do mniej już ochoczych rolników. - Miałem tego drowa jak na talerzu!

Rolnicy kręcili się nerwowo i szeptali do siebie, gdy sołtys chwycił Roddy'ego za ramię i odszedł z nim na bok.

- Poczekaj jeden dzień - poprosił Delmo. - Nasze szansę będą znacznie większe, jeśli przyjedzie tropicielka.

Roddy nie wyglądał na przekonanego. - Ja toczę swoją własną walkę - warknął. - Zabił mi psa i oszpecił mnie.

- Chcesz go, to go dostaniesz - obiecał sołtys - ale tu może chodzić o coś więcej niż tylko twojego psa i twoją dumę.

Twarz Roddy'ego wykrzywiła się złowieszczo, lecz sołtys był nieugięty. Jeśli w okolicy rzeczywiście działała drużyna drowów, całe Maldobar znajdowało się w bezpośrednim niebezpieczeństwie. Najlepszym środkiem obrony małej grupy, zanim przyjedzie pomoc z Sundabar, była jedność, a owa obrona padnie, jeśli Roddy poprowadzi oddział mężczyzn - którzy i



tak byli już wystarczająco wystraszeni - na pościg w góry. Benson Delmo był jednak wystarczająco bystry, by wiedzieć, że nie przemówi do Roddy'ego tymi kategoriami. Wprawdzie traper przebywał w Maldobar od kilku lat, był zasadniczo włóczęgą i nie czuł się związany z wioską.

Roddy zaczął odchodzić, uważając spotkanie za zakończone, lecz sołtys odważnie chwycił go za rękę i odwrócił. Pies Roddy'ego obnażył kły i zawarczał, lecz było to niewielką groźbą dla tłustego mężczyzny w porównaniu z miną, jaką wymierzył w jego stronę McGristle.

- Dostaniesz drowa - powiedział szybko sołtys - ale błagam cię, poczekaj na pomoc z Sundabar. - Zmienił sposób rozmowy na taki, który naprawdę mógł przemówić do Roddy'ego. - Nie jestem ubogi, McGristle, a ty, zanim się tu pojawiłeś, byłeś łowcą nagród, i przypuszczam, że wciąż nim jesteś.

Wyraz twarzy Roddy'ego szybko zmienił się z wściekłości w ciekawość.

- Poczekaj na pomoc, a później idź po drowa. - Sołtys przerwał, rozważając ofertę, jaką zaproponuj e. Nie miał żadnego doświadczenia w takich sprawach i choć nie chciał zejść zbyt nisko i zgasić zainteresowania, które rozniecił, nie miał również ochoty odciążać swojej sakiewki bardziej, niż to było konieczne. - Tysiąc sztuk złota za głowę drowa.

Roddy wiele razy bawił się w tę grę z targowaniem. Dobrze ukrył swoje zadowolenie, ponieważ oferta sołtysa przekraczała pięciokrotnie jego zwyczajową zapłatę, a i tak poszedłby za drowem, niezależnie od tego, czy dostałby pieniądze.

- Dwa tysiące! - zagrzmiał traper, nie dając się zbić z tropu, podejrzewał bowiem, że za swoje wysiłki może wytargować więcej. Sołtys zakotłosał się kilkakrotnie na piętach, lecz przypomniał sobie, że na włosku może wisieć los całej wioski.

- I ani miedziaka mniej! - dodał Roddy, krzyżując swe wielkie ręce na piersi.

- Poczekaj na Panią Falconhand - powiedział potulnie Delmo - a dostaniesz swoje dwa tysiące.

\* \* \*

Przez całą noc Piwobrzuch podążał tropem rannego drowa. Zwalisty gigant wzgórzowy nie był jeszcze pewien, co powinien czuć w sprawie śmierci Ulgulu i Kempfany, nieproszonych panów, którzy zabrali mu legowisko i życie. Wprawdzie Piwobrzuch obawiał się każdego przeciwnika, który mógł pokonać tę dwójkę, wiedział, że drow jest poważnie ranny.

Drizzt zdał sobie sprawę, że jest śledzony, jednak nie mógł zbyt wiele zrobić, by ukryć swe ślady. Jedną nogę, uszkodzoną w czasie upadku do przepaści, przeszywał dotkliwy ból i Drizzt musiał się niezwykle starać, żeby utrzymać się przed gigantem. Kiedy wzeszło słońce, jasne i wyraźne, Drizzt wiedział, że jego niekorzystna sytuacja jeszcze się zwiększyła. Nie mógł mieć nadziei na ucieczkę przed olbrzymem w czasie długich godzin światła.

Szlak wiódł w małą kępę rozmaitej wielkości drzew, wyrastających wszędzie tam, gdzie odnajdywały szczeliny pomiędzy licznymi głazami. Drizzt zamierzał przejść prosto przez zagajnik

- nie widział żadnej innej możliwości poza kontynuowaniem ucieczki - kiedy jednak oparł się o jedno z większych drzew, by złapać oddech, naszła go myśl. Gałęzie drzewa były obwisłe, giętkie i przypominały sznury.

Drizzt spojrzął za siebie, na ścieżkę. Niemordowany gigant wzgórzowy parł przez odkryty obszar skały. Ręką, która wydawała się sprawna, drow wyciągnął sejmitar i ściał najdłuższą gałąź, którą mógł znaleźć. Następnie poszukał odpowiedniego kamienia.

Gigant wpadł do zagajnika mniej więcej pół godziny później, jedną ręką wymachując zamasyżycie swą wielką maczugą. Piwobrzuch zatrzymał się gwałtownie, gdy zza drzewa wyłonił się drow, blokując ścieżkę.

Drizzt niemal westchnął, gdy olbrzym przystanął, dokładnie w zamierzonym miejscu. Obawiał się, że wielki potwór będzie szedł dalej i go zaatakuje, ponieważ ze swymi ranami drow nie był w stanie stawić większego oporu. Wykorzystując chwilę wahania giganta, Drizzt krzyknął „Stój!” w języku goblinów i uaktywnił prosty czar, otaczając olbrzyma błękitnymi, nieszkodliwymi płomieniami, Piwobrzuch poruszył się niespokojnie, lecz nie skierował się w stronę tego dziwnego i niebezpiecznego przeciwnika. Drizzt spojrzął na przesuwające się stopy giganta z czymś więcej niż tylko niedbałym zainteresowaniem.

- Dlaczego za mną idziesz? - zapytał Drizzt. - Czy pragniesz przyłączyć się do pozostałych w śmiertelnym śnie?

Piwobrzuch przejechał mięsistym językiem po wyschniętych wargach. Jak na razie spotkanie nie przebiegało tak, jak tego oczekiwał. Gigant uznał teraz za przeszłość te instynktowne pragnienia, które go tutaj doprowadziły i próbował rozważyć inne możliwości. Ulgulu i Kempfana byli martwi, więc Piwobrzuch znów miał dla siebie jaskinię. Nie było już jednak również gnolli i goblinów, a także od jakiegoś czasu nie pojawiał się ten dokuczliwy mały szybcioszek. Giganta naszła nagła myśl.

- Przyjaciele? - spytał z nadzieją Piwobrzuch.

Choć Drizzt czuł ulgę, że może uda się uniknąć walki, był dość sceptycznie nastawiony do tej oferty. Banda gnolli złożyła mu podobną propozycję, która zakończyła się katastrofą, a gigant był wyraźnie powiązany z tymi potworami, które Drizzt właśnie zabił, tymi, które zamordowały wiejską rodzinę.

- Przyjaciele w jakim celu? - spytał z wahaniem Drizzt, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, mając nadzieję, że może to stworzenie jest motywowane przez jakieś zasady, nie tylko przez żądę krwi.

- Żeby zabijać - odpowiedział Piwobrzuch, jakby to było oczywiste.

Drizzt warknął i potrząsnął głową w pełnym złości proteście, powiewając swą białą czupryną. Wyszarpnął sejmitar z pochwy, nie przejmując się zbytnio tym, czy stopa giganta znalazła się w pętli jego pułapki.

- Zabijać ciebie! - krzyknął Piwobrzuch, widząc nagły zwrot akcji, po czym podniósł swą maczugę i wykonał wielki krok naprzód, krok, który został jednak skrócony przez giętką winorośl, zaciskającą się ciasno wokół jego kostki.

Drizzt powstrzymał pragnienie, by zaatakować, przypominając sobie, że pułapka została uruchomiona oraz to, że w jego obecnym stanie trudno mu będzie stawić czoła potężnemu gigantowi.

Piwobrzuch spojrzał na pętlę i zaryczał z wściekłości. Gałąź nie była tak elastyczna jak sznur i uścisk był dość luźny. Gdyby olbrzym po prostu sięgnął ręką, mógłby z łatwością zsunąć pętlę ze stopy. Giganci wzgórzowi nigdy jednak nie byli szczególnie znani ze swojej inteligencji.

- Zabijać ciebie! - krzyknął ponownie olbrzym i szarpnął mocno nogą. Pociągnięty przez zamasytę kopnięcie duży kamień przywiązany do drugiego końca gałęzi, za plecami giganta, przedarł się przez rośliny poszycia i podążył w powietrzu w stronę pleców Piwobrzucha.

Olbrzym zamierzał krzyknąć trzeci raz, lecz zamiast groźby rozległ się tylko odgłos nagle wypuszczanego powietrza. Ciężka maczuga upadła na ziemię, a gigant, trzymając się w okolicy nerek, padł na jedno kolano.

Drizzt wahał się przez chwilę, nie wiedząc czy uciekać, czy też dokończyć sprawę. Nie obawiał się o siebie, ponieważ gigant nie mógł wyruszyć za nim zbyt szybko, nie mógł jednak zapomnieć okrutnego grymasu na twarzy giganta, gdy potwór mówił o wspólnym zabijaniu.

- Jak wiele innych rodzin zabiłeś? - Drizzt spytał w języku drowów.

Piwobrzuch nie rozumiał tej mowy. Warknął tylko przez palący ból.

- Jak wiele? - powtórzył Drizzt, zaciskając dłoń na rękojeści seymitara i mrużąc groźnie oczy.

Zaatakował szybko i silnie.

\* \* \*

Ku ogromnej uldze Bensona Delmo drużyna z Sundabar - Dove Falconhand, jej trzej towarzysze wojownicy oraz Fret, krasnoludzki mędrzec - przybyli tego samego dnia. Sołtys zaproponował grupie jadło i odpoczynek, kiedy jednak Dove usłyszała o masakrze w gospodarstwie Thistledownów, zerwała się wraz ze swymi towarzyszami i ruszyła tam z trzymającą się niedaleko w tyle asystą złożoną z sołtysa, McGristle'a oraz kilku ciekawskich rolników.

Dove była wyraźnie rozczarowana, gdy w końcu przybyli do samotnego gospodarstwa. Setki śladów butów pokrywało oczywiste wskazówki, a wiele przedmiotów w domu, nawet ciała, zostało poruszonych i przesuniętych. Mimo to Dove i jej doświadczona kompania działali metodycznie, starając się zrozumieć z tej przerażającej sceny wszystko, co tylko było możliwe.

- Głupi ludzie! - Fret warknął na rolników, gdy Dove i pozostali zakończyli oględziny. - Pomogliście naszym wrogom!

Kilku wieśniaków, nawet sołtys, poruszyło się niespokojnie słysząc naganę, lecz Roddy

parsknął i stanął nad niskim krasno - ludem. Dove szybko się wtrąciła.

- Wasza wcześniejsza obecność tutaj zniszczyła niektóre wskazówki - wyjaśniła spokojnie, rozjemczo sołtysowi, wchodząc pomiędzy Freta a zwalistego trapera. Dove słyszała wcześniej wiele opowieści o Roddym McGristle i wiedziała, że przewidywalność czy spokój nie należą do jego najmocniejszych stron.

- Nie wiedzieliśmy - próbował się tłumaczyć sołtys.

- Oczywiście, że nie - odparła Dove. - Zareagowaliście, jak zrobiliby to każdy.

- Każdy nowicjusz - zauważył Fret.

- Zamknij się! - warknął McGristle, podobnie jak jego pies.

- Uspokój się, dobry panie - poprosiła go Dove. - Mamy zbyt wielu nieprzyjaciół za wioską, by potrzebować ich wewnątrz.

- Nowicjusz? - zagrział do niej McGristle. - Schwytałem stu mężczyzn i wiem wystarczająco dużo o tym cholernym drowie, by go znaleźć.

- Czy wiemy, że to był drow? - spytała Dove, szczerze wątpiąc.

Na skinięcie głowy Roddy'ego, stojący z boku pomieszczenia rolnik, wyciągnął złamany sejmitar.

- Broń drowów - powiedział szorstko Roddy, wskazując na swą poznaczoną bliznami twarz.

- Widziałem jaz bliska!

Jedno spojrzenie na poszarpaną ranę powiedziało Dove, że nie uczynił jej ostry sejmitar, jednak tropicielka zachowała dla siebie to spostrzeżenie, nie widząc sensu w dalszej kłótni.

- I ślady drowa - nalegał Roddy. - Odciski butów pasują do tych w kępie jagód, gdzie widzieliśmy drowa!

Spojrzenie Dove poprowadziło oczy pozostałych na stodołę. - Coś potężnego wyłamało te drzwi - stwierdziła. - A młodsza kobieta w środku nie została zabita przez żadnego mrocznego elfa.

Roddy pozostawał niewzruszony. - Drow ma zwierzaka - rzekł. - Wielką, czarną panterę. Cholernego wielkiego kota!

Dove pozostała podejrzliwa. Nie widziała śladów, które odpowiadałyby łapom pantery, zaś sposób, w jaki część kobiety została pożarta, z kośćmi, nie pasował do wiedzy, jaką dysponowała w kwestii wielkich kotów. Zachowała jednak te myśli dla siebie, ponieważ zdawała sobie sprawę, że opryskliwy traper nie chce, by jakieś tajemnice przysłoniły wyciągnięte już przez niego wnioski.

- Teraz, jeśli już napatrzyliście się na to miejsce, chodźmy na szlak - zagrział Roddy. - Mój pies złapał zapach, a drow już się mocno oddalił!

Dove spojrziała z troską na sołtysa, który odwrócił się zawstydzony jej przenikliwym wzrokiem.

- Roddy McGristle pójdzie z tobą - wyjaśnił Delmo, ledwo mogąc wycedzić te słowa i żałując, że kierowany emocjami zgodził się na układ z Roddym. Widząc opanowanie tropicielki i

jej drużyny, tak drastycznie odmienne od gwałtownego temperamentu trapera, sołtys sądził teraz, że byłoby lepiej, gdyby Dove i jej towarzysze poradzili sobie z sytuacją na swój własny sposób. Jednak umowa była umową.

- Jest jedynym z Maldobar, który dołączy do twojej drużyny - ciągnął Delmo. - Jest doświadczonym myśliwym i zna ten teren lepiej niż ktokolwiek.

Dove ponownie, ku niedowierzaniu Freta, przemilczała to stwierdzenie.

- Dzień się kończy - powiedziała Dove, po czym zwracając się do McGristle'a dodała - Wyruszymy z pierwszymi promieniami.

- Drow już jest za daleko! - zaprotestował Roddy. - Powinniśmy natychmiast za nim wyruszyć.

- Zakładasz, że drow biegnie - odparła Dove, znów spokojnie, lecz w jej głosie pojawiła się stanowczość. - Jak wiele trupów założyło tak niegdyś o swoich przeciwnikach? - Tym razem osłupiały Roddy nic nie odwarknął. - Drow albo banda drowów mogą być przyczajeni gdzieś w pobliżu. Czy chciałbyś się nagle na nich natknąć, McGristle? Czy chciałbyś walczyć z mrocznymi elfami podczas nocnych ciemności?

Roddy tylko podniósł ręce, warknął i odszedł ze swoim psem.

Sołtys zaproponował Dove i jej drużynie zakwaterowanie w swoim własnym domu, jednak tropicielka i jej towarzysze woleli pozostać w gospodarstwie Thistledownów. Dove uśmiechnęła się, gdy rolnicy zaczęli odchodzić, a Roddy rozłożył obóz zaledwie kawałek dalej, najwyraźniej po to, by mieć ją na oku. Zastanawiała się, jak wiele McGristle miał z tym wspólnego i podejrzewała, że chodzi o coś więcej niż tylko zemstę za szramy na twarzy i utratę ucha.

- Naprawdę pozwolisz tej bestii iść z nami? - zapytał jakiś czas później Fret, gdy on, Dove i Gabriel usiedli wokół ogniska rozpalonego na podwórzu. Elfi łucznik i pozostały członek grupy udali się na przegląd okolicy.

- To ich wioska, drogi Frecie - wyjaśniła Dove. - A ja nie mogę odmówić McGristle'owi znajomości tych terenów.

- Ale on jest taki brudny - jęknął krasnolud. Dove i Gabriel wymienili uśmiechy, a Fret, zdając sobie sprawę, że ten argument nigdzie go nie zaprowadzi, rozwinął swój śpiwór i wsunął się w niego, celowo odwracając od pozostałych.

- Dobry stary Quilldipper - mruknął Gabriel, lecz zauważył, że uśmiech Dove nie jest w stanie zakryć troski malującej się na jej twarzy.

- Masz problem, Pani Falconhand? - spytał.

Dove wzruszyła ramionami. - Niektóre rzeczy tu do niczego nie pasują - zaczęła.

- To nie pantera zabiła kobietę w stodole - zauważył Gabriel, ponieważ on również spostrzegł pewne nieścisłości.

- Ani też żaden drow nie zabił rolnika w kuchni, tego którego nazywali Bartłomiejem -

powiedziała Dove. - Belka, która złamała mu kark, niemal pękła na pół. Tylko gigant dysponuje taką siłą.

- Magia? - zapytał Gabriel.

Dove znów wzruszyła ramionami. - Magia drowów jest zazwyczaj bardziej subtelna, według naszego mędrca - rzekła, spoglądając na Freta, który już dość głośno chrapał. - I doskonalsza. Fret nie sądzi, aby to magia drowa zabiła Bartłomieja albo kobietę, czy też zniszczyła wrota do stodoły. Poza tym jest jeszcze jedna zagadka, jeśli chodzi o ślady.

- Dwa rodzaje - powiedział Gabriel - i powstały w przeciagu doby od siebie.

- I mają różne głębokości - dodała Dove. - Jeden rodzaj, ten drugi, może rzeczywiście być mrocznego elfa, jednak ślady zabójcy są zbyt głębokie jak na lekkie kroki elfa.

- Sprzymierzeniec drowa? - zaproponował Gabriel. - Może przywołany mieszkaniec jakiegoś niższego planu? Może mroczny elf przyszedł następnego dnia, by sprawdzić dzieło potwora? - Tym razem Gabriel dołączył do Dove w jej zakłopotanym wzruszeniu ramion.

- A więc się dowiemy - powiedziała Dove. Następnie Gabriel zapalił fajkę, a Dove odpłynęła w sen.

\* \* \*

- O - panie, mój - panie - mruknął Tephaniś, widząc groteskową sylwetkę połamanego, w połowie przekształconego barghesta. Szybcioszek nie dbał aż tak bardzo o Ulgulu lub jego brata, jednak ich śmierć nałożyła pewne poważne konsekwencje na przyszłość skrzata. Tephaniś dołączył do grupy Ulgulu dla wspólnego zysku. Zanim pojawiły się barghesty, mały skrzat spędzał swoje dni w samotności. Wszystko zawdzięczał tylko sobie, lecz jego egzystencja była samotna i nieciekawa.

Ulgulu zmienił to wszystko. Armia barghesta oferowała ochronę i towarzystwo, zaś Ulgulu, zawsze pragnący nowych i bardziej diabelskich morderstw, wiecznie dawał Tephaniśowi ważne misje.

Teraz szybcioszek musiał odejść od tego wszystkiego, ponieważ Ulgulu nie żył, Kempfana nie żył, a Tephaniś nie mógł zrobić nic, co zmieniłoby te proste fakty.

- Piwobrzuch? - zapytał się nagle szybcioszek. Pomyślał, że gigant wzgórzowy, jedyny, którego brakowało w legowisku, może okazać się dobrym towarzyszem. Tephaniś widział wyraźnie ślady giganta, oddalające się od okolic jaskini i biegnące głęboko w góry. Klasnął z podnieceniem dłońmi, chyba ze sto razy w ciągu jednej sekundy, po czym szybko wyruszył, by odnaleźć nowego przyjaciela.

\* \* \*

Wysoko w górach Drizzt Do'Urden po raz ostatni spojrział na światła Maldobar. Odkąd drow zszedł ze szczytów po nieprzyjemnym spotkaniu ze skunksem, odkrywał świat dzikości niemal równy tej mrocznej krainie, którą pozostawił za sobą. Wszelkie nadzieje, które Drizzt żywił

podczas dni spędzonych na obserwowaniu rolniczej rodziny, były teraz dla niego stracone, pogrzebane pod ciężarem winy i przerażających obrazów ofiar morderstwa, które, czego był pewien, będą go wiecznie nawiedzać.

Fizyczny ból drowa trochę zelżał i mógł już w pełni zaczerpywać powietrza, choć wysiłek ten wciąż był dotkliwy, zaś rany na ramionach i nogach zasklepiły się. Przeżyje.

Spoglądając na Maldobar, kolejne miejsce, którego nigdy nie nazwie domem, Drizzt zastanawiał się, czy mogłoby okazać się dla niego dobre.

## 9

### POŚCIG

- Co to jest? - spytał Fret, ostrożnie przechodząc za fałdy zielonej niczym las peleryny Dove.

Dove, a nawet Roddy, również szli z wahaniem, ponieważ choć stwór wyglądał na martwego, nigdy nie widzieli niczego, co byłoby do niego podobne. Wyglądało jak jakaś dziwna, gigantyczna mutacja goblina i wilka.

Nabrali odwagi, gdy zbliżyli się do ciała, ponieważ przekonali się, że naprawdę nie żyje. Dove przyklękła i dźgnęła je mieczem.

- Jest martwe od ponad dnia, według mnie - obwieściła. - Ale co to jest? - spytał znów Fret.

- Mieszaniec - mruknął Roddy.

Dove przyjrzała się bliżej dziwnym stawom stwora. Zauważyła również liczne rany, jakie owa istota otrzymała, rozdarcia, jakby spowodowane przez wielkiego kota.

- Zmiennokształtny - zgadł Gabriel, mając baczenie na okolicę. Dove przytaknęła. - Zabity w połowie przemiany.

- Nigdy nie słyszałem o żadnych goblinach czarownikach - zaprotestował Roddy.

- Och tak - zaczął Fret, wygładzając rękawy swej miękkiej tuniki. - Był taki, oczywiście, Grubby Bezmyślny, udawany arcymag, który...

Dobiegający z góry gwizd przerwał krasnoludowi. Na półce skalnej stał Kellindil, elfi łucznik, wymachując rękoma. - Tu jest więcej - zawołał elf, gdy zwrócił już ich uwagę. - Dwa gobliny i czerwonoskóry gigant, nigdy takiego nie widziałem!

Dove przyjrzała się klifowi. Uznała, że może się na niego wspiąć, lecz jedno spojrzenie na biednego Freta powiedziało jej, że będą musieli wrócić na szlak i pokonać niemal dwa kilometry. - Zostań tutaj - powiedziała do Gabriela. Mężczyzna o niewzruszonej twarzy przytaknął i zajął obronną pozycję pośród głazów, zaś Dove, Roddy i Fret ruszyli w drogę.

W połowie wąskiej, krętej ścieżki, która wiła się po klifie, spotkali Darde, drugiego wojownika z drużyny. Niski i silnie umięśniony mężczyzna drapał się w krzaczastą brodę i oglądał coś, co wyglądało na lemiesz od pługa.

- To Thistledowna! - krzyknął Roddy. - Widziałem to u niego, gotowy do naprawy!

- Dlaczego jest tutaj? - spytała Dove.

- I dlaczego jest zakrwawione? - dodał Darda, pokazując ślady po wklęsłej stronie.

Wojownik zerknął za krawędź przepaści, po czym znów na lewysz. - Jakieś nieszczęsne stworzenie musiało w to mocno uderzyć - zamyślił się Darda - a później pewnie spadło na dół.

Wszystkie oczy skierowały się na Dove, gdy tropicielka odgarnęła gęste włosy z twarzy, ujęła podbródek w delikatną, lecz silną dłoń i próbowała przedrzeć się przez najnowszą zagadkę. Było jednak za mało wskazówek i chwilę później Dove opuściła ze zrezygnowaniem ręce i ruszyła dalej ścieżką. Szlak zakręcał i oddalał się od klifu, gdy zbliżał się do czubka, lecz Dove podeszła do krawędzi, dokładnie ponad miejscem, w którym pozostawili Gabriela. Wojownik zobaczył ją natychmiast i machnięciem ręki przekazał tropicielce, że na dole wszystko w porządku.

- Chodźcie - poprosił ich Kellendil i wprowadził drużynę do jaskini. Dove znalazła odpowiedzi na niektóre pytania, gdy spojrzała na pobojuwisko w wewnętrznym pomieszczeniu.

- Szczęnię barghesta! - oznajmił z przejęciem Fret, patrząc na szkarłatnoskóre, gigantyczne zwłoki.

- Barghesta? - spytał oszołomiony Roddy.

- Oczywiście - pisał Fret. - To wyjaśnia wilkoolbrzyma na dnie przepaści.

- Spadł podczas przemiany - stwierdził Darda. - Jego liczne rany i kamienne podłoże pokonały go, zanim zdążył ją skończyć.

- Barghest? - powtórzył Roddy, tym razem gniewnie, bowiem nie podobało mu się, że został wyłączony z dyskusji, której nie rozumiał.

- Stworzenie z innego planu egzystencji - wyjaśnił Fret. - Gehenna, jak mówią plotki.

Barghesty wysyłają swoje szczeniaki na inne plany, czasami na nasz, by się pożywiały i rosły. -

Przerwał na chwilę, zamyśliwszy się. - By się pożywiały - powtórzył, zwracając się do pozostałych.

- Kobieta w stodole! - rzekła pewnym głosem Dove. Członkowie jej drużyny przytaknęli głowami, zgadzając się z nagłym objawieniem, lecz ponury McGristle uparcie trzymał się swojej teorii. - Drow ich zabił! - warknął.

- Czy masz połamany sejmitar? - spytała Dove. Roddy wyciągnął broń z jednej z licznych fałd w swoim wielowarstwowym skórzanym ubiorze.

Dove wzięła broń i przyklękła, by przyjrzeć się martwemu barghestowi. Ostrze bezbłędnie pasowało do ran stwora, zwłaszcza tej śmiertelnej, w gardle potwora.

- Powiedziałaś, że drow miał takie dwa - stwierdziła Dove, podając mu sejmitar.

- Sołtys tak powiedział - sprostował Roddy - a tak opowiedział syn Thistledowna. Gdy ja widziałem drowa... - wziął broń - miał tylko jeden, ten którego użył do zabicia klanu Thistledownów! - Roddy celowo nie nadmienił, że drow, choć trzymał tylko jedną broń, miał zawieszony u pasa dwie pochwy na sejmitary.



Dove potrząsnęła głową, wątpiąc w jego teorię. - Drow zabił barghesta - powiedziała. - Rany pasują do ostrza, siostrzanego ostrza tego, które trzymasz, jak jestem skłonna przypuszczać. Jeśli zaś sprawdzisz goblina w przedsionku, zauważysz, że ich gardła zostały rozcięte przez podobny zakrzywiony sejmitar.

- Jak rany na Thistledownach! - parsknął Roddy.

Dove uznała, że lepiej zachować budowaną właśnie hipotezę dla siebie, jednak Fret, nie lubiący wielkiego człowieka, wypowiedział myśli wspólne dla wszystkich, poza McGristlem. - Zabitych przez barghesta - obwieścił krasnolud, przypominając sobie dwa zestawy śladów stóp na podwórzu. - Pod postacią drowa!

Roddy spojrział na niego, a Dove zmierzyła Freta groźnym spojrzeniem, chcąc, by krasnolud się uciszył. Fret jednak mylnie zinterpretował spojrzenie tropicielki, uznając je za zdumienie wywołane jego zdolnościami dedukcji, więc z dumą kontynuował - To wyjaśnia dwa rodzaje śladów, cięższe należące do bar...

- Ale co ze stworem w przepaści? - Darda spytał Dove, dostrzegając pragnienie swej przywódczyni, by Fret się zamknął. - Czyjego rany też pasują do zakrzywionego ostrza?

Dove rozmyślała przez chwilę i zdołała wykonać subtelne skinienie, wyrażające jej wdzięczność wobec Dardy. - Może niektóre - odpowiedziała. - Bardziej prawdopodobne jest to, że barghest został zabity przez panterę... - spojrzała bezpośrednio na Roddy'ego - kota, którego jak twierdzisz, posiadał drow.

Roddy kopnął martwego barghesta. - Drow zabił klan Thistledownów! - warknął. Przez mrocznego elfa Roddy stracił psa oraz ucho i nie zaakceptuje żadnych wniosków, które zmniejszyłyby jego szansę na zdobycie dwóch tysięcy sztuk złota nagrody, którą ufundował sołtys.

Dyskusję zakończył krzyk spoza jaskini - który ucieszył zarówno Dove, jak i Roddy'ego. Po wprowadzeniu grupy do legowiska Kellindil wrócił na zewnątrz, podążając za dalszymi wskazówkami, które odkrył.

- Ślad buta - wyjaśnił elf, wskazując na małą kępkę mchu, gdy pozostali wyszli. - I tutaj - pokazał im zadrapania na kamieniach, wyraźne ślady szamotaniny.

- Uważam, że drow podszedł do krawędzi - wyjaśnił Kellindil. - A później ją przekroczył, być może w pogoni za barghestem i panterą, choć w tym momencie to już tylko przypuszczenia.

Po chwili podążania za tropem, który zrekonstruował Kellindil, Dove i Darda, a nawet Roddy, zgodzili się z jego przypuszczeniami.

- Powinniśmy wrócić na dół - zasugerowała Dove. - Może znajdziemy jakiś ślad wychodzący z rozpadliny, który zaprowadzi nas do jakichś wyraźniej szych odpowiedzi.

Roddy podrapał się w strupy na głowie i skierował na Dove pogardliwe spojrzenie, które ujawniało jej wszystkie jego odczucia. Roddy nie dbał ani trochę o obiecanie przez tropicielkę „wyraźniejsze odpowiedzi”, bowiem wszystkie potrzebne wnioski wysnuł już dawno temu. Roddy

był zdeterminowany - a Dove wiedziała, że zdecydowanie to wykracza poza wszystko - pragnął wrócić z głową mrocznego elfa.

Dove Falconhand nie była tak przekonana co do tożsamości mordercy. Pozostało jeszcze wiele pytań, zarówno dla tropicielki, jak i dla pozostałych członków jej drużyny. Dlaczego drow nie zabił dzieci Thistledownów, gdy spotkali się wcześniej w górach? Jeśli to, co Connor opowiedział sołtysowi było prawdą, to dlaczego drow oddał młodzieńcowi broń? Dove była mocno przekonana, że to barghest, a nie drow, zabił rodzinę Thistledownów, lecz dlaczego drow udał się na poszukiwanie legowiska barghesta?

Czy drow sprzymierzył się z barghestami we wspólnocie, która szybko osłabła? Jeszcze bardziej intrygujące dla tropicielki - której celem życiowym była ochrona ludności w niekończącej się wojnie pomiędzy dobrymi rasami a potworami - było to, czy drow szukał barghesta, by pomścić zabójstwa Thistledownów? Dove sądziła, że to ostatnie przypuszczenie jest prawdą, jednak nie mogła zrozumieć motywacji drowa. Czy zabijając rodzinę barghestów, postawił rolników z Maldobar w stan czujności, udaremniając w ten sposób planowany najazd drowów?

Poszczególne części znowu do siebie nie pasowały. Jeśli mroczne elfy planowały najazd na Maldobar, to z pewnością żaden z nich by się wcześniej nie ujawnił. Coś we wnętrzu Dove mówiło jej, że ten drow działał sam, przyszedł tu i pomścił zabitych rolników. Wzruszyła ramionami, otrząsając się z tej myśli, jakby była sztuczką jej optymizmu i przypomniała sobie, że mroczne elfy rzadko wykazywały się tak typowymi dla tropicieli czynami.

W momencie gdy cała piątka zeszła w dół wąską ścieżką i wróciła w pobliże największych zwłok, Gabriel znalazł już trop, idący głębiej w góry. Wyraźne były dwa ślady, drowa oraz świeższy, należący do giganta, dwunożnego stworzenia, być może trzeciego barghesta.

- Co stało się z panterą? - spytał Fret, stając się trochę przytłoczony swoją pierwszą terenową ekspedycją od wielu lat.

Dove roześmiała się głośno i potrząsnęła bezradnie głową. Każda odpowiedź wydawała się przynosić tak wiele następnych pytań.

\* \* \*

Drizzt poruszał się również w nocy, uciekając, jak to robił przez tak wiele lat, od kolejnej ponurej rzeczywistości. Nie zabił rolników - uratował ich wręcz przed bandą gnolli - ale teraz byli martwi. Drizzt nie mógł uciec przed tym faktem. Wkroczył w ich życie z własnej woli, a teraz byli martwi.

Drugiej nocy po spotkaniu z gigantem wzgórzowym Drizzt, daleko w dole, ujrzał ogień obozowiska, od strony legowiska barghesta. Wiedząc, że widok ten jest czymś więcej niż tylko zbiegiem okoliczności, drow przyzwał do swego boku Guenhwyvar, po czym wysłał panterę na dół, by lepiej się przyjrzała.

Wielka kocica biegła bez śladu zmęczenia, a jej czarna sylwetka była niewidoczna w

wieczornych cieniach, gdy szybko zmniejszała odległość do obozu.

\* \* \*

Dove i Gabriel odpoczywali swobodnie przy swoim ognisku, zachwyceni ciągłymi dziwactwami Freta, który był teraz zajęty czyszczeniem swego miękkiego kaftana szczoteczką! przez cały czas coś do siebie mamrotał.

Roddy oddalił się, po czym wcisnął w szczelinę pomiędzy przewróconym drzewem a dużym głazem, a u jego stóp zwinął się pies.

- Och, przeklęty niech będzie ten pył - jęknął Fret. - Nigdy, nigdy nie wyczyszczę tego odzienia! Będę musiał kupić sobie nowe. - Spojrzał na Dove, która bezskutecznie starała się zachować beznamiętną twarz. - Śmieję się, jeśli chcesz, Pani Falconhand - przestrzegł krasnolud. - Zapłata będzie pochodzić z twojej sakiewki, nie wątp w to!

- Smutnym jest dzień, kiedy trzeba kupować stroje dla krasnoluda - wtrącił się Gabriel, zaś Dove słysząc jego słowa, wybuchła śmiechem.

- Śmieję się, jeśli chcesz! - powtórzył Fret, po czym zaczął mocniej poruszać szczotką, wydzierając dziurę w materiale. - Zatrącenie i licho - zaklął, a następnie rzucił szczotkę na ziemię.

- Zamknijcie się! - burknął na nich Roddy, pozbawiając ich radości. - Chcecie na nas sprowadzić drowa?

Spojrzenie Gabriela było stanowcze, lecz Dove zdała sobie sprawę, że rada traperów, choć opryskliwie przekazana, była słuszna. - Odpocznijmy, Gabrieli - tropicielka powiedziała do swego towarzysza. - Wkrótce wrócą Darda i Kellendil, a wtedy nadejdzie dla nas kolej na wartę. Spodziewam się, że jutrzejsza droga będzie nie mniej męcząca - spojrzała na Freta i mrugnęła okiem - i nie mniej brudna niż dzisiejsza.

Gabriel wzruszył ramionami, wsunął fajkę w usta i założył ręce za głowę. To było życie, które cieszyło jego oraz pozostałych towarzyszy, obozowanie pod gwiazdami, z pieśnią gór w uszach.

Fret jednak wiercił się i obracał na twardym podłożu, jęcząc i pomrukując, gdy przechodził przez kolejną niewygodną pozycję.

Gabriel nie musiał spoglądać na Dove, by wiedzieć, że podziela jego uśmiech. Nie potrzebował też zerkać na Roddy'ego, by wiedzieć, że traper złości się nieustannym hałasem. Bez wątplenia wydawał się nieznaczny dla uszu mieszkającego w mieście krasnoluda, lecz dźwięczał wyraźnie dla tych, którzy bardziej przywykli do drogi.

Z ciemności doszedł gwizd w tej samej chwili, gdy pies Roddy'ego postawił sierść i warknął.

W przeciągu sekundy Dove oraz Gabriel wstali i ruszyli na skraj światła ogniska, w stronę wezwania Dardy. Roddy również pociągnął swego psa za sobą i wślizgnęli się za duży głaz, poza bezpośrednim światłem, by ich oczy mogły się przyzwyczaić do mroku.

Zbyt zajęty własnymi niewygodami Fret dopiero po chwili zauważył ich ruchy. - Co? - krasnolud spytał z ciekawością. - Co?

Po krótkiej i szeptanej rozmowie z Dardą Dove i Gabriel rozdzielili się otaczając obóz, by upewnić się co do bezpieczeństwa okolicy.

- Drzewo - dobiegł cichy szept i Dove przykucnęła. Po chwili odnalazła Roddy'ego, przemyślnie ukrytego pomiędzy gałęziem a jakimś krzakiem. Wielki mężczyzna również naszykował broń, zaś w drugiej dłoni trzymał mocno kaganiec psa, uciszając zwierzę.

Dove podążyła wzrokiem za spojrzeniem Roddy'ego ku szerokim gałęziom samotnego wiązu. Z początku tropicielka nie mogła dostrzec niczego niezwykłego pomiędzy liśćmi, jednak po chwili pojawił się żółty błysk kocich oczu.

- Pantera drowa - wyszeptała Dove, a Roddy przytaknął. Siedzieli bez ruchu i obserwowali, wiedząc, że najmniejsze poruszenie może spłoszyć kota. Kilka sekund później dołączył do nich Gabriel, nieruchomiejąc i podążając za ich wzrokiem do tej samej ciemnej plamy na wiązie. Wszyscy trzej wiedzieli, że w tej chwili ich sprzymierzeńcem jest czas, bez wątpienia teraz nawet Darda i Kellindil zajmowali pozycje.

Bez wątpienia schwytałiby Guenhwyvar w potrzask, lecz chwilę później z obozu wytoczył się krasnolud, wpadając prosto na Roddy'ego. Traper niemal się przewrócił, a gdy instynktownie odrzucił broń, by się przytrzymać, jego pies rzucił się naprzód, dziko ujadając.

Niczym strzała o czarnym drzewcu pantera wyskoczyła z drzewa i zniknęła w mroku. Los jednak nie sprzyjał Guenhwyvar, ponieważ pędziła wprost na pozycję Kellindila i obdarzony bystrym wzrokiem elfi łucznik widział ją wyraźnie.

Kellindil słyszał szczekanie i krzyki w oddali, w obozie, lecz nie miał sposobu, by dowiedzieć się, co się stało. Wszelkie odczuwane przez elfa wahanie zniknęło jednak szybko, gdy rozległ się wyraźnie jeden głos.

- Zabij tę morderczą istotę! - krzyknął Roddy.

Sądząc, że pantera, albo też jej towarzysz drow zaatakowali obóz, Kellindil wypuścił strzałę. Zaklęty pocisk wbił się głęboko w bok przemykającej obok pantery.

Następnie rozległ się, łajający Roddy'ego, krzyk Dove.

- Nie! - wrzasnęła tropicielka. - Pantera nie zrobiła nic, by zasłużyć sobie na nasz gniew!

Kellindil stanął na tropie pantery. Swymi czułymi elfimi oczyma, widzącymi w podczerwieni, wyraźnie dostrzegał ciepło krwi znaczącej miejsce trafienia, oddalające się od obozu.

Dove i pozostali dobiegli do niego chwilę później. Elfie rysy Kellindila, zawsze kształtne i piękne, wydawały się zaostrić, gdy jego rozwścieczone spojrzenie padło na Roddy'ego.

- Zmyliłeś mój strzał, McGristle - powiedział ze złością. - Dzięki twoim słowom strzeliłem do stworzenia, które nie zasłużyło sobie na pocisk. Ostrzegam cię raz, i tylko raz, żebyś nigdy już tego nie powtórzył! - Spojrzawszy jeszcze ostatni raz na traperą, by uzmysłwić mu znaczenie

swoich słów, Kellindil ruszył krwawym tropem.

W Roddym zapłonęły gniewne ognie, lecz zduślił je rozumiejąc, że jest sam przeciwko tej potężnej czwórce i małemu krasnoludowi. Roddy opuścił jednak spojrzenie na Freta wiedząc, że żadne z pozostałych nie może się sprzeciwić jego stanowisku.

- Trzymaj język za zębami, gdy zbliża się niebezpieczeństwo! - warknął Roddy. - I trzymaj swoje śmierdzące buty z dala od moich pleców!

Fret rozejrzał się z niedowierzaniem, gdy drużyna zaczęła ruszać za Kellindilem. - Śmierdzące? - spytał głośno krasnolud. Spojrzał w dół, zraniony, na swoje doskonale wypolerowane buty.

- Śmierdzące? - powiedział do Dove, która przystanęła, by uśmiechnąć się do niego pokrzepiająco. - Zabrudzone przez jego plecy, należałoby powiedzieć!

\* \* \*

Guenhwyvar dokuśtykała z powrotem do Drizzta krótko po tym, jak pierwsze promienie słońca przedarły się ponad wschodnimi górami. Drizzt potrząsnął bezradnie głową. Nie był zaskoczony strzałą wystającą Guenhwyvar z boku. Z wahaniem, lecz wiedząc, że to słuszna droga, Drizzt wyciągnął sztylet, który zabrał szybcioszkowi, i wyciął pocisk.

Guenhwyvar warczała cicho w trakcie operacji, lecz leżała spokojnie i nie stawiała oporu. Następnie Drizzt, choć chciał zatrzymać panterę u swego boku, pozwolił jej wrócić do swego astralnego domu, gdzie rana mogła się szybciej zagoić. Strzała powiedziała drowowi wszystko, co musiał wiedzieć o swoich prześladowcach i sądził, że zbyt szybko będzie znów potrzebował pantery. Stał na skalistym wyniesieniu i poprzez narastającą jasność przyglądał się niższemu szlakom, oczekując nadejścia kolejnego przeciwnika.

Nie zobaczył oczywiście nikogo. Nawet będąc ranna, Guenhwyvar z łatwością przegoniła pościg i dla człowieka lub podobnej istoty obóz był oddalony o wiele godzin drogi.

Drizzt wiedział jednak, że przyjdą, zmuszą go do następnej walki, której nie chciał. Drow rozejrzał się zastanawiając, jakie diabelskie pułapki może na nich zastawić, jaką przewagę może uzyskać, gdy spotkanie przejdzie do ciosów.

W myśli Drizzta wkradły się natychmiast wspomnienia z jego ostatniego zetknięcia z ludźmi, z mężczyzną z psami oraz innymi rolnikami. W tym przypadku walka została wszczęta w wyniku niezrozumienia, bariery, co do której Drizzt wątpił, że kiedykolwiek ją pokona. Drow nigdy nie odczuwał pragnienia walki z ludźmi i nie było tak również teraz, pomimo rany Guenhwyvar.

Światło jaśniało i wciąż ranny drow, choć odpoczywał przez noc, chciał znaleźć jakąś ciemną i wygodną jamę. Nie mógł sobie jednak pozwolić na opóźnienia, nie, jeśli chciał się wysforować przed nadchodzącą walką.

- Jak daleko za mną pójdziecie? - Drizzt wyszeptał do porannego wietrzyku. Następnie rzekł ponurym, lecz pełnym determinacji tonem - Zobaczmy.

**KWESTIA HONORU**

- Pantera znalazła drowa - stwierdziła Dove, gdy wraz z towarzyszami poświęciła trochę czasu na zbadanie okolicy w pobliżu skalnego wyniesienia. Na ziemi leżała złamana strzała Kellindila, mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie urywał się trop kota. - A później pantera zniknęła.

- Na to wygląda - zgodził się Gabriel, drapiąc się w głowę i spoglądając na zagadkowy trop.

- Piekielny kot - warknął McGristle. - Wrócił do swojego brudnego domu!

Fret chciał zapytać - Twojego domu? - lecz rozsądnie zachował tę sarkastyczną myśl dla siebie.

Pozostali również nie zareagowali na stwierdzenie trapera. Nie znali odpowiedzi na tę zagadkę i pomysł Roddy'ego był równie dobry, jak każdy inny. Ranna pantera i krew zniknęły, lecz pies Roddy'ego szybko znalazł zapach Drizzta. Ujadając z podniecenia, pies poprowadził ich dalej, zaś Dove i Kellindil, oboje doświadczeni w tropieniu, często natykali się na inne dowody, które potwierdzały słuszność tego kierunku.

Trop prowadził wzdłuż podstawy góry, zanurzał się w gęsto ściśnięte drzewa i ciągnął dalej, przez obszar nagiego kamienia, kończąc raptownie przy kolejnej rozpadlinie. Pies Roddy'ego podszedł do krawędzi i zszedł na pierwszy stopień kamienistego, zdradliwego szlaku.

- Cholerna magia drowów - mruknął Roddy. Rozejrzał się i uderzył pięścią w udo zgadując, że sporo czasu zajmie im pokonanie stromej ściany.

- Światło gaśnie - rzekła Dove. - Rozbijmy tu obóz i zejdźmy na dół o poranku.

Gabriel i Fret przytaknęli, lecz Roddy się sprzeciwił - Trop jest teraz świeży! - spierał się traper. - Powinniśmy sprowadzić psa na dół i podjąć pościg, a przynajmniej dopiero na dole rozbić obóz.

- To może trwać godzi... - zaczął protestować Fret, lecz Dove uciszyła niskiego krasnoluda.

- Chodźcie - tropicielka poprosiła pozostałych i ruszyła na zachód, gdzie wprawdzie teren opadał stromo, jednak można było tamtędy zejść.

Dove nie zgadzała się z rozumowaniem Roddy'ego, nie chciała jednak dalszych kłótni z wyznaczonym przez Maldobar reprezentantem wioski.

Na dnie rozpadliny znaleźli jeszcze więcej zagadek. Roddy szczuł swego psa w każdym kierunku, lecz nie mógł odnaleźć śladu ulotnego drowa. Po wielu minutach rozmyślań w umyśle Dove rozbłysła iskierka prawdy, a jej uśmiech ujawnił wszystko jej bardziej doświadczonym towarzyszom.

- Wykiwał nas! - zaśmiał się Gabriel, odgadując powód wesołości Dove. - Podprowadził nas do klifu, wiedząc że założymy, iż zastosuje jakąś magię, by zejść na dół!

- O czym ty mówisz? - spytał gniewnie Roddy, choć doświadczony łowca nagród dokładnie rozumiał, co się stało.

- Chodzi ci o to, że mamy wspiąć się tam z powrotem? - spytał żałośnie Fret.

Dove znów się zaśmiała, lecz spoważniała nagle, gdy spojrzała na Roddy'ego, po czym powiedziała - O poranku.

Tym razem traper się nie sprzeciwił.

W chwili gdy rozpoczynał się następny świt, grupa dotarła już na szczyt rozpadliny i Roddy znów umieścił swego psa na tropie Drizzta, cofając się za zapachem do skalistego wyniesienia, gdzie zwierzę podjęło go na początku. Sztuczka była prosta, jednak wszystkich doświadczonych łowców dręczyło to samo pytanie: w jaki sposób drow opuścił swój trop na tyle umiejętnie, by całkowicie ogłupić psa? Gdy znów dotarli do gęsto rosnących drzew, Dove знаła już odpowiedź.

Skinęła głową do Kellindila, który zdejmował już swój ciężki plecak. Zwinny elf znalazł nisko rosnącą gałąź i wspiął się na drzewo, szukając ewentualnych dróg, którymi mógł się udać drow. Gałęzie wielu drzew splatały się ze sobą, tak więc możliwości było sporo, jednak po chwili Kellindil skierował Roddy'ego i jego psa na nowy trop, wychodzący z boku zagajnika i otaczający podstawę góry, kierując się z powrotem do Maldobar.

- Wioska! - krzyknął zaniepokojony Fret, lecz pozostali nie wyglądali na zatroskanych.

- Nie wioska - stwierdził Roddy, zbyt zaintrygowany, by utrzymywać gniewny ton. Jako łowca nagród Roddy zawsze doceniał wartościowego przeciwnika, przynajmniej podczas pościgu. - Strumień - wyjaśnił Roddy, uważając, że odgadł już, o co chodziło mrocznemu elfowi. - Drow skierował się do strumienia, chce iść obok niego aż do przełomu, znów w bardziej dzikie tereny.

- Drow jest sprytnym przeciwnikiem - zauważył Darda, całym sercem zgadzając się z konkluzjami Roddy'ego.

- A teraz ma nad nami przynajmniej dzień przewagi - rzekł Gabriel.

Gdy przebrzmiało pełne niesmaku westchnięcie Freta, Dove zaoferowała krasnoludowi trochę nadziei. - Nie obawiaj się - powiedziała. - My jesteśmy dobrze zaopatrzeni, ale drow nie. Musi zatrzymać się, by polować, a my możemy iść dalej.

- Będziemy spać tylko wtedy, gdy będzie to konieczne! - wtrącił Roddy, nie chcąc być spowalniany przez innych członków grupy. - 1 krótko!

Fret znów westchnął ciężko.

- Natychmiast zaczniemy racjonować nasze zapasy - dodała Dove, zarówno po to, by przypochlebić się Roddy'emu i dlatego, że uważała to za istotne. - Będziemy się przykładac, aby zbliżyć się do drowa. Nie chcę żadnych opóźnień.

- Racjonować - wymamrotał pod nosem Fret. Westchnął trzeci raz i położył dłoń na brzuchu. Jakże mocno krasnolud żałował, że nie jest w swoim przyjemnym małym pokoju w zamku Helma w Sundabar!

\* \* \*

Drizztowi chodziło tylko o to, by wchodzić głębiej w góry, dopóki podążająca za nim grupa nie straci serca do pościgu. Utrzymywał taktykę mylenia kierunku, często zawracał i wchodził na drzewa, by rozpocząć nowy trop w zupełnie innym kierunku. Liczne górskie strumienie zapewniały dalsze bariery dla zapachu, lecz prześladowcy Drizzta nie byli nowicjuszami, zaś pies Roddy'ego był równie dobry, jak rasowy ogar. Nie tylko trzymali się tropu Drizzta, lecz również zmniejszyli dystans przez następne kilka dni.

Drizzt wciąż wierzył, że może im się wymknąć, lecz ich ciągle zbliżanie się sprowadzało na drowa inne, bardziej subtelne troski. Nie zrobił niczego, czym zasłużyłby sobie na tak uparty pościg, wręcz pomścił śmierć rodziny rolników. Pomimo zaś uczynionej w złości przysięgi, że odejdzie sam, że nie sprowadzi już na nikogo niebezpieczeństwa, samotność była dla niego zbyt bliską towarzyszką od zbyt wielu lat. Nie mógł nic poradzić na to, że ogląda się przez ramię, z ciekawości a nie strachu, a tęsknota nie zmniejszała się.

W końcu Drizzt nie mógł powstrzymać ciekawości wobec grupy prześladowców. Owa ciekawość, jak Drizzt zdał sobie sprawę, obserwując pewnej ciemnej nocy sylwetki poruszające się wokół obozu, mogła przyczynić się do jego zguby. Mimo to wniosek ten dotarł do drowa zbyt późno, by mógł coś z nim zrobić. Jego potrzeby pociągnęły go w tył, a teraz ogień obozowiska ścigających go majaczył zaledwie dwadzieścia metrów dalej.

Rozmowa pomiędzy Dove, Fretem a Gabrielem poruszała czułe struny w sercu Drizzta, choć nie rozumiał ich słów. Odczuwane przez drowa pragnienie wejścia do obozu zostało jednak powstrzymane, gdy w kręgu światła przycupnął Roddy i jego niezbyt dobrze wychowany pies. Drizzt wiedział, że ci dwaj nie będą chcieli słuchać żadnych wyjaśnień.

Drużyna wystawiła dwóch strażników, elfa oraz wysokiego człowieka. Drizzt przemknął się obok człowieka, słusznie odgadując, że mężczyzna nie czuje się w ciemności tak dobrze jak elf. Teraz jednak drow, wbrew wszelkiej ostrożności, przedzierał się na drugą stronę obozu, w stronę elfiego wartownika.

Do tej pory Drizzt jedynie raz spotkał swych kuzynów z powierzchni. Było to straszne wydarzenie. Najazd, w którym Drizzt służył za zwiadowcę, zakończył się rzezią. Został zamordowany każdy członek grupy elfów z powierzchni, oprócz jednej dziewczynki, którą Drizzt zdołał ukryć. Kierowany tymi nawiedzającymi go wspomnieniami, Drizzt potrzebował znów zobaczyć elfa, żyjącego elfa.

Kellindil zauważył, że ktoś jest w okolicy dopiero, gdy obok jego piersi gwizdnął mały sztylet, zgrabnie zrywając mu cięciwę. Elf obrócił się natychmiast i spojrzał w lawendowe oczy drowa. Drizzt stał zaledwie kilka kroków dalej.

Czerwony błysk w oczach Kellindila wskazywał, że ogląda Drizzta w spektrum podczerwieni. Drow skrzyżował ręce na piersi w powszechnym dla Podmroku geście pokoju.



- W końcu się spotkaliśmy, mój mroczny kuzynie - wyszeptał ostro Kellindil w mowie drowów. Jego głos zahaczał wyraźnie o złość, a świecące oczy zmrużyły się groźnie. Szybko niczym kot Kellindil wyciągnął zza pasa wspaniale wykuty miecz, którego ostrze zapłonęło czerwonym ogniem.

Drizzt był zdumiony i pełen nadziei, gdy usłyszał, że elf mówi jego językiem, a także tym prostym faktem, że nie odezwał się na tyle głośno, by zaalarmować obóz. Elf z powierzchni był rozmiarów Drizzta i miał podobne, ostre rysy, lecz jego oczy były węższe, zaś złote włosy nie tak długie i gęste jak biała czupryna Drizzta.

- Jestem Drizzt Do'Urden - zaczął z wahaniem Drizzt.

- Nie obchodzi mnie ani trochę, jak cię zwą! - odwar knął Kellindil. - Jesteś drowem. To wszystko co potrzebuję wiedzieć! Chodź więc, drowie. Chodź, zobaczmy, kto jest silniejszy!

Drizzt nie wyciągnął jeszcze swego ostrza i nie miał zamiaru tego robić. - Nie chcę z tobą walczyć... - Drizzt zawiesił głos, zdając sobie sprawę, że jego słowa są bezskuteczne wobec ogromnej nienawiści, jaką żywił do niego elf z powierzchni.

Drizzt pragnął mu wszystko wyjaśnić, opowiedzieć dokładnie całą swą historię, i pragnął zostać osądzony przez jakiś inny głos niż jego własny. Gdyby tylko ktoś inny - zwłaszcza elf z powierzchni - dowiedziałby się o podjętych przez niego próbach i zgodził się z jego decyzjami, zgodził się, że w ciągu swego życia postępował słusznie w obliczu takich okropności, wtedy kamień spadłby Drizztowi z serca. Gdyby tylko zdołał odnaleźć akceptację wśród tych, którzy tak nienawidzili - jak on sam nienawidził - zwyczajów jego mrocznego ludu, wtedy Drizzt Do'Urden osiągnąłby spokój.

Czubek miecza elfa nie opadł jednak ani trochę ku ziemi, a grymas nie zniknął z jego pięknej elfiej twarzy, twarzy bardziej przywykłej do uśmiechów.

Drizzt nie odnajdzie tu akceptacji, nie teraz i najprawdopodobniej nigdy. Czy zawsze będzie nieprawidłowo osądzany? Czy też, być może, to on nieprawidłowo oceniał tych, którzy znajdują się wokół niego, obdarzając ludzi i tego elfa większym zaufaniem, niż na to zasługiwali?

Tymi dwoma niepokojącymi myślami Drizzt musiał się zająć jakiegoś innego dnia, ponieważ cierpliwość Kellindila dobiegła końca. Elf natarł na drowa, trzymając przed sobą wyciągnięty miecz.

Drizzt nie był zaskoczony - jakże mógłby być? Odskoczył w tył, poza bezpośredni zasięg, po czym wezwał swą wrodzoną magię, nakładając na zbliżającego się elfa kulę nieprzeniknionej ciemności.

Nie będąc nowicjuszem w sprawach magii, Kellindil dostrzegł sztuczkę drowa. Zmienił kierunek, odskakując na bok kuli, po czym napierał dalej, trzymając w gotowości miecz.

Lawendowe oczy znikły.

- Drowie! - zawołał głośno Kellindil, zaś wszyscy w obozie natychmiast się zerwali. Pies

Roddy'ego zaczął wyc i to podekscytowane oraz groźne ujadanie podążało za Drizztem z powrotem do gór, skazując go na dalsze wygnanie.

Kellindil oparł się z powrotem o drzewo, był czujny, lecz nie przejmował się już zbyt tym, że drow jest w okolicy. Drizzt nie mógł o tym w tej chwili wiedzieć, lecz jego słowa oraz czyny, które później nastąpiły - ucieczka zamiast walki - istotnie zaszczepliły ziarenko wątpliwości w nie tak zamkniętym umyśle łagodnego elfa.

\* \* \*

- Straci swą przewagę wraz ze świtem - powiedziała z nadzieją Dove po kilku bezowocnych godzinach prób doścignięcia drowa. Znajdowali się w kamienistej kotlinie o kształcie miski, zaś trop drowa prowadził na drugą stronę, po wysokim i dość stromym zboczu.

Niemal potykając się u jej boku z wyczerpania, Fret postanowił się odezwać. - Przewagę? - jęknął. Spojrzał na kolejne górskie zbocze i potrząsnął głową. - Wszyscy padniemy ze zmęczenia, zanim znajdziemy tego piekielnego drowa!

- Jeśli nie możesz nadażyć, to padnij i zdychaj! - warknął Roddy. - Tym razem nie pozwolimy temu śmierdzącemu drowowi uciec.

Nie Fret jednak, lecz inny członek grupy nieoczekiwanie padł. W drużynę wpadł nagle duży kamień i uderzył w bark Dardy z wystarczającą siłą, by unieść mężczyznę nad ziemię i obrócić go w powietrzu. Nie zdążył nawet krzyknąć, zanim padł twarzą w piach.

Dove chwyciła Freta i wskoczyła za pobliski głaz. Roddy i Gabriel zrobili podobnie. W okolicy zabrzmiało uderzenie kolejnego kamienia, a po nim jeszcze kilka innych.

- Lawina? - spytał oszołomiony krasnolud, gdy się już otrząsnął.

Dove nie odpowiedziała, bowiem zbyt martwiła się o Dardę, choć znała prawdę na temat ich sytuacji i wiedziała, że to nie lawina.

- Żyje - Gabriel zawołał zza osłony swego głazu, cztery metry od Dove. Obok przeleciał następny kamień, ledwo mijając głowę Dardy.

- Cholera - mruknęła Dove. Zerknęła ponad krawędzią swego głazu, obserwując zbocze oraz poszarpane skały u jego podstawy. - Teraz, Kellindilu - wyszeptła do siebie. - Zdobądź dla nas trochę czasu.

Jakby w odpowiedzi rozległ się w oddali brzęk zwalnianej cięciwy łuku elfa, zaś po nim wściekły ryk. Dove i Gabriel spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się ponuro.

- Kamienni giganci! - krzyknął Roddy rozpoznając niski, ochryply ton w ryczącym głosie.

Dove schyliła się i czekała z otwartym plecakiem w ręku, odwrócona plecami w stronę głazu. Obok nich nie spadło już więcej kamieni, uderzenia zaczęły się rozlegać z przodu, w pobliżu Kellindila. Dove przemknęła do Dardy i delikatnie obróciła mężczyznę.

- To boli - wyszeptał Darda, próbując się uśmiechnąć pomimo oczywistego niedomówienia.

- Nie mów nic - odparła Dove, szukając w plecaku butelki z eliksirem. Tropicielka miała

jednak niewiele czasu. Widząc ją na otwartej przestrzeni, giganci znów przypuścili atak na ich okolicę.

- Wracaj za głaz! - krzyknął Gabriel. Dove wsunęła rękę pod ramię mężczyzny, by wesprzeć go. Potykając się przy każdym kroku, człapał w stronę kamienia.

- Szybciej! Szybciej! - krzyczał Fret, obserwując ich z niepokojem i opierając się płasko plecami o wielki głaz.

Dove pochyliła się nagle nad Dardą, przyciskając go do ziemi, gdy tuż nad ich głowami przeleciał kolejny kamień.

Fret zaczął obgryzać paznokcie, po czym zdał sobie sprawę z tego, co robi, i przestał z wyrazem niesmaku na twarzy. - Pospieszcie się! - krzyknął znów do swych przyjaciół. Przemknął następny kamień, nazbyt blisko.

Tuż zanim Dove i Darda dotarli do Freta, kamień uderzył w środek zewnętrznej strony głazu. Przyciskający się mocno do kamiennej bariery krasnolud wyleciał w powietrze i przemknął obok czołgających się towarzyszy. Dove położyła Dardę za głazem i odwróciła się, myśląc że znów musi wyjść i przyprowadzić leżącego krasnoluda.

Fret już jednak wstał, przeklinając i pomrukując, bardziej przejmował się nową dziurą w swoim wspaniałym odzieniu niż fizyczną raną.

- Wracaj tu! - wrzasnęła na niego Dove.

- Zatrącenie i licho na tych głupich gigantów! - to było wszystko, co odpowiedział Fret, tupiąc w drodze powrotnej za głaz i opierając zaciśnięte w pięści dłonie na biodrach.

Bombardowanie trwało, zarówno z przodu, jak i w okolicy ukrytych towarzyszy. Następnie przemknął się do nich Kellindil i wsunął za głaz obok Roddy'ego oraz jego psa.

- Kamienni giganci - wyjaśnił elf. - Przynajmniej tuzin. - Wskazał na półkę skalną w połowie drogi do zbocza góry.

- Drow to zorganizował - warknął Roddy, uderzając pięścią w głaz.

Kellindil nie był o tym przekonany, jednak powstrzymał się przed komentarzem.

\* \* \*

Z wysoka, ze szczytu skalistego wzniesienia, Drizzt obserwował toczącą się walkę. Godzinę wcześniej, przed świtem, przeszedł dolnymi szlakami. W ciemności czekający giganci nie byli przeszkodą dla potrafiącego się skradać drowa i Drizzt bez problemu prześlizgnął się przez ich szeregi.

Teraz, mrużąc oczy w porannym świetle, Drizzt zastanawiał się, co powinien zrobić. Przechodząc obok gigantów w pełni oczekiwał, że jego prześladowcy wpadną w kłopoty. Czy nie powinien był jakoś ich ostrzec? Albo też czy nie powinien odejść z tej okolicy, sprowadzając ludzi i elfa z drogi gigantów?

Drizzt znowu nie rozumiał swego miejsca w tym dziwnym i brutalnym świecie. - Niech

walczą ze sobą - powiedział ostro, jakby próbując się przekonać. Drizzt celowo przypomniał sobie spotkanie z zeszłej nocy. Elf zaatakował go pomimo oświadczenia, że nie chce walczyć.

Przypomniał sobie również strzałę, która wystawała z boku Guenhwyvar.

- Niech się pozabijają - rzekł i odwrócił się, by odejść. Zerknął ostatni raz przez ramię i zauważył, że niektórzy giganci zaczynają się poruszać. Jedna grupa pozostała na półce skalnej, zasypując dno kotliny najwyraźniej niewyczerpanym strumieniem kamieni, podczas gdy dwie pozostałe grupy, jedna z lewej i jedna z prawej, zataczały łuk, pragnąc otoczyć uwięzioną drużynę.

Drizzt wiedział, że jego prześladowcy nie uciekną. Gdy tylko giganci już ich otoczą, nie znajdą ochrony przed krzyżowym ogniem.

Coś drgnęło w tym momencie w drowie, te same uczucia, które pchnęły go do walki z bandagnolli. Nie mógł być pewien, jednak podobnie jak z gnollami i ich planem ataku na gospodarstwo, Drizzt podejrzewał, że w tej walce to giganci są złą stroną.

Inne myśli złagodziły pełen determinacji wyraz twarzy Drizzta, wspomnienia ludzkich dzieci przy zabawie, jasnowłosego chłopca wpadającego do koryta z wodą.

Drizzt upuścił onyksową figurkę na ziemię. - Chodź, Guenhwyvar - polecił. - Jesteśmy potrzebni.

\* \* \*

- Otaczają nas! - warknął Roddy McGristle, widząc przemieszczające się grupy gigantów.

Dove, Gabriel i Kellindil rozejrzeli się dookoła i po sobie, szukając jakiejś drogi wyjścia. Wielokrotnie walczyli w czasie swych podróży z gigantami wspólnie i z innymi drużynami. Zawsze wcześniej szli do walki z ochotą, szczęśliwi, że mogą oczyścić świat z kilku kłopotliwych potworów. Tym razem jednak wszyscy podejrzewali, że rezultaty mogą być inne. Kamienni giganci cieszyli się reputacją najlepszych miotaczy kamieni w całych Krainach i jedno ich trafienie mogło zabić najmocniejszego mężczyznę. Poza tym Darda, choć żywy, nie był w stanie uciekać, a nikt z pozostałych nie miał zamiaru go zostawić.

- Uciekaj, traperze - Kellindil powiedział do Roddy'ego. - Nic nam nie jesteś winien.

Roddy spojrział z niedowierzaniem na łuczника. - Ja nie uciekam, elfie - warknął. - Przed niczym!

Kellindil skinął głową i nałożył strzałę na cięciwę.

- Jeśli dostaną się na boki, jesteśmy zgubieni - Dove wyjaśniła krasno l udowi. - Błagani cię o wybaczenie, drogi Frecie. Nie powinnam była zabierać cię z domu.

Fret wzruszył ramionami. Sięgnął pod ubranie i wyciągnął mały, lecz krzepki srebrny młot. Dove uśmiechnęła się na jego widok, uważając że broń dziwnie wygląda w miękkich dłoniach krasnoluda, bardziej przywykłych do pióra.

\* \* \*

Na górze Drizzt oraz Guenhwyvar śledzili ruchy bandy kamiennych gigantów, którzy

otaczali uwięzioną drużynę z lewej strony. Drizzt chciał pomóc ludziom, nie był jednak pewien, jak sobie poradzi z czterema uzbrojonymi gigantami. Mimo to uznał, że z Guenhwyvar przy boku może znaleźć jakiś sposób, by rozproszyć uwagę olbrzymów na wystarczająco długo, by uwięziona drużyna coś zrobiła.

Kotlina poszerzała się i Drizzt zdał sobie sprawę, że idąca z drugiej strony grupa kamiennych gigantów, na prawo od drużyny, znajdowała się najprawdopodobniej poza zasięgiem miotaczy kamieni.

- Chodź, moja przyjaciółko - Drizzt wyszeptał do pantery, po czym wyciągnął sejmitar i ruszył w dół po zboczu złożonym z pokruszonych i poszarpanych kamieni. Chwilę później jednak, gdy zauważył obszar niedaleko przed bandą gigantów, chwycił Guenhwyvar za kark i zaprowadził panterę z powrotem na górną półkę skalną.

Teren tutaj był poszarpany i popękany, lecz niewątpliwie stabilny. Tuż przed nimi jednak, na stromo opadającym zboczu, leżały rozrzucone wielkie głazy oraz setki małych, luźnych kamieni. Drizzt nie znał się za dobrze na dynamice zbocza górskiego, jednak nawet on widział, że stromy i luźny obszar jest na skraju obsunięcia się.

Drow i kocica ruszyli przed siebie, znów wchodząc powyżej bandy gigantów. Olbrzymi już niemal zajęli pozycje, zaś niektórzy z nich już nawet zaczęli ciskać kamieniami w unieruchomioną drużynę. Drizzt podkraść się do wielkiego głazu i opar się o niego, poruszając go. Taktyka Guenhwyvar była znacznie mniej subtelna. Pantera rzuciła się w dół zbocza, z każdym skokiem rozluźniając kamienie, wskakując na głazy i zeskakując z nich, gdy zaczynały się toczyć.

Głazy toczyły się i obijały o siebie. Pomiedzy nimi prześlizgiwały się mniejsze kamienie, zwiększając pęd całości. Pochłonięty działaniem Drizzt biegł w środek narastającej lawiny, rzucając kamieniami, pchając jedne na drugie - wszystko co tylko mógł, by zwiększyć jej prędkość. Wkrótce cały obszar pod stopami drowa się przesunął, cały fragment zbocza, wydawał się opadać.

Guenhwyvar pędziła przed lawiną, niczym zapowiedź zagłady, jaka spadnie na gigantów. Pantera przeskoczyła nad nimi, jednak widzieli wielką kocicę tylko przez chwilę, ponieważ spadły na nich tony toczących się głazów.

Drizzt wiedział, że znalazł się w kłopotach, ponieważ nie był tak szybki i zwinny jak Guenhwyvar i nie mógł mieć nadziei na przegonienie lawiny lub też na ucieczkę z jej drogi. Skoczył wysoko w powietrze z krawędzi małej półki skalnej i lecąc uaktywnił czar lewitacji.

Drizzt starał się mocno, by utrzymać koncentrację. Dwa razy wcześniej zakłęcie go zawiodło, zaś jeśli teraz nie zdoła go utrzymać, spadnie w potok kamieni i z pewnością zginie.

Pomimo swej determinacji Drizzt czuł się niezwykle ciężko w powietrzu. Zamachał bezskutecznie rękoma, szukając w swym ciele drowa magicznej energii, lecz spadał.

\* \* \*

- Jedyni, którzy mogą nas trafić, są z przodu! - krzyknął Roddy, gdy rzucony kamień spadł z

prawej strony nie wyrządzając szkód. - Ci z prawej są za daleko, by rzucać, a ci z lewej...!

Dove podążyła za kierunkiem rozumowania Roddy'ego oraz za jego wzrokiem, ku chmurze pyłu wznoszącej się po ich lewej stronie. Wpatrywała się bacznie i długo w spadające kamienie i coś, co mogło być odzianą w ciemny płaszcz elfią sylwetką. Kiedy spojrzała na Gabriela, wiedziała, że on również widział drowa.

- Musimy iść - Dove odezwała się do elfa.

Kellindil przytaknął i przesunął się na bok swego głazu, utrzymując cięciwę w gotowości.

- Szybko - dodał Gabriel - zanim grupa z prawej wróci w zasięg.

Łuk Kellindila brzęknął raz, a później drugi. Przed nimi gigant zawył z bólu.

- Zostań tu z Dardą - Dove poprosiła Freta, a następnie ona, Gabriel i Roddy - trzymający swego psa na krótkiej smyczy - wyskoczyli z ukrycia i natarli na znajdujących się z przodu gigantów. Przemykali od głazu do głazu, łamiąc swoją drogę mylącymi zygzakami, by nie pozwolić olbrzymom przewidzieć ich ruchów. Przez cały czas śmigały nad nimi strzały Kellindila, dzięki czemu giganci bardziej przejmowali się uchylaniem przed nimi niż rzucaniem.

Niższe zbocza góry poznaczone były głębokimi szczelinami, które oferowały osłonę, lecz również rozdzieliły troje wojowników. Żadne z nich nie widziało gigantów, znali jednak przybliżony kierunek i wybierali swe odrębne drogi najlepiej jak mogli.

Po okrążeniu ostrego załomu pomiędzy dwoma kamiennymi ścianami Roddy natknął się na jednego z gigantów. Traper puścił natychmiast swego psa, a groźne zwierzę zaatakowało bez strachu i podskoczyło wysoko, ledwo dosięgając do talii niemal siedmiometrowego behemota.

Zaskoczony nagłym atakiem olbrzym opuścił swą wielką maczugę, trafiając psa w locie. Zmiażdżyłby w jednej chwili kłopotliwą paszczę, jednak Broczyciel, paskudny topór Roddy'ego, wbił się w łydkę giganta z całą siłą, jaką mógł z siebie wykrzesać zwalisty traper. Olbrzym zachwiał się, a pies Roddy'ego zwolnił, po czym czepiając się pazurami, wspiał się wyżej, atakując twarz i szyję giganta. Na dole Roddy wymachiwał toporem, ścinając potwora niczym drzewo.

\* \* \*

Pół unosząc się w powietrzu, a pół balansując na toczących się kamieniach, Drizzt zjeżdżał wraz z lawiną. Widział jak jeden gigant podnosi się jedynie po to, by natknąć się na Guenhwyvar. Ranny i oszołomiony olbrzym padł bezwładnie na ziemię.

Drizzt nie miał czasu na delektowanie się sukcesem swego planu. Jego czar lewitacji w jakiś sposób trwał, utrzymując go na tyle lekkim, by mógł zjeżdżać z lawiną. Jednak nawet ponad głównym strumieniem kamienie odbijały się od drowa, zaś pył go krztusił i wpadał w delikatne oczy. Niemal oślepiiony zdołał zauważyć półkę skalną, która mogła dać jakąś osłonę, jednak jedynym sposobem, jakim mógł się tam dostać, było rozproszenie zaklęcia lewitacji i przeczołganie się tam.

Kolejny kamień uderzył w Drizzta, niemal obracając go w locie. Czuł jak jego czar słabnie i

wiedział, że to jego jedyna szansa. Odzyskał równowagę, puścił czar i spadł na ziemię.

Przekoziółkował i wstał, zrywając się do szaleńczego biegu. Kamień walnął go w kolano już rannej nogi, rzucając go na ziemię. Drizzt znów się przetoczył, robiąc co tylko mógł, by dostać się pod osłonę półki skalnej.

Pęd nie doniósł go aż tam. Wstał zamierzając rzucić się szczupakiem przez ostatni odcinek, jego noga nie miała jednak wystarczająco siły i zgięła się natychmiast, pozostawiając go bezradnego i odsłoniętego.

Poczuł uderzenie w plecy i uznał, że jego życie dobiega końca. Chwilę później z oszołomieniem zdał sobie jednak sprawę, że w jakiś sposób wyładował za półką skalną i jest pod czymś pogrzebany, nie kamieniami i nie pyłem.

Guenhwyvar stała nad swoim panem osłaniając go, dopóki ostatni z toczących się kamieni nie zatrzymał się.

\* \* \*

Gdy wszystkie szczeliny ustąpiły miejsca otwartej przestrzeni, Dove i Gabriel weszli w swój zasięg wzroku. Dokładnie przed sobą zauważyli ruch, za złożoną z luźno dopasowanych głazów ścianą, na cztery metry wysoką i około piętnastu szeroką.

Na jej szczycie pojawił się gigant, wyjąc z wściekłości i trzymając nad głową gotowy do rzutu głaz. Z szyi i piersi potwora wystawało kilka strzał, lecz wydawał się tym nie przejmować.

Następny strzał Kellindila z pewnością zwrócił jednak uwagę giganta, ponieważ elf trafił prosto w łokieć potwora. Olbrzym zawył i chwycił się za rękę, najwyraźniej zapominając o kamieniu, który z hukiem spadł mu na głowę. Gigant stał nieruchomo, oszołomiony, a w jego twarz wbiły się jeszcze dwie strzały. Zataczał się przez chwilę, po czym przewrócił.

Dove i Gabriel wymienili szybkie uśmiechy, doceniając umiejętności elfiego łucznika, po czym podjęli natarcie, idąc z przeciwnych stron ściany.

Dove wzięła jednego giganta przez zaskoczenie tuż za rogiem. Potwór sięgał po maczugę, lecz miecz Dove gładko obciął mu dłoń. Kamienni giganci byli groźnymi przeciwnikami, ich pięści mogły wbić człowieka w ziemię, zaś ich skóra była niemal tak twarda, jak kamienie, od których wzięli swą nazwę. Jednakże ranny, zaskoczony i pozbawiony broni olbrzym nie mógł się równać z wyszkoloną tropicielką. Wskoczyła na ścianę, co ustawiło ją naprzeciwko twarzy giganta, po czym rozpoczęła metodyczne dzieło swym mieczem.

Po dwóch pchnięciach gigant był oślepiony, trzecie trafienie, zręczne, podłużne cięcie, wycięło potworowi uśmiech na gardle. Następnie Dove przeszła do defensywy, zwinnie unikając i parując desperackie zamachy umierającego potwora.

Gabriel nie miał tyle szczęścia co jego towarzyska. Pozostały gigant nie był tak blisko krańca kamiennego ściany. Choć wyłaniając się zza rogu Gabriel zaskoczył potwora, olbrzym miał wystarczająco wiele czasu - i głaz w ręku - by zareagować.

Gabriel podniósł miecz, by odbić pocisk i uratowało mu to życie. Kamień wytrącił wojownikowi broń z dłoni i leciał dalej z siłą wystarczającą, by przewrócić mężczyznę na ziemię. Gabriel był doświadczonym weteranem i głównym powodem, dla którego wciąż był żywy po tak wielu walkach, było to, że wiedział, kiedy się wycofać. Skupił się w momencie otepiającego bólu, wstał i rzucił za ścianę.

Trzymając w ręku ciężką maczugę, gigant wyłonił się tuż za nim. Gdy potwór pojawił się na widoku, przywitała go ściana, lecz odrzucił ją, jakby nawet jej nie poczuł, i natarł na wojownika.

Gabrielowi wkrótce skończyło się miejsce. Próbował wycofać się do poszarpanych rozpadlin, jednak gigant go zablokował, schwytał w mały kanion z wielkich głazów. Gabriel wyciągnął sztylet i przeklął swój pech.

Dove pokonała już do tego czasu swego olbrzyma i pobiegła wokół kamiennej ściany, natychmiast dostrzegając Gabriela i giganta.

Gabriel również dostrzegł tropicielkę, lecz tylko wzruszył ramionami, niemal przepaszając, wiedział bowiem, że Dove nie dotrze tu na czas, by go ocalić.

Warczący gigant podszedł o krok, zamierzając skończyć z drobnym mężczyzną, jednak nagle rozległ się ostry trzask i potwór zatrzymał się raptownie. Jego oczy miały się szaleńczo przez chwilę lub dwie, po czym martwy przewrócił się na stopy Gabriela.

Gabriel spojrzał w bok, na szczyt kamiennej ściany, i niemal roześmiał się na głos.

Młot Freta nie był dużą bronią - jego głowica miała długość zaledwie pięciu centymetrów - był jednak solidny i jednym silnym uderzeniem krasnolud przebił nim grubą czaszkę kamiennego giganta.

Zbliżyła się Dove, chowając swój miecz, równie zakłopotana.

Spoglądając na ich zdumione miny, Fret nie był zachwycony.

- W końcu jestem krasnoludem! - wypalił, krzyżując butnie ramiona. Zetknęło to okrwawiony młot z tuniką Freta i krasnolud stracił swą butę na rzecz paniki. Polizał krótkie palce i stał paskudną plamę, po czym z jeszcze większym przerażeniem spojrzał na krew na swojej dłoni.

Dove i Gabriel zaśmiali się w głos.

- Wiedz, że zapłacisz za tunikę - narzekał Fret, zwracając się do Dove. - Och, z pewnością to zrobisz.

Krzyk z boku wytrącił ich z chwilowej ulgi. Pozostali czterej giganci, widząc jedną grupę swych towarzyszy pogrzebaną pod lawiną, zaś drugą tak skutecznie pokonaną, stracili zainteresowanie zasadzką i uciekli.

Tuż za nimi poszedł Roddy McGristle i jego wyjący pies.

\* \* \*

Jeden gigant ocalał przed szalejącą lawiną i strasznymi pazurami pantery. Biegł teraz szaleńczo przez zbocze górskie, szukając szczytu.



Driztt posłał Guenhwyvar w szybki pościg, następnie znalazł dający się wykorzystać jako laska kij i zdołał wstać. Podrapany, brudny, ranny w walce z barghestem - i teraz, po swojej górskiej przejażdżce - Driztt ruszył w drogę. Jego uwagę przykuł jednak ruch u podstawy zbocza i zatrzymał się. Odwrócił wzrok, by spojrzeć na elfa, a także na umieszczoną na jego łożysku strzałę.

Driztt rozejrzał się, lecz nie miał gdzie się schować. Mógł umieścić gdzieś pomiędzy sobą a elfem kulę ciemności, zdał sobie jednak sprawę, że doświadczony łucznik, wzięwszy już na niego namiar, nie spudłuje nawet przez taką przeszkodę.

Driztt wyprostował ramiona i powoli odwrócił się, stając dumnie przed elfem.

Kellindil poluzował cięciwę i zdjął strzałę z łożyska. On również widział odzianą w ciemny płaszcz sylwetkę, unoszącą się ponad lawiną.

- Pozostali są z powrotem z Dardą - powiedziała Dove, podchodząc w tej chwili do elfa - a McGristle ściga...

Kellindil ani nie odpowiedział, ani nie spojrzął na tropicielkę. Skinął krótko głową, prowadząc spojrzenie Dove w górę, na ciemną sylwetkę, wchodzącą znów na zbocze.

- Puść go - zaproponowała Dove. - On nigdy nie był naszym wrogiem.

- Obawiam się pozwolić drowowi odejść wolnym - odparł Kellindil.

- Podobnie jak ja - rzekła Dove. - Bardziej jednak obawiam się, co się stanie, jeśli McGristle go znajdzie.

- Wrócimy do Maldobar i pozbędziemy się tego człowieka - zaproponował Kellindil - a później ty i pozostali możecie wrócić do Sundabar na twoją audiencję. Mam krewnych w tych górach. Razem będziemy obserwować naszego ciemnoskórego przyjaciela i baczyć, czy nie wyrządza nikomu szkody.

- Zgoda - powiedziała Dove. Odwróciła się i zaczęła odchodzić, a Kellindil, nie potrzebując dalszych argumentów, ruszył za nią.

Elf przystanął i jeszcze raz się obejrzał. Sięgnął do swego plecaka i wyciągnął buteleczkę, po czym położył ją na gładkiej przestrzeni. Po chwili namysłu wyjął również drugi przedmiot, tym razem zza pasa, i upuścił na ziemię obok flaszki. Z zadowoleniem odwrócił się i poszedł za tropicielką.

\* \* \*

W chwili gdy Roddy McGristle wrócił ze swego szaleńczego, bezowocnego pościgu, Dove i pozostali spakowali wszystko, przygotowując się do odejścia.

- Z powrotem za drowem - obwieścił Roddy. - Zyskał trochę czasu, ale szybko go dogonimy.

- Drow odszedł - powiedziała ostro Dove. - Nie będziemy już go ścigać.

Twarz Roddy'ego zmarszczyła się w niedowierzaniu i wyglądał tak, jakby był na skraju wybuchu.

- Darda bardzo potrzebuje wypoczynku! - warknęła na niego Dove, nie cofając się ani o krok. - Strzały Kellindila prawie się skończyły, podobnie jak nasze zapasy.

- Nie zapomnę tak łatwo o Thistledownach! - oznajmił Roddy.

- Podobnie jak drow - wtrącił się Kellindil.

- Thistledownowie zostali już pomszczeni - dodała Dove - a ty wiesz, że to prawda, McGristle. Drow ich nie zabił, lecz zdecydowanie zabił ich zabójców!

Roddy parsknął i odwrócił się. Był doświadczonym łowcą nagród, a w związku z tym posiadał spore zdolności dedukcyjne. Oczywiście już dawno odkrył prawdę, nie mógł jednak zignorować szram na twarzy oraz utraty ucha - a także sporej nagrody za głowę drowa.

Dove przewidziała i zrozumiała jego ciche rozumowanie. - Ludzie z Maldobar nie będą tak pragnąć, abyś przyprowadził drowa, gdy poznają prawdę o masakrze - powiedziała. - I nie będą zbyt chętnie płacić, jak przypuszczam.

Roddy zmierzył ją groźnym spojrzeniem, lecz nie mógł odmówić jej słuszności. Gdy drużyna Dove wróciła na szlak do Maldobar, Roddy McGristle szedł z nimi.

\* \* \*

Później, tego samego dnia, Drizzt wrócił w dół zbocza, szukając czegoś, co powiedziałoby mu o miejscu pobytu jego prześladowców. Znalazł butelkę Kellindila i zbliżał się do niej z wahaniem. Uspokoił się jednak, gdy zobaczył leżący obok niej inny przedmiot, mały sztylet, który zabrał skrzatowi, ten sam, za pomocą którego przeciął elfowi cięciwę, gdy spotkali się po raz pierwszy.

Płyn we flasce pachniał słodko, zaś drow, którego gardło wciąż były nabrzmiące od pyłu z kamieni, z zadowoleniem pociągnął łyk. Przez ciało Drizzta przeszło mroźne mrowienie, orzeźwiająco go i odświeżająco. Niewiele jadł przez kilka ostatnich dni, lecz siła, która uszła z jego wyczerpanej sylwetki powróciła w nagłym przypływie. Jego rozdarta noga zdrętwiała na chwilę i Drizzt czuł, jak ona również staje się silniejsza.

Wtedy ogarnęła go fala zawrotów głowy, przeszedł więc w cień pobliskiego głazu i usiadł, by odpocząć.

Kiedy się obudził, niebo było ciemne i usiane gwiazdami, zaś on czuł się lepiej. Nawet noga tak zraniona w czasie zjazdu z lawiną, znów mogła podtrzymywać jego ciężar. Drizzt wiedział, kto zostawił dla niego butelkę i sztylet, a jego zdumienie i niezdecydowanie wzrosły jeszcze bardziej.



# CZEŚĆ 3

## MONTOLIO

*Dla różnorodnych ludów zamieszkujących świat nic nie jest w takim stopniu poza zasięgiem, choć tak niezwykle osobiste i władcze, jak koncepcja boga. Doświadczenia z mojej ojczyzny nie pokazały mi zbyt wiele na temat tych ponadnaturalnych istot, oprócz kultu zlej bogini drowów, Pajęczej Królowej, Lloth.*

*Będąc świadkiem okrucieństwa działalności Lloth, nie spieszyłem się zbytnio do przyjęcia koncepcji jakiegokolwiek boga, jakiejkolwiek istoty, która mogła narzucać zasady zachowania dla całych społeczności. Czy moralność nie jest wewnętrzną siłą a jeśli tak, czy można narzucać zasady?*

*Za tym podążą kwestia samych bogów: czy są oni tak naprawdę określonymi istotami, czy też manifestacją wspólnych wierzeń? Czy mroczne elfy są źle dlatego, że podążają zgodnie z zaleceniami Pajęczej Królowej, czy też Lloth jest ukoronowaniem naturalnego złego trybu życia drowów?*

*Podobnie kiedy barbarzyńcy z Doliny Lodowego Wichru pędzą przez tundrę na wojnę, wykrzykując imię Tempusa, Pana Walki, czy podążają zgodnie z zaleceniami Tempusa, czy też jest on tylko wyidealizowaną nazwą jaką nadali swoim czynom?*

*Nie mogę na to odpowiedzieć, zresztą, jak zdałem sobie sprawę, nikt nie może, nieważne jak głośno mogą się z tym stwierdzeniem spierać inni - zwłaszcza kapłani niektórych bogów. W końcu, ku wielkiemu żalowi kapłana, wybór boga jest sprawą osobistą zaś związek z tą istotą jest w zgodzie z wewnętrznym kodeksem zasad. Misjonarz może zmuszać siłą i oszukiwać przyszlých wyznawców,*

*jednak żadna racjonalna istota nie może w pełni podążać za zaleceniami jakiegokolwiek boga, jeśli te zalecenia są sprzeczne z jej własnymi zasadami. W związku z tym ja, Drizzt Do'Urden, ani mój ojciec, Zaknafein, nigdy nie mogliśmy stać się wyznawcami pajęczej Królowej. Zaś Wulfgar z Doliny Lodowego Wichru, mój przyjaciel z późniejszych lat, choć wciąż może wrzeszczeć do swego boga walki, uszczęśliwi tę istotę zwaną Tempusem tylko wtedy, gdy będzie używać swego potężnego miota bojowego.*

*Bogowie w Krainach są liczni i różnorodni - albo też są licznymi i różnorodnymi nazwami i tożsamościami, połączonymi z tą samą istotą.*

*Nie wiem - i nie dbam o to - z którą.*

- Drizzt Do'Urden

## 11

### ZIMA

Drizzt przez wiele dni przedzierał się przez kamieniste, strzeliste góry, jak tylko mógł oddalając się od wioski - oraz przerażających wspomnień. Decyzja ucieczki nie była świadoma, gdyby Drizzt był trochę mniej wstrząśnięty, mógłby w darach elfa dostrzec dobroczynność, leczniczy eliksir i zwrócony sztylet mogłyby być podstawą do kontaktów w przyszłości.

Nie tak łatwo było jednak pozbyć się wspomnień z Maldobar oraz winy ciężącej drowowi na sercu. Wioska stała się po prostu kolejnym krokiem w jego poszukiwaniach domu, poszukiwaniach, które jak wiedział, były płonne. Drizzt zastanawiał się, jak mógłby w ogóle zejść do następnej osady, na którą się natknie. Zbyt wyraźnie widział w wyobraźni potencjalną tragedię. Nie pomyślał, że obecność barghestów mogła być niezwykłym zbiegiem okoliczności i być może spotkanie potoczyłoby się inaczej, gdyby nie owe potwory.

W tym smutnym punkcie jego życia wszystkie myśli Drizzta koncentrowały się na jednym słowie, które bez końca odbijało się echem w jego głowie i przeszywało mu serce: „drizzit”.

Ścieżka Drizzta doprowadziła go w końcu do szerokiej przełęczy w górach oraz stromej i skalistej rozpadliny wypełnionej pianą wodną jakiejś ryczącej w dole rzeki. Powietrze stawało się zimniejsze, było to coś, czego Drizzt nie rozumiał, a wilgotne opary powodowały, że drow czuł się lepiej. Zszedł w dół kamienistego klifu, a droga ta zabrała, mu większą część dnia, po czym znalazł się na brzegu płynącej kaskadami rzeki.

Drizzt widział w Podmroku rzeki, lecz żadna z nich nie mogła się równać z tą. Rauvin przemykała pomiędzy kamieniami, posyłając wysoko w powietrze wodną pianę. Wiła się wokół większych głazów, białą pianą przepływała ponad mniejszymi i opadała nagle wodospadami o wysokości pięć razy przewyższającej drowa.. Drizzt był oczarowany widokiem i odgłosami, lecz w większym stopniu dostrzegał walory tego miejsca jako schronienia. Na brzegach rzeki znajdowało się wiele kanałów, sadzawek ze stojącą wodą, która oddzieliła się od głównego strumienia. Tutaj

również zbierały się ryby, odpoczywając od walki z silnym prądem.

Widok ten wywołał u Drizzta burczenie w żołądku. Przyklęknął nad sadzawką i podniósł rękę do uderzenia. Musiał wiele razy ćwiczyć, żeby zrozumieć załamywanie się światła słonecznego w wodzie, jednak drow był wystarczająco szybki i bystry, by poznać, o co chodzi. Zanurzył nagle rękę i wyciągnął ją, mocno trzymając długiego na trzydzieści centymetrów pstrąga.

Drizzt rzucił rybę z dala od wody, pozwalając jej podskakiwać na kamieniach, po czym szybko schwytał następną. Naje się tego wieczora po raz pierwszy, odkąd uciekł z okolic wioski, miał również wystarczająco wiele czystej i chłodnej wody, by ugasić pragnienie.

Przez tych, którzy znali region, miejsce owo było zwane Przełęczą Martwego Orka. Nazwa ta była trochę myląca, bowiem choć setki orków istotnie zginęły w tej skalistej dolinie podczas licznych walk z ludzkimi legionami, tysiące wciąż tutaj żyły, czając się w górskich jaskiniach i atakując intruzów. Niewiele osób tu przybywało, a pośród nich nie było nikogo rozsądnego.

Dla naiwnego Drizzta rozpadlina wydawała się doskonałym schronieniem, z łatwym dostępem do pożywienia, wodą oraz przyjemną mgłą, która zwalczala chłód.

Drow spędzał dni kryjąc się pod osłoną cienia licznych głazów oraz małych jaskiń, wołąc łowić ryby i jeść nocą. Nie postrzegał tego nocnego życia jako zaprzeczenia wszystkiego, czym niegdyś był. Gdy wyszedł z Podmroku, uznał, że będzie żyć wśród mieszkańców powierzchni niczym mieszkańiec powierzchni, tak więc znosił ogromne męki, by przyzwyczaić się do dziennego słońca. Teraz Drizzt nie mamił się już iluzjami. Wybrał nocę na aktywność, ponieważ były one mniej bolesne dla jego czułych oczu, a także dlatego że wiedział, iż im krócej będzie wystawiał swój sejmitar na słońce, tym dłużej zachowa on w swym ostrzu magię.

Nie zajęło jednak Drizztowi zbyt wiele czasu zrozumienie, dlaczego mieszkańcy powierzchni wydają się preferować światło dzienne. Pod grzejącymi promieniami słońca powietrze wciąż było trochę mroźne, jednak wciąż znośne. Podczas nocy Drizzt zauważył, że często musiał szukać osłony przed przenikliwym wichrem, który omiatał strome krawędzie wypełnionej mgłą rozpadliny. Na pomocy szybko zbliżała się zima, lecz wychowany w pozbawionym pór roku Podmroku drow nie mógł tego wiedzieć.

Podczas jednej z takich nocy, gdy wicher wiał z północy tak potężnie, że drowowi zdrętwiały dłonie, Drizzt doszedł do ważnego wniosku. Nawet gdy była przy nim Guenhwyvar, przyciśnięta do niego w niewielkiej jaskini, Drizzt czuł silny ból narastający w jego kończynach. Do świtu było jeszcze wiele godzin i Drizzt szczerze się zastanawiał, czy przeżyje, by zobaczyć wschód słońca.

- Za zimno, Guenhwyvar - wyjąkał przez dzwoniące zęby. - Za zimno.

Napiął mięśnie i zaczął poruszać się energicznie, próbując przywrócić krążenie. Następnie przygotował się mentalnie, myśląc o czasach, gdy było mu ciepło, starając się pokonać desperację i oszukać ciało, by zapomniało o chłodzie. Jedna myśl była niezwykle wyraźna: wspomnienie kuchni

w Akademii w Menzoberranzan. W wiecznie ciepłym Podmroku Drizzt nigdy nie uważał ognia za źródło ciepła. Zawsze wcześniej był to dla niego sposób gotowania, środek na tworzenie światła oraz broń ofensywna. Teraz nabrał on dla drowa większego znaczenia. Gdy wichur wiał zimniej i zimniej, Drizzt ku swemu przerażeniu zdał sobie sprawę, że tylko ogień może go utrzymać przy życiu.

Rozejrzył się w poszukiwaniu opału. W Podmroku palił trzonki grzybów, jednak na powierzchni żadne grzyby nie rosły wystarczająco wysoko. Były jednak rośliny, drzewa, jeszcze wyższe niż grzyby z Podmroku.

- Przynieś mi... kończynę - Drizzt wyjąkał do Guenhwyvar, nie znając żadnych słów na określenie drewna lub drzewa. Pantera spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Ogień - poprosił Drizzt. Próbował wstać, lecz zauważył, że nogi i stopy mu zdrętwiały.

Wtedy pantera zrozumiała. Warknęła i zniknęła w mroku nocy. Wielka kocica niemal wpadła na stertę gałęzi i patyczków, ustawionych przez kogoś - Guenhwyvar nie wiedziała przez kogo - tuż za wejściem. Zbyt przejmując się w tej chwili sprawą własnego przeżycia, Drizzt nie kwestionował nagłego powrotu kocicy.

Drizzt przez wiele minut bezskutecznie starał się rozpalić ogień, uderzając sztyletem o kamień. W końcu zrozumiał, że z powodu wiatru iskry nie chcą rozpalić płomieni, przesunął więc cały stos w bardziej osłonięte miejsce. Bolały go nogi, a na wargach i brodzie miał zamarznąłą ślinę.

W końcu iskra spadła na wysuszoną kupkę. Drizzt pielęgnował malutki płomień, osłaniając go dłońmi przed zbyt silnymi podmuchami wiatru.

\* \* \*

- Ogień zapłonął - elf powiedział do swego towarzysza. Kellindil skinął ponuro głową, wciąż nie był pewien czy dobrze robi, pomagając wraz z innymi elfami temu drowowi. Kellindil przybył tu zaraz z Maldobar, podczas gdy Dove i reszta wyruszyła do Sundabar, i spotkał się z małą elfią rodziną, która żyła w górach w pobliżu Przełęczy Martwego Orka. Wraz z ich pomocą nie miał wiele problemu ze zlokalizowaniem drowa i obserwowali go wspólnie, z zaciekawieniem, przez ostatnie kilka tygodni.

Nieszkodliwy styl życia Drizztanie rozproszył jednak wszystkich wątpliwości czujnego elfa. W końcu Drizzt był drowem, ciemnoskórym z wyglądu i o mrocznym sercu z reputacji.

Mimo to westchnienie Kellindila nacechowane było ulgą, gdy on również zauważył nikły, odległy blask. Drow nie zamarznie.

Według Kellindila nie zasługiwał na taki los.

\* \* \*

Po posiłku Drizzt oparł się o Guenhwyvar - a pantera chętnie zgodziła się dzielić ciepłotę ciała - i spoglądał na gwiazdy, migoczące jasno w chłodnym powietrzu. - Czy pamiętasz

Menzoberranzan? - spytał kocicę. - Czy pamiętasz, jak pierwszy raz się poznaliśmy?

Nawet jeśli Guenhwyvar go zrozumiała, nie dała tego po sobie poznać. Ziewnąwszy pantera opuściła głowę pomiędzy wyciągnięte łapy.

Drizzt uśmiechnął się i szorstko podrapał panterę w ucho. Poznał Guenhwyvar w Sorcere, szkole czarodziejów w Akademii, gdy pantera była w posiadaniu Masoja Hun'ett, jedyne go drowa, którego Drizzt kiedykolwiek zabił. Celowo starał się nie myśleć teraz o tym incydencie, ponieważ gdy obok płonął jasno ogień, ogrzewając mu stopy, nie była to noc na tak nieprzyjemne wspomnienia. Pomimo wielu okropieństw, jakim Drizzt musiał stawić czoła w mieście swych narodzin, znalazł tam trochę przyjemnych rzeczy i nauczył się sporo. Nawet Masoj nauczył go rzeczy, które przydawały mu się teraz bardziej, niż sądził. Spoglądając znów na tańczące płomienie, Drizzt pograżył się w myślach, że gdyby nie jego obowiązki przy zapalaniu świec, nigdy nie nauczyłby się krzesać ognia. Bez wątplenia wiedza ta uratowała go przed śmiercią z zamrznięcia.

Gdy jednak Drizzt dalej podążał tym tokiem rozumowania, jego uśmiech szybko zniknął. Niezbyt wiele miesięcy po tej właśnie lekcji został zmuszony zabić Masoja.

Drizzt znów się położył i westchnął. Gdy nie groziło mu ani niebezpieczeństwo, ani kłopotliwe towarzystwo, był to najprawdopodobniej najprostszy okres w jego życiu, nigdy jednak złożoność jego egzystencji nie przytłaczała go aż w takim stopniu.

Chwilę później został wyrwany z zadumy, gdy wielki ptak, sowa z podobnymi do rogów piórami na swej okrągłej głowie wpadła nagle do środka. Drizzt roześmiał się z braku możliwości odpoczynku. Podczas chwili, jaką zajęło mu rozpoznanie, że ptak nie stanowi zagrożenia, wstał, gwałtownie wyciągając sejmitar i sztylet. Guenhwyvar również zareagowała, lecz w zdecydowanie odmienny sposób. Gdy Drizzt nagle zwolnił miejsce, pantera przysunęła się bliżej do ognia, rozciągnęła ospale i znów ziewnęła.

\* \* \*

Sowa dryfowała bezszelestnie na niewidocznym wietrze, wznosząc się z mgły ponad rzeczną doliną z przeciwnej strony. Ptak ruszył przez noc do zagajnika wiecznie zielonych roślin na zboczu górskim i spoczął na skonstruowanym z drewna oraz lin moście rozwieszonym pomiędzy wyższymi konarami drzew. Po kilku minutach czyszczenia piór ptak zadzwonił małym srebrnym dzwoneczkiem, przymocowanym do mostu właśnie w tym celu.

Chwilę później ptak znów zadzwonił.

- Idę - dobiegł z dołu głos. - Cierpliwości, Hooterze. Pozwól ślepcowi poruszać się w tempie, które mu odpowiada! - jakby rozumiejąc i ciesząc się tą grą, sowa zadzwoniła trzeci raz.

Na moście pojawił się starzec z długimi i nastroszonymi siwymi wąsami oraz białymi oczyma. Podskakując podążał w stronę ptaka. Montolio był niegdyś sławnym tropicielem, który teraz wiódł swoje ostatnie lata - z własnego wyboru - na uboczu w górach, otoczony przez



stworzenia, które najbardziej sobie ukochał (i nie zaliczał do nich ludzi, elfów, krasnoludów czy innych inteligentnych ras). Pomimo swego zaawansowanego wieku Montolio pozostał wysoki i wyprostowany, choć lata pobrały swą daninę od pustelnika, marszcząc mu jedną dłoń tak, że wyglądała teraz jak pazury ptaka, do którego teraz się zbliżał.

- Cierpliwości, Hooterze - mamrotał raz za razem. Każdy, kto obserwowałby go jak zręcznie idzie po dość zdradzieckim moście, nigdy nie uznałby go za ślepego, zaś ci, którzy znali Montolio, z pewnością by go w ten sposób nie opisali. Powiedzieliby raczej, że jego oczy nie funkcjonują, lecz szybko by dodali, że on wcale nie potrzebuje, aby one funkcjonowały. Ze swoją wiedzą i umiejętnościami, a także licznymi zwierzęcymi przyjaciółmi, ów stary tropiciel więcej „widział” z otaczającego go świata, niż większość tych ze zwyczajnym wzrokiem.

Montolio podniósł rękę, a wielka sowa szybko na nią prze - frunęła, ostrożnie sadowiąc się na rękawie z grubej skóry.

- Widziałas drowa? - spytał Montolio.

Sowa zahuczała twierdząco, po czym wydała z siebie skomplikowany szereg trajkotliwych pohukiwań. Montolio słuchał uważnie wszystkiego, zwracając uwagę na każdy detal. Z pomocą swoich przyjaciół, zwłaszcza tej raczej rozmownej sowy, tropiciel obserwował drowa od kilku dni, ciekawy dlaczego mroczny elf zawędrował do doliny. Z początku Montolio założył, że drow jest w jakiś sposób powiązany z Graulem, wodzem orków z tej okolicy, jednak wraz z biegiem czasu tropiciel zaczynał zmieniać zdanie.

- Dobry znak - stwierdził Montolio, gdy sowa zapewniła go, że drow nie nawiązał jeszcze kontaktu z orczymi szczepami. Graul był wystarczająco zły bez sprzymierzeńców tak potężnych jak mroczne elfy!

Mimo to tropiciel nie mógł odgadnąć, dlaczego orki nie odnalazły drowa. Możliwe, że go nie zauważyły, ponieważ drow starał się utrzymać swoją obecność w tajemnicy, nie rozpałał ognia (aż do tej nocy) i wychodził tylko po zmroku. Bardziej prawdopodobne, jak w zadumie uznał Montolio, gdy poświęcił więcej czasu na przemyślenie sprawy, że orki dostrzegły drowa, nie zdobyły się jednak jeszcze na wy starczającą odwagę, by nawiązać kontakt.

W każdym razie cała ta kwestia była przyjemną odmianą dla tropiciela, który zajmował się codziennymi obowiązkami, związanymi z przygotowaniem domu do nadchodzącej zimy. Montolio nie obawiał się pojawienia drowa - nie obawiał się zbytnio niczego - zaś jeśli drow i orki nie byli sprzymierzeńcami, ewentualny konflikt mógł okazać się ciekawy.

- Możesz odejść - powiedział tropiciel, by uspokoić narzekającą sowę. - Leć i złów sobie jakąś mysz! - Sowa natychmiast wzniosła się w powietrze, zatoczyła koło nad mostem i skierowała się w mrok.

- Uważaj tylko, żeby nie zjeść żadnej myszy, którym poleciłem obserwować drowa! - Montolio zawołał za ptakiem, po czym zachichotał, potrząsnął swymi długimi siwymi lokami i

odwrócił w stronę drabiny na końcu mostu. Schodząc obiecał sobie, że wkrótce przywdzie swój miecz i dowie się, co ten mroczny elf robi w okolicy.

Stary tropiciel obiecywał sobie wiele takich rzeczy.

\* \* \*

Ostrzegawcze jesienne podmuchy szybko ustąpiły miejsca nagłemu atakowi zimy. Niewiele czasu zajęło Drizztowi odgadnięcie znaczenia szarych obłoków, kiedy jednak rozpętała się burza w formie śniegu zamiast deszczu, drow był szczerze zdumiony. Widział biel na szczytach górskich, lecz nigdy nie za - brnął na tyle wysoko, by ją sprawdzić i zakładał po prostu, że to tylko kolor skał. Teraz Drizzt obserwował, jak białe płatki opadają na dolinę, po czym znikają w toni rzeki, lecz zbierają się na kamieniach.

Gdy śnieg zaczął się spiętrzać, a chmury wisiały coraz niżej na niebie, Drizzt doszedł do strasznego wniosku. Szybko przywołał Guenhwyvar do swego boku.

- Musimy znaleźć osłonę - wyjaśnił zmęczonej panterze. Guenhwyvar poprzedniego dnia wróciła do swego astralnego domu. - I musimy napełnić ją opalem, by móc rozpałać ogień.

Zbocze doliny po tej stronie rzeki było upstrzone kilkoma jaskiniami. Drizzt znalazł jedną, nie tylko głęboką i ciemną, lecz również osłoniętą przed wichrem przez wysoką półkę skalną. Wszedł, zatrzymując się tuż za progiem, by pozwolić oczom odzwyczaić się od jasności śniegu.

Podłoga groty była nierówna, a jej strop niezbyt wysoki. Wokół były porozrzucone spore głazy, zaś z boku, obok jednego z nich, Drizzt zauważył ciemniejszą plamę, oznaczającą drugie pomieszczenie. Położył naręczę opału na ziemi i ruszył w tamtą stronę. Zatrzymał się jednak nagle, bowiem wraz z Guenhwyvar wyczuli czyjaś obecność.

Drizzt wyciągnął sejmitar, przyłgął do głazu i rozejrzał się wokół niego. W stosowanej przez niego podczerwieni mieszkańiec drugiej jaskini, świecąca ciepłem kula znacznie większa niż drow, nie był trudny do zauważenia. Drizzt od razu wiedział co to jest, choć nie znał nazwy. Widział kilkakrotnie to stworzenie z dala, obserwował jak zręcznie - i z nieprawdopodobną szybkością, zważywszy na swoją budowę - wyciąga ryby z rzeki.

Jakkolwiek to było zwane, Drizzt nie chciał z tym walczyć w jaskini. W okolicy były inne groty, łatwiejsze do zdobycia.

Wielki brunatny niedźwiedź miał jednak na ten temat inne zdanie. Stworzenie poruszyło się nagle i stanęło na tylnych łapach, a jego grzmiący jak spadająca lawina ryk odbił się echem w całej jaskini. Aż za dobrze widoczne były jego pazury i zęby.

Guenhwyvar, astralna istota pantery, uznawała niedźwiedzia za pradawnego rywala, którego wielkie koty niezwykle starały się unikać. Mimo to, odważna pantera wskoczyła przed Drizzta, chcąc wziąć na siebie większe stworzenie, by jej pan mógł uciec.

- Nie, Guenhwyvar! - rozkazał Drizzt, po czym chwycił kocicę i wysunął się naprzód.

Niedźwiedź, kolejny z licznych przyjaciół Montolio, nie wykonał żadnego agresywnego

ruchu, utrzymywał jednak zażarcie swą pozycję, niezadowolony, że przerwano mu długo oczekiwany sen.

Drizzt wyczuł tu coś, czego nie mógł wyjaśnić - nie przyjaźń z niedźwiedziem, lecz niesamowite zrozumienie jego punktu widzenia. Uznał się za głupca, gdy chował ostrze, nie mógł jednak zaprzeczyć odczuwanej empatii, jakby postrzegał sytuację oczyma niedźwiedzia.

Ostrożnie Drizzt podszedł bliżej, obejmując całego niedźwiedzia wzrokiem. Zwierzę wyglądało na niemal zaskoczone, lecz powoli opuściło łapy, zaś groźny wyraz jego pysk... zmienił się w coś, co Drizzt odczytał jako ciekawość.

Drizzt powoli sięgnął do kieszeni i wyciągnął rybę, którą przeznaczył na swą własną kolację. Rzucił ją niedźwiedziowi, który powąchał ją, po czym połknął jako jeden kęs.

Nastąpiła kolejna długa chwila wzajemnego wpatrywania się w siebie, lecz napięcie ustąpiło. Niedźwiedź beknął, położył się na ziemi i wkrótce zaczął chrapać.

Drizzt spojrzął na Guenhwyvar i wrzucił bezradnie ramionami, nie mając pojęcia, w jaki sposób udało mu się osiągnąć tak głęboką komunikację ze zwierzęciem. Pantera najwyraźniej również rozumiała skojarzenia wypływające z wymiany, ponieważ jej sierść nie była już nastroszona.

Przez resztę czasu, jaki Drizzt spędził w tej jaskini, zawsze gdy miał więcej jedzenia uważał, by zostawić kąsek dla śpiącego niedźwiedzia. Czasami, zwłaszcza jeśli Drizzt rzucił mu rybę, niedźwiedź węszył i budził się na wystarczająco długo, by połknąć przekąskę. Częściej jednak zwierzę całkowicie ignorowało jedzenie, chrapiąc miarowo i śniąc o miodzie, jagodach, niedźwiedzicach oraz wszystkich innych rzeczach, o których śnią śpiące niedźwiedzie.

\* \* \*

- Zamieszkał z Bąblem? - wydyszał Montolio, gdy dowiedział się od Hootera, że drow i uparty niedźwiedź podzielili się dwukomorową jaskinią. Montolio niemal się przewrócił - i zrobiłby to, gdyby nie stał tak blisko pnia drzewa, o który mógł się oprzeć. Oszołomiony stary tropiciel wspierał się o drzewo, drapiąc się w zarost na twarzy i pociągając wąsy. Znał niedźwiedzia od kilku lat i nie był pewien, czy zamieszkałby z nim dobrowolnie. Bąbel łatwo się denerwował, o czym przez lata przekonało się wiele głupich orków Graula.

- Sądzę, że Bąbel jest zbyt zmęczony, by się spierać - uznał Montolio, wiedział jednak, że chodzi tu o coś innego. Gdyby do tej jaskini wszedł ork lub goblin, Bąbel zabiłby go bez zastanowienia. Ale drow i jego pantera byli tam, dzień za dniem, rozpalając ogień w zewnętrznej grocie, podczas gdy Bąbel chrapał swobodnie w wewnętrznej.

Jako tropiciel, i znając innych tropicieli, Montolio widział i słyszał o jeszcze dziwniejszych rzeczach. Aż do tej chwili zawsze uważał jednak wrodzoną umiejętność mentalnego porozumiewania się z dzikimi zwierzętami za wyłączną domenę tych elfów z powierzchni, skrzatów, niziołków, gnomów i ludzi, którzy zostali wychowani w lesie.

- Skąd mroczny elf może znać niedźwiedzia? - spytał głośno Montolio wciąż drapiąc się w brodę. Tropiciel rozważał dwie możliwości: albo w rasie drowów było coś, o czym nie wiedział, albo też ten szczególny mroczny elf różnił się od swoich pobratymców. Zważywszy na widoczne już dziwne zachowanie elfa, Montolio za prawdziwą uważał tę drugą, choć bardzo chciał się upewnić. Jego śledztwo będzie jednak musiało poczekać. Spadł już pierwszy śnieg i tropiciel wiedział, że niedługo pojawi się drugi, później trzeci i wiele, wiele więcej. W górach otaczających Przełęcz Martwego Orka niewiele stworzeń się poruszało po spadnięciu śniegów.

\* \* \*

Guenhwyvar okazała się zbawieniem dla Drizzta podczas następnych tygodni. Przy tych okazjach, gdy pantera przemierzała Plan Materialny, Guenhwyvar ciągle zanurzała się w mroźny, głęboki śnieg polując, a co ważniejsze, przynosząc drewno dla życiodajnego ognia.

Mimo to, życie nie układało się łatwo dla samotnego drowa. Każdego dnia Drizzt musiał schodzić nad rzekę i rozbijać lód, który pokrył spokojniejsze sadzawki, rybne stawy drowa. Nie był to daleki spacer, jednak śnieg był głęboki i zdradziecki, często ześlizgiwał się ze zbocza za Drizztem, grzebiąc go w mroźnych objęciach. Kilkakrotnie drow musiał potykając się wracać do jaskini, ponieważ z jego dłoni i stóp odeszło wszelkie uczucie. Szybko nauczył się, by przed wyjściem rozpałać ogień, ponieważ po powrocie nie miał siły, by trzymać sztylet i krzesać iskry.

Nawet gdy Drizzt miał pełen żołądek, otaczał go blask ognia oraz futro Guenhwyvar, czuł zimno i okropny żal. Pierwszy raz od wielu tygodni drow kwestionował swą decyzję o opuszczeniu Podmroku, zaś gdy jego desperacja rosła, kwestionował decyzję o opuszczeniu Menzoberranzan.

- Jestem bezdomnym nędzarzem - skarżył się często w tych niezbyt rzadkich momentach żalu nad sobą. - I z pewnością umrę tu, zmarznięty i samotny.

Drizzt nie miał pojęcia, co się dzieje z tym dziwnym otaczającym go światem. Czy ciepło, na które się natknął wychodząc na powierzchnię, wróci kiedykolwiek do tej krainy? Czy też jest to może jakaś zła klątwa, prawdopodobnie wymierzona w niego przez jego potężnych przeciwników z Menzoberranzan? Zakłopotanie doprowadziło Drizzta do kłopotliwego dylematu: czy powinien pozostać w jaskini i przeczekać burzę (bo jak inaczej mógł nazwać zimę)? Czy też ma odejść z doliny rzecznej i poszukać cieplejszego klimatu?

Odszedłby, zaś przeprawa przez góry najpewniej by go zabiła, zauważył jednak inną prawidłowość wiążącą się z ostrą pogodą. Dienne godziny skróciły się, zaś nocne wydłużyły. Czy słońce zniknie zupełnie, pogrążając powierzchnię w wiecznym mroku i wiecznym zimnie? Drizzt wątpił w tę możliwość, więc używając piasku oraz pustej butelki, którą znalazł w plecaku, zaczął mierzyć okresy światła i ciemności.

Jego nadzieje słabły za każdym razem, gdy obliczenia wskazywały na wcześniejszy zachód słońca, tak więc wraz z biegiem zimy powiększała się desperacja Drizzta. Istotnie był nędzną istotą, małą i drżąca, gdy pierwszy raz zauważył zmianę pór roku, zimowe przesilenie. Ledwo wierzył w

swoje odkrycie - obliczenia nie były zbyt precyzyjne - lecz po kilku następnych dniach nie mógł zaprzeczyć temu, co powiedział mu spadający piasek.

Dni stawały się dłuższe.

Nadzieja Drizzta wróciła. Podejrzał zmianę pór roku, odkąd kilka miesięcy temu zaczęły dąć pierwsze chłodne wiatry. Obserwował jak niedźwiedź łowi coraz pilniej ryby, gdy pogoda się pogarszała i teraz uważał, że zwierzę przewidziało chłód i zgromadziło tłuszcz, by przespać ten okres.

Wiara ta oraz odkrycie związane ze światłem dnia przekonało Drizzta, że śnieżna pustka nie będzie trwać wiecznie.

Przesilenie nie przyniosło jednak natychmiastowej ulgi. Wichry wiały mocniej, a śnieg wciąż się spiętrzał. Drizzt odzyskał jednak determinację i potrzeba było więcej niż tylko zimy, aby pokonać niepokornego drowa.

Wtedy to się stało - wyglądało na to, że w przeciągu jednej nocy. Opady śniegu osłabły, rzeka niosła ze sobą mniej lodu, a wiatr zaczął nieść cieplejsze powietrze. Drizzt poczuł przyływ witalności i nadziei, wyzwolenie od żalu i winy, których nie mógł wyjaśnić. Drow nie mógł określić, co chwyciło go w swoje objęcia, jednak został w równym stopniu pogrążony w wiośnie, jak każde naturalne stworzenie świata z powierzchni.

Pewnego poranka, gdy Drizzt skończył posiłek i przygotowywał się do snu, jego od dawna śpiący sublokator wyszedł ze swej bocznej groty, wyraźnie szczuplejszy, jednak wciąż potężny. Drow obserwował bacznie kroczącego niedźwiedzia, zastanawiając się czy powinien wezwać Guenhwyvar albo wyciągnąć sejmitar. Zwierzę nie zwróciło jednak na niego uwagi. Przeszło tuż obok, przystanęło, by powąchać, a później oblizać płaski kamień, którego Drizzt używał jako talerza, po czym wytoczyło się na ogrzewające słońce, zatrzymując przy wejściu do jaskini, by ziewnąć i przeciągnąć się tak silnie, że Drizzt zrozumiał, iż zima ma się ku końcowi. Wiedział również, że jaskinia stanie się wkrótce pełna chodzącego w te i z powrotem niebezpiecznego niedźwiedzia, uznał więc, że być może, zważywszy na bardziej gościnną pogodę, grotka może nie być warta, by o nią walczyć.

Drizzt odszedł, zanim wrócił niedźwiedź, jednak ku zadowoleniu zwierzęcia zostawił mu jedną rybę. Wkrótce drow urządził się w płytszej i mniej chronionej jaskini, kilkaset metrów dalej wzdłuż ściany doliny.

## 12

### TRZEBA ZNAĆ SWOICH PRZECIWNIKÓW

Zima odeszła równie szybko, jak się pojawiła. Z każdym dniem spadało mniej śniegu, a południowy wiatr przyniósł powietrze, które nie miało w sobie chłodu. Drizzt szybko zaadaptował się do nowej sytuacji. Największym problemem, jakiemu musiał stawiać czoła, był blask słońca

odbijającego się od wciąż pokrytej śniegiem ziemi. Drow dość dobrze zaadaptował się do słońca w czasie pierwszych miesięcy, jakie spędził na powierzchni, poruszając się - a nawet walcząc - w świetle dnia. Teraz jednak, gdy biały śnieg rzucał mu odbicie na twarz, Drizzt ledwo mógł wyjść z jaskini.

Wyłaniał się więc tylko w nocy, dzień pozostawiając niedźwiedziowi i innym stworzeniom. Drizzt nie martwił się jednak zbytnio. Wierzył, że śnieg wkrótce zniknie i będzie mógł powrócić do przyjemnego życia, jak w ostatnich dniach przed zimą.

Najedzony, wypoczęty i skąpany w delikatnym świetle błyszczącego, powabnego księżyca, pewnej nocy Drizzt zerknął na drugą stronę rzeki, na przeciwległe zbocze doliny.

- Co tam jest? - drow wyszeptał do siebie. Wprawdzie woda płynęła szybciej z powodu wiosennych roztopów, Drizzt uznał, że znalazł ewentualną drogę na drugą stronę, szereg dużych i blisko siebie położonych głazów, wystających ponad nurt.

Noc była jeszcze wczesna, księżyc nie przebył jeszcze połowy swej podniebnej drogi. Wypełniony żądzą wędrówki i w nastroju tak typowym dla tej pory roku Drizzt zdecydował się rzucić okiem. Zszedł na brzeg rzeki, po czym lekko i zwinnie zaczął przeskakiwać po kamieniach. Dla człowieka lub orka - i większości innych ras, które zamieszkiwały świat - pokonywanie mokrych, nierównomiernie rozmieszczonych i często zaokrąglonych głazów mogłoby się wydawać zbyt trudne i zdradzieckie, by nawet próbować, jednak zręczny drow poradził sobie z tym dość łatwo.

Na drugi brzeg wpadł biegiem, skacząc po licznych głazach i szczelinach bez większego zastanowienia czy ostrożności. Jakże inaczej zachowywałby się, gdyby wiedział, że ta strona doliny należy do Graula, wielkiego wodza orków!

\* \* \*

Patrol orków dostrzegł baraszkującego drowa, zanim zdążył on wejść do połowy zbocza doliny. Orki widziały już go wcześniej, gdy Drizzt łowił nad rzeką ryby. Bojąc się mrocznych elfów, Graul nakazał swoim poddanym, by trzymali się od niego z dala uważając, że śniegi odpędzą intruza. Zima jednak minęła i ten samotny drow pozostał, a teraz przebył rzekę.

Graul zacisnął nerwowo tłuste dłonie, gdy przekazano mu te wiadomości. Wielki ork był lekko uspokojony faktem, że drow był sam, nie zaś członkiem większej grupy. Mógł być jednak zwiadowcą lub renegatem, tego Graul nie mógł być pewien, zaś konsekwencje wynikające z obydwu możliwości nie cieszyły wodza. Jeśli drow był zwiadowcą, mogło za nim przyjść więcej mrocznych elfów, jeśli zaś był renegatem, mógł postrzegać orki jako potencjalnych sojuszników.

Graul był wodzem od wielu lat, co było niezwykle u chaotycznych orków. Wielki ork przetrwał, ponieważ nigdy nie zdawał się na los, i nie zamierzał tego robić również w tym przypadku. Mroczny elf mógł zażądać przywództwa nad jego plemieniem, pozycji, której Graul nie miał zamiaru oddawać. Nie, na to Graul nie pozwoli. Krótco później z ciemnych jaskiń wyszły dwa

patrole orków wraz ze ścisłymi rozkazami, by zabić drowa.

\* \* \*

Ponad zboczem doliny wiał mroźny wiatr, a śnieg był tu głębszy, lecz Drizzt się tym nie przejmował. Rozpościerało się przed nim wielkie połacie wiecznie zielonych roślin, przyciemniając góry i zapraszając go, po zimie spędzonej w jaskini, by przyszedł i je zbadał.

Przeszedł około półtora kilometra, gdy zdał sobie sprawę, że jest śledzony. Nie widział tak naprawdę niczego, poza ulotnym cieniem w kącie oka, jednak zmysł wojownika mówił to Drizztowi bez cienia wątpliwości. Wspiął się na strome podejście, ponad gęstą kępę drzew, i wskoczył na wysoką półkę skalną. Gdy już się tam dostał, wślizgnął się za głaz i odwrócił, by obserwować.

Siedem ciemnych sylwetek, sześć humanoidalnych i jedna psia, wyłoniło się przed nim pomiędzy drzew, ostrożnie i metodycznie podążając jego tropem. Z tej odległości Drizzt nie mógł określić ich rasy, podejrzewał jednak, że to ludzie. Rozejrzał się dookoła, szukając najlepszej drogi ucieczki lub najlepszego miejsca do obrony.

Drizzt ledwo zauważył, że w jednej dłoni trzymał sejmitar, w drugiej sztylet. Gdy zdał sobie w pełni sprawę, że wyciągnął broń, zaś ścigająca go grupa znajduje się nieprzyjemnie blisko, znieruchomiał i zamyślił się.

Mógł tutaj stawić czoła prześladowcom i zaatakować ich, gdy będą pokonywać ostatnie zdradzieckie metry śliskiego podejścia.

- Nie - warknął Drizzt, odrzucając tę możliwość, zaraz gdy o niej pomyślał. Mógł zaatakować i najprawdopodobniej by wygrał, jednak jakie brzemie wyniosłby wtedy z tego spotkania. Drizzt nie chciał walki, nie pragnął żadnego kontaktu. Już niósł na sobie więcej winy, niż mógł sobie poradzić.

Usłyszał głosy ścigających, gardłowe dźwięki podobne do języka goblinów. - Orki - poruszył bezgłośnie wargami drow, dopasowując tę mowę do ludzkiego rozmiaru stworzeń.

Świadomość tego faktu nie zmieniła nastawienia drowa. Drizzt nie przepadał zbytnio za orkami - widział wystarczająco wiele tych cuchnących istot w Menzoberranzan - nie miał jednak ani powodu, ani usprawiedliwienia, by walczyć z tą bandą. Odwrócił się, wybrał drogę i uciekł w mrok.

Pościg trwał dalej, ponieważ orki były zbyt blisko Drizzta, by mógł się im wymknąć. Zauważył, że pojawia się problem, bowiem jeśli orki były nastawione nieprzyjaźnie, a z ich krzyków i powarkiwań Drizzt mógł stwierdzić, że istotnie tak jest, to stracił możliwość walki z nimi na wygodnym terenie. Księżyc już dawno zaszedł, a niebo przybrało granatowy odcień przedświt. Orki nie przepadały za światłem dnia, zaś Drizzt, otoczony blaskiem śniegu, będzie w nim niemal bezradny.

Drow uparcie odrzucał możliwość walki i próbował przegonić pościg, zawracając z

powrotem w stronę doliny. Tutaj Drizzt popełnił drugi błąd, bowiem w okolicy czekała jeszcze jedna banda orków, w towarzystwie zarówno wilka, jak i znacznie większej osoby - kamiennego giganta.

Ścieżka biegła w miarę prosto, jedna jej strona opadała stromo w dół kamienistego zbocza na lewo od drowa, zaś z drugiej równie stromo wznosiła, na równie kamienisty teren na prawo. Drizzt wiedział, że ścigający nie będą mieli większego problemu z podążaniem za nim tak wytyczoną trasą, polegał jednak teraz jedynie na prędkości, starając się dostać z powrotem do jaskini, zanim wyjdzie oślepiające słońce.

Warknięcie ostrzegło go na chwilę przed tym, jak wielki wilk z nastroszoną sierścią, nazywany worgiem, wyłonił się spomiędzy głazów tuż nad nim, odcinając mu drogę. Worg skoczył zatraskując szczęki nad głową drowa. Drizzt pochylił się i błyskawicznie wyciągnął sejmitar, po czym wykonał nim cięcie jeszcze bardziej poszerzające wielki pysk bestii. Worg padł ciężko na ziemię za odwracającym się właśnie drowem, a jego język zbierał szaleńczo własną broczącą krew.

Drizzt znów zamierzał zaatakować, lecz pojawiło się sześciu orków, trzymających włócznie oraz pałki. Drizzt rzucił się do ucieczki, po czym znów padł na ziemię, gdy obok przemknął ci - śnięty głaz, spadając później w dół kamienistego zbocza.

Bez chwili namysłu Drizzt stworzył nad swoją głową kulę ciemności.

Czterej prowadzący orkowie wpadli w kulę, nie zdając sobie z tego sprawy. Ich pozostali dwaj towarzysze wstrzymali się, ściskając włócznie i rozglądając nerwowo dookoła. Nie widzieli nic wewnątrz magicznej ciemności, lecz z uderzeń ostrz i pałek oraz dzikich okrzyków można było wnioskować, że walczy tam cała armia. Następnie z mroku dobiegł inny dźwięk, koci warkot.

Dwóch orków cofnęło się, oglądając się przez ramię w nadziei, że kamienny gigant pospieszy się i dotrze do nich. Najpierw jeden z ich orczych towarzyszy, a później drugi wypadł z ciemności, krzycząc z przerażenia. Pierwszy przemknął obok swych zaskoczonych pobratymców, lecz drugiemu się to nie udało.

Guenhwyar skoczyła na nieszczęsnego orka, powalając go na ziemię i pozbawiając życia. Pantera prawie nie zwolniła, niemal natychmiast wyskoczyła, padając na jednego z czekającej dwójki, gdy szaleńczo starał się jej zejść z drogi. Ci, którzy pozostali wewnątrz kuli, wyszli z niej i padli na kamienie, lecz skończywszy z drugą ofiarą, Guenhwyvar rzuciła się w ich stronę.

Drizzt wyłonił się z drugiej strony kuli nawet bez jednego draśnięcia, a jego sejmitar i sztylet ociekały orczą krwią. Zbliżył się do niego gigant, zwałisty, z nogami niczym pnie drzew, by stawić mu czoła, a Drizzt ani przez chwilę się nie wahał. Wskoczył na duży głaz i wybił się z niego, trzymając przed sobą sejmitar.

Jego zręczność i szybkość zaskoczyły giganta, nie zdążył nawet podnieść swej maczugi lub wolnej ręki, by zablokować cios. Drowowi nie dopisało jednak tym razem szczęście. Jego sejmitar, zaklęty magią Podmroku, widział zbyt wiele światła z powierzchni. Oparł się o kamienną skórę



pięciometrowego olbrzyma, wygiął niemal w pół i złamał przy rękojeści.

Drizzt odskoczył do tyłu, po raz pierwszy zdradzony przez swą zaufaną broń.

Gigant zawył i podniósł swą maczugę, uśmiechając się złowieszczo, dopóki obok jego zamierzonej ofiary nie przemknęła czarna sylwetka, wpadając olbrzymowi na pierś i orając ją czterema okrutnymi łapami.

Guenhwyvar znów ocalała Drizzta, lecz gigant miał się jeszcze dość dobrze. Uderzał maczugą i pięścią, dopóki pantera się nie oderwała. Guenhwyvar próbowała zawrócić i znów skoczyć, wylądowała jednak na prowadzącym w dół zboczach i pod jej ciężarem odłamał się płat śniegu. Kocica ślizgała się i toczyła, zdołała w końcu zahamować, bez szwanku, jednak daleko poniżej Drizzta i walki.

Tym razem gigant się nie uśmiechnął. Z tuzina szram na jego piersi i twarzy sączyła się krew. Za nim, na szlaku, zbliżała się szybko druga grupa orków, prowadzona przez następnego wyjącego worga.

Jak każdy rozsądny wojownik postawiony w obliczu tak przytłaczającej przewagi, Drizzt odwrócił się i uciekł.

Gdyby te dwa orki, które uciekły przed Guenhwyvar, wróciły zaraz na zbocze, mogłyby odciąć drowowi drogę. Stwory te nigdy jednak nie były zbyt znane ze swojej odwagi, tak więc owa dwójka wciąż biegła, nie oglądając się za siebie.

Drizzt pędził szlakiem, szukając jakiejś drogi, którą mógłby zejść w dół i dołączyć do pantery. Nigdzie jednak sprawa nie wyglądała zbyt obiecująco, ponieważ musiałby iść powoli i ostrożnie, a za nim bez wątpienia podążałby gigant wraz ze swymi ogromnymi ramionami. Wspinanie na górę wydawało się równie bezowocne, gdy tak blisko był potwór, tak więc drow po prostu biegł szlakiem, mając nadzieję, że się szybko nie skończy.

Wtedy zza wschodniego horyzontu wyłoniło się słońce, kolejny problem - nagle jeden z wielu - dla zdesperowanego drowa.

Dostrzegając, że los obrócił się przeciwko niemu, Drizzt w jakiś sposób wiedział, nawet zanim okrążył ostatni ostry załom szlaku, że dotarł do końca drogi. Głaz, który ześlizgnął się dawno temu, blokował ścieżkę. Drizzt wyhamował i ściągnął plecak wiedząc, że czas działa na jego niekorzyść.

Prowadzona przez worga banda orków trzymała się blisko giganta, obydwie strony nabrały pewności siebie w obecności tej drugiej. Biegli razem, zaś na przedzie pędził groźny worg.

Stworzenie miało właśnie szybko ostry załom, potykając się i próbując wyhamować, gdy nagle zaplątało się w pętlę ze sznura. Worgi nie są głupie, lecz ten nie rozumiał w pełni przerażających konsekwencji wynikających z faktu, że drow zepchnął z półki skalnej zaokrąglony głaz. Worg nie wiedział, o co chodzi, dopóki lina się nie napięła, a kamień pociągnął bestię za sobą w dół.

Prosta pułapka zadziałała perfekcyjnie, lecz była to jedyna przewaga, jaką Drizzt miał nadzieję osiągnąć. Za nim szlak był całkowicie zablokowany, zaś po bokach zbocza wznosiły się i opadały zbyt stromo, by mógł tamtędy uciec. Gdy orki i gigant wyłonili się zza rogu, z niepokojem obserwując dość karkołomną jazdę ich worga, Drizzt stał przed nimi jedynie ze sztyletem w dłoni.

Drow próbował negocjować, używając języka goblinów, lecz orki nie chciały go słuchać. Zanim pierwsze słowo opuściło usta Drizzta, jeden z nich rzucił włócznią.

Broń wydawała się zamglona dla oślepionego słońcem drowa, jednak jej drzewce było wygięte i cisnęło ją niezdarne stworzenie. Drizzt z łatwością się uchylił i odwzajemnił rzut swoim sztyletem. Ork widział lepiej niż drow, nie był jednak taki szybki. Sztylet trafił go dokładnie w gardło. Gulgocząc stwór padł na ziemię, a jego najbliższy towarzysz chwycił nóż i wyrwał go, nie po to, by uratować drugiego orka, lecz by położyć łapy na doskonałej broni.

Drizzt podniósł prymitywną włócznię i stanął pewnie, zaś kamienny gigant coraz bardziej się zbliżał.

Nagle na giganta sfrunęła sowa i zahuczała, rozpraszając uwagę zdeterminowanego potwora. Chwilę później olbrzym zachwiał się do przodu, popychany przez strzałę, która niespodziewanie wbiła mu się w grzbiet.

Drizzt ujrzał drżące, czarno upierzone drzewce, gdy gigant się obrócił. Drow nie kwestionował nieoczekiwanej pomocy. Podniósł włócznię i z całej siły wbił ją w kregosłup potwora.

Olbrzym odwróciłby się, żeby odpowiedzieć, lecz znów pojawiła się nad nim sowa i zahuczała. Jakby to była wskazówka, świsnęła kolejna strzała, tym razem wbijając się potworowi w pierś. Następny odgłos ptaka i jeszcze jeden pocisk trafił w cel.

Oszołomione orki rozglądały się dookoła w poszukiwaniu niewidocznego napastnika, lecz wzmagające się światło porannego słońca nie pomagało zbyt nocnym stworom. Trafiony w serce gigant stał i wpatrywał się pustym wzrokiem przed siebie, nie zdając sobie nawet sprawy, że jego życie dobiegło końca. Drow znów wbił w niego z tyłu włócznię, lecz miało to tylko odepchnąć potwora.

Orki spoglądały po sobie i dookoła, zastanawiając się, w którą stronę uciec.

Dziwna sowa znów sfrunęła w dół, tym razem nad orka, i zahuczała czwarty raz. Rozumiejąc co się może stać, ork zamachał rękoma i wrzasnął, po czym upadł w milczeniu ze strzałą wystającą z pyska.

Czterej pozostali porzucili szyk bojowy i zaczęli uciekać, jeden w górę zbocza, inny drogą, którą przy szedł, zaś dwaj pospieszyli w stronę Drizzta.

Zręczne machnięcie włócznią posłało jej tępy koniec w pysk jednego z orków, po czym Drizzt dokończył zamach, odbijając ostrze włóczni drugiego stwora w stronę ziemi. Ork upuścił broń, zdając sobie sprawę, że nie zdoła go cofnąć na czas, by powstrzymać drowa.

\* \* \*

Wspinający się na zbocze ork zrozumiał, że nadeszła zagłada, gdy zbliżyła się pohukująca sowa. Przerazony stwór rzucił się za głaz, słysząc jeden odgłos ptaka, gdyby jednak był sprytniejszy, zdałby sobie sprawę z pomyłki. Z kąta, pod jakim strzały trafiały w giganta, można było wnioskować, że łucznik jest gdzieś na tym zboczu.

Strzała trafiła go w łydkę, gdy kuczał, wskutek czego wijąc się z bólu przewrócił się na grzbiet. Słyszając powarkiwania i miotanie się orka niewidoczny i niewidzący łucznik nie potrzebował już sowy, by skierować w niego drugi strzał, tym razem trafiając stwora dokładnie w pierś i uciszając go na zawsze.

\* \* \*

Drizzt natychmiast zmienił kierunek, tym razem uderzając drugiego orka tępym końcem włóczni. W mgnieniu oka drow po raz trzeci przełożył uchwyt i skierował ostrze w gardło stwora, wbijając je aż do mózgu.

Pierwszy ork, którego trafił Drizzt, zachwiał się i potrzęsął gwałtownie głową, starając się zorientować w walce. Poczul jak dłonie drowa chwytają go za przód brudnej tuniki z niedźwiedziej skóry, a później pęd powietrza, gdy przelatywał ponad krawędzią, tą samą drogą co wcześniej worg.

\* \* \*

Słyszając wrzaski swych umierających towarzyszy, ork na szlaku pochylił głowę i biegł, uważając iż zrobił rozsądnie, wybierając tę drogę. Zmienił jednak nagle zdanie, gdy ominął zakręt i wpadł prosto w oczekujące na niego łapy wielkiej czarnej pantery.

\* \* \*

Wyczerpany Drizzt oparł się o głaz i trzymał włócznię gotową do rzutu, gdy dziwna sowa sfruwała z powrotem ze wzgórze. Ptak zachował jednak odległość i przysiadł na skale, która tuzin kroków dalej zmuszała szlak do nagłego zakrętu.

Uwagę drowa zwróciło poruszenie na górze. Ledwo mógł widzieć w oślepiającym świetle, odróżniał jednak podobną do ludzkiej sylwetkę, idącą ostrożnie w jego stronę.

Sowa znów wzleciała, kołując nad drowem i wołając, zaś Drizzt przykucnął w napięciu, gdy mężczyzna schodził za skalistą ostrogę. W odpowiedzi na pohukiwanie sowy nie wyleciała jednak żadna strzała. Zamiast niej pojawił się łucznik.

Był wysoki, wyprostowany i bardzo stary, z długimi siwymi wąsami oraz potarganymi włosami. Najciekawszym elementem jego wyglądu były jego białe i pozbawione źrenic oczy. Gdyby Drizzt nie był świadkiem pokazu strzeleckiego tego mężczyzny, uznałby go za ślepcę. Kończyny starca również wyglądały na dość delikatne, lecz Drizzt nie pozwalał się zwieść pozorom. Doświadczony strzelec trzymał swój długi łuk w gotowości, z opartą na siodełku strzałą, bez widocznego wysiłku.

Drizzt nie musiał daleko patrzeć, by przekonać się o śmiercionośnej skuteczności, z jaką ten człowiek używał swej potężnej broni.

Starzec powiedział coś w języku, którego Drizzt nie rozumiał, później w drugim, a następnie w mowie goblinów, którą Drizzt znał - Kim jesteś?

- Drizzt Do'Urden - odpowiedział pewnym głosem drow, nabierając nadziei z faktu, że przynajmniej z tym przeciwnikiem może się porozumieć.

- Czy to imię? - spytał starzec? Zachichotał i wzruszył ramionami. - Czymkolwiek jest i kimkolwiek ty jesteś, lub też dlaczego tu jesteś, nie ma większego znaczenia.

Zauważywszy ruch sowa zaczęła pohukiwać i szamotać się dziko, jednak było już za późno dla starca. Za jego plecami wyłoniła się zza zakrętu Guenhwyvar i zbliżyła jednym skokiem, kładąc po sobie uszy i obnażając zęby.

Najwidoczniej nieświadomy niebezpieczeństwa starzec dokończył swą myśl - Jesteś teraz moim więźniem.

Guenhwyvar wydała z siebie niski, gardłowy warkot, a drow uśmiechnął się szeroko.

- Nie sądzę - odpowiedział.

### 13

#### MONTOLIO

- Twoja przyjaciółka? - spytał spokojnie starzec.

- Guenhwyvar - wyjaśnił Drizzt.

- Wielka kocica?

- Och, tak - odparł Drizzt.

Starzec zwolnił cięciwę i puścił strzałę, tak że teraz zwiisała grotem ku ziemi. Zamknął oczy, przechylił głowę w tył i wyglądał tak, jakby nad czymś kontemlował. Chwilę później Drizzt zauważył, że Guenhwyvar podniosła nagle oczy i drow zrozumiał, że ten człowiek w jakiś sposób nawiązuje telepatyczną więź z panterą.

- Również dobra kocica - powiedział chwilę później starzec. Guenhwyvar wyszła zza skały, płosząc sowę, i niedbale przeszła obok człowieka, stając przy Drizzcie. Najwyraźniej pantera wyzbyła się wszelkich obaw, że starzec jest wrogiem.

Drizzt zastanowił się nad zagadkowym zachowaniem Guenhwyvar, postrzegając je w ten sam sposób, jak swoją własną empatyczną ugodę z niedźwiedziem w jaskini, jakiś czas temu.

- Dobra kocica - powtórzył starzec.

Drizzt oparł się z powrotem o kamień i poluzował uchwyt na włócznie.

- Jestem Montolio - wyjaśnił z dumą starzec, jakby samo imię miało mieć dla drowa jakieś znaczenie. - Montolio De Brouchee.

- Miło cię poznać, trzymaj się dobrze - rzekł beznamiętnie Drizzt. - Jeśli skończyliśmy już

nasze spotkanie, możemy odejść swoimi drogami.

- Możemy - zgodził się Montolio - jeśli obydwaj się na to zdecydujemy.

- Czy znów mam być twoim... więźniem? - spytał Drizzt z odrobiną sarkazmu w głosie.

Szczerłość rozbrzmiewająca ze śmiechu Montolio przywiodła uśmiech na twarz drowa, mimo jego wcześniejszego cynizmu. - Moim? - zapytał z niedowierzaniem starzec. - Nie, nie, przypuszczam, że już rozstrzygnęliśmy tę kwestię. Tego dnia zabiłeś jednak paru poddanych Graula, a za ten uczynek król orków będzie chciał wymierzyć karę. Pozwól mi zaoferować ci pokój w moim zamku. Orki nie zbliżą się do tego miejsca. - Uśmiechnął się krzywo i pochylił w stronę Drizzta, by wyszeptać następne słowa, jakby miały być one ich tajemnicą. - Wiedz, że nie zbliżą się do mnie. - Wskazał na swoje dziwne oczy. - Uważają, że władam złą magią z powodu moich... - Montolio szukał słowa, za pomocą którego mógłby przekazać swą myśl, lecz gardłowy język był ograniczony, więc szybko wpadł we frustrację.

Drizzt w milczeniu przypomniał sobie przebieg walki, po czym otworzył usta w niekłamanym zdumieniu, ponieważ zdał sobie sprawę z tego, co naprawdę się stało. Starzec naprawdę był ślepy! To sowa, kołując nad przeciwnikami i pohukując, kierowała jego strzałami. Drizzt spojrział na zabitego giganta oraz orka z otwartymi szeroko ustami. Starzec ani razu nie spuszczał wzroku.

- Pójdiesz ze mną? - spytał Montolio. - Chciałbym poznać... - znów szukał odpowiedniego terminu - cel... dla którego mroczny elf żył przez zimę w jednej jaskini z niedźwiedziem Bąblem.

Montolio skulił się z powodu swej niezdolności do rozmowy z drowem, lecz z kontekstu Drizzt rozumiał sporo z tego, o co chodziło starcowi, nawet odgadł nieznanymi terminami jak „zima” i „niedźwiedź”.

- Orczy król Graul może wysłać przeciwko tobie dziesięć setek następnych wojowników - zauważył Montolio, wyczuwając, że drow ma problemy z rozważeniem jego propozycji.

- Nie pójdę z tobą - oznajmił w końcu Drizzt. Drow naprawdę chciał iść, chciał dowiedzieć się paru rzeczy o tym niezwykłym człowieku, jednak zbyt wiele tragedii spadło na tych, których ścieżki skrzyżowały się z Drizztem.

Głuchy pomruk Guenhwyvar powiedział Drizztowi, że pantera nie pochwała jego decyzji.

- Sprowadzam kłopoty - Drizzt próbował wyjaśnić starcowi, panterze i sobie. - Będzie dla ciebie lepiej, Montolio De Brouchee, jeśli będziesz się trzymał z dala ode mnie.

- Czy to groźba?

- Ostrzeżenie - odparł Drizzt. - Jeśli zabierzesz mnie ze sobą, jeśli nawet pozwolisz mi przebywać w swoim pobliżu, to spadnie na ciebie zagłada, jak na tych rolników w wiosce.

Montolio nadstawił uszu na wzmiankę o odległej rolniczej wiosce. Słyszał, że jedna rodzina w Maldobar została brutalnie zabita i na pomoc wezwano tę tropicielkę, Dove Falconhand.

- Nie obawiam się zagłady - powiedział Montolio, zmuszając się do uśmiechu. - Przeżyłem

wiele... walk, Drizzcie Do 'Urden. Brałem udziału w tuzinie krwawych wojen i spędziłem całą zimę ze złamaną nogą uwięziony na zboczu górskim. Pokonałem giganta samym sztyletem i... zaprzyjaźniłem się... z każdym zwierzęciem w promieniu pięciu tysięcy kroków. Nie obawiaj się o mnie. - Znów ten krzywy, mądry uśmiech. - Jednakże - rzekł powoli Montolio - to nie o mnie się obawiasz.

Drizzt czuł się zakłopotany i trochę obrażony.

- Obawiasz się o siebie - ciągnął Montolio. - Litość nad samym sobą? Nie pasuje do twego męstwa. Odrzuć ją i chodź ze mną.

Gdyby Montolio mógł widzieć grymas Drizzta, odgadłby nadchodzącą odpowiedź.

Guenhwyvar jednak zauważyła tę minę i uderzyła mocno ciałem o nogę drowa.

Z reakcji Guenhwyvar Montolio wywnioskował zamiary drowa. - Kocica chce, żebyś poszedł - stwierdził. - Będzie lepiej niż w jaskini - obiecał - i lepsze jedzenie niż nie dopieczona ryba.

Drizzt spojrział na Guenhwyvar i pantera znów o niego uderzyła, tym razem wydając z siebie głośniejszy i bardziej natarczywy pomruk.

Drizzt pozostał nieugięty, opamiętał się przywołując w wyobraźni obraz masakry w odległym gospodarstwie. - Nie pójdę - powiedział pewnym głosem.

- A więc muszę cię nazwać moim wrogiem i więźniem! - ryknął Montolio, znów ustawiając łuk w pozycji gotowości. - Twoja kocica nie pomoże ci tym razem, Drizzcie Do'Urden! - Montolio pochylił się, błysnął uśmiechem i wyszeptał - Kocica zgadza się ze mną.

To było za dużo dla Drizzta. Wiedział, że starzec do niego nie strzeli, lecz urok Montolio szybko przełamał mentalne bariery drowa, choć były one solidne.

To, co Montolio opisał jako zamek, okazało się szeregiem drewnianych budek, umieszczonych pomiędzy korzeniami wielkich i gęsto rosnących, wiecznie zielonych drzew. Zadaszenia z patyków zwiększały ochronę i w jakiś sposób łączyły budki ze sobą, zaś cały kompleks otoczony był niskim murem z ustawionych na sobie kamieni. Gdy Drizzt zbliżył się do tego miejsca, zauważył kilka skonstruowanych z drewna i lin mostów, rozciągających się pomiędzy drzewami na różnych wysokościach. Zwisały z nich do ziemi sznurowe drabinki, zaś w regularnych odstępach przymocowano solidnie do balustrad kusze.

Drow nie skarżył się jednak, że zamek był z drewna i gliny. Drizzt spędził trzy dekady w Menzoberranzan, mieszkając we wspaniałym kamiennym zamku, otoczonym jeszcze bardziej zapierającymi dech w piersiach pięknymi budowlami, jednak żadna z nich nie wyglądała tak zapraszająco jak dom Montolio.

Widząc, że zbliża się stary tropiciel, ptaki powitały ich śpiewem, wiewiórki, a nawet szop, skakały radośnie pomiędzy gałęziami, by zbliżyć się do starca - choć zachowały dystans, gdy zauważyły, że Montolio towarzyszy wielka pantera.

- Mam wiele pokoi - Montolio wyjaśnił Drizztowi. - Wiele koców i wiele jedzenia. - Montolio nienawidził ograniczonego języka goblinów. Tak wiele chciał powiedzieć drowowi, tak wiele chciał się od niego dowiedzieć. Wydawało się to jednak niemożliwe, jeśli nie nadmiernie męczące, w języku tak podstawowym i z natury negatywnym, nie przeznaczonym do złożonych myśli. Mowa goblinów zawierała ponad sto słów na zabijanie i nienawiść, lecz żadnego na wyższe emocje, jak na przykład litość. Ich określenie przyjaźni można było przetłumaczyć jako tymczasowy sojusz wojskowy albo służba wobec silniejszego goblina, a żadna z tych definicji nie pasowała do zamiarów, jakie Montolio żywił wobec samotnego mrocznego elfa.

Tropiciel uznał więc, że pierwszym zadaniem będzie nauczenie tego drowa wspólnej mowy.

- Nie możemy mówić... - w goblinśkim nie było określenia „odpowiednio”, więc Montolio musiał improwizować - ...dobrze... w tym języku - wyjaśnił Drizztowi. - Będzie jednak dobrze, gdy nauczę cię języka ludzi, jeśli oczywiście chcesz się go nauczyć.

Drizzt wahał się z odpowiedzią. Gdy odszedł od rolniczej wioski, zdecydował, że będzie wiódł życie pustelnika, i jak na razie szło mu z tym całkiem dobrze - lepiej niż oczekiwał. Propozycja była jednak kusząca i myśląc kategoriami praktycznymi, Drizzt był świadom, że znajomość języka wspólnego w tym regionie może utrzymać go z dala od kłopotów. Gdy drow się zgodził, uśmiech Montolio sięgał niemal do uszu.

Sowa nie wyglądała jednak na zbyt zadowoloną. Gdy w pobliżu będzie drow - a raczej pantera drowa - sowa nie będzie mogła spędzać tak wiele czasu w zaciszu niższych gałęzi drzew.

\* \* \*

- Kuzynie, Montolio De Brouchee zabrał drowa do siebie! - podekscytowany elf zawołał do Kellindila. Cała grupa szukała tropu Drizzta, odkąd skończyła się zima. Kiedy mroczny elf zniknął z Przełęczy Martwego Orka, elfy, a zwłaszcza Kellindil, obawiały się kłopotów, obawiały się, że być może drow dołączył do Graula i jego orczych sług.

Kellindil wstał raptownie, ledwo oddychając w obliczu zaskakujących wiadomości. Wiedział o Montolio, legendarnym choć trochę ekscentrycznym tropicielu, i wiedział również, iż Montolio, wraz ze swymi zwierzęcymi znajomościami, mógł dość prawidłowo oceniać intruzów.

- Kiedy? Jak? - spytał Kellindil. Jeśli drow wprawiał go w zakłopotanie podczas poprzednich miesięcy, teraz elf z powierzchni był naprawdę oszołomiony.

- Tydzień temu - odpowiedział drugi elf. - Nie wiem, jak to się stało, lecz teraz drow chodzi otwarcie po zagajniku Montolio ze swoją panterą przy boku.

- Czy Montolio...

Elf przerwał Kellindilowi, widząc narastające obawy. - Montolio jest cały i kontroluje sytuację - zapewnił Kellindila. - Wydaje się, że zabrał drowa do siebie z własnej woli, a teraz wygląda na to, że stary tropiciel uczy mrocznego elfa wspólnej mowy.

- Zdumiewające - to było wszystko, co Kellindil był w stanie odpowiedzieć.

- Możemy postawić wartę przy zagajniku Montolio - zaproponował drugi elf. - Jeśli obawiasz się o bezpieczeństwo starego tropiciela...

- Nie - odparł Kellindil. - Nie. Drow znów dowiódł, że nie jest wrogiem. Podejrzywałem go o przyjacielskie zamiary, odkąd spotkałem go w pobliżu Maldobar. Teraz jestem usatysfakcjonowany. Zajmijmy się własnymi sprawami, zaś drowa i tropiciela zostawmy samym sobie.

Drugi elf przytaknął twierdząco, lecz mała istota podsłuchująca pod namiotem Kellindila nie była taka pewna.

Tephanis przychodził do obozu elfów nocą, by kraść pożywienie oraz inne rzeczy, które ułatwiały mu życie. Skrzat usłyszał o mrocznym elfie kilka dni wcześniej, gdy elfy ponowiły poszukiwania Drizzta, i podejmował ogromne wysiłki, by odtąd przysłuchiwać się ich rozmowom, jak oni ciekawy miejsca pobytu tego, który zniszczył Ulgulu i Kempfanę.

Tephanis potrząsnął gwałtownie swą głową z obwisłymi uszami. - Przeklęty - niech - będzie - dzień - gdy - on - powróci! - wyszeptał, brzmiąc jak podekscytowany trzmiel. Następnie oddalił się, a jego małe stopki ledwo dotykały ziemi. W miesiącach, które nastąpiły po śmierci Ulgulu, Tephanis nawiązał kolejną znajomość, zyskał następnego potężnego sprzymierzeńca, którego nie chciał stracić.

Po kilku minutach odnalazł Caroaka, wielkiego, srebrnowłosego zimowego wilka, na wysokim szczycie, który nazywali domem.

- Drow - jest - z - tropicielem - wypalił Tephanis, a bestia wydawała się rozumieć. - Strzeż - się - go - mówię - ci! To - on - zabił - mo - ich - dawnych - panów.

Caroak spojrział w dół na zagajnik Montolio. Zimowy wilk dobrze znał to miejsce i wiedział, że lepiej trzymać się od niego z dala. Montolio De Brouchee przyjaźnił się ze wszystkimi zwierzętami, lecz zimowe wilki były bardziej potworami niż zwierzętami, i zdecydowanie nie były przyjaciółmi tropicieli.

Tephanis również spojrział w stronę Montolio, martwiąc się, że znów będzie musiał stanąć twarzą w twarz z podstępny drowem. Sama myśl o tym spotkaniu spowodowała, że małego skrzata znów zaczęła boleć głowa (oraz blizna od lemiesza, która dotąd całkowicie nie zniknęła).

\* \* \*

W ciągu następnych kilku tygodni zima przeszła w wiosnę, a Drizzt i Montolio zacieśnili przyjaźń. Wspólna mowa tego regionu nie różniła się zbyt od języka goblinów, polegała bardziej na zmianie sposobu akcentowania niż zastępowaniu całych słów, a Drizzt szybko ją przyswajał, uczył się nawet czytać i pisać. Montolio okazał się dobrym nauczycielem i w trzecim tygodniu mówił już do Drizzta tylko we wspólnej mowie i krzywił się niecierpliwie za każdym razem, gdy drow przechodził na język goblinów, by przekazać jakąś myśl.

Dla Drizzta był to okres zabawy, okres łatwego życia i wspólnych przyjemności. Montolio



posiadał rozległy zbiór książek i drow zagłębił się w przygodach wyobraźni, w smoczej wiedzy oraz relacjach z wielkich bitew. Wszelkie posiadane przez Drizzta wątpliwości dawno już zniknęły, podobnie jak wątpliwości na temat Montolio. Schronienie pomiędzy drzewami rzeczywiście było zamkiem, zaś starzec najlepszym gospodarzem, jakiego kiedykolwiek znał Drizzt.

W czasie tych pierwszych tygodni Drizzt nauczył się od Montolio wielu innych rzeczy, praktycznych kwestii, które będą miały mu pomagać do końca życia. Tropicielec potwierdził przypuszczenia Drizzta na temat sezonowej zmiany pogody, a nawet nauczył drowa, jak przewidywać pogodę z dnia na dzień poprzez obserwację zwierząt, nieba i wiatru.

To również Drizzt szybko przyswajał, zresztą Montolio przypuszczał, że tak właśnie będzie. Starzec nigdy by w to nie uwierzył, gdyby sam tego nie doświadczył, jednak ten niezwykły drow posiadał cechy typowe dla elfa z powierzchni, a może nawet miał serce tropiciela.

- Jak uspokoiłeś niedźwiedzia? - Montolio spytał pewnego dnia. Pytanie to dręczyło go od chwili, gdy dowiedział się, że Drizzt i Babel dzielą jaskinię.

Drizzt nie wiedział, jak szczerze odpowiedzieć, ponieważ wciąż nie rozumiał, co się wydarzyło podczas tamtego spotkania. - W ten sam sposób jak ty uspokoiłeś Guenhwyvar, gdy się poznaliśmy - rzekł w końcu drow.

Uśmiech Montolio powiedział Drizztowi, że starzec dobrze rozumie, o co chodzi. - Serce tropiciela - wyszeptał Montolio odwracając się. Dzięki swemu bystremu słuchowi Drizzt usłyszał komentarz, jednak nie zrozumiał jego sensu.

Wraz z biegiem dni lekcje Drizzta stawały się coraz szybsze. Teraz Montolio koncentrował się na otaczającym ich życiu, zwierzętach i roślinach. Pokazywał Drizztowi, jak zdobywać żywność oraz poznawać uczucia zwierzęcia, po prostu obserwując jego ruchy. Niedługo później nastąpił pierwszy test, kiedy Drizzt, przesuając zewnętrzne gałęzie krzaka z jagodami, odnalazł wejście do małej nory, wejście, w którym stanął rozgniewany borsuk.

Wysoko w powietrzu Hooter wydał z siebie serię krzyków, by ostrzec Montolio, zaś pierwszą myślą tropiciela było iść i pomóc swemu przyjacielowi drowowi. Borsuki były chyba najnikczemniejszymi zwierzętami w okolicy, nawet przewyższającymi orki, rozwścieczały się szybciej niż niedźwiedź Babel i chętnie atakowały każdego przeciwnika, nieważne jak dużego. Montolio pozostał jednak z tyłu, słuchając jak Hooter dalej opisuje scenę.

Na pierwszą myśl Drizzt chwycił sztylet. Borsuk stanął na tylnych łapach i pokazał paskudne zęby oraz pazury, sycząc i wyrzucając z siebie setki skarg.

Drizzt uspokoił się, a nawet schował sztylet z powrotem do pochwy. Nagle zaczął postrzegać spotkanie z punktu widzenia borsuka, wiedział, że zwierzę czuło się mocno zagrożone. W jakiś sposób Drizzt zdał sobie sprawę, że borsuk wybrał tę norę jako miejsce do wychowywania swych mających się wkrótce pojawić młodych.

Borsuk wydawał się być zakłopotany rozważnymi ruchami drowa. Będąca w

zaawansowanej ciąży przyszła matka nie chciała walki i gdy Drizzt ostrożnie przesunął gałęzie z powrotem na miejsce, by zakryć norę, opadła na cztery łapy, wywęszyła zapach mrocznego elfa, by zapamiętać go na przyszłość, po czym wróciła do nory.

Kiedy Drizzt się odwrócił, zauważył, że Montolio uśmiecha się i klaszcze w dłonie. - Nawet tropicielowi byłoby trudno uspokoić zagniewanego borsuka - wyjaśnił starzec.

- Ona była w ciąży - odparł Drizzt. - Tak samo jak ja nie chciała walki.

- Skąd to wiedziałeś? - spytał Montolio, choć nie wątpił w spostrzeżenia drowa.

Drizzt zaczął odpowiadać, jednak zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie przekazać prawdy. Spojrzał znów na krzak jagód, a później bezradnie na Montolio.

Tropiciel roześmiał się głośno i wrócił do swoich zajęć. On, który od tak wielu lat podążał zgodnie z zaleceniami bogini Mielikki, wiedział, o co chodzi, nawet jeśli Drizzt nie.

- Wiedz, że borsuk mógł cię rozszarpać - powiedział zgryźliwie tropiciel, gdy Drizzt podszedł do niego.

- Ona była ze szczeniakami - przypomniał mu Drizzt. - 1 nie byłaby zbyt dużym przeciwnikiem.

Śmiech Montolio zakpił z niego. - Niezbyt dużym? - powtórzył tropiciel. - Zaufaj mi, Drizzcie, wolałbyś zapasy z Bąblem niż z nią!

Drizzt w odpowiedzi jedynie wzruszył ramionami, nie mając argumentów przeciwko bardziej doświadczonemu mężczyźnie.

- Czy naprawdę wierzysz, że mizerny nożyk byłby jakąś obroną przeciwko niej? - spytał Montolio, pragnąc skierować teraz rozmowę w inną stronę.

Drizzt spojrział na sztylet, który zabrał skrzatowi. Znów nie mógł się spierać, nóż rzeczywiście był mizerny. Zaśmiał się z niego i z siebie. - Obawiam się, że to wszystko, co mam - odpowiedział.

- Zajmiemy się tym - obiecał tropiciel i zamilknął. Pomimo całego swojego spokoju i pewności Montolio dobrze znał niebezpieczeństwa dzikiej, górskiej okolicy.

Tropiciel ufał Drizztowi bez zastrzeżeń.

Montolio wyrwał Drizzta ze snu tuż przed zachodem słońca i zaprowadził go pod rozłożyste drzewo na północnym krańcu zagajnika. U podstawy drzewa znajdowała się spora dziura, niemal grota, przemyślnie zasłonięta krzakami oraz kocem ufarbowanym na podobieństwo kory. Gdy tylko Montolio odsunął to wszystko na bok, Drizzt zrozumiał jego tajemniczość.

- Zbrojownia? - spytał ze zdumieniem drow.

- Upodobałeś sobie sejmitar - odparł Montolio, przypominając sobie broń, którą Drizzt złamał na kamiennym gigancie. - Ja też mam tu jeden dobry. - Wczołgał się do środka i myszkował tam przez chwilę, po czym wyłonił się z porządnym, zakrzywionym ostrzem. Gdy tropiciel wyszedł, Drizzt zbliżył się do otworu, by spojrzeć na wspaniałą zasób broni. Montolio posiadał

spory ich asortyment, od ozdobnych sztyletów poprzez wielkie berdysze do kusz, lekkich i ciężkich, a wszystko było wypolerowane i zadbane. O wnętrze pnia, sięgając wysoko w górę, opierały się liczne włócznie, wśród nich trzymetrowa runka o metalowym drzewcu, z długim i spiczastym ostrzem oraz dwoma mniejszymi zadziorami, sterczącymi na boki w pobliżu czubka.

- Czy do drugiej ręki wolisz tarczę, czy też może sztylet? - spytał Montolio, gdy drow wyszedł, mrużąc pod nosem wyrazy szczerego zachwytu. - Możesz wziąć wszystko poza rzeczami z symbolem sowy ze szponami. Ta tarcza, miecz i hełm, należą do mnie.

Drizzt zawahał się przez chwilę, próbując wyobrazić sobie ślepego tropiciela wyekwipowanego tak do walki wręcz. - Miecz - powiedział w końcu - albo drugi sejmitar, jeśli masz.

Montolio spojrział na niego z zaciekawieniem. - Dwa długie ostrza do walki... - wahał się - przypuszczam, że najpewniej się w nich zaplączesz.

- Nie jest to niezwykłym stylem walki wśród drowów - rzekł Drizzt.

Montolio wzruszył ramionami, nie wątpiąc w to, po czym znów wszedł do środka. - Obawiam się, że ten jest bardziej na pokaz - powiedział, gdy wrócił, trzymając nadmiernie ozdobne ostrze. - Możesz go używać, jeśli chcesz, lub wziąć miecz. Mam ich sporo.

Drizzt wziął sejmitar, by sprawdzić jego wyważenie. Był trochę za lekki i chyba zbyt delikatny. Drow uznał jednak, że go zachowa, uważał bowiem zakrzywione ostrze za lepsze towarzystwo dla drugiego sejmitara niż prosty i nieporęczny miecz.

- Zajmę się nimi równie dobrze, jak ty - obiecał Drizzt, zdając sobie sprawę, jak cenny dar ofiarował mu człowiek. - 1 będę ich używać - dodał, wiedząc co Montolio tak naprawdę chciał usłyszeć - tylko wtedy, gdy będę musiał.

- Módl się więc, abyś nigdy ich nie potrzebował, Drizzcie Do'Urden - odparł Montolio. - Widziałem pokój oraz wojnę i mogę ci powiedzieć, że zdecydowanie wolę to pierwsze! Chodź teraz, przyjacielu. Jest tak wiele rzeczy, które chcę ci pokazać.

Drizzt ostatni raz spojrział na sejmitary, po czym wsunął je do pochew przy pasie i podążył za Montolio.

Z szybko nadchodzącą wiosną oraz tak wspaniałym i ekscytującym towarzystwem zarówno nauczyciel, jak i jego niezwykły student, cieszyli się pogodą ducha, oczekując cennych lekcji i cudownych wydarzeń.

\* \* \*

Ich uśmiechy zniknęłyby natychmiast, gdyby wiedzieli, że pewien król orków, rozgniewany stratą dziesięciu żołnierzy, dwóch worgów oraz cennego sprzymierzeńca giganta, obserwował ich okolicę swymi żółtymi, nabiegłymi krwią oczyma, szukając drowa. Wielki ork zaczynał się zastanawiać, czy Drizzt wrócił do Podmroku, przyłączył się do jakiejś innej grupy, może małej elfiej bandy, która była w okolicy, czy tego przekłętego ślepego tropiciela, Montolio.

Jeśli drow wciąż był w okolicy, Graul zamierzał go znaleźć. Wódz orków nie kusił losu, a sama obecność mrocznego elfa stwarzała ryzyko.

## 14

### PRÓBA MONTOLIO

- No dobrze, wystarczająco długo czekałem! - powiedział stanowczo Montolio pewnego późnego popołudnia. Znów potrząsnął drowem.

- Czekaleś? - spytał Drizzt, ocierając z oczu sen.

- Jesteś wojownikiem czy czarodziejem? - ciągnął Montolio. - Czy obydwoma naraz? Jednym z tych utalentowanych osobników? Elfy z powierzchni są z tego znane.

Drizzt zrobił zakłopotaną minę. - Nie jestem czarodziejem - rzekł ze śmiechem.

- Lubisz tajemnice, co? - zakpił Montolio, choć ciągle obecny na jego ustach uśmiech łagodził opryskliwy ton. Przeciągnął się przed sypialnią Drizzta i skrzyżował ręce na piersi. - Ale ze mną tak nie będzie. Zabrałem cię do siebie i jeśli jesteś czarodziejem, muszę o tym wiedzieć!

- Dlaczego to mówisz? - spytał oszołomiony drow. - Czy kiedykolwiek...

- Hooter mi powiedział! - wypalił Montolio. Drizzt był szczerze zdziwiony. - Podczas walki, kiedy się poznaliśmy - wyjaśnił Montolio. - Zaciemniłeś teren wokół siebie i paru orków. Nie zaprzeczaj temu, czarodzieju. Hooter mi powiedział!

- To nie było czarodziejskie zaklęcie - zaprotestował bezradnie Drizzt. - A ja nie jestem czarodziejem.

- Nie zaklęcie? - powtórzył Montolio. - A więc przedmiot? No cóż, pozwól mi go poznać!

- Nie przedmiot - odparł Drizzt. - Umiejętność. Wszystkie drowy, nawet te pomniejsze, mogą tworzyć kule ciemności. To nie jest zbyt trudne.

Montolio rozmyślał przez chwilę nad tą wiadomością. Nie miał żadnych doświadczeń z mrocznymi elfami, zanim Drizzt nie pojawił się w jego życiu - Jakie inne „umiejętności” posiadasz?

- Ogień faerie - odpowiedział Drizzt. - To obrys...

- Znam ten czar - rzekł do niego Montolio. - Jest często używany przez kapłanów z terenów leśnych. Czy wszystkie drowy mogą go tak dobrze tworzyć?

- Nie wiem - odpowiedział szczerze Drizzt. - Poza tym jestem... albo byłem... zdolny do lewitacji. Jedyne szlachta drowów może to robić. Obawiam się, że straciłem tę moc, albo wkrótce ją stracę. Umiejętność ta zaczęła mnie zawodzić, odkąd wyszedłem na powierzchnię, podobnie jak zawiódł mnie mój piwafwi, moje buty i moje wykute przez drowy sejmitary.

- Spróbuj - zaproponował Montolio.

Drizzt koncentrował się długą chwilę. Poczuł, jak staje się lżejszy, a później uniósł się nad ziemię. Po chwili jednak jego ciężar powrócił, wskutek czego opadł. Wzniósł się zaledwie na kilka

centymetrów.

- Robi wrażenie - mruknął Montolio.

Drizzt tylko się roześmiał i potrząsnął białą czupryną. - Czy mogę już iść spać? - spytał odwracając się w stronę posłania.

Montolio miał na ten temat inne zdanie. Przyszedł tu, by lepiej zrozumieć swego towarzysza, by odnaleźć ograniczenia umiejętności Drizzta, czarodziejskich i innych. Tropiciel obmyślił nowy plan, lecz musiał go rozpocząć, zanim zajdzie słońce.

- Poczekaj - poprosił Drizzta. - Możesz odpocząć później, po zmroku. Potrzebuję cię teraz, i twoich „umiejętności”. Czy możesz przyzwać kulę ciemności teraz, czy też potrzebujesz czasu na kontemplację?

- Kilka sekund - odparł Drizzt.

- Weź więc swój pancerz i broń - rzekł Montolio - i chodź ze mną. Pospiesz się. Nie chcę stracić przewagi, jaką daje światło dnia.

Drizzt wzruszył ramionami i ubrał się, po czym poszedł za tropicielem na północny kraniec zagajnika, do mało używanej części leśnego kompleksu.

Montolio uklęknął i pociągnął Drizzta na ziemię, pokazując mały otwór z boku trawiastego pagórka.

- Dzik tu zamieszkał - wyjaśnił stary tropiciel. - Nie chcę go krzywdzić, lecz boję się zbliżyć na tyle, by nawiązać z nim kontakt. Dziki są co najmniej nieprzewidywalne.

Minęła długa chwila ciszy. Drizzt zastanawiał się, czy Montolio chce po prostu, aby dzik się pokazał.

- No dalej - ponaglił tropiciel.

Drizzt odwrócił się w jego stronę z niedowierzaniem, sądząc, że Montolio chce, by poszedł tam i powitał ich niepożądanego i nieprzewidywalnego gościa.

- Zrób to - ciągnął tropiciel. - Użyj swojej kuli ciemności tuż przed dziurą, jeśli możesz.

Drizzt zrozumiał, a westchnienie ulgi, jakie z siebie wydał, zmusiło Montolio do przygryzienia wargi, by powstrzymać chichot. Chwilę później obszar przed trawiastym pagórkiem zniknął w mroku. Montolio gestem wskazał Drizztowi, by został z tyłu, i skierował się w tamtą stronę.

Drizzt skupił się, obserwując i nasłuchując. Rozległo się nagle kilka wysokich pisków, a później Montolio krzyknął z niepokojem. Drizzt zerwał się i ruszył tam, niemal potykając się o leżącą sylwetkę swego przyjaciela.

Stary tropiciel jęknął, poruszył się, ale nie odpowiadał na ciche wołanie Drizzta. Nie słysząc nigdzie w pobliżu dzika, Drizzt przyklęknął, by dowiedzieć się, co się stało i wzdrygnął się wyczuwając, że Montolio jest skulony i trzyma się za pierś.

- Montolio - wyszeptał Drizzt, myśląc, że starzec jest poważnie ranny. Pochylił się, by

mówić bezpośrednio do twarzy tropiciela, jednak wyprostował się szybciej, niż zamierzał, gdy tarcza Montolio uderzyła go w bok głowy.

- To Drizzt! - krzyknął drow, pocierając świeży guz. Usłyszał, jak Montolio wstaje gwałtownie przed nim, zaś zaraz później rozległ się odgłos wyciąganego z pochwy miecza.

- Oczywiście że tak! - zarechotał Montolio.

- A co z dzikiem?

- Dzikiem? - powtórzył Montolio. - Nie ma żadnego dzika, ty głupi drowie. Nigdy nie było.

To my tu jesteśmy przeciwnikami. Nadszedł czas na trochę zabawy!

Teraz Drizzt wszystko zrozumiał. Montolio przekonał go, by wykorzystał swą ciemność tylko po to, by pozbawić go przewagi wzroku. Montolio go wyzywał na równych zasadach. - Płaz ostrza! - odpowiedział Drizzt, całkiem chętny do zabawy. Jakże drow uwielbiał takie testy w Menzoberranzan z Zaknafeinem!

- O twoje życie! - Montolio odparł ze śmiechem, który wydobywał się prosto z jego żołądka. Tropiciel posłał swój miecz łukiem, a sejmitar Drizzta odepchnął go daleko w bok.

Drizzt skontrował dwoma szybkimi uderzeniami w środek, atakiem, który pokonałby większość przeciwników, lecz na dobrze ustawionej tarczy Montolio odegrał jedynie złożoną z dwóch dźwięków melodię. Pewny pozycji Drizzta tropiciel pchnął prosto przed siebie tarczą.

Drizzt został odepchnięty, zanim zdołał odsunąć się z drogi. Miecz Montolio znów pojawił się z boku, a drow go zablokował. Tarcza starca ponownie uderzyła w przód, lecz Drizzt odbił jej pęd, zapierając się mocno na piętach.

Doświadczony stary tropiciel pchnął teraz tarczą wysoko w górę, przyjmując na nią jedno z ostrzy Drizzta oraz sporą część równowagi drowa, po czym ze świstem skierował swój miecz prosto w jego pierś.

Drow w jakiś sposób wyczuł atak. Podskoczył wciągając brzuch i cofając pośladki. Mimo całej swej desperacji poczuł lekkie uderzenie, gdy miecz w niego trafił.

Drizzt przeszedł do ofensywy, wykonując kilka sprytnych i zawiłych manewrów, które jak sądził, położą kres temu pojedynekowi. Montolio przewidział jednak każdy z nich, ponieważ każdy wysiłek Drizzta kończył się tym samym odgłosem sejmitara padającego na tarczę. Następnie tropiciel zaczął natarcie, napierając mocno na Drizzta. Drow nie był nowicjuszem w walce na ślepo, lecz Montolio spędzał każdą godzinę każdego swego dnia jako ślepiec i funkcjonował równie dobrze i swobodnie, jak większość ludzi z dobrym wzrokiem.

Wkrótce Drizzt zdał sobie sprawę, że nie wygra w kuli ciemności. Pomyślał o wyprowadzeniu tropiciela z zasięgu czaru, lecz wtedy jednak sytuacja nagle się zmieniła, bowiem ciemność zniknęła. Uważając grę za zakończoną, Drizzt cofnął się kilka kroków, wyczuwając drogę stopą aż do wystającego korzenia drzewa.

Montolio przez chwilę nasłuchiwał, zauważając zmianę w zachowaniu przeciwnika, po

czym mierząc nisko, ruszył do natarcia.

Drizzt uznał, że postąpi sprytnie, jeśli rzuci się głową naprzód ponad tropicielem, przekoziółkuje za nim, wstanie i zaatakuje z jednej czy drugiej strony, gdy zdeorientowany człowiek będzie się obracać.

Drow nie osiągnął jednak swego zamierzenia. Gdy był w połowie drogi, jego twarz zetknęła się z tarczą Montolio. Drow jęknął i padł ciężko na ziemię. W chwili gdy otrząsnął się już z zawrotów głowy, uświadomił sobie, że Montolio siedzi sobie wygodnie na jego plecach, opierając miecz o łopatki drowa.

- Jak... - zaczął pytać Drizzt.

Głos Montolio był ostrzejszy, niż drow kiedykolwiek u niego słyszał. - Nie doceniłeś mnie, drowie. Uznałeś mnie za ślepego i bezradnego. Nigdy więcej tego nie rób!

Przez ułamek sekundy Drizzt szczerze się zastanawiał, czy Montolio chce go zabić, tak rozwścieczony był tropiciel. Wiedział, że jego protekcyjność zraniła mężczyznę i wtedy zdał sobie sprawę, że Montolio De Brouchee, tak pewny siebie i zdolny do wielu rzeczy, na swoich starych barkach niesie własne brzemie. Pierwszy raz, odkąd poznał tropiciela, Drizzt zastanawiał się, jak bolesna musiała być dla starca utrata wzroku. Co jeszcze, rozmyślał drow, stracił Montolio?

- To oczywiste - powiedział po krótkiej chwili Montolio. Jego głos znów złagodniał. - Zważywszy na to, że atakowałem tak nisko.

- Oczywiście tylko, jeśli wyczułeś, że czar się zakończył - odparł Drizzt, zastanawiając się, jak poważna była ułomność Montolio. - Nigdy nie spróbowałbym tego manewru w ciemności, bez oczu które by mnie prowadziły. Jednak skąd ślepiec mógł wiedzieć, że zaklęcie przestało trwać?

- Sam mi to powiedziałaś! - zaprotestował Montolio, wciąż nie schodząc Drizztowi z pleców. - Zachowaniem! Nagły szelest twoich stóp, zbyt lekki by mógł być zrobiony w absolutnej ciemności, i twoje westchnienie, drowie! Westchnienie świadczące o uldze, choć już wtedy wiedziałaś, że nie możesz mnie pokonać bez swojego wzroku.

Montolio wstał z Drizzta, lecz drow pozostał bez ruchu, przetrawiając nowe informacje. Zdał sobie sprawę, jak mało wie o swoim towarzyszu, jak wiele brał za pewnik, gdy chodziło o Montolio.

- Chodź więc - powiedział Montolio. - Pierwsza lekcja się skończyła. Była cenna, lecz są jeszcze inne rzeczy, które musimy zrobić.

- Powiedziałaś, że będę mógł spać - przypomniał mu Drizzt.

- Wyżej cię oceniałem - odparł natychmiast Montolio, kierując uśmiech w stronę leżącego drowa.

\* \* \*

Podczas gdy Drizzt ochoczo przyswajał liczne wiadomości, jakie przekazywał mu Montolio, tej nocy i przez wiele następnych, stary tropiciel zbierał własne informacje o drowie. Ich

praca była najbardziej związana z terażniejszością. Montolio uczył Drizzta, jaki jest otaczający świat i jak w nim przetrwać. Niemal zawsze jeden lub drugi, zazwyczaj Drizzt, wtrącał komentarze o swojej przeszłości. Stało się to pomiędzy nimi pewnego rodzaju grą, przypominali sobie dawne wydarzenia, bardziej w celu obserwacji zdumienia i szoku u tego drugiego, niż przekazania czegoś szczególnego. Montolio opowiadał anegdoty z lat spędzonych na szlaku, historie wspaniałych bitew z goblinami i zabawne psoty, jakie zwykle poważni tropiciele często robili sobie nawzajem. Drizzt trochę bardziej strzegł swojej przeszłości, lecz mimo to opowieści o Menzoberranzan, o zbrodniczej i występnej Akademii oraz zażartych wojnach toczących się pomiędzy rodzinami, wykaczały daleko poza wszystko, co Montolio sobie kiedykolwiek wyobrażał.

Opowieści drowa były wspaniałe, jednak Montolio wiedział, że Drizzt coś ukrywa, że na swoich barkach niesie jakiś wielki ciężar. Z początku tropiciel nie naciskał na Drizzta. Zachowywał cierpliwość, zadowolony że on i drow mają podobne zasady i - gdy dowiedział się o szybkim rozwoju tropicielskich zdolności Drizzta - podobny światopogląd.

Pewnej nocy, pod srebrnym światłem księżyca, Drizzt i Montolio zasiedli w drewnianych fotelach, które tropiciel zbudował wysoko w gałęziach dużego drzewa. Jasność wschodzącego księżyca, który zniknął i pojawiał się znowu za szybko płynących, poszarpanych chmur, oczarowała drowa.

Montolio nie mógł oczywiście zobaczyć księżyca, jednak, wraz z Guenhwyvar wygodnie ułożoną w jego objęciach, nie mniej się cieszył. W zamyśleniu drapał dłonią gęste futro na muskularnym karku pantery i słuchał licznych, niesionych przez wiatr, dźwięków, odgłosów setek stworzeń, których drow nawet nie rejestrował, choć jego słuch był czulszy niż u Montolio. Stary tropiciel chichotał co chwilę, raz gdy usłyszał polną mysz piszczącą ze złością na sowę - prawdopodobnie Hootera - za przerwanie jej posiłku i zmuszenie do ucieczki do nory.

Spoglądając na tropiciela i Guenhwyvar, tak spokojnych i akceptujących się nawzajem, Drizzt czuł ból przyjaźni i winy. - Może nie powinienem przychodzić - wyszeptał kierując wzrok w stronę księżyca.

- Dlaczego? - spytał cicho Montolio. - Nie smakuje ci moje jedzenie? - Jego uśmiech rozbroił Drizzta, gdy drow odwrócił się do niego z ponurą miną.

- Chodzi mi o powierzchnię - wyjaśnił Drizzt, zdobywając się na uśmiech pomimo ogarniającej go melancholii. - Czasami uważam, że mój wybór był samolubny.

- Takie zazwyczaj jest przetrwanie - odparł Montolio. - Sam to czasami czułem przy paru okazjach. Kiedyś zostałem zmuszony do wbicia miecza w serce pewnego mężczyzny. Brutalność świata wzbudza wielkie wyrzuty sumienia, lecz szczęśliwie jest to przemijający żal i z pewnością nie odczuwa się go w walce.

- Jakże bym chciał, żeby minął - stwierdził Drizzt, bardziej do siebie lub księżyca niż do Montolio.



Uwaga ta uderzyła Montolio. Im bliżsi stawali się sobie z Drizztem, tym bardziej tropiciel dzielił z drowem jego nieznanne brzemie. Drizzt był młody jak na standardy elfów, lecz poznał już sporo świata, a jego umiejętności walki przekraczały umiejętności większości zawodowych żołnierzy. Bez wątplenia mroczne pochodzenie Drizzta mogło powodować bariery w rozumieniu świata powierzchni. Według Montolio drow powinien jednak zdołać przełamać te uprzedzenia i wieść długie i owocne życie, zważywszy na jego znaczne talenty. Tropiciel zastanawiał się, czym było to, co tak ciążyło na tym elfie. Drizzt więcej cierpiał, niż się uśmiechał, i karał się bardziej niż powinien.

- Czy twój żal jest szczery? - spytał go Montolio. - Wiedz, że większość nie jest. Poważna część nałożonych przez siebie brzemion ma swoje podstawy w nieprawidłowym postrzeganiu. My, o szczerym charakterze, zawsze oceniamy siebie według ostrzejszych reguł, niż oczekujemy u innych. Jest to klątwa, jak przypuszczam, albo błogosławieństwo, zależnie od tego, jak ktoś to widzi. - Skierował swoje pozbawione wzroku spojrzenie w stronę Drizzta. - Przyjmij to za błogosławieństwo, mój przyjacielu, jako wewnętrzny zew, który zmusza cię do walki o to, co nieosiągalne.

- Błogosławieństwo wzbudzające frustrację - odparł niedbale Drizzt.

- Tylko gdy nie zastanawiasz się nad korzyściami, które przyniosła ci ta walka - szybko odpowiedział Montolio, jakby przewidział słowa drowa. - Ci, którzy dążą do niewielkich rzeczy, osiągają niewiele. Nie ma co do tego wątpliwości. Lepiej jest, jak sądzę, próbować chwycić gwiazdy, niż siedzieć zdenerwowany tym, że nie możesz ich dosięgnąć. - Rzucił do Drizzta swój typowy krzywy uśmiech. - Przynajmniej ten kto sięga, rozciągnie się, zdobędzie dobry widok, a może nawet nisko wiszące jabłko w nagrodę za swe wysiłki.

- I może jakąś nisko lecącą strzałę, wypuszczoną przez niewidocznego napastnika - zauważył kwaśno Drizzt.

Montolio potrząsnął bezradnie głową na niekończący się pesymizm Drizzta. Bolało go dotkliwie, gdy widział, że obdarzony dobrym sercem drow jest tak zraniony. - Istotnie, może - powiedział tropiciel, trochę ostrzej niż zamierzał. - Jednak utrata życia jest wielka jedynie dla tych, którzy igrają podczas niego z losem! Niech twoja strzała leci nisko i powali kogoś takiego na ziemię, ja ci to mówię. Jego śmierć nie będzie dużą tragedią!

Drizzt nie mógł odmówić logiki tego rozumowania ani też pogody ducha, jaką dał mu stary tropiciel. W ciągu kilku ostatnich tygodni improwizowana filozofia Montolio oraz jego sposób postrzegania świata - pragmatyczny, choć mocno nacechowany młodzieńczą żywiołowością - wzbudziła w Drizzcie więcej spokoju niż cokolwiek od pierwszych dni treningu w sali gimnastycznej Zaknafeina. Drow nie mógł jednak nie myśleć o krótkim okresie życia swego towarzysza. Słowa mogły koić, jednak nie były w stanie wymazać wspomnień z przeszłości Drizzta, odległych głosów martwego Zaknafeina, martwego Clackera i martwych rolników. Jeden

mentalny krzyk „drizzit” unicestwiał godziny dawanych w dobrej wierze porad Montolio.

- Dość tego bzdurnego przekomarzania - ciągnął Montolio, wyglądając na wzburzonego. - Nazywam cię przyjacielem, Drizzcie Do'Urden, i mam nadzieję, że ty mnie również. Jakim przyjacielem mogę być w obliczu tego brzemienia, które obciąża twoje barki, jeśli nie wiem o nim więcej? Jestem twoim przyjacielem albo nie. Decyzja należy do ciebie, jednak jeśli nie jestem, to w takim razie nie widzę celu w spędzaniu tak cudownych nocy jak ta przy twoim boku. Powiedz mi, Drizzcie, albo odejdź z mego domu!

Drizzt ledwo mógł uwierzyć, że Montolio, zazwyczaj tak cierpliwy i spokojny, postawił go w takiej sytuacji. Pierwszą reakcją drowa było uchylić się, zbudować ścianę gniewu przed domniemaniami starca i trzymać przy sobie to, co uważał za osobiste. Wraz z mijającymi chwilami, gdy Drizzt przełamał jednak początkowe zaskoczenie i zastanowił się nad wypowiedzią Montolio, zrozumiał jedną podstawową prawdę, która usprawiedliwiała te domniemania: on i Montolio rzeczywiście stali się przyjaciółmi głównie dzięki wysiłkom tropiciela.

Montolio chciał, by Drizzt podzielił się z nim swą przeszłością, by starzec mógł lepiej zrozumieć i pocieszyć swego nowego przyjaciela.

- Czy wiesz o Menzoberranzan, mieście moich narodzin i moich pobratymców? - spytał cicho Drizzt. Nawet wymawianie tej nazwy powodowało ból. - I czy wiesz o zwyczajach mojego ludu lub nakazach Pajęczej Królowej?

- Opowiedz mi o wszystkim, błagam - odpowiedział ponuro Montolio.

Drizzt przytaknął - Montolio wyczuł ten ruch pomimo tego, że go nie widział - i oparł się o drzewo. Wpatrywał się w księżyc, lecz tak naprawdę wzrok miał utkwiony jeszcze dalej. Jego umysł wędrował z powrotem przez dzieje młodego drowa, wracał do Menzoberranzan, do Akademii i do Domu Do'Urden. Trzymał przez chwilę w sobie te myśli, błakając się po zawiłościach życia rodzinnego drowów i po przyjemnej prostocie czasów spędzonych w sali gimnastycznej z Zaknafeinem.

Montolio czekał cierpliwie. Zgadł, że Drizzt szuka odpowiedniego miejsca, by zacząć. Z tego, co dowiedział się z przelotnych uwag drowa, życie Drizzta było wypełnione przygodami i chwilami niepokoju i tropiciel wiedział, że niełatwo będzie mrocznemu elfowi, którego znajomość wspólnej mowy wciąż była ograniczona, zrelacjonować je całe. Poza tym, zważywszy na brzemie winy i żalu, jakim drow w oczywisty sposób był obciążony, Montolio podejrzewał, że Drizzt może czuć się niepewnie.

- Urodziłem się ważnego dnia w historii mojej rodziny - zaczął Drizzt. - Tego dnia Dom Do'Urden wyeliminował Dom De Yir.

- Wyeliminował?

- Zmasakrował - wyjaśnił Drizzt. Ślepe oczy Montolio nic nie ukazały, lecz mina tropiciela gwałtownie się zmieniła, jak drow się spodziewał. Drizzt chciał, by jego towarzysz zrozumiał

przerazającą głębię społeczeństwa drowów, więc wymownie dodał - Również tego dnia mój brat Dinin wbił miecz w serce najstarszego brata, Nalfeina.

Po grzbiecie Montolio przebiegł dreszcz i tropiciel potrząsnął głową. Zdał sobie sprawę, że dopiero zaczyna rozumieć brzemię dźwigane przez Drizzta.

- Takie są zwyczaje drowów - powiedział cicho i beznamiętnie Drizzt, próbując przekazać niedbały stosunek mrocznych elfów do morderstwa. - W Menzoberranzan istnieje ścisła hierarchia potęgi. Aby wspiąć się wyżej, uzyskać wyższą rangę, czy jako osoba, czy rodzina, należy po prostu wyeliminować tych nad tobą.

Lekkie drżenie głosu zdradziło Drizzta przed tropicielem. Montolio wyraźnie zauważał, że młody drow nigdy nie akceptował tych niegodziwych praktyk.

Drizzt ciągnął swą historię, opowiadając ją w sposób kompletny i dokładny, przynajmniej jeśli chodzi o ponad czterdzieści lat, jakie spędził w Podmroku. Mówił o dniach spędzonych pod ścisłą kuratelą swej siostry Viemy, nie kończącym się czyszczeniu domowej kaplicy i uczeniu wrodzonych mocy, oraz poznawaniu swego miejsca w społeczeństwie drowów. Drizzt długo wyjaśniał Montolio tę specyficzną strukturę społeczną, hierarchię opartą na ścisłych rangach oraz hipokryzję „prawa” drowów, okrutną fasadę osłaniającą miasto przed całkowitym chaosem. Tropiciel wzdygnął się, słysząc o wojnach pomiędzy rodzinami. Były to brutalne konflikty, w których nie dopuszczano, by ocalała szlachta, a nawet dzieci. Jeszcze większy dreszcz przeszył go, gdy Drizzt opowiedział o „sprawiedliwości” drowów, o zagładzie jaka spadała na dom, któremu nie powiodło się zniszczenie innej rodziny.

Opowieść stała się mniej ponura, gdy Drizzt mówił o Zaknafeinie, swym ojcu i najdroższym przyjacielu. Oczywiście szczęśliwe wspomnienia ojca były jedynie krótkim preludium do przerażającej śmierci Zaknafeina. - Moja matka zabiła mojego ojca - wyjaśnił ponuro Drizzt z widocznym bólem. - Poświeciła go Lloth za moje przewinienia, a następnie ożywiła jego ciało i wysłała, by mnie zabił, by ukarał mnie za zdradę rodziny i Pajęczej Królowej.

Minęła chwila, zanim Drizzt był w stanie podjąć wątek, jednak gdy to zrobił, znów mówił szczerze, a nawet ujawniał swoje własne niepowodzenia podczas samotnego pobytu w dziczy Podmroku. - Obawiałem się, że straciłem swoją tożsamość i zasady na rzecz jakiegoś instynktownego, dzikiego potwora - powiedział Drizzt ze smutkiem. Wtedy jednak ta emocjonalna fala, którą była jego egzystencja, znów się podniosła i uśmiech zagościł na jego twarzy, gdy przytaczał okres spędzony z Belwarem, Wielce Szanowanym Nadzorcą Kopaczy, a także z Clackerem, peczem, który został przemieniony w hakową poczwagę. Uśmiech okazał się nietrwały, bowiem opowieść Drizzta doszła w końcu do miejsca, kiedy Clackera zabił nieumarły potwór Opiekunki Malice. Kolejny przyjaciel zginął w imieniu Drizzta.

Jakby ilustrując opowieść, w chwili gdy Drizzt doszedł do swego wyjścia z Podmroku, świt przebijał się ponad wschodnimi górami. Teraz drow starannie dobierał słowa, nie był jeszcze

gotów przytaczać tragedii rolniczej rodziny w obawie, że Montolio go osądzi i potępi, niszcząc niedawno powstałą więź. Racjonalnie rzecz ujmując, Drizzt mógł sobie przypominać, że to nie on zabił rolników, jednak wina rzadko bywa racjonalnym uczuciem, więc Drizzt po prostu nie mógł odnaleźć odpowiednich słów - jeszcze nie.

Montolio, posiadający zdobywaną przez lata wiedzę oraz zwierzęcych zwiadowców rozrzuconych po całej okolicy, wiedział, że Drizzt coś ukrywa. Kiedy pierwszy raz się spotkali, drow wspomniał o zagładzie, jaka spadła na rolniczą rodzinę, a Montolio słyszał o rodzinie zabitej w wiosce Maldobar. Tropiciel ani przez chwilę nie sądził, by Drizzt mógł to zrobić, podejrzewał jednak, że drow jest w jakiś sposób w to zamieszany. Nie naciskał jednak na Drizzta. Drow był bardziej szczery i rozmowny, niż Montolio się spodziewał i tropiciel był przekonany, że w odpowiednim czasie drow wypełni te oczywiste luki.

- To dobra opowieść - powiedział w końcu Montolio. - Podczas swoich kilku dekad przeżyłeś więcej niż większość elfów przez trzy stulecia. Blizn jest jednak mało i się wyleczą.

Drizzt, nie będąc taki pewien, spojrział na niego żałośnie, zaś Montolio mógł mu zaoferować jedynie pokrzepiające klepięcie w ramię, gdy wstawał i kierował się do łóżka.

\* \* \*

Drizzt wciąż spał, gdy Montolio rozbudził Hootera i przywiązał do nogi sowy długą wiadomość. Hooternie był zbyt zadowolony z poleceń tropiciela, bowiem podróż mogła potrwać nawet tydzień, który to cenny i przyjemny czas mógł poświęcić na cieszenie się myszami i sezonem godowym. Pomimo jednak wszystkich swoich jęklowych pohukiwań sowa nie mogła się sprzeciwić.

Hooter zjeżył pióra, chwycił pierwszy podmuch wiatru i bez wysiłku skierował się poprzez pokryty śniegiem obszar do Maldobar - i dalej, do Sundabar, jeśli będzie trzeba. Pewna ciesząca się dość dużą sławą tropicielka, siostra Pani z Silverymoon, wciąż znajdowała się w okolicy, co Montolio wiedział dzięki swym dzikim przyjaciom, wysłał więc Hootera, by ją odnalazł.

\* \* \*

- Czy - to - się - nigdy - nie - skończy? - narzekał skrzat obserwując, jak zwałisty człowiek podąża szlakiem. - Najpierw - paskud - ny - drow - a - teraz - ten - brutal! Czy - nigdy - nie - pozbędę - się - tych - kło - potliwych - osobników? - Tephanis potrząsnął głową i tupnął kilkakrotnie nogą tak szybko, że wykopał mały otwór.

Na szlaku wielki, poznaczony bliznami pies warknął i obnażył zęby, a Tephanis, zdając sobie sprawę, że jego tupanie było za głośne, zatoczył szerokie półkole, przecinając ścieżkę za podróżnikiem i wychodząc z drugiej strony. Żółty pies, wciąż patrząc w przeciwnym kierunku, przekrzywił głowę i zaskomlał w zakłopotaniu.

## CIEŃ NAD SANKTUARIUM

Drizzt i Montolio przez kilka następných dni nie rozmawiali o opowieści drowa. Drizzt rozmyślał nad bolesnymi wspomnieniami, zaś tropiciel taktownie dawał mu na to czas. Zajmowali się swymi codziennymi sprawami, z dala od siebie i z mniejszym entuzjazmem, jednak jak obaj zdali sobie sprawę, odległość była kwestią przemijającą.

Stopniowo zaczęli się do siebie zbliżać, co wzbudzało w Drizzcie nadzieję, iż odnalazł równie szczerego przyjaciela, jak Belwar, a nawet Zaknafein. Pewnego dnia obudził go zbyt dobrze mu znany głos i drow pomyślał, że jego szczęśliwy pobyt u Montolio dobiegł do katastrofalnego końca.

Podczołgał się do drewnianej ściany, która osłaniała jego pokój, i wyrżał.

- Drow, Mooshie - mówił Roddy McGristle, trzymając na widoku złamany sejmitar.

Zwalisty traper, wyglądający na jeszcze większego w swych licznych warstwach skór, siedział na małym lecz umięśnionym koniu tuż za kamiennym murem, otaczającym zagajnik. - Widziałeś go?

- Widziałem? - powtórzył sarkastycznie Montolio, mrugając wymownie swymi mlecznobiałymi oczyma. Roddy nie był zachwycony.

- Wiesz, o co mi chodzi! - warknął. - Widzisz więcej niż my wszyscy, więc nie rznij głupa! - W tym momencie pies Roddy'ego, z paskudną szramą w miejscu, gdzie trafił go Drizzt, chwycił znajomą woń i zaczął zawzięcie węszyć, krążąc tam i z powrotem po ścieżkach zagajnika.

Drizzt przyczaił się z sejmitem w dłoni. Był przerażony. Nie miał ochoty walczyć - nawet nie chciał znów uderzyć tego psa.

- Trzymaj swojego psa przy sobie! - parsknął Montolio. Zaciekawienie McGristle'a było oczywiste. - Widziałeś mrocznego elfa, Mooshie? - spytał znów, tym razem podejrzliwie.

- Możliwe - odparł Montolio. Odwrócił się i wydał z siebie przenikliwy, ledwo słyszalny głos. Pies Roddy'ego, słysząc niewątpliwą złość tropiciela, opuścił ogon między nogi i cofnął się do konia swego pana.

- Mam tu miot lisich szczeniąt - skłamał gniewnie tropiciel. - Jeśli twój pies je znajdzie... - Montolio zawiesił głos w tym miejscu, a Roddy wyglądał na pełnego podziwu. Opuścił psu obrozę na szyję i przyciągnął go do siebie.

- Drow, najpewniej ten sam, przyszedł tu przed pierwszymi śniegami - ciągnął Montolio. - Niełatwo będzie ci go upolować, łowco nagród. - Zaśmiał się. - Z tego co wiem, miał jakieś problemy z Graulem, a później znów wyruszył w drogę, z powrotem do swego mrocznego domu. Czy zamierzasz udać się za drowem do Podmroku? Z pewnością twoja reputacja znacznie by wzrosła, łowco nagród, choć mógłbyś za to zapłacić życiem!

Drizzt uspokoił się, słysząc te słowa. Montolio kłamał dla niego! Widział, że tropiciel nie darzy McGristle'a zbyt dużym poważaniem, a to również zmniejszyło niepokój drowa. Wtedy Roddy

znów silnie zaatakował, snując opowieść o tragedii w Maldobar w bezczelny i wypaczony sposób, który wystawiał przyjaźń Drizzta i Montolio na ciężką próbę.

- Drow zabił Thistledownów! - Roddy ryknął do tropiciela, którego gładki uśmiech zniknął w mgnieniu oka. - Zaszlachtował ich, a jego pantera zabiła i pożarła jedną kobietę. Znałeś Bartłomieja Thistledowna, tropicielu. To hańba, że tak swobodnie mówisz o jego mordercy!

- Drow ich zabił? - spytał ponuro Montolio.

Roddy jeszcze raz wyciągnął złamany sejmitar. - Zaszlachtował - warknął. - Za jego głowę obiecano dwa tysiące sztuk złota. Dam ci pięć setek, jeżeli możesz się dla mnie dowiedzieć czegoś więcej.

- Nie potrzebuję twojego złota - odpowiedział szybko Montolio.

- Ale czy chcesz zobaczyć głowę zabójcy? - odparł szorstko Roddy. - Czy oplakujesz tragedię klanu Thistledownów, rodziny dobrej jak mało która?

Milczenie, jakie nastąpiło ze strony Montolio, doprowadziło Drizzta do przekonania, że tropiciel może obrócić się przeciwko niemu. Drow uznał, że nie ucieknie, niezależnie od decyzji Montolio. Mógł się przeciwstawić gniewowi łowcy nagród, jednak nie Montolio. Jeśli tropiciel go oskarży, Drizzt zmierzy się z nim i zostanie osądzony.

- Smutny dzień - mruknął Montolio. - Rzeczywiście dobra rodzina. Schwytaj drowa, McGristle. Będzie to twoja najlepsza zdobycz.

- Gdzie zacząć? - spytał cicho Roddy, najwyraźniej uważając, że przekonał Montolio. Drizzt również tak pomyślał, zwłaszcza gdy tropiciel odwrócił się w stronę zagajnika.

- Słyszałeś o Jaskini Morueme? - zapytał Montolio.

Na to pytanie Roddy'emu wyraźnie zrzędnęła mina. Jaskinia Morueme, na skraju wielkiej pustyni Anauroch, była tak nazwana z powodu rodziny niebieskich smoków, które tam mieszkały. - Dwieście i pięćdziesiąt kilometrów - jęknął McGristle. - Przez Uroczyńska. Trudna droga.

- Drow poszedł tam, albo w pobliże, wczesną zimą - skłamał Montolio.

- Drow poszedł do smoków? - spytał zdumiony Roddy.

- Raczej poszedł do jakiejś innej jamy w tamtej okolicy - odparł Montolio. - Smoki z Morueme mogą coś o nim wiedzieć. Powinieneś je zapytać.

- Nie spieszy mi się tak bardzo do smoków - powiedział ponuro Roddy. - Zbyt ryzykowne i nawet jeśli dobrze idzie, zbyt wiele kosztuje!

- A więc wygląda na to, że pierwszy raz zdobycz się wymknie Roddy'emu McGristle - rzekł Montolio. Starasz się jednak, zwłaszcza w obliczu kogoś takiego jak mroczny elf!

Roddy poderwał konia i obrócił go. - Nie stawiaj na mnie kreski, Mooshie! - ryknął przez ramię. - Nie pozwolę mu uciec, nawet gdybym miał sam przeszukać każdą dziurę w Uroczyńskich!

- To sporo pracy jak na dwa tysiące sztuk złota - stwierdził Montolio, nie będąc pod zbyt dużym wrażeniem.

- Drow zabrał mi psa i ucho, a zostawił tę bliznę! - warknął Roddy, pokazując na swą poszarpaną twarz. Łowca nagród zdał sobie sprawę z absurdalności swoich ruchów - oczywiście ślepy tropiciel nie mógł go widzieć - po czym spiął konia i odjechał od zagajnika.

Montolio machnął z niesmakiem ręką za plecami McGristle'a, po czym odwrócił się w stronę drowa. Drizzt stał na skraju zagajnika, nie wiedząc jak dziękować Montolio.

- Nigdy go nie lubiłem - wyjaśnił Montolio.

- Rodzina Thistledownów została zamordowana - przyznał otwarcie Drizzt.

Montolio przytaknął.

- Wiedziałaś?

- Wiedziałem, zanim tu przyszedłeś - odpowiedział tropiciel. - Szczerze mówiąc, z początku zastanawiałem się, czy ty to zrobiłeś.

- Nie - rzekł Drizzt.

Montolio znów przytaknął.

Nadszedł czas, aby Drizzt uzupełnił szczegóły swoich pierwszych kilku miesięcy na powierzchni. Cała wina powróciła do niego, gdy relacjonował walkę z grupą gnolli, zaś gdy skupił się na słowie „drizzit”, gdy opowiedział o Thistledownach i swoim przerażającym odkryciu, ogarnął go ból. Montolio zidentyfikował skrzata jako szybcioszka, nie potrafił jednak określić wielkich stworzeń, z którymi Drizzt walczył w jaskini.

- Dobrze zrobiłeś, zabijając gnolle - powiedział Montolio, gdy Drizzt skończył. - Zrzuć z siebie winę za ten czyn i pozwól jej odejść w nicłość.

- Skąd mogłem wiedzieć? - spytał otwarcie Drizzt. - Cała moja wiedza wiąże się z Menzoberranzan i nie oddzieliłem jeszcze prawdy od kłamstw.

- To była trudna podróż - rzekł Montolio, a jego szczery uśmiech znacznie zmniejszył napięcie. - Chodź, opowiedz mi o rasach i dlaczego twoje sejmitary walczyły o sprawiedliwość, gdy spadały na gnolle.

Jako tropiciel Montolio poświęcił swoje życie nie kończącej się walce pomiędzy dobrymi rasami - wśród których najbardziej wyróżniali się liczebnie ludzie, elfy, krasnoludy, gnomy i niziolki - a złymi goblinoidami i rodem gigantów, którzy żyli tylko po to, by niszczyć, jako zhora dla niewinnych.

- Nie przepadam zwłaszcza, za orkami - wyjaśnił Montolio. - Tak więc teraz zadowolam się obserwując - poprzez oczy sowy, oczywiście - Graula i jego cuchnących pobratymców.

Tak wiele pojawiło się w tym momencie w polu widzenia Drizzta. Drow poczuł spokój, ponieważ jego instynkt okazał się słuszny i teraz, przynajmniej na chwilę i w pewnym stopniu, mógł uwolnić się od winy.

- A co z łowcą nagród i takimi jak on? - spytał Drizzt. - Nie wydają się pasować do twojego opisu ras.

- W każdej rasie jest dobro i zło - wytłumaczył Montolio. - Mówię tylko o ogólnym zachowaniu i nie wątpię, że ogólne zachowanie goblinoidów i gigantów jest złe!

- Skąd to wiemy? - naciskał Drizzt.

- Po prostu obserwuj dzieci - odpowiedział Montolio. Przeszedł do wyjaśniania wcale nie tak nieznaczących różnic pomiędzy dziećmi dobrych i złych ras. Drizzt słuchał go, lecz jakby z oddali, nie potrzebował wyjaśnień. Wszystko zawsze wydawało się sprowadzać do dzieci. Drizzt czuł się swobodniej, gdy rozważał działania podjęte przeciw gnollom, obserwując jednocześnie zabawę dzieci Thistledownów. Zaś w Menzoberranzan, które wydawało się być jednocześnie dziećmi i tysiąc lat temu, ojciec Drizzta miał podobne przekonania. - Czy wszystkie dzieci drowów są złe? - zastanawiał się Zaknafein i przez całe swoje życie więźnia był dręczony przez krzyki umierających dzieci, małych szlachetnie urodzonych drowów, którzy wpadli w ogień gorzejący pomiędzy walczącymi rodzinami.

Gdy Montolio skończył, zapadła długa cisza, podczas której obydwaj przyjaciele rozmyślali nad licznymi wiadomościami, które przyswoili tego dnia. Montolio wiedział, że Drizzt jest zadowolony, kiedy drow dość nieoczekiwanie odwrócił się w jego stronę, uśmiechnął szeroko i szybko zmienił ponury temat.

- Mooshie? - spytał Drizzt, przywołując imię, którym McGristle zwracał się do Montolio przy kamiennym murze.

- Montolio De Brouchee. - Stary tropiciel zarechotał i mrugnął groteskowo do Drizzta. - Mooshie dla moich przyjaciół i takich jak McGristle, którym trudno przychodzi słowa dłuższe niż „pluć” albo „zabić”!

- Mooshie - wymamrotał pod nosem Drizzt, radując się trochę kosztem Montolio.

- Nie masz nic do roboty, Drizzit? - parsknął stary tropiciel. Drizzt przytaknął i zaczął hałaśliwie odchodzić. Tym razem słowo „drizzit” nie wywołało w nim aż takiego bólu.

\* \* \*

- Jaskinia Morueme - narzekał Roddy. - Przekłeta Jaskinia Morueme! - Ułamek sekundy później na koniu Roddy'ego siedział mały skrzat, wpatrując się w oszołomioną twarz łowcy nagród. Tephaniś był świadkiem rozmowy przy zagajniku Montolio i przeklął swoje szczęście, gdy tropiciel odesłał łowcę nagród. Szybcioszek uznał, że gdyby Roddy schwytał Drizzta, obydwaj zeszliby mu z drogi.

- Nie - jesteś - chyba - taki - głupi - żeby - wierzyć - temu - staremu - kłamcy? - wypalił Tephaniś.

- Ej! - krzyknął Roddy niezdarnie chwytając skrzata, który po prostu zeskoczył, przemknął obok zaskoczonego psa i wdrapał się na konia za traperem.

- Czym na Dziewięć Piekieł jesteś? - ryknął łowca nagród. - I siedź spokojnie!

- Jestem przyjacielem - powiedział Tephaniś tak wolno, jak tylko mógł.



Roddy bacznie spojrział na niego przez ramię.

- Jeśli - chcesz - drowa, to - jedziesz - w - złą - stronę - rzekł z zadowoloną miną skrzat.

Krótką chwilę później Roddy siedział pomiędzy wysokimi głazami na południe od zagajnika Montolio i obserwował, jak tropiciel i jego ciemnoskóry gość zajmują się swymi obowiązkami.

- Dobrze - polowanie! - zaproponował Tephanis, po czym zniknął, wracając do Caroaka, wielkiego wilka, którego zapach był przyjemniejszy niż zapach tego człowieka.

Z oczyma utkwionymi w rozgrywającej się w oddali scenie Roddy ledwo zauważył zniknięcie szybcioszka. - Zapłacisz za swoje kłamstwa, tropicielu - mruknął pod nosem. Na jego twarzy zakwitnął złowrogi uśmiech, gdy pomyślał o sposobie dostania się do towarzyszy. To będzie delikatna sprawa. Jednak interesy z Graulem zawsze takie były.

\* \* \*

Posłaniec Montolio wrócił dwa dni później z wiadomością od Dove Falconhand.

Podekscytowany Hooter próbował zrelacjonować odpowiedź tropicielki, nie był jednak w stanie przytaczać tak długich i zawiłych opowieści. Podenerwowany i nie mając innego wyboru, Montolio podał list Drizztowi i powiedział, by przeczytał go głośno i szybko. Nie posiadając jeszcze biegłości w czytaniu, Drizzt pokonał już kilka linijek tekstu, zanim zdał sobie sprawę, o czym on mówi. List był relacją Dove na temat tego, co stało się w Maldobar i podczas wynikłego pościgu. Wersja Dove była bliska prawdy, oczyszczając Drizzta z zarzutów i nazywając mordercami barghesty szczeniaki.

Ulga Drizzta była tak wielka, że ledwo mógł wymawiać słowa, gdy list przeszedł do wyrażania przyjemności i wdzięczności Dove, że stary tropiciel przyjął tego „zasługującego na to drowa”.

- W końcu otrzymałeś to, co ci należne, mój przyjacielu. - To było wszystko, co Montolio musiał powiedzieć.



# CZEŚĆ 4

## POSTANOWIENIA

*Postrzegam teraz swoją długą drogę jako poszukiwanie prawdy - prawdy we własnym sercu, w otaczającym mnie świecie i w pytaniach na temat celów i istnienia. Jak można zdefiniować dobro i zło?*

*Podczas podróży niosłem ze sobą wewnętrzny kodeks moralny, jednak nigdy nie będę wiedział, czy się z nim urodziłem, czy został mi zaszczerpiony przez Zaknafa - albo też czy wykształcił się po prostu z mojego punktu widzenia. Ów kodeks zmusił mnie do opuszczenia Menzoberranzan, ponieważ choć nie byłem pewny, czym są te prawdy, wiedziałem bez cienia wątpliwości, że nie odnajdę ich w krainie Lloth.*

*Po wielu latach spędzonych w Podmroku poza Menzoberranzan i po pierwszych okropnych doświadczeniach na powierzchni zacząłem wątpić w istnienie uniwersalnej prawdy, zacząłem się zastanawiać, czy istnieje jakiś cel w życiu. W świecie drowów jedynym celem była ambicja, poszukiwanie materialnych korzyści, które przychodziły wraz z wyższą rangą. Nawet wtedy wydawało się to dla mnie niewystarczającym powodem, by istnieć.*

*Dziękuję ci, Montolio De Brouchee, za potwierdzenie moich podejrzeń. Nauczyłem się, że ambicja tych, którzy postępują zgodnie z głupimi przykazaniami, nie jest niczym więcej niż tylko chaotyczną destrukcją, ograniczoną korzyścią, której musi towarzyszyć nieograniczona strata. We wszechświecie bowiem istotnie istnieje harmonia, zgodna pieśń wspólnego dobrobytu. Aby dołączyć do tej pieśni, należy odnaleźć wewnętrzną harmonię, należy odnaleźć nuty, które brzmią prawdziwie.*

*Jeszcze jedno trzeba powiedzieć o prawdzie: złe stworzenia nie potrafią śpiewać.*

- Drizzt Do'Urden.

## 16

### O BOGACH I CELU

Lekcje szły dość dobrze. Stary tropiciel zmniejszył znacznie emocjonalne brzemień drowa i Drizzt podchwytował prawidłowości naturalnego świata lepiej niż ktokolwiek, kogo Montolio kiedyś znał. Montolio czuł jednak, że drowa wciąż coś męczy, choć nie miał pojęcia, co to może być.

- Czy wszyscy ludzie posiadają tak czuły słuch? - spytał go nagle Drizzt, gdy wyciągali z zagajnika wielką opadłą gałąź. - Czy też jest to może twoje błogosławieństwo, by zastąpić ślepotę?

Bezceremonialność tego pytania zdumiała Montolio tylko na chwilę, której potrzebował, by zauważyć frustrację drowa, niepewność spowodowaną przez niezdolność zrozumienia zdolności człowieka.

- Czy też może twoja ślepotą jest podstępem, oszustwem, jakie stosujesz, by osiągnąć przewagę? - naciskał niestrudzenie Drizzt.

- A jeśli tak jest? - odparł bez zastanowienia Montolio.

- To jest naprawdę dobre, Montolio De Brouchee - odpowiedział Drizzt. - Z pewnością pomaga ci przeciwko przeciwnikom... i przyjaciom. - Słowa te wydawały się Drizztowi gorzkie i podejrzewał, że pozwala, by zapanowała nad nim pycha.

- Nie często byłeś pokonywany w walce - odparł Montolio, odgadując, że źródłem frustracji Drizzta jest ich potyczka. Gdyby wtedy mógł widzieć drowa, wyraz twarzy Drizzta sporo by mu powiedział.

- Bierzesz to za bardzo do siebie - ciągnął Montolio po chwili niezręcznej ciszy. - Tak naprawdę nie pokonałem cię.

- Leżałem bezradnie na ziemi.

- Sam się pokonałeś - wyjaśnił Montolio. - Rzeczywiście jestem ślepy, lecz nie tak bezradny, jak wydawałeś się sądzić. Nie doceniłeś mnie. Wiedziałem, że tak będzie, jednak ledwo mogłem uwierzyć, że mogłeś być tak ślepy.

Drizzt przystanął raptownie, a Montolio zatrzymał się, gdy ciężar gałęzi nagle się powiększył. Stary tropiciel potrząsnął głową i zarechotał. Następnie wyciągnął sztylet, podrzucił go wysoko w górę, złapał, i krzyżąc „brzoza!”, cisnął dokładnie w jedną z brzoź rosnących w zagajniku.

- Czy ślepiec mógłby to zrobić? - spytał retorycznie Montolio.

- A więc widzisz - stwierdził Drizzt.

- Oczywiście że nie - odpowiedział szorstko Montolio. - Moje oczy nie funkcjonują od

pięciu lat. Nie jestem jednak ślepy, Drizzcie, zwłaszcza w miejscu, które uważam za dom! Mimo to, uważałeś mnie za ślepego - ciągnął tropiciel, a jego głos znów był spokojny. - Podczas naszej potyczki, gdy twój czar ciemności się skończył, uznałeś, że masz przewagę. Czy myślisz, że wszystkie moje czynności - efektywne czynności, muszę dodać - zarówno w walce z orkami, jak i w naszej próbie, były po prostu przygotowane i przećwiczone? Gdybym był tak kaleki, za jakiego uważa mnie Drizzt Do'Urden, czy przeżyłbym choć dzień w tych górach?

- Ja nie... - zaczął Drizzt, lecz uciszył go własny wstyd. Montolio mówił prawdę i Drizzt o tym wiedział. Przynajmniej na poziomie podświadomości od pierwszego spotkania uważał tropiciela za niedoskonałego. Drizzt czuł, że nie okazał swemu przyjacielowi braku szacunku - ponieważ rzeczywiście wysoko sobie cenił tego człowieka - uznał jednak za pewnik, że ograniczenia Montolio są większe niż jego.

- Tak uważałeś - poprawił go Montolio. - I wybaczam ci to. Muszę ci przyznać, że traktowałeś mnie uczciwiej niż ktokolwiek, kto znał mnie wcześniej, nawet ci którzy podróżowali u mego boku podczas niezliczonych kampanii. Usiądź - poprosił Drizzta. - Tym razem nadeszła kolej, abym ja opowiedział ci swoją historię.

- Gdzie zacząć? - zamyślił się Montolio, drapiąc się w podbródek. Wszystko to wydawało się teraz takie odległe, inne życie, które pozostawił za sobą. Pozostała jednak jedna więź z przeszłością: kształcenie się na tropiciela bogini Mielikki. Drizzt, podobnie nauczany przez Montolio, zrozumie.

- Oddałem swoje życie lasowi, naturalnemu porządkowi, w bardzo młodym wieku - zaczął Montolio. - Uczyłem się, tak jak teraz zacząłem uczyć ciebie, prawideł dzikiego świata i wystarczająco szybko zrozumiałem, że będę chronić tej doskonałości, tej harmonii cykli zbyt rozległych i wspaniałych, aby można je pojąć. To właśnie dlatego tak bardzo cieszy mnie walka z orkami i podobnymi istotami. Jak już powiedziałem ci wcześniej, są to przeciwnicy naturalnego porządku, przeciwnicy drzew i zwierząt w równym stopniu, jak ludzi i innych dobrych ras. Nędzne istoty, co do jednej, i nie odczuwam żadnej winy zabijając je!

Następnie Montolio spędził wiele godzin na przytaczaniu niektórych ze swoich kampanii, ekspedycji, w których działał samotnie lub też jako zwiadowca wielkich armii. Opowiedział Drizztowi o swojej nauczycielce, Dilamon, tropicielce tak biegłej w strzelaniu z łuku, że nigdy nie widział, aby spudłowała. - Zginęła w walce - wyjaśnił Montolio - chroniąc wiejski dom przed bandą gigantów. Nie rozpaczaj jednak po pani Dilamon, ponieważ nawet jeden rolnik nie ucierpiał i żaden z tej garstki gigantów, którzy zdołali stamtąd odpełznąć, nie pokazał już w tamtej okolicy swojej paskudnej gęby!

Głos Montolio zauważalnie przycichł, gdy przeszedł do świeższej przeszłości. Opowiedział o Strażnikach, swojej ostatniej drużynie, i o tym, jak doszło do walki pomiędzy nimi a czerwonym smokiem, który plądrował wioski. Smok został zabity, podobnie jak trzech Strażników, a Montolio

miął spaloną twarz.

- Kapłani dobrze mnie połatali - rzekł ponuro Montolio. - Nie została po moim bólu żadna blizna. - Przerwał i Drizzt po raz pierwszy, odkąd poznał starego tropiciela, ujrzał, że jego twarz pokrywa się cierpieniem. - Nie mogli jednak nic zrobić z moimi oczyma. Rany przekraczały ich zdolności.

- Przybyłeś tu, by umrzeć - powiedział Drizzt, bardziej oskarżająco niż zamierzał.

Montolio nie odparł zarzutu. - Cierpiałem od oddechu smoków, włóczy orków, gniewu złych ludzi i chciwości tych, którzy pustoszą ziemię dla swej własnej korzyści - rzekł tropiciel. - Żadna z tych rzeczy nie raniła tak mocno jak litość. Nawet moi towarzysze Strażnicy, którzy tak wiele razy walczyli u mego boku, litowali się nade mną. Nawet ty.

- Ja nie... - próbował się sprzeciwić Drizzt.

- Tak uważałeś - odparł Montolio. - W czasie naszej walki uznałeś się za stojącego w lepszej sytuacji. To dlatego przegrałeś! Siłą każdego tropiciela jest wiedza, Drizzcie. Tropiciel rozumie siebie, swoich przeciwników i swoich przyjaciół. Uznałeś mnie za osłabionego, ponieważ inaczej nie próbowałbyś tak prostego manewru jak skok nade mną. Ja jednak rozumiałem cię i przewidziałem twoje posunięcie. - Błysnął ten chytry uśmieszek. - Czy ciągle boli cię głowa?

- Boli - przyznał Drizzt, drapiąc się po guzie. - Choć wygląda na to, że rozjaśniają mi się myśli.

- Wracając do twojego wcześniejszego pytania - powiedział Montolio, zadowolony że wyszło na jego. - Nie ma niczego niezwykłego w moim słuchu ani w innych zmysłach. Zwracam po prostu większą uwagę niż inni na to, co się mówi. Tak naprawdę sam nie wiedziałem o swoich zdolnościach, gdy tu przybyłem i słusznie odgadłeś, dlaczego to zrobiłem. Bez oczu uważałem się za martwego i chciałem tu umrzeć, w tym zagajniku, który poznałem i pokochałem podczas wcześniejszych podróży.

- Być może stało się tak dzięki Mielikki, Pani Lasu - choć bardziej prawdopodobne, że to Graul, tak bliski nieprzyjaciel - lecz niewiele czasu zajęła mi zmiana podejścia do życia. Znalazłem tu cel, gdy byłem samotny i kaleki, a naprawdę w ciągu tych pierwszych dni byłem kaleki. Dzięki temu celowi nadeszło odnowienie sensu życia, a to z kolei doprowadziło do ponownego określenia własnych ograniczeń. Jestem teraz stary, zmęczony i ślepy. Gdybym umarł pięć lat temu, jak zamierzałem, umarłbym, nie wypełniwszy swego życia. Nie wiedziałbym, jak daleko mogę zajść. Tylko dzięki przeciwnościom losu, przekraczającym wszystko, co Montolio De Brouchee kiedykolwiek sobie wyobrażał, nauczyłem się poznawać siebie i swoją boginię.

Montolio przerwał, by zastanowić się nad Drizztem. Usłyszał szelest na wzmiankę o bogini i uznał to za niespokojny ruch. Pragnąc dokładniej zbadać to spostrzeżenie, Montolio sięgnął pod swą kolczugę oraz tunikę i wyciągnął wisiorek w kształcie głowy jednorożca.

- Czy nie jest piękna? - spytał wymownie.

Drizzt zawahał się. Jednorożec był doskonale wyrzeźbiony i wspaniale zaprojektowany, jednak drow nie miał przyjemnych wspomnień związanych z takimi wisiorkami. W Menzoberranzan Drizzt był świadkiem niegodziwego postępowania zgodnie z zaleceniami bogini i nie podobało mu się to, co widział.

- Kto jest twoim bogiem, drowie? - spytał Montolio. Podczas spędzonych ze sobą tygodni nigdy nie dyskutowali o religii.

- Nie mam boga - odpowiedział śmiało Drizzt. - I nie potrzebuję żadnego.

Tym razem Montolio milczał. Drizzt wstał i odszedł kilka kroków.

- Mój lud wyznaje Lloth - zaczął. - Jest ona, jeśli nie przyczyną, to z pewnością powodem trwania ich niegodziwości, jak ten Gruumsh dla orków i inni bogowie dla innych ludów.

Wyznawanie boga jest szaleństwem. Wolę postępować zgodnie ze swoim sercem.

Cichy chichot Montolio pozbawił oświadczenie Drizzta mocy. - Masz boga, Drizzcie Do'Urden - powiedział.

- Moim bogiem jest moje serce - obwieścił Drizzt, odwracając się znów w jego stronę.

- Podobnie jak moje.

- Nazwałeś swojego boga Mielikki - zaprotestował Drizzt.

- A ty jeszcze nie znalazłeś imienia dla swojego boga - odparł Montolio. - To nie znaczy, że go nie masz. Twoim bogiem jest twoje serce, a co ono ci mówi?

- Nie wiem - przyznał Drizzt po rozważeniu tego kłopotliwego pytania.

- Pomyśl więc! - krzyknął Montolio. - Co mówił ci twój instynkt o bandzie gnolli albo o rolnikach z Maldobar? Lloth nie jest twoim bóstwem, to jest pewne. Jaki więc bóg lub bogini pasuje do serca Drizzta Do'Urden?

Montolio niemal słyszał ciągle wzruszenia ramion Drizzta. - Nie wiesz? - zapytał stary tropiciel. - Jednak ja wiem.

- Sporo zakładasz - odparł Drizzt, wciąż nie będąc przekonanym.

- Sporo obserwuję - odpowiedział ze śmiechem Montolio. - Czy twoje serce jest podobne do serca Guenhwyvar?

- Nigdy nie wątpiłem w ten fakt - odrzekł szczerze Drizzt.

- Guenhwyvar wyznaje Mielikki.

- Skąd to wiesz? - spierał się Drizzt, stając się lekko wzburzony. Nie obchodziło go, co Montolio zakładał na jego temat, jednak uważał takie przyklejanie etykietek za atak na panterę. W jakiś sposób dla Drizzta Guenhwyvar wydawała się być ponad bogami oraz konsekwencjami wyznawania jednego z nich.

- Skąd to wiem? - powtórzył z niedowierzaniem Montolio. - Oczywiście kocica mi powiedziała! Guenhwyvar jest istotą pantery, stworzeniem z domeny Mielikki.

- Guenhwyvar nie potrzebuje twoich etykietek - odparł gniewnie Drizzt, idąc hałaśliwie, by

znów usiąść przy tropicielu.

- Oczywiście, że nie - zgodził się Montolio. - To jednak nic nie zmienia. Nie rozumiesz, Drizzcie Do'Urden. Dorastałeś wśród zwyrodnienia bóstwa.

- A twoje jest prawdziwe? - spytał sarkastycznie Drizzt.

- Wszystkie są prawdziwe i wszystkie są jednym, obawiam się - odparł Montolio. Drizzt musiał się zgodzić z wcześniejszym spostrzeżeniem tropiciela: rzeczywiście nie rozumiał.

- Postrzegasz bogów jako istoty zewnętrzne - próbował wyjaśnić Montolio. - Widzisz je jako fizyczne istoty, próbujące kontrolować nasze czyny dla swoich własnych celów, tak więc ty, w swojej upartej niezależności, odrzucasz ich. Ja ci mówię, że bogowie są wewnątrz, niezależnie od tego, czy mają swoje imię, czy nie. Przez całe swoje życie wyznawałeś Mielikki, Drizzcie. Po prostu nigdy w twoim sercu nie było jej imienia.

Drizzt stał się nagle bardziej zaintrygowany niż sceptyczny.

- Co czułeś, gdy pierwszy raz wyszedłeś z Podmroku? - spytał Montolio. - Co mówiło ci serce, gdy pierwszy raz spojrzawsz na słońce, gwiazdy lub zielen lasu?

Drizzt powrócił myślami do tej odległej nocy, kiedy wraz z patrolem drowów wyszedł z Podmroku, by napaść na elfy. Były to bolesne wspomnienia, jednak pośród nich majaczyło jedno przyjemne odczucie, wspomnienie cudownego zachwytu nad powiewem wiatru i zapachem świeżo zakwitłych kwiatów.

- Poza tym, jak rozmawiałeś z Bąblem? - ciągnął Montolio. - Niełatwo jest dzielić jaskinię z niedźwiedziem! Przyznaj to lub nie, ale masz serce tropiciela. Zaś serce tropiciela jest sercem Mielikki.

Tak formalne stwierdzenie znów wzbudziło w Drizzcie wątpliwości. - A czego wymaga twoja bogini? - spytał, a do jego głosu powróciła złość. Ponownie zaczął wstawać, lecz Montolio przycisnął ręką jego nogi i przytrzymał go.

- Wymaga? - zaśmiał się tropiciel. - Nie jestem misjonarzem, który głosi dobre słowo i narzuca zasady postępowania! Czy nie powiedziałem ci przed chwilą, że bogowie są wewnątrz? Znasz zasady Mielikki równie dobrze, jak ja. Zachowywałeś się zgodnie z nimi przez całe życie. Ja ci ofiaruję imię dla nich, to wszystko, a także uosobiony ideał postępowania. Przykład, za którym możesz podążać, gdy wiesz, że odchodzisz od tego, co jest prawdziwe. - To powiedziawszy, Montolio chwycił gałąź, a Drizzt poszedł za jego przykładem.

Drizzt długo rozważał te słowa. Nie spał tego dnia, choć pozostał w swym schronieniu. Rozmyślał.

- Chciałbym dowiedzieć się więcej o twojej... naszej... bogini - Drizzt przyznał następnej nocy, gdy podszedł do gotującego kolację Montolio.

- A ja chciałbym ci o niej opowiedzieć - odparł Montolio.

\* \* \*



Sto par złotych, nabiegłych krwią oczu obserwowało, jak zwalisty człowiek przedziera się przez obóz, trzymając blisko siebie swego złotego psa. Roddy nie lubił przychodzić do fortu orczego króla Graula, nie miał jednak zamiaru pozwolić uciec drowowi. Traper miał kilkakrotnie do czynienia z Graulem podczas ostatnich lat, bowiem król orków, posiadający tak wiele oczu w dzikich górach, okazał się nieocenionym, choć kosztownym, sprzymierzeńcem w łowieniu nagród.

Kilku dużych orków celowo przeszło przez ścieżkę przed Roddym, potrącając go i denerwując jego psa. Roddy roztropnie trzymał zwierzę przy sobie, choć on również miał ochotę rzucić się za cuchnącymi orkami. Grali w tę grę za każdym razem, gdy przychodził, wpadali na niego, pluli, robili wszystko, by sprowokować walkę. Orki były zawsze odważne, gdy posiadały przewagę liczebną stu do jednego.

Cała grupa szła blisko za McGristlem, gdy pokonywał ostatnie pięćdziesiąt metrów, pod strome wzniesienie, do wejścia do jaskini Graula. Ze środka wyskoczyły dwa duże orki, trzymając włócznie, by zatrzymać intruza.

- Dlaczego przyszedłeś? - spytał jeden z nich w swoim języku. Drugi wyciągnął dłoń, jakby czekał na zapłatę.

- Bez zapłaty tym razem - odparł Roddy, doskonale imitując ich dialekt. - Tym razem Graul płaci.

Orki spojrzały na siebie z niedowierzaniem, po czym popatrzyły na Roddy'ego i wydały z siebie warknięcia, które szybko zamilkły, gdy z jaskini wyłonił się jeszcze większy ork.

Graul wypadł na zewnątrz i odtrącił strażników na bok, idąc prosto, by zbliżyć swój ciekący pysk na kilka centymetrów od twarzy McGristle'a. - Graul płaci - parsknął, a jego oddech niemal zemdlili trapera:

Chichot Roddy'ego był spowodowany wyłącznie obecnością wokół niego podekscytowanych orków. Nie mógł tu sobie pozwolić na jakąkolwiek oznakę słabości. Podobnie jak dzikie psy, orki prędko atakowały tych, którzy nie okazywali wobec nich stanowczości.

- Mam informację, Królu Graulu - powiedział pewnym głosem łowca nagród. - Informację, którą Graul zechce poznać.

- Mów - nakazał Graul.

- Zapłata? - spytał Roddy, choć podejrzewał, że przeciąga strunę.

- Mów! - warknął ponownie Graul. - Jeśli twoje słowa są coś warte, Graul pozwoli ci żyć.

Roddy w myśli użalał się, że z Graulem wszystko zawsze przebiega w ten sposób. Trudno było ubić jakiś korzystny interes z cuchnącym wodzem, który był otoczony przez bandę śmierdzących wojowników. Roddy pozostał jednak nieugięty. Nie przyszedł tu po pieniądze - choć miał nadzieję, że trochę ich zdobędzie - lecz dla zemsty. Roddy nie zaatakuje otwarcie Drizzta, jeśli drow będzie z Mooshiem. W tych górach, otoczony przez swych zwierzęcych przyjaciół, Mooshie był potęgą, z którą należało się liczyć, zaś nawet jeśli Roddy zdoła się przemknąć obok niego, by

dostać drowa, Mooshie ma wielu sprzymierzeńców, weteranów takich jak Dove Falconhand, którzy z pewnością go pomszczą.

- Mroczny elf jest w twojej domenie, potężny królu orków! - obwieścił Roddy. Nie uzyskał zdumienia, na jakie liczył.

- Zbuntowany - sprecyzował Graul.

- Wiesz? - szerokie oczy Roddy'ego zdradziły jego niedowierzanie.

- Drow zabił wojowników Graula - powiedział ponuro wódz orków. Wszyscy zgromadzeni zaczęli tupać i pluć, przeklinając mrocznego elfa.

- A więc dlaczego drow żyje? - spytał bezceremonialnie Roddy. Łowca nagród zmrużył oczy, gdy zaczął podejrzewać, że Graul nie zna lokalizacji drowa. Być może uda mu się jeszcze coś wytargować.

- Moi zwiadowcy nie mogą go odnaleźć! - ryknął Graul i to było prawdziwe. Okazana przez króla orków frustracja była jednak bardzo dobrze odegrana. Graul wiedział, gdzie jest Drizzt, nawet jeśli zwiadowcy tego nie odkryli.

- Znalazłem go! - ryknął Roddy, a wszystkie orki podskoczyły i krzyknęły z wygłodniałym zachwytem. Graul podniósł ręce, by ich uciszyć. Król orków wiedział, że nadchodzi krytyczna chwila. Przyjrzał się zgromadzeniu, by znaleźć plemiennego szamana, duchowego przywódcę plemienia. Odziany na czerwono ork obserwował i nasłuchiwał uważnie, jak tego oczekiwał Graul.

Z powodu udzielonej przez tego szamana rady Graul przez wszystkie lata unikał jakichkolwiek działań przeciwko Montolio.

Szaman uważał, że kaleka, który nie był tak kaleki, jest wytworem złej magii, tak więc dzięki ostrzeżeniu religijnego przywódcy całe plemię orków kryło się, gdy tylko Montolio był w pobliżu. Jeśli jednak tropiciel sprzymierzył się z drowem i jeśli podejrzenia Graula, że to właśnie on pomógł mrocznemu elfowi wygrać walkę w górach, były słuszne, to Montolio uderzył tam gdzie nie powinien, naruszył domenę Graula w równym stopniu, jak zbuntowany drow. Będąc przekonany, że drow rzeczywiście jest renegatem - ponieważ w okolicy nie było żadnych innych mrocznych elfów - król orków oczekiwał tylko jakiejś wymówki, która pozwoli mu podjąć działania przeciwko zagajnikowi. Informując Graula, Roddy mógł okazać się tą wymówką.

- Mów! - Graul wrzasnął Roddy'emu w twarz, by zdusić jakiegokolwiek próby wyciągnięcia zapłaty.

- Drow jest z tropicielem - odparł Roddy. - Siedzi w zagajniku ślepego tropiciela! - Jeśli Roddy miał nadzieję, że to obwieszczenie wywoła kolejny wybuch przekleństw, podskoków i plucia, z pewnością był rozczarowany. Wzmianka o ślepym tropicielu rzuciła cień na zgromadzenie i teraz wszystkie orki spoglądały to na szamana to na Graula w poszukiwaniu jakiegoś wsparcia.

Tym razem nadszedł czas, aby Roddy zaczął tkać pełną konspiracji opowieść, jak to powiedział Graniowi.

- Musicie tam iść i ich dostać! - krzyknął Roddy. - Oni nie są...

Graul podniósł ręce, by uciszyć zarówno tłum, jak i Roddy'ego. - Czy to ślepy tropiciel zabił giganta? - król orków zapytał McGristle'a z przebiegłą miną. - I pomógł drowowi zabić moich wojowników?

Roddy nie miał oczywiście pojęcia, o czym mówi Graul, lecz szybko pojął, o co chodzi królowi.

- Tak było! - oznajmił głośno. - A teraz drow i tropiciel spiskują przeciwko wam wszystkim! Musicie ich zmiażdżyć i zgnieść, zanim przyjdą tu i zmiażdżą was! Tropiciel sprowadzi swoje zwierzęta i elfy - dużo, dużo elfów - i krasnoludy też, przeciwko Graulowi!

Wzmianka o przyjaciółach Montolio, zwłaszcza elfach i krasnoludach, których lud Graula nienawidził ponad wszystko na świecie, wywołało na każdej twarzy kwaśne miny i spowodowało, że niejeden ork oglądał się nerwowo przez ramię, jakby spodziewał się, że już w tej chwili armia tropiciela otacza obóz.

Graul wpatrywał się prosto w szamana.

- Ten Który Patrzy musi pobłogosławić atak - szaman odpowiedział na nie wypowiedziane pytanie. - Podczas nowego księżyca! - Graul przytaknął, a odziany na czerwono ork obrócił się, przywołał do swego boku dwudziestu wojowników i odszedł, by rozpocząć przygotowania.

Graul sięgnął do sakiewki i wyciągnął dla Roddy'ego garść srebrnych monet. McGristle nie dostarczył żadnych informacji, których król już by nie znał, jednak deklaracja łowcy nagród o spisku przeciwko plemieniu orków zdecydowanie pomogła Graulowi nastawić podejrzliwego szamana przeciwko ślepemu tropicielowi.

Roddy bez narzekania przyjął żalną zapłatę, uważając za wystarczający fakt, iż udało mu się osiągnąć swój cel, i odwrócił się, by odejść.

- Zostajesz - Graul powiedział nagle za jego plecami. Na znak króla kilku strażników podeszło do łowcy nagród. Roddy zerknął podejrzliwie na Graula.

- Gość - wyjaśnił spokojnie król orków. - Dołącz do walki. Roddy nie miał większego wyboru.

Graul odesłał strażników i wszedł z powrotem do swojej jaskini. Strażnicy tylko wzruszyli ramionami i uśmiechnęli do siebie, nie mając zamiaru wracać do środka i stawać przed gośćmi króla, zwłaszcza wielkim wilkiem o srebrnym futrze.

Gdy Graul wrócił do środka, odwrócił się do innego gościa. - Miałeś rację - powiedział do małego skrzata.

- Jestem - dość - dobry - w - zdobywaniu - informacji - pisnął Tephaniś, po czym dodał w myśli - I - w - stwarzaniu - dogodnych - sytuacji!

Tephaniś uważał w tym momencie, że jest przebiegły, ponieważ nie tylko poinformował Roddy'ego, że drow jest w zagajniku Montolio, lecz również zaaranżował pomoc Króla Graula.

Tephanis wiedział, że Graul nie przepada za ślepym tropicielem, i gdy obecność drowa służyła za wymówkę, Graul mógł w końcu przekonać szamana, by pobłogosławił atak.

- Caroak pomoże w walce? - spytał Graul, spoglądając podejrzliwie na wielkiego i nieprzewidywalnego srebrnego wilka.

- Oczywiście - powiedział natychmiast Tephanis. - Również - w - naszym - interesie - leży - zniszczenie - tych - dwóch!

Caroak, rozumiejąc każde wypowiedziane przez nich słowo, wstał i ruszył powoli w stronę wyjścia. Strażnicy nie próbowali go zatrzymać.

- Caroak - sprowadzi - worgów - wyjaśnił Tephanis. - Potęż - na - siła - zbierze - się - przeciwko - ślepemu - tropicielowi. Zbyt - długo - był - wrogiem - Caroaka.

Graul przytaknął i zaczął rozmyślać o nadchodzących tygodniach. Gdyby zdołał się pozbyć tropiciela i drowa, jego dolina byłaby zdecydowanie bezpieczniejsza niż w ostatnich latach - po przybyciu Montolio. Tropiciel rzadko walczył osobiście z orkami, jednak Graul wiedział, że to jego zwierzęcy szpiedzy zawsze ostrzegali przejeżdżające karawany. Graul nie pamiętał, kiedy ostatnim razem jego wojownicy schwytali nie przygotowaną karawanę w ulubiony przez orki sposób. Jeśli jednak nie będzie tropiciela...

Szybko zbliżało się lato, punkt kulminacyjny sezonu handlowego. Orki będą miały w tym roku sporo łupów.

Wszystkim, czego Graul potrzebował w tej chwili, było potwierdzenie od szamana, że Ten Który Patrzy, orczy bóg Gruumsh Jednooki, pobłogosławi atak.

Nowy księżyc, nów, święty czas dla orków oraz okres, kiedy zgodnie ze swoimi słowami szaman będzie mógł się dowiedzieć o zamiarach boga, nadejdzie za ponad dwa tygodnie. Ochochy do walki i niecierpliwy Grani narzekał na opóźnienie, wiedział jednak, że musi czekać. Będąc znacznie mniej religijny, niż sądzili pozostali, Graul zamierzał zaatakować niezależnie od decyzji szamana, jednak przebiegły król nie sprzeciwił się otwarciu duchowemu przywódcy plemienia, jeśli nie będzie to absolutnie niezbędne.

Nów nie był zbyt odległy, mówił sobie Graul. Wtedy pozbędzie się zarówno ślepego tropiciela, jak i tajemniczego drowa.

## 17

### PRZEWAGA LICZEBNA

- Wyglądasz na zatroskanego - powiedział Drizt do Montolio następnego poranka, gdy ujrzał tropiciela stojącego na moście linowym. Ponad nim, na gałęzi, siedział Hooter.

Zagubiony w myślach Montolio nie odpowiedział natychmiast. Drizt nie przejął się tym. Wzruszył ramionami i odwrócił się, szanując prywatność tropiciela, po czym wyciągnął z kieszeni onyksową figurkę.

- Guenhwyar i ja pójdziemy na krótkie polowanie - Drizzt wyjaśnił przez ramię. - Zanim słońce wzniesie się zbyt wysoko. Później odpocznę, a pantera będzie towarzyszyć tobie w ciągu dnia.

Montolio wciąż ledwo słyszał drowa, kiedy jednak stwierdził, że Drizzt położył onyksową figurkę na moście, ocknął się i wyraźniej zarejestrował słowa drowa.

- Poczekaj - powiedział Montolio, podnosząc dłoń. - Niech pantera odpoczywa.

Drizzt nie rozumiał. - Guenhwyar nie było tutaj od ponad doby.

- Możemy potrzebować Guenhwyar do czegoś więcej niż polowania, i to niedługo - zaczął wyjaśniać Montolio. - Niech pantera odpoczywa.

- O co chodzi? - spytał Drizzt, stając się nagle poważny. - Co widział Hooter?

- Ostatniej nocy był nów - rzekł Montolio. Rozumiejąc już cykl księżyca, Drizzt przytaknął.

- Święty czas dla orków - ciągnął Montolio. - Ich obóz jest wiele kilometrów stąd, jednak zeszłej nocy słyszałem ich krzyki.

Drizzt znów przytaknął ze zrozumieniem. - Słyszałem dźwięki ich pieśni, jednak zastanawiałem się, czy nie jest to tylko cichy głos wiatru.

- To był skowyt orków - zapewnił go Montolio. - Co miesiąc zbierają się, mruczą i tańczą w swoim typowym amoku - wiedz, że orki nie potrzebują żadnych środków, by się w niego wprowadzić. Nie przejmowałem się tym, choć wydawali się nadmiernie głośni. Zazwyczaj nie można ich stąd usłyszeć. Łaskawy... niełaskawy... wiatr przyniósł tu ich głosy, jak podejrzewam.

- Wtedy dowiedziałeś się, że to coś więcej niż pieśń - stwierdził Drizzt.

- Hooter również ich słyszał - wyjaśnił Montolio. - On zawsze dla mnie obserwuje. - Odwrócił się w stronę sowy. - Poleciał, by się lepiej przyjrzeć.

Drizzt również spojrzał na wspaniałego ptaka, który siedział napuszony i dumny, jakby rozumiał komplementy Montolio. Jednak pomimo ponurych przypuszczeń tropiciela Drizzt zastanawiał się, jak dokładnie Montolio rozumiał Hootera i czy sowa mogła w pełni przekazać rozgrywające się wydarzenia.

- Orki formują wyprawę wojenną - powiedział Montolio, drapiąc się po szczeciniastym podbródku. - Wygląda na to, że Graul obudził się po długiej zimie z żądzą zemsty.

- Skąd wiesz? - zapytał Drizzt. - Czy Hooter rozumie ich słowa?

- Nie, nie, oczywiście, że nie! - odpowiedział Montolio, zdumiony tym pomysłem.

- A więc skąd wiesz?

- Przybyła wataha worgów, tyle powiedział mi Hooter - wyjaśnił Montolio. - Orki i worgi nie darzą się największą przyjaźnią, zbierają się jednak razem, gdy szykują się kłopoty. Orki hucznie świętowały zeszłej nocy, a jeśli były tam również worgi, nie można mieć wątpliwości.

- Czy w pobliżu jest jakaś wioska? - spytał Drizzt.

- Nie bliżej niż Maldobar - odpowiedział Montolio. - Wątpię, czy orki by szły tak daleko,

jednak wkrótce skończą się roztopy i przez przełęcz będą przejeżdżać karawany, głównie z Sundabar do Cytadeli Adbar i w drugą stronę. Musi jechać jakaś z Sundabar, bowiem nie przypuszczam, że Graul byłby na tyle śmiały, lub na tyle głupi, aby zaatakować jadącą z Adbar karawanę ciężko uzbrojonych krasnoludów.

- Jak wielu wojowników ma król orków?

- Graul mógłby zebrać tysiące, gdyby poświęcił na to wystarczająco dużo czasu lub też gdyby przyszło mu to do głowy - powiedział Montolio. - To zajęłoby jednak tygodnie, a Graul nigdy nie był znany ze swej cierpliwości. Poza tym nie sprowadziłby tak szybko worgów, gdyby chciał wstrzymać się w celu zebrania swych legionów. Orki mają zwyczaj znikać, gdy worgi są w pobliżu, a worgi mają zwyczaj stawać się leniwe i tłuste, gdy orki są w pobliżu, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Ciarki na plecach Drizzta pokazały, że istotnie rozumie.

- Oceniałbym, że Graul ma około stu wojowników - ciągnął Montolio - od tuzina do dwudziestu worgów, z tego co mówił Hooter, i pewnie jednego lub dwóch gigantów.

- Spora siła jak na atak na karawanę - rzekł Drizzt, jednak zarówno drow, jak i tropiciel mieli inne podejrzenia. Kiedy się pierwszy raz spotkali, dwa miesiące temu, odbyło się to kosztem Graula.

- Może minąć dzień lub dwa, zanim się przygotują - powiedział Montolio po chwili niezręcznej ciszy. - Hooter będzie ich dokładniej obserwował tej nocy, wezwę również innych szpiegów.

- Ja pójdę szpiegować orki - dodał Drizzt. Widział, jak na twarzy Montolio pojawia się troska, lecz szybko ją rozproszył. - Wiele razy spadały na mnie takie obowiązki, gdy w Menzoberranzan byłem zwiadowcą patrolu - rzekł. - To jest zadanie, które jestem w stanie dość bezpiecznie wykonać. Nie obawiaj się.

- To było w Podmroku - przypomniał mu Montolio.

- Czy noc jest bardzo odmienna? - odpowiedział przebiegle Drizzt, kierując w stronę Montolio uspokajający uśmiech. - Zdobędziemy odpowiedzi.

Drizzt powiedział swoje „dobrego dnia” i oddalił się, by odpocząć. Montolio nasłuchiwał oddalających się kroków swego przyjaciela, zaledwie szelestu wśród gęsto rosnących drzew, ze szczerym podziwem. Uznał, że pomysł Drizzta jest dobry.

Dzień minął tropicielowi powoli i spokojnie. Zajmował się rozważaniem planów obrony zagajnika. Montolio nigdy wcześniej nie bronił tego miejsca, poza jednym przypadkiem, gdy wdarła się tu banda głupich złodziei, spędził jednak wiele godzin na formułowaniu i testowaniu rozmaitych strategii, uważając za nieuniknione, iż pewnego dnia Graul znuży się tym, że tropiciel wtrąca się w jego sprawy i odważy się na atak.

Jeśli ten dzień miał nadejść, Montolio był przekonany, że będzie gotowy do walki.

Niewiele można było jednak zrobić - nie można było wznieść środków obronnych, zanim Montolio nie będzie pewny zamiarów Graula - a oczekiwanie rozciągało się w nieskończoność. W końcu Hooter poinformował Montolio, że drow zaczął się krzątać.

- Wyruszę więc - stwierdził Drizzt, gdy znalazł tropiciela i zauważył, że słońce zaczyna już zachodzić. - Dowiedzmy się, co planują nasi nieprzyjacielni sąsiedzi.

- Uważaj na siebie - rzekł Montolio, a szczerą troską w jego głosie wzruszyła drowa. - Graul może być orkiem, jest jednak przebiegły. Może się spodziewać, że jeden z nas będzie chciał mu się przyjrzeć.

Drizzt wyciągnął swoje sejmitary, do których wciąż jeszcze nie przywykł i zamachnął się nimi, by sprawdzić, ile są warte. Następnie schował je z powrotem i położył dłoń na kieszeni. Dotykając onyksowej figurki, uspokoił się jeszcze bardziej. Klepnął tropiciela w plecy i wyruszył, aby wykonać swoje zadanie.

- Hooter będzie w pobliżu! - krzyknął za nim Montolio. - I inni przyjaciele, których możesz się nie spodziewać. Krzyknij, jeśli znajdziesz się w większych kłopotach, i nie będziesz mógł sobie poradzić!

\* \* \*

Obóz orków nie był trudny do odnalezienia, wyróżniało go wielkie ognisko wzbijające się w nocne niebo. Drizzt ujrzał tańczące wokół płomieni sylwetki, w tym jednego giganta, oraz usłyszał warkot i piski wielkich wilków, worgów, jak je nazywał Montolio. Obóz znajdował się w małej dolince, na polanie otoczonej przez wielkie klony i kamienne ściany. Drizzt dość dobrze słyszał głosy orków w nocnej ciszy, uznał więc, że nie będzie podchodził zbyt blisko. Wybrał jedno masywne drzewo i skupił się na niskiej gałęzi, przyzywając swą wrodzoną umiejętność lewitacji, by się tam dostać.

Czar zawiódł całkowicie, tak więc Drizzt, niezbyt zdziwiony, wsunął sejmitary do pochew i zaczął się wspinać. Pień rozgałęział się kilka razy na dole i nawet na wysokości siedmiu metrów. Drizzt dotarł do najwyższego rozgałęzienia i już zamierzał wchodzić na długi i kręty konar, gdy usłyszał oddech. Ostrożnie wychylił głowę zza masywnego pnia.

Po przeciwległej stronie, rozparty wygodnie pomiędzy pniem a kolejną gałęzią, wylegiwał się ork strażnik z rękoma złożonymi za głową i pustym, znudzonym wyrazem twarzy. Najwyraźniej stwor nie był świadom obecności mrocznego elfa, przyczajonego niecały metr dalej.

Drizzt chwycił za rękojęć sejmitara, po czym, gdy nabrał pewności, że głupie stworzenie czuje się zbyt wygodnie, by nawet się rozglądać, zmienił zdanie i zignorował orka. Skupił się natomiast na wydarzeniach mających miejsce na polanie.

Język orków był podobny w składni i wymowie do mowy goblinów, jednak Drizzt, nie posiadając biegłości nawet w goblinśkim, mógł zrozumieć zaledwie kilka luźnych słów. Orki były jednak dość demonstracyjną rasą. Dwie sylwetki, podobizny mrocznego elfa oraz szczupłego

człowieka z wąsami, szybko ukazały Drizztowi zamiary klanu. Największy ork ze zgromadzenia, najprawdopodobniej Król Graul, pluł na podobizny i przeklinał je. Następnie żołnierze i worgi zajęły się rozszarpywaniem ich, ku uciesze rozszalałych widzów, uciesze, która przerodziła się w czystą ekstazę, gdy kamienny gigant podszedł i przygniótł mrocznego elfa do ziemi.

Trwało to kilka godzin i Drizzt podejrzewał, że będzie się ciągnąć do świtu. Graul i kilku innych wielkich orków oddaliło się od zgromadzenia i zaczęło rysować coś na piasku, najwyraźniej planując bitwę. Drizzt nie mógł mieć nadziei na dostateczne zbliżenie się, by zrozumieć ich stłumioną rozmowę, i nie miał zamiaru pozostawać na drzewie, gdy zbliżało się światło dnia.

Zanim zaczął schodzić w dół, zastanowił się nad wartownikiem po drugiej stronie pnia, który oddychał głęboko pogrążony we śnie. Drizzt wiedział, że orki zamierzały zaatakować dom Montolio. Czy nie powinien zadać pierwszego ciosu?

Zdradziło go sumienie. Zszedł z wielkiego klonu i oddalił się od obozu, pozostawiając orka w jego wygodnym rozgałęzieniu.

\* \* \*

Montolio z Hooterem na ramieniu siedział na jednym z linowych mostów, czekając na powrót Drizzta. - Idą po nas - oznajmił stary tropiciel, gdy drow w końcu się pojawił. - Graul chce się odegrać, pewnie za ten mały incydent na Skale Rogee - Montolio wskazał na zachód, w stronę miejsca, gdzie on i Drizzt się poznali.

- Czy twoje sanktuarium jest przygotowane na takie wypadki? - spytał Drizzt. - Przypuszczam, że orki przyjdą tej nocy, będzie ich niemal setka, a oprócz tego potężni sprzymierzeńcy.

- Uciekać? - krzyknął Montolio. Chwycił wiszącą obok linę i zjechał po niej w dół do drowa z Hooterem wczepionym kurczowo w tunikę. - Uciekać przed orkami? Czy nie powiedziałem ci, że orki są dla mnie szczególną zmorą? Nic na świecie nie brzmi przyjemniej niż odgłos ostrza rozcinającego brzuch orka!

- Nie ma więc chyba sensu, żebym przypominał ci o przewadze liczebnej? - powiedział Drizzt, uśmiechając się mimo zatroskania.

- Powinieneś przypomnieć Graulowi! - zaśmiał się Montolio. - Stary ork stracił rozum albo stał się nagle niezwykle wytrzymały, jeśli przychodzi tu pomimo tego, że mamy tak oczywistą przewagę!

Jedyną odpowiedzią Drizzta, jedyną możliwą odpowiedzią na tak gwałtowne stwierdzenie, był wybuch śmiechu.

- Poza tym - ciągnął Montolio, nie tracąc rezonu - postawię wiadro świeżo złowionych pstrągów i trzy doskonale ogiery, że stary Graul nie przyjdzie walczyć. Zostanie pomiędzy drzewami, obserwując i zacierając swe tłuste łapska, a gdy rozgromimy jego wojska, będzie pierwszym, który ucieknie! Nigdy nie odważył się na prawdziwą walkę, przynajmniej nie odkąd



został królem. Jest zbyt wygodny, mogę stwierdzić, ma zbyt wiele do stracenia. Cóż, odbierzemy mu trochę pychy!

Drizzt znów nie mógł znaleźć słów, którymi mógłby odpowiedzieć, i nie mógł przestać się śmiać z tych absurdalnych myśli. Mimo to, drow musiał przyznać, że przekomarzenie Montolio wywarło na niego korzystny i pobudzający efekt.

- Idź i odpocznij trochę - powiedział Montolio, zastanawiając się nad strategią walki. - Zaczę przygotowania. Będziesz zdumiony, obiecuję ci. Obudzę cię za kilka godzin.

Ostatnie słowa, jakie drow usłyszał, wchodząc pod koc w swoim ciemnym pokoiku, pozwoliły mu spojrzeć na to wszystko z innej perspektywy. - Tak, Hooterze, czekałem na to od dawna - powiedział z ekscytacją Montolio, a Drizzt nawet przez chwilę w to nie wątpił.

\* \* \*

Była to spokojna wiosna dla Kellindila i jego elfich krewnych. Byli nomadyczną grupą, wędrowali po okolicy i chronili się wszędzie tam, gdzie mogli, na drzewach lub w jaskiniach. Ich miłością był otwarty świat, taniec pod gwiazdami, śpiewanie wraz z płynącymi górskimi potokami, polowanie na jelenie i dziki w gęstych lasach u podnóży gór.

Kellindi rozpoznał na twarzy swego kuzyna przerażenie, uczucie rzadko widywane w tej swobodnej grupie, gdy ten pewnej nocy wszedł do obozu.

Wszyscy pozostali zebrali się dookoła.

- Orki są poruszone - wyjaśnił elf.

- Graul znalazł karawanę? - spytał Kellindil.

Jego kuzyn potrząsnął głową i wyglądał na zakłopotanego. - Za wcześnie na handlarzy - odparł. - Graul ma na oku inną zdobycz.

- Zagajnik - powiedziało jednocześnie kilku elfów. Cała grupa skierowała się wtedy w stronę Kellindila, najwyraźniej uważając, że to on jest odpowiedzialny za drowa.

- Nie sądzę, by drow sprzymierzył się z Graulem - Kellindil odpowiedział na ich nie zadane pytanie. - Dzięki wszystkim swoim zwiadowcom Montolio wiedziałby o tym. Jeśli drow jest przyjacielem tropiciela, to nie jest w takim razie naszym wrogiem.

- Zagajnik jest wiele kilometrów stąd - odezwał się jeden z grupy. - Jeśli chcemy się bliżej przyjrzeć działaniom króla orków i przybyć na czas, by pomóc tropicielowi, musimy natychmiast wyruszyć.

Bez słowa sprzeciwu wędrownie elfy zebrały niezbędne zapasy, głównie swe długie łuki i dodatkowe strzały. Zaledwie kilka minut później wyruszyły, biegnąc przez lasy i górskie szlaki, nie czyniąc więcej hałasu niż delikatny wietrzyk.

\* \* \*

Drizzt obudził się wczesnym popołudniem i ujrzał zaskakujący widok. Niebo było przyciemnione szarymi chmurami, jednak wciąż wydawało się jasne, kiedy wyszedł na zewnątrz i

przeciągnął się. Wysoko nad sobą zobaczył tropiciela, czołgającego się po szczytowych gałęziach wysokiej pinii. Ciekawość Drizzta zmieniła się w przerażenie, gdy Montolio, wyjąc niczym dziki wilk, zeskoczył z drzewa z szeroko rozłożonymi ramionami.

Montolio miał na sobie uprząż, którą przymocował do cienkiego pnia pinii. Kiedy spadał, jego ciężar wygiął drzewo i tropiciel lekko opadł na dół, zginając pinie niemal w pół. Kiedy dotknął ziemi, przywiązał linę do jakichś grubych korzeni.

Gdy Drizzt ogarnął całą okolicę, ujrzał, że kilka pinii zostało wygiętych w ten sposób, wszystkie wskazywały na zachód i były przywiązane nie połączonymi ze sobą linami. Ostrożnie idąc w stronę Montolio, Drizzt minął sieć, kilka rozciągniętych drutów i jedną szczególnie paskudną linę, do której był przymocowany tuzin lub więcej noży zaopatrzonych w dwa ostrza. Kiedy zostanie uruchomiona pułapka i drzewa się wyprostują, uniesie się również ten sznur, na nieszczęście jakichkolwiek stojących przy niej stworzeń.

- Drizzt? - spytał Montolio, słysząc lekkie kroki. - Uważaj, gdzie stajesz. Nie chciałbym znów zginać tych drzew, choć przyznaję, że jest to dość zabawne.

- Wygląda na to, że przygotowania są daleko posunięte - powiedział Drizzt, stając obok tropiciela.

- Od dawna spodziewałem się tego dnia - odparł Montolio. - Dziesiątki razy rozgrywałem tę bitwę w myślach i znam kierunek, jaki obierze. - Przykucnął i narysował na ziemi wydłużony owal, przybliżony kształt kępy pinii. - Pozwól, że ci pokażę - wyjaśnił i zaczął rysować okolicę kępy z taką dokładnością, że Drizzt potrząsnął głową i jeszcze raz spojrzął, by upewnić się, iż tropiciel jest ślepy.

Kępa składała się z kilku tuzinów drzew, biegnących z północy na południe przez około pięćdziesiąt metrów, i mniej niż połowę tego na szerokość. Teren wznosił się lekko, choć zauważalnie, północny kraniec znajdował się o połowę wysokości drzewa niżej niż południowy. Dalej na północ okolica była poszarpana i usiana głazami, z małymi kępami trawy i nagłymi spadkami terenu, poprzecinana przez kręte ścieżki.

- Ich główne siły przyjdą z zachodu - wyjaśnił Montolio, wskazując za kamienny mur i małą łąkę, na parę gęstych kęp drzewnych, tkwiących pomiędzy licznymi skalnymi krawędziami i rozpadlinami. - To jedyna droga, którą mogą przejść razem.

Drizzt rozejrzał się szybko po okolicy i nie mógł się nie zgodzić. Za zagajnikiem, na wschód, teren był trudny i nierówny. Nacierająca z tam tej strony armia musiałaby wpadać na pole wysokiej trawy niemal pojedynczym strumieniem, pomiędzy dwoma wysokimi kamiennymi kopcami, stając się w ten sposób łatwym celem dla śmiertelnościanego łuku Montolio. Na południu teren wznosił się coraz bardziej stromo, było to doskonałe miejsce dla orków łuczników oraz miotaczy włóczni, tyle tylko, że tuż za najbliższą półką skalną majaczył głęboki parów z niemal niemożliwą do wspinaczki ścianą.

- Nie będziemy mieć żadnych kłopotów z południa - odezwał się Montolio, jakby czytając myśli Drizzta. - A jeśli pojawią się z północy, będą musieli biec pod górę, by się do nas dostać. Znam dość dobrze Graula. Posiadając taką przewagę, zaatakuje prosto z zachodu, próbując nas zalać.

- Więc dlatego drzewa - stwierdził z podziwem Drizzt. - 1 sieć oraz lina z nożami.

- Sprytne - pogratulował sobie Montolio. - Pamiętaj jednak, że miałem pięć lat, by się przygotować. Chodź. Drzewa to dopiero początek. Mam dla ciebie inne obowiązki, gdy będę kończyć tę pułapkę

Montolio zaprowadził Drizzta do kolejnej tajemnicy, zakrytej kocem jamy. Wewnątrz wisiały rzędy dziwnych żelaznych przedmiotów, przypominających zwierzęce szczęki, z przymocowanym do podstawy łańcuchem.

- Potrzaski - wyjaśnił Montolio. - Łowcy skórek zastawiają je w górach. Paskudne przedmioty. Znajduję je - Hooter jest szczególnie dobry w zauważaniu ich - i zabieram. Chciałbym mieć oczy, żeby ujrzeć łowcę, gdy tydzień później drapie się w głowę, nie mogąc ich znaleźć!

- Ten należał do Roddy'ego McGristle - ciągnął Montolio, wyjmując najbliższy z wynalazków. Tropiciel postawił go na ziemi i ostrożnie manewrował stopą, by rozciągnąć szczęki. - To powinno spowolnić orka - powiedział stukając patykiem w zapadkę.

Żelazne szczęki potrzasku zatrzęsnęły się, a siła uderzenia złamała patyk i wytrąciła połowę z dłoni Montolio. - Zebrałem ich ponad dwadzieścia - rzekł ponuro tropiciel, krzywiąc się na złowieszczy dźwięk żelaznej pułapki. - Nigdy nie sądziłem, że je wykorzystam, jednak przeciwko Graulowi i jego klanowi potrzaski mogą zadać trochę szkód, na jakie sobie zasłużyli.

Drizzt nie potrzebował dalszych instrukcji. Przeniósł potrzaski na zachodnią łąkę, rozstawił je i ukrył, po czym kilka kroków dalej przymocował kołkami łańcuchy. Położył również kilka za kamiennym murem, uważając, że ból, jaki spowodują pierwszym przechodzącym przez niego orkom z pewnością spowolni tych, którzy będą z tyłu.

Do tego czasu Montolio skończył z drzewami. Wygiął i przywiązał ponad tuzin z nich. Teraz tropiciel znajdował się na moście linowym, który biegł z północy na południe, przymocowywał rząd kusz na zachodniej balustradzie. Kiedy będą już ustawione i załadowane, Montolio lub Drizzt będą mogli strzelić z nich wszystkich, po prostu przechodząc obok.

Drizzt zamierzał iść tam i pomóc, pomyślał jednak o innej sztuczce. Udał się do składu z bronią i wyciągnął długą i ciężką runkę, którą widział wcześniej. W okolicy, gdzie zamierzał zająć pozycję, znalazł solidny korzeń, po czym wykopał za nim mały otwór. Położył osadzoną na metalowym drzewcu broń w poprzek korzenia, tak że tylko około trzydziestu centymetrów trzonka znajdowało się nad otworem, po czym pokrył całość trawą i liśćmi.

Właśnie skończył, gdy tropiciel znów go zawołał.

- Teraz będzie najlepsze - powiedział Montolio, błyskając swym przebiegłym uśmiechem.

Zaprowadził Drizzta do kłody, wydrążonej i wypalonej, z załatanymi szczelinami. - Dobra łódka, gdy rzeka jest wysoka i wolna - wyjaśnił tropiciel. - I dobra do trzymania brandy z Adbar - dodał z kolejnym uśmiechem.

Nie rozumiejąc, Drizzt spojrział na niego z zaciekawieniem. Montolio pokazywał mu tydzień wcześniej baryłki z mocnym napitkiem, dar, który tropiciel otrzymał za ostrzeżenie karawany z Sundabar o planowanej zasadzce Graula, lecz mroczny elf nie widział żadnego celu we wlewaniu alkoholu do wydrążonej kłody.

- Brandy z Adbar jest mocna - wyjaśnił Montolio. - Pali się lepiej niż najlepsza oliwa.

Teraz Drizzt zrozumiał. Wraz z Montolio przenieśli belkę i ustawili ją na wylocie jedynej przełęczy ze wschodu. Wlali do środka trochę brandy, po czym zastłonili całość liśćmi i trawą.

Gdy wrócili na most linowy, Drizzt zobaczył, że Montolio uczynił już przygotowania na tym odcinku. Jedna z kusz wycelowana była na wschód. Załadowany bełt owinięty był nasączoną oliwą szmatą, a obok leżał krzemień i kawałek stali.

- Będziesz musiał wycelować - wyjaśnił Montolio. - Bez Hootera nie mogę mieć pewności, zresztą nawet z ptakiem czasami mam problemy z wysokością.

Światło dnia już niemal całkowicie zniknęło i bystry nocny wzrok Drizzta szybko odnalazł wydrążoną kłodę. Montolio skonstruował podpórki na moście linowym całkiem dobrze, tak więc po kilku drobnych poprawkach Drizzt skierował broń na cel.

Wszystkie ważniejsze środki obronne były już na miejscu, a Drizzt i Montolio zajęli się dopracowywaniem strategii. Co jakiś czas pojawiał się Hooter lub jakaś inna sowa, przynosząc nowe informacje. Jedna przybyła z oczekiwanym potwierdzeniem: Król Graul i jego banda wymaszerowali.

- Wezwij Guenhwyvar - powiedział Montolio. - Przyjdą tej nocy.

- Głupcy - rzekł Drizzt. - Noc jest dla nas korzystniejsza. Ty i tak jesteś ślepy i nie potrzebujesz światła, a ja zdecydowanie wolę ciemność.

Sowa zahuczała.

- Główne siły przybędą z zachodu - powiedział Montolio z zadowoloną miną. - Tak jak przewidziałem. Dziesiątki orków wraz z gigantem! Hooter obserwuje inną małą grupę, która oddzieliła się od pierwszej.

Wzmianka o gigancie wywołała na plecach Drizzta ciarki, mieli już jednak plan walki z olbrzymem. - Chcę przyciągnąć giganta do siebie - rzekł.

Montolio odwrócił się do niego z zaciekawioną miną. - Zobaczmy, jak potoczy się bitwa - zaproponował tropiciel. - Jest tylko jeden gigant i przypadnie tobie lub mnie.

- Chcę przyciągnąć giganta do siebie - powtórzył Drizzt bardziej stanowczo. Montolio nie mógł zobaczyć zaciśniętej szczęki drowa lub ogni płonących w jego lawendowych oczach, słyszał jednak w jego głosie determinację.

- Mangura bok woklok - powiedział i znów się uśmiechnął, wiedząc, że te dziwne słowa przyciągną uwagę drowa.

- *Mangura bok woklok* - oznajmił znów Montolio. - „Głupi kamienny łeb” - przetłumaczone słowo po słowie. Kamienni giganci nienawidzą tego określenia i za każdym razem gdy je słyszą, rzucają się do ataku!

- *Mangura bok woklok* - wyszeptał Drizzt. Będzie musiał to zapamiętać.

## 18

### BITWA O ZAGAJNIK MOOSHIEGO

Drizzt zauważył, że Montolio wygląda na bardziej zatroskanego, gdy Hooter, który przyniósł nowe wieści, znów odleciał.

- Podział sił Graula? - spytał.

Montolio przytaknął z ponurą miną. - Orki jadące na worgach, zaledwie garstka, zataczają koło.

Drizzt spojrział ponad kamiennym murem, na przełęcz zabezpieczoną przez koryto z brandy. - Możemy ich powstrzymać - powiedział.

Mimo to, mina tropiciela wieszczyła zagładę. - Kolejna grupa worgów, dwadzieścia lub więcej, idzie z północy. - Drizzt zauważył strach tropiciela, gdy ten dodawał - Prowadzi je Caroak. Nigdy bym nie przypuszczał, że pójdzie wraz z Graulem.

- Gigant? - zapytał Drizzt.

- Nie, zimowy wilk - odparł Montolio. Na te słowa Guenhwyvar położyła po sobie uszy i warknęła gniewnie.

- Pantera wie - Montolio powiedział, gdy Drizzt spojrział na nią ze zdumieniem. - Zimowy wilk jest wynaturzeniem, obrażą dla stworzeń postępujących zgodnie z naturalnym porządkiem, a w związku z tym jest wrogiem Guenhwyvar.

Czarna pantera znów warknęła.

- To wielki stwór - ciągnął Montolio - i zbyt sprytny jak na wilka. Walczyłem już wcześniej z Caroakiem. Z nim samym mielibyśmy sporo problemów! Zaś gdy wokół niego będą orki, a my będziemy zajęci walką z nimi, może się przedrzeć.

Guenhwyvar warknęła trzeci raz i podrapała wielką łapą ziemię.

- Guenhwyvar zajmie się Caroakiem - stwierdził Drizzt. Montolio podszedł i chwycił panterę za uszy, kierując wzrok Guenhwyvar w stronę swojej pozbawionej spojrzenia twarzy. - Strzeż się oddechu wilka - powiedział tropiciel. - Zmrozi twoje mięśnie aż do kości. Widziałem, jak padali od niego giganci! - Montolio odwrócił się do Drizzta i wiedział, że twarz drowa wyraża troskę.

- Guenhwyvar musi go utrzymać z dala od nas, dopóki nie odpędzimy Graula i jego grupy -

rzekł tropiciel - wtedy zastanowimy się nad Caroakiem. - Puścił uszy pantery i klepnął ją mocno w kark.

Guenhwyvar ryknęła czwarty raz i pobiegła przez zagajnik, niczym czarna strzała wymierzona w serce zagłady.

\* \* \*

Główne siły Graula nadeszły, jak oczekiwano, z zachodu, wyjąc, przeklinając i niszcząc krzaki na swej drodze. Oddziały zbliżały się w dwóch grupach.

- Wymierz w grupę na południu! - zawołał Montolio do Drizzta, stojącego na moście linowym z kuszami. - Z drugiej strony mamy przyjaciół!

Jakby na potwierdzenie słów tropiciela północna kępa eksplodowała nagle krzykami orków, które brzmiały bardziej jak pełne przerażenia wrzaski niż okrzyki wojenne. Wrzaskom akompaniował chór gardłowych ryknięć. Drizzt wiedział, że niedźwiedź Bąbel przyszedł na wezwanie Montolio, zaś z odgłosów dochodzących z lasku można było wnioskować, że przyprowadził licznych przyjaciół.

Drizzt nie miał zamiaru kwestionować ich szczęścia. Ustawił się za najbliższą kuszą i wystrzelił bełt, gdy pierwsze orki wyłoniły się spomiędzy drzew. Drow biegł wzdłuż mostu, szybko spuszczając cięciwy. Z dołu Montolio posłał kilka strzał za mur.

Widząc tłum orków, Drizzt nie był w stanie powiedzieć, jak wiele pocisków trafiło, jednak bełty spowolniły ich szarżę, przerzedziły i rozproszyły szeregi. Kilka orków padło na brzuchy, część zawróciła i skierowała z powrotem między drzewa. Trzon grupy i niektórzy biegnący z pierwszej kępy dalej nacierali.

Montolio strzelił ostatni raz, po czym kryjąc się, wrócił na środek swoich zgiętych drzew, gdzie był z trzech stron chroniony. Trzymając w jednym ręku łuk sprawdził, czy miecz jest na miejscu, po czym wyciągnął dłoń, by dotknąć liny z drugiej strony.

Drizzt zauważył, że tropiciel zajmuje pozycję siedem metrów pod nim, z boku, i uznał, że to może być ostatnia szansa. Odnalazł przedmiot wiszący nad głową Montolio i rzucił na niego czar.

Bełty nie spowodowały zbyt wielkiego chaosu w szeregach szarżujących orków, jednak potrzaski okazały się skuteczne. Najpierw jeden, później następny ork na nie nastąpił, a ich wrzaski wzniosły się ponad harmider szarży. Gdy inne orki ujrzały, co się dzieje, zwolniły, a nawet stanęły.

Wraz ze wzrastającym na polu zamieszaniem Drizzt przystanął i bacznie zastanawiał się nad swym ostatnim strzałem. Zauważył dużego, dobrze odzianego orka, obserwującego pole walki z najbliższych gałęzi północnego lasku. Drizzt wiedział, że to Graul, jednak jego uwaga natychmiast skierowała się na sylwetkę stojącą obok króla orków. - Niech to - mruknął drow, rozpoznając McGristle'a. Był teraz zakłopotany, przesuwając kuszę od jednego wroga do drugiego. Drizzt chciał strzelić w Roddy'ego, chciał tu i teraz zakończyć swe osobiste cierpienie. Roddy nie był jednak orkiem i Drizzt zauważył, że odrzuca go myśl o zabiciu człowieka.

- Graul jest ważniejszym celem - powiedział sobie drow, bardziej by rozproszyć wewnętrzną mękę niż z jakiegoś innego powodu. Szybko wycelował i strzelił. Bełt poleciał daleko, wbijając się w pień zaledwie kilkanaście centymetrów nad głową Graula. Roddy spiesznie chwycił króla orków i wciągnął go w głębsze cienie. Zamiast nich pojawił się ryczący gigant, z kamieniem w rękach.

Głaz trafił w drzewa obok Drizzta, wstrząsając zarówno gałęziami, jak i mostem. Zaraz potem padł drugi strzał, który trafił dokładnie we wspornik, zawałając przednią część mostu.

Drizzt widział jak pocisk leci, był jednak zdumiony i przerażony niezwykłą celnością jak na tak daleki zasięg. Gdy połowa mostu zapadała się, Drizzt podskoczył i chwycił się płataniny gałęzi. Wprawdzie zdołał się usadowić, ale stanął przed nowym problemem. Ze wschodu nadjeżdżali, trzymając pochodnie, jeźdźcy worgów.

Drizzt spojrział na kłodę - pułapkę, a następnie na kuszę. Ona oraz jej wspornik przetrwały trafienie głazem, jednak drow nie był w stanie przejść tam po zapadającym się moście.

Przywódcy głównej grupy, znajdujący się teraz za Drizztem, dotarli już do kamiennego muru. Na szczęście pierwszy przeskakujący przez niego ork wylądował dokładnie w kolejnych paskudnych żelaznych szczękach, zaś jego towarzysze nie spieszyli się zbytnio, by do niego dołączyć.

\* \* \*

Guenhwyvar skakała pomiędzy licznymi poszarpanymi rozpadlinami przecinającymi spadek na północ. Pantera rejestrowała odległe wrzaski z bitwy w zagajniku, lecz uważniej nasłuchiwała skowytów zbliżającej się wilczej watahy. Wskoczyła na nisko położoną półkę skalną i czekała.

Caroak, wielka, srebrna bestia, prowadził szarżę. Skupiony całkowicie na odległym zagajniku zimowy wilk był całkowicie zaskoczony, gdy spadła na niego Guenhwyvar.

Kępki srebrnej sierści poleciały na wszystkie strony. Skowycząc i koziołkując, Caroak poleciał w bok. Guenhwyvar trzymała się nad nim tak, jak flisak trzyma się na kłodzie w jeziorze, odpychając się nogami. Caroak był jednak mądrym, starym wilkiem, weteranem dziesiątek walk. Gdy przetoczył się na grzbiet, w stronę pantery poleciał lodowy podmuch.

Guenhwyvar umknęła w bok, zarówno przed mrozem, jak i kilkoma worgami. Podmuch trafił jednak panterę w bok pyska, pozbawiając Guenhwyvar czucia w szczęce. Następnie rozpoczął się pościg. Poruszając się skokami, Guenhwyvar biegła wokół wilczej watahy, zaś worgi oraz rozwścieczony Caroak, trzymały się tuż za nią.

\* \* \*

Czas szybko uciekał Drizztowi i Montolio. Ponad wszystko drow wiedział, że musi chronić ich tyły. Równocześnie Drizzt zrzucił buty, wziął w jedną rękę krzemień, a w usta kawałek stali, po czym wskoczył na gałąź, która miała go doprowadzić do samotnej kuszy.

Chwilę później znajdował się nad nią. Trzymając się jedną ręką, mocno uderzył

krzemieniem. Poleciały iskry, blisko celu. Drizzt uderzył jeszcze raz, i kolejny, i w końcu iskra trafiła wystarczająco dokładnie na nasączoną oliwą szmatę na bełcie, żeby ją zapalić.

Teraz drow nie miał już takiego szczęścia. Kołysał się i obracał, lecz nie mógł zbliżyć stopy do spustu.

Montolio nic oczywiście nie widział, znał jednak wystarczająco dobrze ogólną sytuację. Słyszał zbliżające się od tyłu zagajnika worgi i wiedział, że ci z przodu przedarli się przez mur. Wysłał kolejną strzałę poprzez zasłonę ze zgiętych drzew i zahuczał głośno trzy razy.

W odpowiedzi z pinii sfrunęła grupa sów, spadając na orki wzdłuż muru. Podobnie jak potrzaski, ptaki nie mogły wyrządzić zbyt dużych szkód, jednak wywołane zakłopotanie dało obrońcom trochę czasu.

\* \* \*

Do tej chwili jedyna wyraźna przewaga obrońców zagajnika miała miejsce w północnej kępie, gdzie Bąbel i trzech jego najbliżsi i najwięksi kumple powalili tuzin orków i spowodowali, że dwudziestu kolejnych biegało na oślep.

Jeden z orków, uciekając przed niedźwiedziem, wyłonił się zza drzewa i niemal zderzył z Bąblem. Ork zachował wystarczająco wiele przytomności umysłu, by pchnąć przed siebie włócznią, nie miał jednak wystarczająco siły, by przebić prymitywną bronią grubą skórę Bąbla.

Bąbel odpowiedział ciężkim machnięciem, które posłało głowę orka pomiędzy drzewa.

W pobliżu przechodził spokojnie kolejny wielki niedźwiedź, założywszy przed sobą ogromne łapy. Jediną wskazówką, że zwierzę trzyma w miażdżącym uścisku orka, były stopy stwora, które zwisały i wierzgały dziko pod otaczającym je futrem.

Bąbel zauważył następnego przeciwnika, mniejszego i szybszego niż ork. Niedźwiedź ryknął i ruszył do ataku, jednak małe stworzenie zniknęło na długo przed tym, jak tamten się zbliżył.

Tephanis nie miał zamiaru przyłączać się do walki. Przyszedł wraz z północną grupą głównie po to, by pozostać poza zasięgiem wzroku Graula. Planował przez cały czas pozostać między drzewami i przeczekać bitwę. Drzewa nie wydawały się już jednak bezpieczne, tak więc skrzat je opuścił, zamierzając dostać się do południowej kępy.

Niemal w połowie drogi do drugiego lasku plany skrzata znów legły w gruzach. Przebiegł przez potrzask, zanim żelazne szczęki się zatrzasnęły, jednak paskudne zęby zdołały chwycić koniec jego stopy. Ból pozbawił go oddechu i pozostawił oszołomionego z twarzą w trawie.

\* \* \*

Drizzt wiedział, że płomień na bełcie jest widoczny, nie był więc zaskoczony, gdy obok przemknął kolejny ciśnięty głaz. Uderzył w wygiętą gałąź Drizzta i po serii pęknięć konar opadł.

Spadając Drizzt zahaczył stopą o kuszę i trafił w spust.

Ognisty bełt poleciał w ciemność za wschodnim kamiennym murem. Sunął nisko, posyłając



iskry w wysoką trawę, po czym uderzył w bok - zewnętrzny - wypełnionego brandy koryta.

Pierwsza połowa jeźdźców worgów przedarła się przez pułapkę, lecz pozostała trójka nie miała takiego szczęścia, ponieważ właśnie wtedy płomienie pokonały krawędź dłubanki. Brandy i podpałka eksplodowały, gdy jeźdźcy przejeżdżali przez koryto.

Wybuch wyrzucił płonące worgi i orki w wysoką trawę. Ci, którzy już przejechali, obrócili się nagle, słysząc wybuch. Jeden z jeźdźców został gwałtownie zrzucony i spadł na własną pochodnię, zaś pozostali dwaj ledwo utrzymali się na grzbietach worgów, które ponad wszystko nienawidziły ognia i widok ich trzech pobratymców miotających się w pobliżu w postaci kul płomieni niezbyt wzmocnił ich chęć do walki.

\* \* \*

Guenhwyvar dotarła do małego, płaskiego obszaru, nad którym górował samotny klon. Gdyby ktoś obserwował ruchy pantery, zamrugałby z niedowierzaniem, zastanawiając się, czy pionowy pień drzewa nie jest tak naprawdę leżącą na boku belką, tak szybko Guenhwyvar po nim wbiegła.

Wataha worgów pojawiła się wkrótce potem, węsząc i kręcąc się w pobliżu. Byli pewni, że kocica jest wysoko na drzewie, lecz nie mogli dostrzec jej czarnej sylwetki wśród ciemnych konarów.

Pantera pokazała się jednak już po chwili, znów spadając ciężko na grzbiet zimowego wilka i tym razem bacząc, by zacisnąć szczęki na uchu Caroaka.

Zimowy wilk miotał się i skowyczał, gdy kły Guenhwyvar wpijały się w jego skórę. Caroak zdołał się obrócić i Guenhwyvar usłyszała gwałtowne wciąganie powietrza, takie samo jak przed poprzednim mroźnym podmuchem.

Pantera napięła swe potężne mięśnie szyi, przesuając otwarty pysk Caroaka na bok. Złowrogie zionięcie i tak się wydostało, trafiając prosto w trzy szarżujące worgi.

Mięśnie Guenhwyvar rozluźniły się i nagle znów napięły, po czym pantera usłyszała, jak łamie się kark Caroaka. Zimowy wilk opadł na ziemię.

Owe trzy worgi znajdujące się najbliżej Guenhwyvar, te trzy, które trafił lodowaty oddech Caroaka, nie stanowiły niebezpieczeństwa. Jeden leżał na boku, dysząc z pragnienia powietrza, które nie chciało przepływać przez jego zmrożone płuca, drugi zataczał ciasne koła, całkowicie oślepiiony, zaś trzeci stał zupełnie nieruchomo, wpatrując się w swoje przednie łapy, które z jakiegoś powodu odmawiały poruszania się.

Jednak reszta watahy zbliżała się stopniowo, otaczając panterę śmiertelnym kręgiem. Guenhwyvar rozejrzała się, szukając jakiejś drogi ucieczki, jednak worgi nie nacierały szaleńczo. Działy w harmonii, ramię przy ramieniu, zacieśniając krąg.

\* \* \*

Prowadzące orki zaczęły się kręcić w pobliżu płataniny zgiętych drzew, szukając jakiejś

drogi. Niektórzy zaczęli czynić postępy, jednak cała pułapka była ze sobą połączona i każdy z tuzina rozciągniętych drutów mógł posłać wszystkie pinie w górę.

Jeden z orków natknął się wtedy na sieć Montolio. Potknął się o linę, padł twarzą na sieć, po czym wzniósł się wysoko w powietrze, zabierając ze sobą jednego ze swoich towarzyszy. Żaden z nich nie był w stanie sobie wyobrazić, w jakże lepszej byli sytuacji niż ci, którzy zostali, zwłaszcza ork stojący okrakiem nad usianą nożami liną. Gdy drzewa wzniosły się w górę, zrobiła to również diabelska pułapka, patrosząc stwora i posyłając go w powietrze.

Nawet te orki, które nie zostały pochwycone przez drugie pułapki, nie miały zbyt dobrze. Wszędzie wokół nich wystrzeliły splątane gałęzie, najeżone ostrymi igłami pinii, odrzucając niektórych dość daleko, zaś pozostałych drapiąc i dezorientując.

Jeszcze gorsze dla orków było to, że Montolio wykorzystał odgłos uwalnianych drzew jako sygnał do rozpoczęcia ognia.

Strzała za strzałą wylatywała z ukrycia, i większość z nich trafiała w cel. Jeden z orków podniósł włócznię do rzutu, lecz dostał jedną strzałą w twarz, a drugą w pierś. Inny stwór odwrócił się i uciekł, krzycząc szaleńczo - Zła magia!

Dla tych, którzy przechodzili przez kamienny mur, krzykacz wydawał się lecieć, jego stopy poruszały się nad ziemią. Zaskoczeni towarzysze zrozumieli, o co chodzi, gdy ork spadł bezładnie na ziemię, z wystającą mu z pleców drżącą strzałą.

Wciąż siedzący na swej cienkiej grzędzie Drizzt nie miał czasu, by zachwycać się wykonywanymi planami Montolio. Na zachodzie gigant zaczął się zbliżać, zaś z drugiej strony dwaj pozostali jeźdźcy worgów uspokoili się na tyle, by wznowić natarcie, trzymając wysoko pochodnie.

\* \* \*

Krąg warczących worgów zacieśniał się. Guenhwyvar czuła już ich smrodliwy oddech. Pantera nie mogła przedostać się przez ich zwarte szeregi, nie była też w stanie pokonać ich na tyle szybko, by uciec.

Guenhwyvar znalazła inną drogę. Odepchnęła się tylnymi łapami od wciąż targanego skurczami ciała Caroaka i wbiła się ponad siedem metrów pionowo w górę. Chwyła długimi przednimi pazurami najniższą gałąź klonu i podciągnęła się. Następnie zniknęła pomiędzy konarami, pozostawiając w dole rozwścieczoną watahę.

Szybko jednak pojawiła się znowu, a ponieważ pantera dość dobrze poznała teren przez ostatnich kilka tygodni, wiedziała dobrze, gdzie zaprowadzić wilki.

Biegli wzdłuż półki skalnej, mając z lewej strony ciemną i ponurą pustkę. Guenhwyvar rozpoznała głazy i kilka porzrzucanych drzew. Pantera nie widziała przeciwległego brzegu rozpadliny i musiała całkowicie zaufać swojej pamięci. Skuliła się nagle i wyskoczyła w noc, lekko pokonując szczelinę, i popędziła w stronę zagajnika. Worgi musiały wykonać długi skok - zbyt

długi dla większości z nich - albo cofnąć się daleko, jeśli zamierzały dalej za nią podążać.

Zaczęły warczeć i drapać ziemię. Jeden podszedł do krawędzi i zamierzał spróbować skoku, jednak strzała ugodziła go w bok i jego determinacja legła w gruzach.

Worgi nie były głupimi stworzeniami i na widok strzały ustawiły się w pozycjach obronnych. Ulewa pocisków, którymi zasypali je Kellindil i jego pobratymcy była czymś więcej, niż się spodziewały. Wokół gwizdały tuziny strzał, powalając worgi tam, gdzie stały. Jedyne kilka zdołało się wymknąć i natychmiast rozproszyć na boki, uciekając w ciemną noc.

\* \* \*

Drizzt przyzwał kolejną magiczną sztuczkę, by po wstrzymać orki z pochodniami. Ogień faerie, nieszkodliwe tańczące płomienie, pojawiły się nagle pod ogniami pochodni, spływając wzdłuż drzewców na ręce stworów. Ogień faerie nie palił, nie był nawet ciepły, jednak gdy orki ujrzały płomienie ogarniające ich ręce, nie myślały zbyt racjonalnie.

Jeden z nich odrzucił daleko pochodnię i ten gwałtowny ruch kosztował go wierzchowca. Spadł na ziemię, a worg obrócił się kolejny raz i warknął ze złości.

Drugi ork po prostu upuścił pochodnię, która spadła na głowę jego worga. Z gęstej sierści wilka uniosły się iskry i płomienie, parząc mu oczy i uszy. Bestia zaczęła się tarzać, przetaczając prosto po zaskoczonym orku.

Ork, oszołomiony i posiniaczony, starał się wstać, jednak poparzony worg skoczył przed siebie i zacisnął potężne szczęki na twarzy swego jeźdźca.

Drizzt tego nie widział. Mógł mieć tylko nadzieję, że jego sztuczka podziałała, bowiem zaraz gdy rzucił czar, puścił kuszę i pozwolił, by poszarpana gałąź opuściła go na ziemię.

Dwa orki, widząc w końcu cel, zaszarżowały na lądującego drowa, jednak zaraz, gdy Drizzt uwolnił ręce od konaru, chwycił nimi sejmity. Nieświadome niebezpieczeństwa orki nacierały, a Drizzt odtrącił ich broń i powalił stwory na ziemię. Przedzierając się do przygotowanego miejsca, drow napotkał bardziej rozproszony opór. Na jego twarzy pojawił się ponury uśmiech, gdy pod gołą stopą wy czuł metalowe drzewce ranki. Pamiętał giganty z Maldobar, które zabiły niewinną rodzinę, cieszył się więc teraz, że zabije kolejnego z ich złych pobratymców.

- *Mangura bok woklok!* - krzyknął Drizzt, stawiając jedną stopę na punkcie podparcia, zaś drugą na końcówce ukrytej broni.

\* \* \*

Montolio uśmiechnął się, słysząc krzyk drowa, nabierając pewności siebie z powodu bliskości potężnego sprzymierzeńca. Jego łuk zagrał jeszcze kilka razy, jednak tropiciel wyczuwał, że orki zbliżają się do niego okrężną drogą, wykorzystując gęsto rosnące drzewa jako osłonę. Tropiciel czekał. Następnie, zanim się zbliżyli, Montolio opuścił łuk, wyciągnął miecz i machnął mieczem w bok, tuż pod sporym węzłem. Odcięta lina uniosła się w górę i tarcza Montolio, otoczona czarem ciemności Driztta, opadła prosto w oczekującą rękę tropiciela.

Ciemność nie wpływała zbyt na ślepego tropiciela, jednak ta garstka orków, która na niego nacierała, znalazła się w niebezpiecznym położeniu. Miotła się i wymachiwała szaleńczo - jeden ściał swego własnego brata - zaś Montolio spokojnie rozeznał się w sytuacji i przeszedł do metodycznej pracy. Po upływie minuty czterech z pięciu, którzy przyszedli, było martwych, zaś piąty uciekł.

Daleki od nasycenia tropiciel i jego przenośna kula ciemności podążyli za nim, szukając głosów lub dźwięków, które doprowadzą ich do większej ilości orków. Znowu dobiegł krzyk, który wywołał na twarzy Montolio uśmiech.

\* \* \*

- *Mangura bok woklok!* - wrzasnął ponownie Drizzt. Gigant cisnął w drowa włócznię, lecz ten szybko uchylił się w bok. Znajdujący się w oddali gigant był teraz nieuzbrojony, lecz Drizzt go nie ścigał, z determinacją utrzymując swą pozycję.

- *Mangura bok woklok!* - krzyknął znowu Drizzt. - Chodź tu, głupi kamienny łbie! - Tym razem gigant, zbliżający się do ściany w stronę Montolio, usłyszał słowa. Wielki potwór zawahał się przez chwilę, spoglądając z zaciekawieniem na drowa.

Drizzt nie przepuścił tej okazji. - *Mangura bok woklok!* Z rykiem i tupnięciem, które zatrzęsło ziemią, gigant wykopał dziurę w kamiennym murze i ruszył w stronę Drizzta.

- *Mangura bok woklok!* - powtórzył dla dobrego wrażenia Drizzt, ustawiając odpowiednio stopę.

Gigant pędził, roztrzając przed sobą przerażone orki i uderzając mocno o siebie swym kamieniem i maczugą. W tych kilku sekundach rzucił w stronę Drizzta setki przekleństw, słów, których drow nie mógł odszyfrować. Przewyższając drowa trzykrotnie wysokością i wielokrotnie ciężarem, olbrzym zamajaczył nad Drizztem i wydawało się, że jego szarża z pewnością pogrzebie mrocznego elfa tam, gdzie stał.

Gdy gigant był już tylko dwa długie kroki od Drizzta., ten przesunął cały swój ciężar na odsuniętą w tył stopę. Koniec drzewca runki wpadł do dołka, a jej ostrze wbiło się w górę.

Drizzt odskoczył w tył w chwili, gdy gigant nadział się narunkę, ostrze broni i zakrzywione zadziory zniknęły w brzuchu olbrzyma, przeszły przez przeponę i wbiły się w serce oraz płuca. Metalowe drzewce wygięło się i wyglądało na to, że pęknie, gdy jego tępy koniec wbijał się na kilkadziesiąt centymetrów w ziemię.

Runka jednak wytrzymała, zatrzymując giganta. Upuścił swą maczugę oraz kamień i sięgnął bezradnie do metalowego drzewca rękoma, które nie miały nawet siły, by się na nim zacisnąć. Wielkie oczy wybałuszyły się w przerażeniu i w absolutnym zaskoczeniu. Wielkie usta otworzyły się szeroko i wykrzywiły, jednak nie było w nich oddechu, by wydobyć z siebie wrzask.

Drizzt również niemal krzyknął, opamiętał się jednak. - Zdumiewające - powiedział spoglądając za siebie, gdzie walczył Montolio, ponieważ okrzyk, który niemal z siebie wydał, był

pochwałą bogini Mielikki. Drizzt potrząsnął bezradnie głową i uśmiechnął się, oszołomiony spostrzegawczością swojego nie tak ślepego towarzysza.

Z tą ideą w myśli i poczuciem słuszności w sercu Drizzt wbiegł po drzewcu i ciął obydwoma ostrzami w gardło giganta. Szedł dalej, przechodząc po ramieniu i głowie olbrzyma, po czym skoczył w stronę obserwujących go orków, krzycząc dziko.

Widok drżącego i dyszącego giganta zaniepokoił już orki, lecz kiedy skoczył na nich ten ciemnoskóry potwór z szaleństwem w oczach, ich szeregi całkowicie się załamały. Drizzt dotarł do pierwszych dwóch, powalił ich szybko na ziemię, po czym ruszył dalej.

Jakieś siedem metrów z prawej strony drowa, pomiędzy drzew, wytoczyła się kula czerni, prowadząc przed sobą tuzin przerażonych orków. Stwory wiedziały, że wpadnięcie w tę nieprzeniknioną kulę oznacza dostanie się w zasięg ślepego pustelnika i śmierć.

\* \* \*

Dwa orki i trzy worgi, wszystko, co pozostało z grupy z pochodniami, przegrupowało się i przemykało cicho w stronę wschodniego krańca zagajnika. Gdyby zdołali dostać się za przeciwników, bitwę można było jeszcze wygrać.

Najdalej na północ wysunięty ork nawet nie zauważył spieszącej czarnej sylwetki. Guenhwyvar spadła na niego i popędziła dalej, pewna że ten już nie wstanie.

Następny w szeregu był worg. Dysponując szybszym refleksem niż ork, wilk obrócił się w stronę pantery, obnażając zęby i kłapiąc szczękami.

Guenhwyvar warknęła, podbiegając tuż przed worga. Wielkie łapy wykonały na zmianę szereg uderzeń. Wilk nie mógł dorównać prędkości kocicy. Wymachiwał pyskiem z boku na bok, zawsze zbyt późno, by chwycić wysuniętą łapę. Po zaledwie pięciu uderzeniach worg był pokonany. Jedno oko miał zamknięte na zawsze, jego język, częściowo rozdarty, zwisał mu bezradnie z boku pyska, zaś dolna szczeka nie była już równa z górną. Tylko obecność innych celów ocaliła worga, bowiem kiedy się odwrócił i zaczął uciekać w tę stronę, z której przyszedł, Guenhwyvar, widząc bliższą zdobycz, nie pospieszyła za nim.

\* \* \*

Drizzt i Montolio odparli większą część atakujących sił pod kamienny mur. - Zła magia! - dobiegł zgodny krzyk. Hooter i inne sowy dopomagały wzrastającej furii, opadając nagle na twarze orków, uderzając pazurem lub dziobem, po czym znów wznosiły się w powietrze. Ciągłe jakiś ork odkrywał kolejny potrzask, gdy próbował uciec. Przewracał się wyjąc i wrzeszcząc, a jego krzyki tylko wzmacniały przerażenie jego towarzyszy.

- Nie! - krzyknął z niedowierzaniem Roddy McGristle. - Pozwoliłeś, by ta dwójka pokonała całą armię!

Spojrzenie Graula spoczęło na zwalistym mężczyźnie.

- Możemy ich zawrócić - powiedział Roddy. - Jeśli cię zobaczą, wrócą do walki. - Ocena

sytuacji trapera nie była pozbawiona sensu. Gdyby Graul i Roddy wtedy wyszli, orki, których wciąż było jeszcze dużo, mogłyby się przegrupować. Zważywszy na to, że większość ich pułapek była już wykorzystana, Drizzt i Montolio znaleźliby się naprawdę w ponurej sytuacji! Król orków widział jednak pojawiający się na północy kolejny problem i uznał, mimo protestów Roddy'ego, że starzec i mroczny elf po prostu nie byli warci takiego wysiłku.

Większość orków na polu uciekła, słysząc najnowsze niebezpieczeństwo, zanim jeszcze je zobaczyła, bowiem Babel i jego przyjaciele byli dość hałaśliwi. Największą przeszkodą, na jaką natrafiły niedźwiedzie, przetaczając się przez szeregi orków, było wybranie pojedynczego celu dla ich dzikiej szarzy. Przechodząc roztrącali orki, a później ścigali je do lasu i jeszcze dalej. Był środek wiosny, powietrze było pełne energii i ekscytacji, a jakże te skore do zabawy niedźwiedzie uwielbiały rozdzierać orki!

\* \* \*

Cała horda nacierających ciał przewinęła się obok leżącego szybcioszka. Kiedy Tephanis się obudził, zauważył, że jest jedynym żywym na zlanym krwią polu. Z zachodu dobiegały warknięcia i krzyki, dochodzące od uciekającej bandy, zaś w zagajniku tropiciela wciąż trwała walka. Tephanis wiedział, że jego rola w bitwie, choć nieznaczną, dobiegła końca. Nogę skrzata przeszył straszny ból, większy niż kiedykolwiek odczuwał. Spojrzał na rozszarpaną stopę i ku swojemu przerażeniu zdał sobie sprawę, że jedynym sposobem wydostania się z tego paskudnego potrzasku jest zakończenie potwornego cięcia i pozostawienie końca stopy wraz z palcami. Nie było to trudne - stopa wisiała na cienkim skrawku skóry - i Tephanis nie wahał się ani chwili. Bał się spotkania z drowem.

Szybcioszek zdusił krzyk i przykrył ranę swym rozdartym kaftanem, po czym skierował się - powoli - w stronę drzew.

\* \* \*

Ork skradał się w ciszy, ciesząc się z osłaniających go odgłosów walki pomiędzy panterą a worgiem. Wszystkie myśli o zabiciu starca lub drowa opuściły już dawno jego umysł, widział bowiem, jak jego towarzysze są ścigani przez watahę niedźwiedzi. Teraz ork chciał tylko znaleźć drogę powrotną, co nie było zbyt proste w tej gęstej plątaninie gałęzi pini.

Wychodząc na wolną przestrzeń, nastąpił na suche liście i zamarł w bezruchu, gdy usłyszał ich szelest. Ork zerknął na lewo, po czym powoli skierował głowę w prawo. Podskoczył nagle i obrócił się, spodziewając się ataku z tyłu. Z tego co widział, wszędzie było jednak cicho, nie licząc dalekich warknięć pantery i skowytu worga. Ork wydał z siebie pełne ulgi westchnienie i znów zaczął szukać drogi.

Instynktownie zatrzymał się nagle i odwrócił głowę, patrząc w górę. Ciemna sylwetka przykucnęła na gałęzi tuż nad jego głową, a srebrnawy błysk opadł w dół zbyt szybko, by ork zdążył zareagować. Krzywizna ostrza sejmityra okazała się doskonała do owinięcia się wokół

podbródka stwora i wbicia w jego gardło.

Ork stał nieruchomo, rozłożywszy szeroko ręce. Po chwili padł martwy.

Niedaleko stamtąd inny ork wydostał się w końcu z wiszącej sieci i szybko odciął swego kumpla. Obydwaj, rozwścieczeni i niezbyt chętni do ucieczki bez walki, skradali się cicho.

- W ciemności - wyjaśnił pierwszy, gdy wyszli z gąszczu i zauważyli, że widok przesłania im nieprzenikniona kula. - Głęboko.

Unieśli razem włócznie i cisnęli nimi, stękając z wysiłku. Obie zniknęły w ciemnej kuli. Jedna uderzyła w metalowy przedmiot, lecz druga trafiła w coś miększego.

Okrzyki zwycięstwa orków zostały raptownie powstrzymane przez dwa brzęki cięciwy. Jeden ze stworów był martwy, zanim zwałił się na ziemię, lecz drugi, uparcie trzymający równowagę, zdołał spojrzeć na swą pierś, na wystającą z niej strzałę. Tuż przed śmiercią zobaczył jeszcze, jak Montolio niedbale przechodzi obok i znika w ciemności, by odzyskać swą tarczę.

Drizzt obserwował z oddali starca, potrząsając głową i rozmyślając.

\* \* \*

- Skończyło się - elfi zwiadowca powiedział pozostałym, gdy dotarli do niego w głazach na południe od Zagajnika Moosiego.

- Nie jestem taki pewien - odparł Kellindil, spoglądając z ciekawością na zachód i słysząc echo ryków niedźwiedzi i krzyków orków. Kellindil podejrzewał, że za tym atakiem stał nie tylko Graul.

- Tropiciel i drow obronili zagajnik - wyjaśnił zwiadowca.

- Zgoda - rzekł Kellindil. - I wasza rola się już zakończyła. Wróćcie wszyscy do obozu.

- A ty do nas dołączysz? - spytał jeden z elfów, choć odgadł już odpowiedź.

- Jeśli los tak postanowi - odpowiedział Kellindil. - Na razie muszę się zająć innymi sprawami.

Pozostali nie wypytywali już dalej Kellindila. Rzadko pojawiał się w ich krainie i nigdy nie zostawał z nimi długo. Kellindil był poszukiwaczem przygód, a jego domem był szlak. Natychmiast pobiegł, by dogonić uciekające orki.

\* \* \*

- Pozwoliłeś im dwóm cię pobić! - narzekał Roddy, gdy on i Graul mieli chwilę, by zatrzymać się i odzyskać oddech. - Dwóm!

Odpowiedź Graula nadeszła w postaci zamachu ciężką pałką. Roddy częściowo zablokował cios, lecz zatoczył się pod jego siłą w tył.

- Zapłacisz za to! - warknął traper, wyciągając zza pasa Broczyciela. Obok króla pojawił się wtedy tuzin jego poddanych, którzy natychmiast zrozumieli sytuację.

- Ty nas doprowadziłeś do klęski! - Graul krzyknął do Roddy'ego, po czym do orków: - Zabić go!

Pies Roddy'ego przewrócił najbliższego z grupy, a Roddy nie czekał, aż pozostali go złapią. Odwrócił się i odbiegł w noc, stosując wszystkie znane sobie sztuczki, by wysforować się przed ścigającą go bandę.

Jego wysiłki zostały szybko zwieńczone sukcesem - orki naprawdę nie chciały już walczyć tej nocy - a Roddy lepiej by zrobił, gdyby przestał oglądać się przez ramię.

Usłyszał przed sobą szmer i odwrócił się akurat, by ujrzeć leącą w stronę jego twarzy rękojeść miecza. Siła ciosu, wzmocniona przez pęd Roddy'ego, powaliła trapera na ziemię i pozbawiła przytomności.

- Nie jestem zaskoczony - powiedział Kellindil nad leżącym ciałem.

## 19

### ODDZIELNE DROGI

Osiem dni nie zmniejszyło bólu w stopie Tephansa. Skrzat szedł najszybciej jak mógł, jednak za każdym razem gdy próbował biec, zawsze pochylał się na bok i zdecydowanie za często wpadał na krzak lub też, co gorsza, na niezbyt giętki pień drzewa.

- Czy - mógłbyś - przestać - na - mnie - warczeć, głupi - psie? - Tephans spytał ostro żółtego psa, z którym był od następnego dnia po bitwie. Żaden z nich nie czuł się swobodnie z drugim. Tephans często ubolewał, że ten brzydki kundel w niczym nie przypominał Caroaka.

Caroak był jednak martwy, szybcioszek odnalazł poszarpane ciało zimowego wilka. Kolejny towarzysz odszedł i skrzat znów był sam. - Sam - nie - licząc - ciebie, głupi - psie! - narzekał.

Pies obnażył zęby i warknął.

Tephans chciał mu poderżnąć gardło, chciał biegać po całej długości tego skołtunionego zwierzęcia, rozcinając je na każdym centymetrze. Widział jednak, że słońce zaczyna się chować i zdawał sobie sprawę, że bestia może się wkrótce okazać przydatna.

- Czas - na - mnie! - wypalił szybcioszek. Szybciej niż pies zdołał zareagować, Tephans rzucił się w jego stronę, chwycił sznur, który zwisał z szyi zwierzęcia, i zatoczył trzy kompletne koła wokół pobliskiego drzewa. Pies chciał iść za nim, lecz Tephans z łatwością utrzymywał się poza jego zasięgiem. - Wrócę - szybko, ty - głupia - istoto!

Tephans pędził górkami szlakami, wiedząc, że tej nocy ma ostatnią szansę. W oddali płonęły światła Maldobar, jednak to inne światło, blask ognia, prowadził szybcioszka. Zaledwie kilka minut później trafił do obozu, zadowolony, że elfa nie ma w pobliżu.

Znalazł McGristle'a siedzącego u podstawy dużego drzewa, z rękoma założonymi za plecy i przywiązanymi za nadgarstki do pnia. Traper wyglądał na wynędzniałego, jednak Tephans nie miał wyboru. Ulgulu i Kempfana byli martwi, Caroak był martwy, zaś Graul, po katastrofie w zagajniku, wyznaczył nagrodę za głowę szybcioszka.



Pozostał tylko Roddy - niewielki wybór, lecz Tephanis nie miał zamiaru znów polegać tylko na sobie. Pospieszył nie zauważony na tył drzewa i wyszeptał traperowi do ucha - Jutro - będziesz - w - Maldobar.

Roddy zamarł w bezruchu słysząc nieoczekiwany, piskliwy głos.

- Jutro będziesz w Maldobar - powtórzył Tephanis, tak wolno jak tylko mógł.

- Odejdź - warknął na niego Roddy, myśląc, że skrzat z niego kpi.

- Powinieneś - być - dla - mnie - miłszy, och - powinieneś! - odparł natychmiast Tephanis. -

Elf - chce - cię - uwięzić, wiesz - o - tym. Za - zbrodnie - przeciwko - ślepemu - tropicielowi.

- Zamknij się - warknął McGristle, głośniejszy niż zamierzał.

- O co chodzi? - z niezbyt daleka dobiegł głos Kellindila. - No - i - masz, głupi - człowieku!

- wyszeptał Tephanis.

- Mówiłem, żebyś sobie poszedł! - odparł Roddy.

- Mógłbym, a - ty - gdzie - byś - się - znalazł? W - więzieniu? - spytał gniewnie Tephanis. -

Mogę - ci - teraz - pomóc, jeśli - chcesz - mojej - pomocy.

Roddy zaczynał rozumieć. - Rozwiąż mi ręce - polecił.

- Już - są - rozwiązane - odparł Tephanis, a Roddy stwierdził, że skrzat mówi prawdę.

Zaczął wstawać, lecz nagle zmienił zdanie, gdy do obozu wszedł Kellindil.

- Siedź spokojnie - poradził Tephanis. - Odwróć jego uwagę.

Tephanis poruszał się, mówiąc te słowa, i Roddy usłyszał tylko niezrozumiałe pomrukiwanie. Trzymał jednak ręce za sobą, nie widział bowiem lepszego wyjścia, gdy zbliżał się ciężko uzbrojony elf.

- Nasza ostatnia noc na szlaku - stwierdził Kellindil, kładąc przy ogniu królika, którego upolował na posiłek. Stał przed Roddym i uklonił się nisko. - Gdy przybędziemy do Maldobar, poślę po Panią Falconhand - powiedział. - Uważa Montolio De Brouchee za przyjaciela i z chęcią dowie się, co się wydarzyło w zagajniku.

- Skąd wiesz? - warknął Roddy. - Tropiciel jest również moim przyjacielem.

- Jeśli jesteś przyjacielem orczego króla Graula, to nie jesteś już przyjacielem tropiciela z zagajnika - odrzekł Kellindil.

Roddy nie wiedział, jaką dać odpowiedź, lecz dostarczył ją Tephanis. Zza elfa dobiegł bzyczący odgłos i Kellindil, kładąc dłoń na mieczu, obrócił się.

- Jaką istotą jesteś? - spytał szybcioszka, otwierając szeroko ze zdumienia oczy.

Kellindil nigdy nie poznał odpowiedzi, bowiem nagle pojawił się za nim Roddy i powalił go na ziemię. Elf był doświadczonego wojownikiem, jednak w zwarciu nie mógł się równać z mięśniami Roddy'ego McGristle. Wielkie i brudne dłonie traperza zacisnęły się na gardle szczupłego elfa.

- Mam - twojego - psa - powiedział Tephanis, gdy Roddy skończył już mokrą robotę. -

Przywiązanego - do - drzewa.

- Kim jesteś? - spytał Roddy, starając się ukryć radość zarówno z powodu odzyskania wolności, jak i świadomości, że jego pies wciąż żyje. - I czego ode mnie chcesz?

- Jestem - małą - istotą, sam - widzisz - że - to - prawda - wyjaśnił Tephanis. - Lubię - mieć - dużych - przyjaciół.

Roddy przez chwilę rozważał propozycję. - Dobrze, zasłużyłeś sobie na to - rzekł ze śmiechem. Wśród ekwipunku martwego elfa znalazł Broczyciela, swój zaufany topór, i wstał z ponurą miną. - Chodźmy więc, wracamy w góry. Muszę załatwić porachunki z pewnym drowem.

Delikatne rysy szybcioszka wykrzywiły się w kwaśną minę, jednak Tephanis ukrył ją, zanim Roddy zauważył. Skrzat nie miał zamiaru zbliżyć się do zagajnika ślepego tropiciela. Oprócz faktu, że król orków ustawił nagrodę za jego głowę, Tephanis wiedział również, że inne elfy mogą nabrać podejrzeń, jeśli Roddy pokaże się bez Kellindila. Co więcej, Tephanis zauważył, że ból w głowie i stopie stawał się bardziej dotkliwy na samą myśl o ponownym spotkaniu z mrocznym elfem.

- Nie! - wypalił skrzat. Roddy, nieprzywykły by mu się sprzeciwiano, spojrzał na niego groźnie.

- Nie - ma - potrzeby - skłamał Tephanis. - Drow - nie - żyje, zabity - przez - worga.

Roddy nie wyglądał na przekonanego.

- Zaprowadziłem - cię - kiedyś - do - drowa - przypomniał mu Tephanis.

Roddy był szczerze rozczarowany, nie wątpił już jednak w słowa szybcioszka. Traper wiedział, że gdyby nie Tephanis, nigdy nie odnalazłby Drizzta. Byłby prawie dwieście kilometrów stąd, wędząc wokół jaskini Morueme i wydając całe złoto na smocze kłamstwa. - A co ze ślepym tropicielem? - spytał Roddy.

- Żyje, ale - pozwól - mu - żyć - odparł Tephanis. - Dołączyło - do - niego - wielu - potężnych - przyjaciół. - Poprowadził spojrzenie Roddy'ego na ciało Kellindila. - Elfy, wiele - elfów.

Roddy przytaknął twierdząco. Nie żywił żadnej prawdziwej urazy do Mooshiego i nie miał zamiaru zmierzyć się z pobratymcami Kellindila.

Pogrzebali elfa i wszystkie jego zapasy, których nie mogli zabrać ze sobą, odnaleźli psa Roddy'ego i tej samej nocy wyruszyli w rozległe krainy na zachodzie.

\* \* \*

W zagajniku Mooshiego lato minęło spokojnie i produktywnie, a Drizzt przyswajał sobie zasady i metody tropiciela z jeszcze większą łatwością, niż przypuszczał optymistycznie Montolio. Drizzt poznał nazwy każdego drzewa czy krzaka w okolicy oraz każdego zwierzęcia, zaś co ważniejsze, nauczył się obserwować zsyłane przez Mielikki wskazówki. Gdy natykał się na zwierzę, którego nie spotkał wcześniej, odkrył, że za pomocą obserwacji jego ruchów i działań

może szybko określić zamiary, usposobienie i nas trój.

- Idź i pogładź jego futro - Montolio wyszeptał do niego pewnego dnia, podczas szarego i wietrznego zmierzchu. Stary tropiciel wskazał za pole, na linię drzew oraz biały przeblysł ogona jelenia. Nawet w przyćmionym świetle Drizzt miał problemy z ujrzeniem zwierzęcia, jednak odczuwał jego obecność podobnie jak Montolio.

- Pozwoli mi? - spytał Drizzt. Montolio uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

Drizzt skradał się cicho i ostrożnie, podążając wzdłuż cieni na skraju łąki. Wybrał północne podejście, pod wiatr, jednak aby dojść od pomocy do jelenia, musiał zatoczyć koło od wschodu. Zdał sobie sprawę ze swej pomyłki, gdy był dwa tuziny metrów od jelenia. Zwierzę podniosło nagle głowę i zaczęło węszyć, podnosząc jednocześnie swój biały ogon.

Drizzt znieruchomiał i czekał długą chwilę, aż jeleni powróci do skubania trawy. Płochliwe stworzenie miało się teraz na baczności i gdy Drizzt wykonał kolejny ostrożny krok, zerwało się i uciekło.

Jednakże Montolio, który podchodził od południa, zdołał się zbliżyć wystarczająco blisko, by klepnąć go w zad, gdy przebiegał.

Drizzt zamrugał zdumiony. - Miałem odpowiedni wiatr! - zaprotestował zwracając się do zadowolonego tropiciela.

Montolio potrząsnął głową. - Tylko przez ostatnie dwadzieścia metrów, gdy szedłeś od północy - wyjaśnił. - Do tego czasu zachód był lepszy niż wschód.

- Ale przecież nie mogłeś dojść na północ do jelenia od zachodu - powiedział Drizzt.

- Nie musiałem - odparł Montolio. - Tam jest wysoka skała - wskazał na południe. - Zatrzymuje wiatr pod tym kątem i zawraca go.

- Nie wiedziałem.

- Musisz wiedzieć - rzekł spokojnie Montolio. - Na tym polega sztuczka. Musisz patrzeć jak ptak i spojrzeć na okolicę z góry, zanim obierzesz drogę.

- Nie uczyłem się latać - odparł sarkastycznie Drizzt. - Ani ja! - ryknął stary tropiciel. - Popatrz w górę.

Drizzt zmrużył oczy, gdy skierował je na szare niebo. Dostrzegł samotną sylwetkę, sunącą swobodnie z rozłożonymi szeroko wielkimi skrzydłami.

- Jastrząb - powiedział drow.

- Leciał na wietrze z południa - wyjaśnił Montolio. - Następnie skierował się na zachód, gdy prąd powietrza załamał się na skale. Gdybyś obserwował jego lot, mógłbyś przewidzieć zmianę w terenie.

- To niemożliwe - stwierdził bezradnie drow.

- Czyżby? - spytał Montolio i zaczął odchodzić, by ukryć uśmiech. Drow miał oczywiście rację, nie można było określić topografii terenu na podstawie toru lotu jastrzębia. Montolio

dowiedział się o zmianie kierunku wiatru od pewnej sowy, zaraz gdy Drizzt wyruszył przez łąkę, lecz drow nie musiał o tym wiedzieć. Tropiciel zdecydował, że Drizzt powinien zastanowić się nad tym przez chwilę. Kontemplacja, przypominanie sobie tego, czego się nauczył, będzie przydatną lekcją.

- Hooter ci powiedział - powiedział Drizzt pół godziny później, w drodze powrotnej do zagajnika. - Hooter ci powiedział o wietrze i o jastrzębiu.

- Wydajesz się być pewny siebie.

- Jestem - rzekł stanowczo Drizzt. - Jastrząb nie krzyczał, stałem się wystarczająco czujny, by to wiedzieć. Nie mogłeś widzieć ptaka, a wiem, że nie usłyszałybyś szmeru powietrza o jego skrzydła, cokolwiek próbowałbyś mi wmówić!

Śmiech Montolio wywołał na twarzy uśmiech drowa.

- Dobrze się spisałeś tego dnia - powiedział stary tropiciel.

- Nie podszedłem do jelenia - przypomniał mu Drizzt.

- To nie był test - odparł Montolio. - Zaufałeś swojej wiedzy, by odrzucić moje roszczenia. Jesteś pewien tego, czego się nauczyłeś. Teraz posłuchaj czegoś więcej. Pozwól mi opowiedzieć o paru sztuczkach przydatnych podczas podchodzenia do płochliwego jelenia.

Rozmawiali przez całą drogę do zagajnika i jeszcze dłużej, do późnej nocy. Drizzt słuchał uważnie, wchłaniając każde słowo, gdy były przed nim ujawniane kolejne wspaniałe sekrety świata.

Tydzień później, na innym polu, Drizzt położył jedną rękę na zadzie łani, drugą zaś na nakrapianym jelonku. Obydwa zwierzęta uciekły z powodu nieoczekiwanego dotknięcia, jednak Montolio „zobaczył” uśmiech Drizzta z odległości stu metrów.

Lekcje były jeszcze dalekie od zakończenia, gdy lato zaczęło się kończyć, jednak Montolio nie poświęcał już wiele czasu na szkolenie drowa. Drizzt dowiedział się już wystarczająco dużo, by mógł sam się uczyć, nasłuchując cichych głosów i obserwując delikatne znaki drzew oraz zwierząt. Drow był tak pochłonięty nie kończącymi się objawieniami, że ledwo zauważał wyraźne zmiany, jakie zachodziły w Montolio. Tropiciel wydawał się teraz znacznie starszy. Jego plecy nie chciały się prostować podczas mroźnych poranków, zaś dłonie często były zdrętwiałe. Montolio stoicko podchodził do tego wszystkiego, nie litował się nad sobą i nie rozpaczał nad tym, co musiało nadejść.

Żył długo i intensywnie, wiele osiągnął i doświadczył życia wyraźniej, niż większość innych osób.

- Jakie są twoje plany? - spytał nieoczekiwanie pewnej nocy Drizzta, gdy jedli kolację - potrawę z warzyw.

Pytanie to mocno uderzyło w drowa. Nie miał planów wykraczających poza teraźniejszość, zresztą dlaczego miałby mieć, kiedy życie było tak łatwe i przyjemne - bardziej niż kiedykolwiek

dla osaczonego drowa renegata. Drizzt szczerze nie chciał myśleć o tym pytaniu, rzucił więc Guenhwyvar suchar, by zmienić temat. Pantera czuła się trochę zbyt swobodnie na posłaniu drowa, zaplątała się w koce do tego stopnia, że Drizzt zastanawiał się, czy najlepszym sposobem na wydostanie jej nie będzie odesłanie na plan astralny.

Montolio był nieugięty. - Jakie są twoje plany, Drizzcie Do'Urden? - spytał znów stanowczo stary tropiciel. - Gdzie i jak będziesz żyć?

- Czy mnie wyrzucasz? - zapytał Drizzt.

- Oczywiście, że nie.

- A więc będę żyć z tobą - odparł spokojnie Drizzt.

- Chodzi mi o to, co będziesz robił później? - spytał Montolio, stając się coraz bardziej zdenerwowany.

- Później? - zapytał Drizzt, sądząc, że Mooshie wie coś, z czego on sobie nie zdaje sprawy.

Śmiech Montolio wyszydził jego podejrzenia. - Jestem starym człowiekiem - wyjaśnił tropiciel - a ty młodym elfem. Jestem od ciebie starszy, lecz nawet gdybym był dzieckiem, w latach byłbyś daleko za mną. Gdzie pójdzie Drizzt Do'Urden, gdy nie będzie już Montolio De Brouchee?

Drizzt odwrócił się. - Ja nie... - zaczął z wahaniem. - Ja zostanę tutaj.

- Nie - odparł ponuro Montolio. - Mam nadzieję, że czeka cię znacznie więcej. Takie życie nie jest dla ciebie.

- Tobie odpowiadało - warknął Drizzt, ostrzej niż zamierzał.

- Od pięciu lat - powiedział spokojnie Montolio. - Od pięciu lat po życiu pełnym przygód.

- Moje życie nie było takie ciche - przypomniał mu Drizzt.

- Jednak wciąż jesteś dzieckiem - rzekł Montolio. - Pięć lat to nie pięćset, a tobie właśnie tyle zostało. Obiecuj mi teraz, że rozważysz ponownie swoją decyzję, gdy już mnie nie będzie. Tam na zewnątrz rozciąga się szeroki świat, mój przyjacielu, pełen cierpienia, lecz również pełen radości. To pierwsze utrzyma cię na ścieżce rozwoju, zaś to drugie uczyni podróż znośną.

- Obiecuj mi teraz - powiedział Montolio - że jak Mooshiego już nie będzie, Drizzt pójdzie odnaleźć swoje miejsce.

Drizzt chciał się spierać, chciał pytać tropiciela, dlaczego jest taki pewien, że ten zagajnik nie jest jego „miejscem”. Mentalna waga opadała i podnosiła się, po czym opadła na dobre. Ważył wspomnienia z Maldobar, śmierć rolników, a także wspomnienia wszystkich wyzwań, którym musiał stawić czoła, oraz zła, które bezustannie za nim podążało. Wbrew temu Drizzt zastanawiał się nad odczuwanym w głębi serca pragnieniem, by wrócić do świata. Jak wielu innych Mooshie znajdzie? I jakże pusty będzie zagajnik, gdy będą w nim tylko on i Guenhwyvar?

Montolio akceptował tę ciszę, zdawał sobie sprawę z zakłopotania drowa. - Obiecuj mi, że gdy nadejdzie czas, przynajmniej zastanowisz się nad tym, co powiedziałem.

Ufając Drizztowi, Montolio nie musiał widzieć twierdzącego przytaknięcia swego

przyjaciela.

\* \* \*

Pierwsze śniegi spadły wcześniej w tym roku, sypał się z poszarpanych chmur, które bawiły się w chowanego z księżycem w pełni. Drizzt wraz z Guenhwyvar świętował zmianę pór roku, cieszył się kolejnym obrotem nieskończonego cyklu. Był w doskonałym nastroju, gdy wracał do zagajnika, strząsając śnieg z gałęzi pinii.

Ogień przygasał, a Hooter siedział bez ruchu na niskiej gałęzi i nie wydawał z siebie żadnego dźwięku. Drizzt spojrział na Guenhwyvar, oczekując jakiegoś wyjaśnienia, lecz pantera tylko usiadła przy ogniu, ponura i nieruchoma.

Przerażenie jest dziwnym uczuciem, kulminacją subtelnych wskazówek, które wzbudzają równie wiele zakłopotania, jak strachu.

- Mooshie? - szepnął Drizzt, zbliżając się do chatki starego tropiciela. Odsunął na bok koc i wykorzystał go, by odgrodzić się od światła węgla dogasającego ogniska, po czym pozwolił przejść oczom w spektrum podczerwieni.

Pozostał tam przez długi czas, obserwując jak ostatnie ślady ciepła znikają z ciała tropiciela. Pomimo jednak tego, że Mooshie był zimny, jego pełen zadowolenia uśmiech emanował ciepłem.

Przez następne kilka dni Drizzt wielokrotnie walczył z napływającymi mu do oczu łzami, za każdym jednak razem gdy przypominał sobie ten ostatni uśmiech, spokój, który odczuwał starzec, uświadamiał sobie, że te łzy są wywołane jego własną stratą, nie Mooshiego.

Drizzt pochował tropiciela przy zagajniku, po czym w ciszy spędził zimę, zajmując się codziennymi obowiązkami i rozmyślając. Hooter pojawiał się coraz rzadziej i pewnego razu odlatując, skierował na Drizzta spojrzenie, które bez cienia wątpliwości powiedziało drowowi, że sowa już nigdy nie wróci do zagajnika.

Wiosną Drizzt zrozumiał uczucia Hootera. Przez ponad dziesięć lat szukał domu i znalazł go u Montolio. Kiedy jednak tropiciel odszedł, zagajnik nie wydawał się już tak przyjazny. Było to miejsce Mooshiego, nie Drizzta.

- Jak obiecałem - Drizzt wymamrotał pewnego poranka. Montolio poprosił go, aby rozważył swą przyszłość, gdy on odejdzie, a Drizzt dotrzymał słowa. Czuł się dobrze w zagajniku i wciąż był tu akceptowany, jednak nie był to już jego dom. Wiedział, że znajduje się on gdzieś tam, w szerokim świecie, o którym Montolio zapewniał, że jest „pełen cierpienia, lecz również pełen radości”.

Drizzt spakował kilka przedmiotów - praktyczne zapasy i kilka z najbardziej interesujących książek tropiciela - przypiął sejmitary do pasa i zawiesił długi łuk na ramieniu. Następnie ostatni raz obszedł zagajnik, spoglądając na mosty linowe, zbrojownię, baryłkę z brandy, koryto, korzeń, przy którym zatrzymał szarżującego giganta, stanowisko Montolio. Potem wezwał Guenhwyvar, a gdy szli górskim szlakiem, nie spoglądali już za siebie. Szli w stronę szerokiego świata cierpienia i

radości.

# CZEŚĆ 5

## NOWY DOM

*Jakże odmienny wydawał mi się szlak, gdy opuszczałem Zagajnik Mooshiego, od drogi, która mnie tam zaprowadziła. Znów byłem sam, oprócz chwil gdy Guenhwyvar przybywała na moje wezwanie. Na owej drodze byłem sam. W umyśle jednak niosłem imię, uosobienie cenionych przeze mnie zasad. Mooshie nazywał Mielikki boginią, dla mnie była ona sposobem na życie.*

*Zawsze szła obok mnie po licznych przemierzanych przeze mnie drogach świata powierzchni. Zapewniła mi bezpieczeństwo i zwalczyła moją desperację, gdy byłem ścigany przez krasnoludy z Cytadeli Adbar, fortecy na północny wschód od Zagajnika Mooshiego. Mielikki, a także wiara w moją własną wartość, dały mi odwagę, bym mógł zbliżyć się do kolejnych miast w krajach północy. Przyjęcie było zawsze takie samo: szok i strach, które szybko przeradzały się w gniew. Bardziej życzliwi z tych, których napotkałem, mówili mi po prostu, żebym odszedł, inni zaś ścigali mnie z wyciągniętą bronią. W dwóch przypadkach zostałem zmuszony do walki, jednak udało mi się uciec, nie raniąc nikogo zbyt mocno.*

*Drobne zadrapania były jednak niską ceną. Mooshie prosił mnie, abym nie żył w taki sposób jak on, a wizja starego tropiciela okazała się jak zawsze słuszna. W czasie podróży po krajach północy zachowałem nadzieję - coś, czego nigdy bym nie miał, gdybym pozostał pustelnikiem w tamtym zagajniku. Za każdym razem, gdy na horyzoncie pojawiała się nowa wioska, dreszcz oczekiwania przyspieszał moje kroki. Byłem pewien, że pewnego dnia odnajdę akceptację oraz dom.*

*Wyobrażałem sobie, że stanie się to nagle. Podejdę do bramy, wypowiem formalne przywitanie, po czym ujawnię się jako mroczny elf. Później moja wizja dostosowała się do*



*rzeczywistości. Bramy nie otworzą się szeroko na mój widok. Raczej otrzymam pozwolenie wejścia pod strażą podobnie jak to miało miejsce w Blingdenstone, mieście svirfnebli. Przez wiele miesięcy będą wokół mnie krążyć podejrzenia, lecz w końcu moje zasady zostaną dostrzeżone i zostaną zaakceptowane takim, jakim jestem. Mój charakter przeważa nad kolorem skóry oraz reputacją rasy.*

*Przez lata odgrywałem w myślach te wizje niezliczoną ilość razy. Każde słowo każdego powitania w moim wyobrażonym mieście stawało się litanią przeciwko ciągłym odrzuceniom. Nie okazałoby się to wystarczające, gdyby nie obecność Guenhwyvar, a teraz również Mielikki.*

- Drizzt Do'Urden

## 20

### LATA I KILOMETRY

Gospoda Żniwiarzy w Zachodnim Moście była ulubionym miejscem zebrań podróżników z Długiej Drogi, która rozciągała się pomiędzy dwoma wielkimi północnymi miastami: Waterdeep i Mirabar. Oprócz wygodnych łóżek za rozsądną cenę oferowała również Tawernę Derry'ego, osławioną karczmę, w której w każdą noc każdego tygodnia można było spotkać poszukiwaczy przygód z okolic tak rozmaitych jak Luskan czy Sundabar. Kominiek płonął jasno i dawał ciepło, napitki lały się strumieniami, zaś snute tutaj opowieści były później przytaczane w całych Krainach.

Roddy trzymał kaptur znoszonej podróżnej peleryny nisko naciągnięty, ukrywając po znaczonej szramami twarz, i wgrzyzał się w baraninę oraz suchary. Stary, żółty pies siedział obok niego na podłodze warcząc, a Roddy co jakiś czas zrzucał mu kawałek mięsa.

Żarłoczny łowca nagród rzadko podnosił głowę znad talerza, jednak jego nabiegłe krwią oczy wyglądały podejrzliwie spod cienia kaptura. Znał niektórych zgromadzonych tej nocy u Derry'ego, osobiście lub dzięki ich reputacji, i nie zaufałby im bardziej niż oni jemu, gdyby byli rozsądni.

Jeden wysoki mężczyzna rozpoznał psa Roddy'ego, przechodząc obok stołu. Przystanął więc, zamierzając przywitać się z łowcą nagród. Odszedł jednak w milczeniu, zdając sobie sprawę, że żałosny McGristle nie jest wart takiego wysiłku. Nikt nie wiedział dokładnie, co się stało przed laty w górach niedaleko Maldobar, lecz Roddy odszedł z tamtych okolic poznaczony głębokimi szramami, fizycznie i emocjonalnie. Choć McGristle zawsze był grubiański, teraz spędzał więcej czasu warcząc, niż rozmawiając.

Roddy obgryzał jeszcze przez chwilę grubą kość, po czym rzucił ją swemu psu i wytarł zatłuszczone dłonie w pelerynę, przez nieuwagę odsuwając bok kaptura, który skrywał paskudne blizny. Roddy szybko znów się zakrył i przejechał wzrokiem po każdym, kto mógł to zauważyć. Jedno pełne niesmaku spojrzenie mogło kosztować kogoś życie, gdy chodziło o szramy Roddy'ego.

Tym razem wyglądało jednak na to, że nikt nie zauważył. Większość z tych, którzy nie byli zajęci jedzeniem, znajdowała się przy barze, głośno się kłócąc.

- Tak nie mogło być! - warknął jeden mężczyzna.

- Mówię ci, co widziałem! - odgryzł się inny. - I mówię prawdę!

- Według ciebie! - odkrzyknął pierwszy, a jeszcze następny się wtrącił - Nie byłoby cię tu, gdybyś go zobaczył! - Kilku mężczyzn się zbliżyło, niemal stykając się torsami.

- Cicho bądźcie! - dobiegł głos. Mężczyzna przecisnął się przez tłum i wskazał prosto na Roddy'ego, który nie rozpoznając go, instynktownie położył dłoń na Broczycielu, swoim osławionym toporze.

- Spytajcie McGristle'a! - krzyknął mężczyzna. ~Roddy'ego McGristle'a. On wie o mrocznych elfach więcej niż ktokolwiek inny.

Na sali rozbrzmiał tuzin głosów, gdy cała grupa, wyglądająca jak jakaś bezkształtna, przelewająca się masa, sunęła w stronę Roddy'ego. Dłoń trapera opuściła Broczyciela i splotła się palcami z drugą, spoczywającą na stole.

- Ty jesteś McGristle, prawda? - mężczyzna spytał Roddy'ego, okazując łowcy nagród sporą dozę szacunku.

- Może i jestem - odparł spokojnie Roddy, zadowolony że zwraca na siebie uwagę. Nie był otoczony przez tłum tak zainteresowany tym, co powie, odkąd został zamordowany klan Thistledownów.

- Ech - dobiegł gdzieś z tyłu niezadowolony głos. - Co on może wiedzieć o mrocznych elfach.

Spojrzenie Roddy'ego cofnęło tych, którzy znajdowali się na przodzie, o krok w tył, a traper zauważył ten ruch. Podobało mu się to uczucie. Znowu czuł się ważny, szanowany.

- Drow zabił mojego psa - powiedział obcesowo. Sięgnął ręką w dół i podniósł głowę żółtego ogara, pokazując bliznę. - I wyszczerbił temu głowę. Cholerny mroczny elf... - powiedział powoli, odsuwając kaptur z twarzy - ... dał mi to. - Zazwyczaj Roddy krył swoje okropne szramy, jednak westchnienia oraz pomrukiwania tłumu brzmiały teraz zadowolająco dla okrutnego łowcy nagród. Odwrócił się w bok, dając im lepszy widok, i chłonał ich reakcję tak długo, jak mógł.

- Czarnoskóry i białowłosa? - spytał niski mężczyzna z wystającym brzuchem, który rozpoczął dyskusję przy barze swoją własną opowieścią o mrocznym elfie.

- Chyba tak, jeśli to był mroczny elf - parsknął Roddy. Mężczyzna rozejrzał się triumfalnie dookoła.

- Właśnie to próbowałem im powiedzieć - powiedział do Roddy'ego. - Twierdzą, że widziałem brudnego elfa, albo może orka, ale ja wiem, że to był drow.

- Jeśli widziałeś drowa - Roddy powiedział ponuro i powoli, ważąc dokładnie każde słowo, by nadać mu znaczenie - to wiesz, że widziałeś drowa. I nie zapomnisz, że widziałeś drowa! I niech

każdy, kto wątpi w twoje słowa, pójdzie i znajdzie drowa dla siebie i niech wróci do ciebie z przeprosinami!

- No cóż, ja widziałem mrocznego elfa - oznajmił mężczyzna. - Obozowałem w Lesie Czat, na północ od Grunwald. Uznałem, że noc jest spokojna, więc dodałem trochę do ognia, by pokonać chłodny wiatr. No i wtedy wszedł ten obcy, bez ostrzeżenia, nawet bez słowa!

Każdy mężczyzna w grupie słuchał teraz uważnie słów, postrzegając je w innym świetle, gdy pokieroszowany przez drowa obcy w pewnym stopniu potwierdził.

- Bez słowa, bez niczego! - ciągnął tłusty mężczyzna. - Miał podejrzenie nisko naciągnięty kaptur, więc zapytałem: Co tu robisz?

- Szukam miejsca, w którym ja i moi towarzysze moglibyśmy tej nocy rozbić obóz - odpowiedział spokojnie. Wydawało się to rozsądne, lecz wciąż nie podobał mi się ten kaptur. - Odkryj więc głowę - powiedziałem mu. - Nie dzielę się niczym, nie widząc czyjejś twarzy. Rozważał przez chwilę moje słowa, po czym podniósł ręce w górę, bardzo powoli. - Mężczyzna dramatycznie imitował ruchy, obserwując słuchaczy, czy przyciągnął ich uwagę.

- Nie musiałem już widzieć nic więcej! - krzyknął nagle mężczyzna, zaś każdy, choć słyszał tę samą opowieść, opowiadaną w ten sam sposób zaledwie chwilę wcześniej, podskoczył zaskoczony. - Jego dłonie były czarne jak węgiel i szczupłe jak u elfa. Wiedziałem wtedy, choć nie wiem skąd byłem taki pewien, że przede mną stoi drow. Drow, powiadam, i niech każdy, kto wątpi w moje słowa, pójdzie i znajdzie drowa dla siebie!

Roddy przytaknął twierdząco, gdy tłusciuch wpatrywał się w niedawnych niedowiarków. - Wygląda na to, że ostatnio słyszałem za dużo o mrocznych elfach - mruknął łowca nagród.

- Ja słyszałem tylko o jednym - wtrącił się inny. - To znaczy, dopóki z tobą nie porozmawialiśmy i nie usłyszeliśmy o twojej walce. To daje dwa drowy w ciągu sześciu lat.

- Jak już powiedziałem - stwierdził ponuro Roddy - wygląda na to, że ostatnio słyszałem za dużo o mrocznych... - Roddy nie zdołał skończyć, bowiem grupa wokół niego wybuchła przesadzonym śmiechem. - Przypomniało to łowcy nagród stare dobre czasy, kiedy to każdy słuchał z uwagą jego słów.

Jedynym mężczyzną, który się nie śmiał, był grubas, zbyt wstrząśnięty swą relacją ze spotkania z drowem. - Jednak - odezwał się ponad harmidrem - kiedy myślę o tych purpurowych oczach, wpatrujących się we mnie spod kaptura!

Uśmiech Roddy'ego zniknął w mgnieniu oka. - Purpurowych oczach? - ledwo zdołał powiedzieć. Roddy spotkał wiele stworzeń, które wykorzystywały infrawizję, czuły na ciepło wzrok częsty wśród mieszkańców Podmroku, i wiedział, że normalnie takie oczy wyglądały jak czerwone punkty. Traper wciąż pamiętał wyraźnie purpurowe oczy spoglądające na niego, gdy był uwięziony pod klonem. Wiedział wtedy i wiedział teraz, że ten dziwny kolor był rzadkością nawet wśród mrocznych elfów.

Ci z grupy, którzy byli najbliżej Roddy'ego, przestali się śmiać, uważając, że pytanie McGristle'a rzucało cień wątpliwości na opowieść tłuszciocha.

- Były purpurowe - nalegał grubas, choć w jego rozchwianym głosie nie było zbyt wiele przekonania. Mężczyźni wokół niego czekali na potwierdzenie lub naganę Roddy'ego, nie wiedząc czy mają się śmiać z tłuszciocha, czy nie.

- Jaka broń miał drow? - spytał Roddy, wstając złowieszczo. Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę. - Zagięte miecze - wypalił.

- Sejmitary?

- Sejmitary.

- Czy ten drow powiedział swoje imię? - zapytał Roddy, a kiedy mężczyzna się wahał, McGristle chwycił go za kołnierz i pociągnął nad stół. - Czy ten drow powiedział swoje imię? - powtórzył łowca nagród, a grubas czuł na twarzy jego gorący oddech.

- Nie... ehem, uch, Driz...

- Drizzit?

Mężczyzna wzruszył bezradnie ramionami, a Roddy go puścił. - Gdzie?! - ryknął łowca nagród. - I kiedy?

- Las Czat - powiedział znów grubas, trzęsąc się. - Trzy wieki temu. Drow szedł do Mirabar z Płaczącymi Braćmi, jak mi się wydaje. - Większość zgromadzonych jęknęła na wzmiankę o tej fanatycznej grupie religijnej. Płaczący Bracia byli obszarpaną bandą żebrzących cierpiętników, którzy wierzyli - a przynajmniej twierdzili, że wierzą - że w świecie jest ograniczona ilość bólu. Im więcej cierpienia wezmą na siebie, mówili bracia, tym mniej będzie musiała go znosić reszta świata. Niemal każdy pogardzał członkami tego zakonu. Niektórzy byli szczerzy, jednak byli też tacy, którzy błagali o podarunki, obiecując niezwykle cierpieć dla dobra darczyńcy.

- To byli towarzysze drowa - ciągnął grubas. - Zawsze chodzą do Maribar, żeby znaleźć chłód, gdy przychodzi zima.

- Długa droga - stwierdził ktoś.

- Dłuższa - rzekł inny. - Płaczący Bracia zawsze idą drogą przez tunel.

- Pięćset kilometrów - wtrącił się pierwszy mężczyzna, który rozpoznał Roddy'ego, starając się uspokoić poruszonego łowcę nagród. Roddy go jednak nie słyszał. Ciągnąc za sobą psa odwrócił się i wypadł od Derry'ego, trzaskając za sobą drzwiami i zostawiając całą grupę mamroczącą do siebie w absolutnym zdumieniu.

- To Drizzit zabrał Roddy'emu psa i ucho - ciągnął mężczyzna, zwracając teraz na siebie uwagę grupy. Nie znał wcześniej imienia drowa, po prostu założył to na podstawie reakcji trapera. Cała grupa zebrała się wokół niego, wstrzymując oddech, by opowiedział im historię Roddy'ego McGristle'a i purpurowookiego drowa. Jak każdy dobry bywalec Derry'ego, mężczyzna nie dopuścił, by brak rzeczywistej wiedzy powstrzymał go przed przekazaniem opowieści. Zatknął

kciuki za pas i zaczął, wypełniając znaczące luki tym, co uznał za stosowne.

Sto kolejnych westchnień i oklasków odbiło się tej nocy echem na ulicy obok Derry'ego, lecz Roddy McGristle i jego pies, których wóz toczył się już po błocie Długiej Drogi, nie usłyszeli tej wrzawy.

- Hej, co - robisz? - dobiegło znużone narzekanie z worka za ławką Roddy'ego. Ze środka wyczołgał się Tephanis. - Dlaczego - go - odjeżdżamy?

Roddy obrócił się i zamachnął w jego stronę, lecz Tephanis, choć zaspany, nie miał problemów z uchyleniem się przed ciosem.

- Okłamałeś mnie, ty kuzynie kobolda! - warknął Roddy. - Powiedziałaś mi, że drow nie żyje. To nieprawda! Jest na drodze do Mirabar, a ja zamierzam go złapać!

- Mirabar? - krzyknął Tephanis. - Za - daleko, za - daleko! - Szybciuszek i Roddy przejeżdżali przez Mirabar poprzedniej zimy. Tephanis uznał je za doskonale żałosne miejsce, pełne krasnoludów o ponurych twarzach, ludzi o chytrych oczach i wiatru zbyt zimnego jak na jego upodobania. - Musimy - uciekać - przed - zimą - na - południe. Na - południe, gdzie - jest - i - tak - zimno!

Spojrzenie Roddy'ego uciszyło skrzata. - Zapomnę o tym, co mi zrobiłeś - warknął, po czym dodał złowieszcze ostrzeżenie - jeśli dostaniemy drowa. - Odwrócił się następnie od Tephanisa, a skrzat wczołgał się z powrotem do swego worka, czując się żałośnie i zastanawiając się, czy Roddy McGristle był wart tych wszystkich kłopotów.

Roddy jechał przez noc, pochylając się nisko, by popędzać konia, i mrużąc raz za razem - Sześć lat!

\* \* \*

Drizzt przysunął się bliżej ognia, który płonął w starej baryłce znalezionej przez grupę. Była to już siódma zima drowa na powierzchni, jednak wciąż czuł się niepewnie na mrozie. Spędził dziesięciolecie, a jego lud tysiąclecie w pozbawionym pór roku i ciepłym Podmroku. Wprawdzie do zimy zostało jeszcze kilka miesięcy, jej nadejście zapowiadały lodowate wichry, wiejące z gór Grzbietu Świata. Drizzt oprócz ubrania, kolczugi i pasa z bronią miał tylko stary, cienki, podarty koc. Drow uśmiechnął się widząc, jak jego towarzysze kręcą się niespokojnie i fukają na siebie w sporze, kto pociągnie następny łyk z wyżebranej butelki wina, a także o to, ile wysączył ostatni pijący. Drizzt był sam przy baryłce. Płaczący Bracia, choć nigdy nie unikali drowa, nieczęsto przebywali obok niego. Drizzt akceptował to i wiedział, że fanatycy cenią sobie jego towarzystwo z praktycznych powodów. Część grupy cieszyła się atakami rozmaitych potworów, postrzegając je jako okazję do prawdziwego cierpienia, jednak bardziej praktyczni mnisi cenili sobie ochronę, jaką zapewniał uzbrojony i wyszkolony drow.

Relacja ta była dla Drizta do przyjęcia, choć nie wywoływała w nim uczucia spełnienia. Opuścił Zagajnik Mooshiego pełen nadziei, lecz została ona osłabiona przez rzeczywistość. Za

każdym razem Drizzt zbliżał się do wioski tylko po to, by zostać odepchnięty przez ścianę ostrych słów, przekleństw i wyciąganej broni. Za każdym razem Drizzt wzruszał ramionami na takie traktowanie. Zgodnie ze swoją duszą tropiciela - bowiem Drizzt był teraz prawdziwym tropicielem, w równym stopniu z wyszkolenia, jak i z serca - przyjmował swój los ze stoickim spokojem.

Ostatnie odrzucenie pokazało jednak Drizztowi, że jego stanowczość słabnie. Został odegnany z Luskan, na Wybrzeżu Mieczy, nie przez strażników, bowiem nigdy nie zbliżył się do tego miejsca, a przez własne obawy. Ten akt przerażał go bardziej, niż jakiegokolwiek miecze, którym kiedykolwiek musiał stawić czoła. Na drodze za miastem Drizzt spotkał tę garstkę Płaczących Braci, a ci z wahaniem go zaakceptowali, w równym stopniu dlatego, że nie mieli żadnych środków, by go odegnąć, jak i z powodu tego, że byli zbyt wypełnieni własnym nieszczęściem, aby przejmować się jakimikolwiek różnicami rasowymi.

Dwóch z grupy rzuciło się wręcz Drizztowi do stóp, prosząc go, by wyzwolił swą „grozę mrocznych elfów” i spowodował ich cierpienie.

Poprzez wiosnę i lato ich wzajemne relacje ewoluowały. Drizzt służył za milczącego strażnika, zaś bracia zajmowali się swoim żebraniem i cierpieniem. Wszystko to było dość niesmaczne, a nawet oszukańcze, dla postępującego zgodnie ze swoimi zasadami drowa, jednak Drizzt nie miał innego wyboru.

Mroczny elf wpatrywał się w podskakujące płomienie i zastanawiał nad swym losem. Wciąż miał na swoje wezwanie Guenhwyvar i wielokrotnie wykorzystywał skutecznie swoje sejmity oraz łuk. Każdego dnia mówił sobie, że towarzysząc tym przecież bezradnym fanatykom, służy dobrze Mielikki oraz swemu sercu. Mimo to, nie darzył braci zbyt wielkim szacunkiem i nie nazywał ich przyjaciółmi. Spoglądając teraz na tych pięciu ludzi, pijanych i śliniących się, Drizzt podejrzewał, że nigdy ich tak nie nazwie.

- Pobij mnie! Potnij mnie! - krzyknął nagle jeden z braci i podbiegł w stronę baryłki, potykając się o Drizzta. Drow złapał go i przytrzymał, lecz tylko przez chwilę.

- Wyzwól szwojom dwowową niegodziwoszcz w mojom gwoź! - wyjąkał brudny, nie ogolony brat i jego chuda sylwetka padła na ziemię, tworząc bezładną stertę.

Drizzt odwrócił się, potrząsnął głową i nieświadomie wsunął rękę do kieszeni, by pogłodzić onyksową figurkę. Potrzebował jej dotyku, który przypominał mu, że nie jest tak naprawdę sam. Trwał, toczył nieskończoną i samotną walkę, lecz był daleki od zadowolenia. Być może znalazł miejsce, lecz nie dom.

- Jak w zagajniku z Montolio - zamyślił się drow. - Nigdy nie był mi domem.

- Mówiłeś coś? - spytał otyły mnich, brat Mateusz, podchodząc, by podnieść swego leżącego towarzysza. - Wybacz proszę bratu Jankinowi, przyjacielu. Obawiam się, że wypił zbyt dużo.

Bezradny uśmiech Drizzta mówił, że drow się nie obraził, jednak jego następne słowa zbiły

z tropu brata Mateusza, przywódcę i najbardziej racjonalnego - jeśli nie najbardziej szczerego - członka grupy.

- Dokończę z wami podróż do Mirabar - wyjaśnił Drizzt - a później was opuszczę.

- Opuścisz? - spytał Mateusz z troską.

- To nie jest moje miejsce - rzekł Drizzt.

- Dekapolisz jeszt miejszczem! - wyjąkał Jankin.

- Jeśli ktoś cię uraził... - Mateusz powiedział do Drizzta, nie zwracając uwagi na pijanego mężczyznę.

- Nikt - odrzekł Drizzt i znów się uśmiechnął. - W życiu czeka na mnie coś więcej, bracie Mateuszu. Nie gniewaj się, proszę cię, jednak odchodzę. Ta decyzja nie była dla mnie łatwa.

Mateusz przez chwilę rozważał jego słowa. - Jak chcesz - rzekł. - Jednak czy możesz nas przynajmniej przeprowadzić przez tunel do Mirabar?

- Dekapolisz! - nalegał Jankin. - To jeszt miejszcze do cierpienia! Tesh byś je polubił, dwowie. Kraina łotrów, gdzie łotr może znalerzcz szwoje miejszcze!

- W cieniach często są drapieżcy, którzy żerują na bezbronnych braciach - przerwał Mateusz, potrząsając mocno Jankinem.

Drizzt milczał przez chwilę, uderzony słowami pijanego mnicha. Jankin się jednak przewrócił i drow spojrzał na Mateusza. - Czy nie dlatego wchodzicie do miasta przez tunel? - Drizzt spytał otyłego brata. Tunel był normalnie przeznaczony dla wózków górniczych, zjeżdżających z Grzbietu Świata, jednak bracia zawsze szli właśnie nim, nawet w sytuacjach takich jak ta, gdy musieli całkowicie okrążyć miasto tylko po to, by dostać się do wylotu długiej drogi. - Aby paść czyjąś ofiarą i cierpieć? - ciągnął Drizzt. - Z pewnością droga jest czysta i wygodniejsza, gdy jest jeszcze kilka miesięcy do zimy. - Drizzt nie lubił tunelu do Mirabar. Każdy, kogo spotkają na drodze, będzie zbyt blisko, aby drow mógł ukryć swą tożsamość. Drizzt był tam zaczepiany podczas dwóch poprzednich podróży.

- Pozostali nalegają, abyśmy szli przez tunel, choć to wymaga nadłożenia wielu kilometrów - odparł Mateusz z pewną ostrością w głosie. - Ja wolę jednak bardziej osobiste formy cierpienia i ceniłbym sobie twoje towarzystwo w drodze do Mirabar.

Drizzt chciał krzyknąć na fałszywego mnicha. Mateusz uważał opuszczenie jednego posiłku za ogromne cierpienie i zachowywał swą fasadę tylko dlatego, że wiele czujących winę osób dawało monety fanatykom, zresztą głównie po to, by uwolnić się od ich smrodu.

Drizzt przytaknął i obserwował, jak Mateusz odciąga Jankina. - Wtedy odejdę - wyszeptał pod nosem. Mógł sobie bez przerwy powtarzać, że służy swej bogini i sercu, chroniąc tę wyraźnie bezradną bandę, jednak ich zachowanie często kpiło sobie z tych słów.

- Dwowie! Dwowie! - ślinił się brat Jankin, gdy Mateusz ciągnął go do pozostałych.

## HEFAJSTOS

Tephanis obserwował, jak składająca się z sześciu osób grupa - pięciu mnichów i Drizzt - idzie powoli w stronę tunelu na zachód od Mirabar. Roddy wysłał szybcioszka naprzód, by sprawdził teren, mówiąc Tephanisowi, że jeśli znajdzie drowa, niech zawróci go z powrotem w stronę McGristle'a. - Broczyciel się nim zajmie - parsknął Roddy, uderzając swym wielkim toporem o dłoń.

Tephanis nie był taki pewien. Skrzat widział Ulgulu, pana znacznie potężniejszego od Roddy'ego McGristle, pokonanego przez drowa, zaś kolejny silny pan, Caroak, został rozszarpany przez czarną panterę mrocznego elfa. Jeśli spełni się życzenie Roddy'ego i spotka się on z drowem w walce, Tephanis być może będzie musiał wkrótce znów zacząć szukać nowego pana.

- Nie - tym - razem, drowie - wyszeptał nagle skrzat, gdy wpadł na pewien pomysł. - Tym - razem - cię - dostanę! - Tephanis znał tunel do Mirabar. On i Roddy korzystali z niego dwie zimy temu, kiedy to śnieg zasypał zachodnią drogę. Poznał wiele z jego sekretów, w tym ten, który skrzat zamierzał teraz wykorzystać, by zdobyć przewagę.

Ominął szeroko grupę, nie chcąc zwracać na siebie uwagi czujnego drowa, a i tak dotarł do wejścia do tunelu na długo przed pozostałymi. Kilka minut później skrzat był prawie dwa kilometry dalej, grzebiąc w zawiłym zamku, który wydawał się wyszkolonemu szybcioszkowi dość prymitywny.

\* \* \*

Brat Mateusz prowadził grupę w tunelu, kolejny mnich szedł u jego boku, zaś pozostała trójka otaczała kołem Drizzta. Drow poprosił o to, aby nie padały na niego żadne podejrzenia, gdyby ktoś przechodził obok. Opuścił nisko kaptur i zgarbił ramiona. Szedł pochylony w środku grupy.

Nie spotkali żadnych innych podróżnych i poruszali się stałym tempem w oświetlonym pochodniami korytarzu. Dotarli do rozwidlenia i Mateusz zatrzymał się raptownie, widząc po prawej stronie uniesioną kratę. Kilka kroków dalej znajdowały się otwarte żelazne drzwi, zaś ciągnący się za nimi korytarz był atramentowoczarny, nie oświetlony tak jak główny tunel.

- Jakże zagadkowe - stwierdził Mateusz.

- Beztroskie - poprawił inny. - Módlmy się, aby inni podróżni, którzy mogą nie znać drogi tak dobrze jak my, nie poszli w złą stronę.

- Może powinniśmy zamknąć drzwi - zaproponował kolejny.

- Nie - szybko wtrącił się Mateusz. - Tam może ktoś być, być może kupcy, którzy mogliby nie być zbyt zadowoleni, gdybyśmy postąpili zgodnie z tym planem.

- Nie! - krzyknął nagle brat Jankin i podbiegł na czoło grupy. - To znak! Znak od Boga!



Jesteśmy kierowani, moi bracia, do Fajstosa, ostatecznego cierpienia!

Jankin odwrócił się, by ruszyć tunelem, jednak Mateusz i inny mnich, niezbyt zaskoczeni zwyczajnym dla Jankina dzikim wybuchem, natychmiast doskoczyli do niego i powalili na ziemię.

- Fajstosie! - krzyknął Jankin, a jego długie i skołtunione włosy powiewały mu wokół twarzy. - Idę!

- Co to jest? - spytał Drizzt. Nie miał pojęcia, o czym rozmawiają mnisi. - Kim lub czym jest Fajstos?

- Hefajstos - skorygował brat Mateusz.

Drizzt znał to imię. Jedna z ksiązek, które zabrał z Zagajnika Mooshiego, mówiła o smokach, zaś Hefajstos, słynny czerwony smok żyjący w górach na północny zachód od Mirabar, zasłużył tam sobie na fragment.

- To nie jest oczywiście prawdziwe imię smoka - ciągnął Mateusz pomiędzy stęknięciami, gdy szarpał się z Jankinem. - Nie znam go, podobnie jak nikt inny. - Jankin obrócił się nagle, odrzucając drugiego mnicha na bok, po czym nastąpił na sandał Mateusza.

- Hefajstos jest starym czerwonym smokiem, który żył w jaskiniach na zachód od Mirabar dawniej niż ktokolwiek, nawet krasnoludy, sięga pamięcią - wyjaśnił inny mnich, brat Herschel, mniej zajęty niż Mateusz. - Miasto go toleruje, bowiem jest leniwy i głupi, choć nie powiedziałbym mu tego. Większość miast, jak przypuszczam, wybrałaby tolerowanie czerwonego, gdyby oznaczało to brak konieczności walki z nim! Hefajstos nie ma jednak zbyt łupieżczej natury, nikt nie przypomina sobie ostatniego razu, kiedy to wyszedł ze swojej jamy, a nawet jest czasami wynajmowany do topienia rudy, choć cena jest wysoka.

- Niektórzy jednak płacą - dodał Mateusz, znów uzyskawszy kontrolę nad Jankinem - zwłaszcza późno w sezonie, żeby wyprawić ostatnią karawanę na południe. Nic lepiej nie oddziela metalu niż smoczy oddech! - Jego śmiech skończył się nagle, gdy Jankin go szarpnął, powalając na ziemię.

Jankin uwolnił się, jednak tylko na chwilę. Szybciej niż ktokolwiek zdążył zareagować, Drizzt zrzucił płaszcz i pobiegł za uciekającym mnichem, chwytając go tuż za ciężkimi metalowymi drzwiami. Jeden krok i obrót powaliły Jankina plecami do ziemi i pozbawiły patrzącego dzikim wzrokiem mnicha oddechu.

- Odejźmy natychmiast z tej okolicy - zaproponował drow, wpatrując się w oszołomionego mnicha. - Zmęczyły mnie już dziwactwa Jankina, może po prostu pozwolę mu pobiec do smoka!

Podeszli dwaj inni i podnieśli Jankina, a następnie cała grupa odwróciła się, szykując do dalszej drogi.

- Pomocy! - dobiegł krzyk z ciemnego tunelu.

W rękach Drizzta pojawiły się sejmitary. Mnisi zebrali się wokół niego, wpatrując w mrok.

- Widzisz coś? - Mateusz spytał drowa, wiedząc, że widzi on znacznie lepiej w

ciemnościach.

- Nie, ale tunel zakręca niedaleko stąd - odparł Drizzt.

- Pomocy! - rozległ się ten sam krzyk. Z tyłu grupy, za rogiem głównego tunelu, Tephaniś z trudem powstrzymywał śmiech. Szybcioszki były zdolnymi brzuchomówcami, zaś największym problemem, jaki Tephaniś miał podczas oszukiwania grupy, było utrzymanie okrzyków na tyle wolnymi, by dało się je zrozumieć.

Drizzt wykonał ostrożny krok do środka, a mnisi, nawet Jan - kin, otrzeźwiony przez pełen niepokoju okrzyk, podążyli tuż za nim. Drizzt wskazał im, by się cofnęli, zdał sobie bowiem sprawę z możliwości pułapki.

Tephaniś był jednak zbyt szybki. Drzwi zatrasnęły się z donośnym hukiem, zaś zanim drow, znajdujący się dwa kroki dalej, zdążył przepchnąć się przez zaskoczonych mnichów, skrzat zamknął już wrota na klucz. Chwilę później, gdy opadła krata, Drizzt i bracia usłyszeli kolejny huk.

Kilka minut później Tephaniś znów wyszedł na światło dzienne, uważając się za niezłego spryciarza i przypominając sobie, by utrzymać zakłopotaną minę, gdy będzie wyjaśniał Roddy'emu, że nigdzie nie można znaleźć grupy drowa.

\* \* \*

Mnisi zmęczeni się krzyczeniem zaraz po tym, jak Drizzt przypomniał im, że wrzaski mogą zainteresować mieszkańca drugiego końca tunelu. - Nawet jeśli ktoś będzie przechodził obok kraty, nie usłyszysz was przez drzwi - powiedział drow, obserwując wrota przy zapalanej przez Mateusza świeczce. Doskonale dopasowane połączenie żelaza, kamienia i skóry zostało wykonane przez krasnoludy. Drizzt próbował stukać w nie ręką sejmity, wywoływało to jednak tylko głuche uderzenia, które nie docierały dalej niż krzyki.

- Jesteśmy zgubieni - jęknął Mateusz. - Nie mamy drogi wyjścia, a nasze zasoby nie są zbyt obfite.

- Kolejny znak! - wypalił nagle Jankin, lecz dwóch mnichów powaliło go na ziemię i usiadło na nim, zanim zdążył pobiec w stronę smoczej jamy.

- Być może coś jest w rozumowaniu brata Jankina - powiedział po długiej chwili ciszy Drizzt.

Mateusz popatrzył na niego podejrzliwie. - Czy myślisz, że nasze zapasy starczyłyby na dłużej, gdyby brat Jankin poszedł spotkać się z Hefajstosem? - spytał.

Drizzt nie mógł powstrzymać śmiechu. - Nie mam zamiaru nikogo poświęcać - rzekł i spojrział na szarpiącego się pod mnichami Jankina. - Nieważne, jak dobrowolne to będzie! Wygląda na to, że mamy tylko jedną drogę.

Mateusz podążył za spojrzeniem Drizzta do ciemnego tunelu. - Jeśli nie planujesz ofiar, to patrzysz w złą stronę - parsknął otyły mnich. - Chyba nie chcesz przejść obok smoka!

- Zobaczmy - to było wszystko, co odpowiedział drow. Zapalił kolejną świecę i przeszedł

kawałek w głąb tunelu. Zdrowy rozsądek Drizzta spierał się z niezaprzeczalnym podnieceniem, jakie odczuwał na myśl o zmierzeniu się z Hefajstosem, lecz był to argument, który, jak podejrzewał, pokona zwykłą konieczność. Drizzt pamiętał, że Montolio walczył z czerwonym smokiem i właśnie w potyczce z nim stracił oczy. Wspomnienia walki, nie licząc ran tropiciela, nie były tak straszne. Drizzt zaczynał rozumieć, co ślepy tropiciel mówił mu o różnicach pomiędzy przetrwaniem a spełnieniem. Jakże cenne będzie to pięćset lat, które Drizzt może mieć jeszcze przed sobą?

Dla dobra mnicha Drizzt miał nadzieję, że ktoś będzie przechodził obok i otworzy kratę oraz drzwi. Zaświerzbiały go jednak obiecująco palce, gdy sięgnął do sakwy i wyciągnął księgę o smokach, którą zabrał z zagajnika.

Czułe oczy drowa nie potrzebowały wiele światła i rozpoznawał tekst z zaledwie drobnymi trudnościami. Jak podejrzewał, był tam fragment poświęcony znanemu czerwonemu smokowi, który żył na zachód od Mirabar. Księga potwierdzała, że Hefajstos nie było prawdziwym imieniem smoka, lecz raczej nazwą nadaną mu przez odniesienie do jakiegoś prymitywnego boga kowali.

Fragment nie zawierał zbyt wiele informacji, były to głównie opowieści kupców, którzy udawali się do smoka, by wynająć jego oddech, a także inne historie o kupcach, którzy najwidoczniej powiedzieli coś nie tak albo zbyt długo targowali się o cenę - lub też może smok po prostu był głodny lub w paskudnym nastroju - bowiem nigdy nie wrócili. Najważniejsze dla Drizzta było to, że potwierdzał się dokonany przez mnicha opis smoka jako bestii leniwej i dość głupiej. Zgodnie z zapiskami Hefajstos odznaczał się wielką pychą, jak to zazwyczaj bywa ze smokami, a także był w stanie mówić wspólnym językiem, lecz miał „braki na polu podejrzliwości, zwykle utożsamianej z czerwonym gatunkiem smoków”.

- Brat Herschel próbuje otworzyć zamek - powiedział Mateusz, podchodząc do Drizzta. - Masz zwinne palce. Może byś spróbował?

- Ani Herschel, ani ja, nie pokonamy tego zamka - stwierdził z roztargnieniem Drizzt, nie podnosząc wzroku znad książki.

- Herschel przynajmniej próbuje - warknął Mateusz - a nie zajmuje się marnowaniem świec i czytaniem jakichś bezużytecznych tomów!

- Nie tak bezużytecznych jak myślisz - powiedział Drizzt, wciąż nie podnosząc wzroku. Przyciągnął tym uwagę otyłego mnicha.

- Co to jest? - spytał Mateusz, pochylając się nisko nad ramieniem Drizzta, choć nie umiał czytać.

- Mówi o próżności - odpowiedział Drizzt.

- Próżności? Co próżność ma wspólnego z...

- Smoczej próżności - wyjaśnił Drizzt. - To może być bardzo ważne. Wszystkie smoki posiadają ją w jakimś stopniu, złe więcej niż dobre.

- Cóż, chyba powinny, jeśli posiadają pazury długie jak miecze i oddech, który topi kamienie! - mruknął Mateusz.

- Być może - przyznał Drizzt - jednak próżność jest słabością, nawet dla smoka, nie wątp w to. Paru bohaterów wykorzystało tę cechę na zgubę smoka.

- Myślisz o zabiciu tej bestii? - wysapał Mateusz.

- Jeśli będę musiał? - powiedział Drizzt z roztargnieniem. Mateusz wznosił ręce do góry i odszedł, potrząsając głową w odpowiedzi na pytające spojrzenia pozostałych.

Drizzt uśmiechnął się do siebie i powrócił do lektury. Jego plany zaczynały przybierać wyraźną formę. Przeczytał cały fragment, kilkakrotnie, zapamiętując każde słowo.

Trzy świece później Drizzt wciąż czytał, a bracia stawali się coraz bardziej niecierpliwi i głodni. Szturchnęli Mateusza, który wstał, poprawił pas na brzuchu i podszedł do Drizzta.

- Jeszcze więcej próżności? - spytał sarkastycznie.

- Skończyłem już z tą częścią - odpowiedział Drizzt. Podniósł książkę w górę, pokazując Mateuszowi szkic wielkiego czarnego smoka, zwiniętego wokół kilku przewróconych drzew na gęstym trzęsawisku. - Uczę się teraz o smoku, który może nam pomóc.

- Hefajstos jest czerwony - zauważył ganiąco Mateusz - nie czarny.

- To jest inny smok - wyjaśnił Drizzt. - Mergandevinasander z Chult, ewentualny gość, który może porozmawiać z Hefajstosem.

Brat Mateusz był całkowicie zagubiony. - Czerwone i czarne nie przepadają za sobą - stwierdził z wyraźnym sceptycyzmem. - Każdy głupiec o tym wie.

- Rzadko słucham głupców - odparł Drizzt, a mnich znów odwrócił się i odszedł, potrząsając głową.

- Jest jeszcze coś, o czym ty nie wiesz, lecz Hefajstos najprawdopodobniej wie - powiedział cicho Drizzt, zbyt cicho, by ktokolwiek usłyszał. - Mergandevinasander ma purpurowe oczy! - Drizzt zamknął książkę pewien, że dała mu wystarczająco wiele wiedzy, by mógł pokusić się o tę próbę. Gdyby kiedykolwiek wcześniej był świadkiem przerażającej wspaniałości czerwonego smoka, nie uśmiechałby się w tej chwili. Zarówno jednak ignorancja, jak i wspomnienia o Montollo, wzbudziły odwagę w młodym drowie, który miał tak mało do stracenia i nie miał zamiaru zginąć z głodu w obawie przed nieznanym niebezpieczeństwem. Nie pójdzie naprzód, jeszcze nie.

Nie, dopóki nie poświęci czasu na przeciwiczenie swojego smoczego głosu.

\* \* \*

Ze wszystkich wspaniałości, jakie Drizzt widział w swoim wypełnionym przygodami życiu, nic - wielkie domy Menzoberranzan, jaskinia ilithidów, nawet jezioro kwasu - nie mogło się równać ze wzbudającym podziw legowiskiem smoka. Sterty złota i klejnotów wypełniały komnatę spiętrzonymi falami, niczym po przejściu jakiegoś olbrzymiego statku na morzu. Wszędzie leżała

broń i zbroje, wspaniale błyszczące, zaś obfitość cudownie wykonanych przedmiotów - kielichów, pucharów i innych - mogłaby całkowicie wypełnić skarbce stu bogatych królów.

Drizzt musiał sobie przypomnieć o konieczności oddychania, gdy patrzył na to wszystko. To nie bogactwo go tak przyciągało - niewiele go obchodziły przedmioty materialne - ale przygody, które sugerowały te wspaniałe rzeczy. Spoglądanie na legowisko smoka pomniejszało znaczenie jego zwyczajnego pragnienia przetrwania na drodze z Płaczącymi Braćmi i prostą chęć odnalezienia spokojnego i cichego miejsca, które mógłby nazwać domem. Znów pomyślał o smoczej opowieści Montolio oraz innych historiach, które przytaczał mu ślepy tropiciel. Nagle zapragnął tych przygód dla siebie.

Drizzt chciał domu i chciał odnaleźć akceptację, jednak wtedy, spoglądając na łupy, zdał sobie sprawę, że pragnie również znaleźć się w księgach bardów. Żywił nadzieję, że będzie podróżować niebezpiecznymi oraz ekscytującymi drogami, a nawet napisze własne opowieści.

Sama komnata była ogromna i nierówna, pełna ślepych zakamarków. Całość była oświetlona przyćmionym i zamglonym, czerwonożółtym blaskiem. Było tu ciepło, lecz również nieprzyjemnie. Drizzt odwrócił się do czekających mnichów i mrugnął, po czym wskazał na lewo, ku jednemu wejściu. - Znacie sygnał - poruszył bezgłośnie wargami.

Mateusz przytaknął z wahaniem, wciąż zastanawiając się, czy rozsądnie było zaufać drowowi. Drizzt był dla pragmatycznego mnicha cennym sprzymierzeńcem na drodze przez ostatnie kilka miesięcy, jednak smok był smokiem.

Drizzt znów rozejrzał się po pomieszczeniu, tym razem spoglądając ponad skarby. Pomiedzy dwoma stertami złota dostrzegł swój cel, który był nie mniej wspaniały niż biżuteria i klejnoty. W dolinie pomiędzy tymi kopcami leżał wielki, pokryty łuską ogon, czerwono - złoty jak odcień światła, poruszający się powoli z jednej strony na drugą i za każdym zamachnięciem bardziej spiętrzający obok siebie złote góry.

Drizzt widział wcześniej rysunki smoków, a jeden z mistrzów czarodziejów w Akademii tworzył nawet iluzje różnych rodzajów tych stworzeń, by studenci mogli im się przyjrzeć. Nic jednak nie mogło przygotować drowa na tę chwilę. We wszystkich znanych krainach nie było nic, co robiło większe wrażenie, zaś ze wszystkich rodzajów smoków wielkie czerwone były chyba najwspanialsze.

Gdy Drizzt zdołał oderwać w końcu wzrok od ogona, określił swą drogę do komnaty. Tunel wychodził wysoko na bocznej ścianie, jednak na podłogę prowadziła dogodna ścieżka. Drizzt obserwował ją przez dłuższą chwilę, wymierzając każdy krok. Następnie wrzucił do kieszeni dwie garście piasku, wyciągnął z kołczanu strzałę i rzucił na nią czar ciemności. Ostrożnie i cicho Drizzt schodził na ślepo w dół, kierowany ciągłymi machnięciami łuskowego ogona. Niemal potknął się, gdy dotarł do pierwszej sterty klejnotów i usłyszał, jak ogon nagle się zatrzymuje.

- Przygoda - przypomniał sobie cicho Drizzt i szedł dalej, koncentrując się na mentalnym

obrazie otoczenia. Wyobraził sobie wznoszącego się przed nim smoka, spoglądającego przez jego okrycie z ciemności. Wzdrygnął się instynktownie, oczekując, że ogarnie go ogniste zionięcie i zwęgli tam, gdzie stał. Parł jednak dalej, zaś gdy w końcu dotarł do złotej sterty, ucieszył się słysząc spokojny, przypominający uderzenia piorunów oddech śpiącego smoka.

Drizzt zaczął powoli wchodzić na drugi kopiec, formując w myślach czar lewitacji. Nie spodziewał się, by czar miał podziałać jakoś specjalnie dobrze - przy każdej próbie zawodził go coraz bardziej. Każda pomoc, jaką mógł uzyskać, mogła wzmoczyć efekt oszustwa. W połowie drogi na stertę Drizzt rzucił się do biegu, rozsypując z każdym krokiem monety i klejnoty. Słyszał jak smok wstaje, nie zwolnił jednak, a w trakcie wyciągnął łuk.

Kiedy dotarł do krawędzi, skoczył i uaktywnił lewitację, wisząc przez ułamek sekundy w powietrzu, zanim czar się zakończył. Drizzt opadł, strzelając jednocześnie z łuku i posyłając przez całą komnatę kulę ciemności.

Nigdy nie uwierzyłby, że tak wielki potwór może być tak zwinny, kiedy jednak spadł ciężko na stertę kielichów i klejnotów, zauważył, że wpatruje się w oblicze bardzo rozwścieczonej bestii.

Te oczy! Ich spojrzenie spoczęło na Drizzcie niczym dwa promienie zguby, przedzierało się przez niego, wymagało, by padł na brzuch i błagał o litość, by ujawnił oszustwo i wyznał każdy grzech Hefajstosowi, podobnego bogom. Długa, węzowa szyja smoka wygięła się lekko na bok, lecz jego wzrok nie opuszczał drowa, trzymając go równie silnie w miejscu, jak mógłby to zrobić jeden z niedźwiedzi uścisków Bąbla.

W myślach Drizzta odezwał się słaby lecz stanowczy głos, głos ślepego tropiciela, snującego opowieści o bitwach i bohaterstwie. Z początku drow ledwo go słyszał, był on jednak natrętny, na swój specyficzny sposób przypominał Drizztowi, że zależy od niego życie pięciu ludzi. Jeśli mu się nie powiedzie, mnisi zginą.

Ta część planu nie była dla Drizzta zbyt trudna, bowiem naprawdę wierzył w swoje słowa. - Hefajstos! - krzyknął we wspólnej mowie. - Czy to możliwe, nareszcie? Och, najwspanialszy! Bardziej wspaniały niż mówią opowieści!

Smocza głowa cofnęła się na kilka metrów od Drizzta, a w tych wszytkowiedzących oczach pojawiło się zdumienie. - Wiesz o mnie? - zagrział Hefajstos, a pod jego gorącym oddechem za Drizztem powiewały białe włosy.

- Wszyscy o tobie wiedzą, potężny Hefajstosie! - krzyknął Drizzt, gramoląc się na kolana i nie ośmielając wstać. - To właśnie ciebie szukałem, a teraz już cię znalazłem i nie jestem rozczarowany!

Przerażające oczy smoka zmrużyły się podejrzliwie. - Dlaczego mroczny elf miałby szukać Hefajstosa, Niszczyciela Cockleby, Pożeracza Dziesięciu Tysięcy Bydła, Tego Który Zmiażdżył Agalandera Głupie Srebro, Tego Który... - ciągnęło się tak przez wiele minut, a Drizzt stoicko znosił straszny oddech, przez cały czas udając oczarowanie wymienianymi przez smoka

paskudnymi dokonaniem. Kiedy Hefajstos skończył, Drizzt miał chwilę, by przypomnieć sobie pierwsze pytanie.

Jego prawdziwe zakłopotanie tylko dopomogło w tej chwili oszustwu. - Mroczny elf? - spytał, jakby nie rozumiejąc. Spojrzał na smoka i powtórzył z jeszcze większym zdziwieniem - Mroczny elf?

Smok rozejrzał się dookoła, jego wzrok padał niczym bliźniacze promienie na pagórki skarbów, następnie błąkał się przez jakiś czas po kuli ciemności Drizzta, znajdującej się w połowie pomieszczenia. - Chodzi mi o ciebie! - ryknął nagle Hefajstos, a siła wrzasku przewróciła Drizzta na plecy. - Mroczny elf!

- Drow? - powiedział Drizzt, podnosząc się szybko i odważając się teraz wstać. - Nie, nie ja. - Spojrzał na siebie i przytaknął w nagłym zrozumieniu. - Tak, oczywiście - rzekł. - Tak często zapominam o tym okryciu, które noszę!

Hefajstos wydał z siebie niskie, coraz bardziej niecierpliwe warknięcia, a Drizzt wiedział, że lepiej się pospieszyć.

- Nie drow - powiedział. - Choć wkrótce mogę nim być, jeśli Hefajstos mi nie pomoże! - Drizzt mógł mieć tylko nadzieję, że przyciągnął uwagę smoka. - Słyszałeś o mnie, jestem pewien, potężny Hefajstosie. Jestem, a raczej mam nadzieję znów nim być, Mergandevinasander z Chult, stary czarny o niemałej sławie.

- Mergandevin...? - zaczął Hefajstos, lecz zawiesił głos. Słyszał oczywiście o czarnym, smoki znały imiona większości swoich pobratymców. Hefajstos wiedział również, na co liczył Drizzt, że Mergandevinasander ma purpurowe oczy.

Aby pomóc sobie w wyjaśnieniach, Drizzt przywołał wspomnienia o doświadczeniach z Clackerem, nieszczęsnym peczem, który został zamieniony przez czarodzieja w hakową poczwagę. - Czarodziej mnie pokonał - zaczął ponuro. - Grupa awanturników weszła do mojego legowiska. Złodzieje. Dostałem wszak jednego z nich, paladyna!

Wyglądało na to, że Hefajstosowi spodobał się ten drobny szczegół, zaś Drizzt, który właśnie o nim pomyślał, pogratulował sobie w milczeniu. - Jakże jego srebrna zbroja a syczała pod moim kwasowym oddechem!

- Szkoda go było tracić - odezwał się Hefajstos. - Paladyni są bardzo smacznici!

Drizzt uśmiechnął się, by ukryć niepewność wywołaną tymi słowami. Znajdując się tak blisko smoczej paszczy nie mógł powstrzymać się przed zastanawianiem, jak smakuje mroczny elf. - Zabiłbym ich wszystkich i zdobył sporo skarbów, gdyby nie ten przeklęty czarodziej! To on zrobił mi tę straszną rzecz! - Drizzt spojrział z odrazą na swoją sylwetkę.

- Polimorfia? - spytał Hefajstos, a Drizzt usłyszał w jego głosie nutę sympatii, a przynajmniej taką miał nadzieję.

Drizzt przytaknął ponuro. - Zły czar. Zabrał mi moją sylwetkę, moje skrzydła i mój oddech.

Mimo to w myśli pozostałem Mergandevinasanderem, choć... - Hefajstos rozszerzył oczy, a żałosny, zakłopotany wzrok, jaki Drizzt skierował w jego stronę, spowodował, że smok się cofnął.

- Odkryłem w sobie nagłą słabość do pajaków - mruknął Drizzt. - Lubię pieścić je i całować... - A więc tak wygląda pełen niesmaku czerwony smok, pomyślał elf, gdy znów zerknął na bestię. Monety i klejnoty poleciały we wszystkie strony, gdy przez kręgosłup smoka przeszedł bezwiedny dreszcz.

\* \* \*

Mnisi w niskim tunelu nie mogli widzieć spotkania, słyszeli jednak wystarczająco wiele z rozmowy, by wiedzieć, co drow ma na myśli. Po raz pierwszy od czasu, do którego każdy z nich był w stanie sięgnąć pamięcią, brat Jankin był pozbawiony głosu, lecz Mateusz zdołał wyszeptać kilka słów, powtarzając ich wspólne odczucia.

- Trzeba przyznać, że jest mężny! - zachichotał otyły brat i zakrył dłonią usta, obawiając się, że mówi zbyt głośno.

\* \* \*

- Dlaczego do mnie przyszedłeś? - ryknął gniewnie Hefajstos. Drizzt zachwiał się pod siłą głosu, lecz tym razem zdołał utrzymać równowagę.

- Błagam, potężny Hefajstosie! - prosił Drizzt. - Nie mam wyboru. Podróżowałem do Menzoberranzan, miasta drowów, lecz powiedzieli mi, że zaklęcie czarodzieja było potężne, i nie mogą zrobić nic, by je rozproszyć. Przybyłem więc do ciebie, wielki i potężny Hefajstosie, znany ze swoich umiejętności w zakresie czarów trans - mutacji. Być może jeden z mojego własnego rodzaju...

- Czarny? - rozległ się donośny ryk i tym razem Drizzt upadł. - Twojego własnego rodzaju?

- Nie, nie, smok - powiedział szybko Drizzt, odwołując to, co najwyraźniej okazało się obrażą, po czym wstał myśląc, że niedługo będzie musiał uciekać. Ciągły warkot Hefajstosa powiedział Drizztowi, że potrzebuje jakiegoś wybiegu i znalazł go za smokiem, w głębokich wypalonych śladach na ścianach prostokątnej alkowy. Drizzt uznał, że to właśnie tam Hefajstos zasługiwał sobie na sporą zapłatę, topiąc rudę. Drow nie mógł zrobić nic poza wzruszeniem ramionami, gdy zastanawiał się, ilu nieszczęsnych kupców lub awanturników znalazło swój koniec pomiędzy tymi spalonymi ścianami.

- Co spowodowało taki kataklizm? - Drizzt krzyknął z podziwem. Hefajstos nie odważył się odwrócić, podejrzewając podstęp. Chwilę później smok zdał sobie sprawę, co zauważył mroczny elf, i warczenie ucichło.

- Jaki bóg przyszedł do ciebie, potężny Hefajstosie, i pobłogosławił cię takim obrazem mocy? Nigdzie w krainach kamień nie jest tak zniszczony. Nie, odkąd ognie, które uformowały świat...

- Dość! - zagrzmiął Hefajstos. - Ty, który jesteś taki uczyony, nie znasz oddechu



czerwonych?

- To pewne, że ogień jest domeną czerwonych - odparł Drizzt, ani przez chwilę nie spuszczać wzroku z alkowy. - Jakże jednak intensywne mogą być te płomienie? Z pewnością nie tak, by wywołać takie zniszczenia!

- Chcesz zobaczyć? - smok odpowiedział złowieszczym, dymiącym sykiem.

- Tak! - krzyknął Drizzt, a następnie wrzasnął - Nie! - po czym zwinął się w kłębek.

Wiedział, że kroczy tu po cienkiej linii, wiedział jednak, że ten hazard jest niezbędny. - Szczerze chciałbym doświadczyć takiego podmuchu, jednak obawiam się poczuć jego gorąco.

- A więc patrz, Mergandevinasanderze z Chult! - ryknął Hefajstos. - Patrz dobrze! - Nagły wdech smoka pociągnął Drizzta dwa kroki naprzód, zakrył mu oczy jego własnymi białymi włosami i niemal zerwał z pleców poszarpany płaszcz. Na stercie za nim monety potoczyły się hałaśliwie do przodu.

Następnie smok obrócił swą wężową głowę, kierując ją w stronę alkowy.

Podmuch, który nastąpił, pozbawił całą komnatę powietrza. Drizzta paliły płuca i piekły oczy, zarówno z gorąca, jak i jasności. Wciąż jednak patrzył, jak smoczy ogień obmywa alkowę ryczącym płomieniem. Drizzt zauważył również, że Hefajstos zamyka dokładnie oczy, gdy zieję.

Gdy pożoga się skończyła, Hefajstos odwrócił się triumfalnie z powrotem. Drizzt, wciąż wpatrując się w alkowę, na stopioną skałę spływającą po ścianach i kapiącą ze stropu, nie musiał nawet udawać zachwyty.

- Na bogów! - wyszeptał. Udało mu się znów skierować wzrok na zadowolonego z siebie smoka. - Na bogów - powtórzył. - Mergandevinasander z Chult, który uważał się za potężniejszego, czuje się upokorzony.

- I powinien! - zagrzmiał Hefajstos. - Żaden czarny nie może się równać z czerwonym! Wiedz to teraz, Mergandevinasanderze. Jest to fakt, który może ocalić ci życie, jeśli czerwony przyjdzie do twoich drzwi!

- Istotnie - szybko zgodził się Drizzt. - Obawiam się jednak, że nie będę miał drzwi. - Znowu spojrzał na swoją sylwetkę i skrzywił się z odrazą. - Żadnych drzwi poza tymi w mieście mrocznych elfów!

- To twój los, nie mój - powiedział Hefajstos. - Okażę ci jednak litość. Pozwolę ci odejść żywym, choć to więcej niż zasługujesz za naruszenie mojego snu!

Drizzt wiedział, że nadszedł właśnie krytyczny moment. Mógł wykorzystać propozycję Hefajstosa, bowiem w tej chwili niczego nie pragnął bardziej, niż się stąd wydostać. Jego zasady oraz pamięć o Moosiem nie pozwalały mu jednak odejść. Co się stanie z jego towarzyszami w tunelu? I co z przygodami w księgach bardów?

- Pożryj mnie więc - powiedział do smoka, choć ledwo wierzył, że wypowiada te słowa. - Ja, który znałem chwałę rodzaju smoczego, nie mogę być zadowolony z życia jako mroczny elf.

Wielka paszcza Hefajstosa przesunęła się do przodu.

- Niestety dla smoczego rodzaju! - zawodził Drizzt. - Nasze szeregi wciąż się zmniejszają, podczas gdy ludzie mnożą się jak robactwo. Niestety dla smoczych skarbów, które są rozkradane przez czarodziejów i paladynów! - Sposób, w jaki wycedził ostatnie słowa, zatrzymał Hefajstosa.

- I niestety dla Mergandevinasandera - ciągnął dramatycznie Drizzt - który został pokonany przez ludzkiego czarodzieja o mocy przyćmiewającej nawet Hefajstosa, najpotężniejszego ze smoczego rodzaju!

- Przyćmiewającej! - krzyknął Hefajstos i cała komnata zatrzęsała się od potęgi tego ryku.

- W co mam uwierzyć? - wrzasnął Drizzt, dość żałośnie w porównaniu z głosem smoka. - Że Hefajstos nie pomógłby jednemu ze swego wymierającego gatunku? Nie, w to nie mogę uwierzyć, w to nie uwierzy cały świat! - Drizzt wymierzył palec w strop nad sobą, dając z siebie w tej chwili wszystko. Nie trzeba mu było przypominać o cenie, jaką zapłaciłby, gdyby mu się nie udało. - Powiedzą wszyscy z rozległych krain, że Hefajstos nie ośmielił się rozproszyć magii czarodzieja, że wielki czerwony nie ośmielił się ujawnić swojej słabości w obliczu tak potężnego czaru z obawy, że ta słabość może przyciągnąć tę samą dowodzoną przez czarodzieja drużynę, która przybędzie na północ przywiedziona perspektywą kolejnego smoczego łupu!

- Ach! - krzyknął Drizzt, otwierając szeroko oczy. - Jednak czyż poddanie się Hefajstosa nie da czarodziejowi i jego paskudnym złodziejskim przyjaciółom nadziei na taki łup? Zaś jaki smok posiada więcej do złupienia niż Hefajstos, czerwony z bogatego Mirabar?

Smok był zakłopotany. Hefajstos lubił swoje życie, spanie na skarbach wiecznie rosnących dzięki płacącym słono kupcom. Nie chciał, by jacyś bohaterscy awanturnicy weszli w pobliżu jego legowiska! To właśnie były odczucia, na jakie liczył Drizzt.

- Jutro! - ryknął smok. - Tego dnia wymedytuję czar i jutro Mergandevinasander znów będzie czarnym! Wtedy odejdzie, a jego ogon stanie w płomieniach, jeżeli ośmieli się powiedzieć choć jedno więcej bluźniercze słowo! Teraz muszę odpocząć, by przypomnieć sobie czar. Nie poruszaj się smoku w postaci drowa. Czuję cię stamtąd, gdzie jesteś, i słyszę lepiej, niż ktokolwiek na świecie. Nie jestem takim śpiochem, jakby sobie życzyło wielu złodziei!

Drizzt nie wątpił oczywiście nawet w jedno słowo, lecz choć wszystko poszło tak dobrze, jak tego pragnął, znalazł się w lekkich kłopotach. Nie mógł czekać dzień, by wznowić swą rozmowę z czerwonym, podobnie jak jego towarzysze. Jak zareaguje dumny Hefajstos, zastanawiał się Drizzt, gdy smok będzie chciał skontrolować czar, który nigdy nie istniał? Co zaś, Drizzt mówił sobie na skraju paniki, jeśli Hefajstos rzeczywiście zmieni go w czarnego smoka?

- Oczywiście oddech czarnego ma pewną przewagę nad czerwonym - wypalił Drizzt, gdy Hefajstos odchodził.

Czerwony wrócił do niego przerażająco szybko i z przerażającą furią.

- Czy chciałbyś poczuć mój oddech? - warknął Hefajstos. - Zastanawiam się, jak wielkie

byłyby wtedy twoje przechwałki?

- Nie, nie tak - odparł Drizzt. - Nie obrażaj się, potężny Hefajstosie. Naprawdę, widok twojego ognia pozbawił mnie dumy! Jednak nie można nie doceniać oddechu czarnego. Ma zalety przekraczające ogień czerwonego!

- Co mówisz?

- Kwas, o Hefajstosie Niezwykły, Pożeraczu Dziesięciu Tysięcy Bydła - odpowiedział Drizzt. - Kwas przyczepia się do zbroi rycerza, przeżera się zadając długotrwałe męki.

- Tak jak kapiący metal? - spytał z sarkazmem Hefajstos. - Metal stopiony oddechem czerwonego?

- Obawiam się, że dłużej - przyznał Drizzt, opuszczając wzrok. - Zionięcie czerwonego przychodzi jako podmuch zniszczenia, jednak oddech czarnego trwa, ku przestraszowi wrogów.

- Podmuch? - zagrział Hefajstos. - Jak długo może trwać twoje zionięcie, żaloszny czarny? Wiem, że mogę dłużej wydychać!

- Ale... - zaczął Drizzt, wskazując na alkowę. Tym razem nagle wciągnane przez smoka powietrze pociągnęło Drizzta kilka kroków naprzód i niemal zważyło go z nóg. Drow zachował wystarczająco przytomności umysłu, by wykrzyknąć umówiony sygnał - Ognie Dziewięciu Piekieł! - gdy Hefajstos kierował głowę w stronę alkowy.

\* \* \*

- Sygnał! - powiedział Mateusz. - Biegnijcie, jeśli wam życie miłe! Biegnijcie!

- Nigdy! - krzyknął przerażony brat Herschel, a pozostali, oprócz Jankina, nie spierali się.

- Och, takie cierpienie! - zawył fanatyk ze skołtunionymi włosami, wychodząc z tunelu.

- Musimy, żeby ratować życie! - przypomniał im Mateusz, chwytając Jankina za włosy, by powstrzymać go przed pójściem w złą stronę.

Przez kilka sekund przedzierali się do wyjścia z tunelu, zaś później pozostali bracia, zdając sobie najprawdopodobniej sprawę, że wkrótce minie ich jedyna nadzieja, wypadli z tunelu i ruszyli w dół prowadzącą ze ściany ścieżką. Gdy się otrząsnęli, znaleźli się w sporym dylemacie i kręcili się bezradnie, nie wiedząc, czy wspinać się z powrotem na górę do tunelu, czy też kierować do wyjścia. Ich zdesperowana wspinaczka nie powodowała zbyt dużych postępów we wdzieraniu się na górę, zwłaszcza że Mateusz wciąż starał się trzymać Jankina, tak więc wyjście było jedyną drogą. Potykając się o siebie, mnisi biegli przez pomieszczenie.

Nawet przerażenie nie powstrzymało żadnego z nich przed podniesieniem paru błyskotek.

\* \* \*

Nigdy wcześniej nie było takiego podmuchu smoczego ognia! Hefajstos ryczał bez przerwy z zamkniętymi oczyma, niszcząc kamień w alkowie. Wielkie jężory ognia wdzierały się do pomieszczenia - a Drizzt niemal zemdlął z gorąca - lecz rozwścieczony smok nie przestawał, zdecydowany raz na zawsze upokorzyć denerwującego gościa.

Hefajstos zerknął raz, by spojrzeć na efekty swego pokazu. Smoki znały swoje skarbcze lepiej niż cokolwiek na świecie i Hefajstos nie przegapił pięciu sylwetek uciekających przez komnatę w stronę wyjścia.

Zionięcie skończyło się nagle i smok obrócił się. - Złodzieje! - ryknął, rozszczepiając kamienie swym donośnym głosem.

Drizzt wiedział, że gra się kończy.

Wielka, wypełniona zębiskami paszcza rzuciła się w stronę drowa. Drizzt przesunął się w bok i podskoczył, nie mając żadnej innej drogi. Chwycił jeden ze smoczych rogów i uchwycił się głowy bestii. Drizzt zdołał wdrapać się na jej czubek i trzymał się z całych sił, gdy rozwścieczony smok starał się go zrzucić. Drow sięgnął po sejmitar, lecz natrafił na kieszeń. Bez chwili wahania sypnął piaskiem w złe oko smoka.

Hefajstos wpadł w szal, rzucał gwałtownie głową, w górę, w dół i dookoła. Drizzt trzymał się uparcie i zdradliwy smok wpadł na lepszy sposób.

Drizzt zrozumiał zamiary Hefajstosa, gdy głowa z całą prędkością zaczęła wznosić się w górę. Strop nie był tak wysoko - nie, w porównaniu z długością węzowej szyi Hefajstosa. Był to długi upadek, lecz stanowił zdecydowanie lepszy los. Drizzt spadł, akurat gdy smocza głowa walnęła w skałę.

Drow chwiejąc się wstał, gdy Hefajstos, niezbyt spowolniony przez silne uderzenie, wciągał powietrze. Drowa ocaliło szczęście, zresztą nie pierwszy ani ostatni raz, bowiem spory kawałek skały oderwał się z nadwierzęzonego stropu i spadł smokowi na głowę. Oddech Hefajstosa wyleciał z nieszkodliwym sapnięciem, a Drizzt z całą prędkością rzucił się za kopiec ze skarbami.

Hefajstos ryknął z wściekłością i bez zastanowienia wypuścił resztę oddechu, prosto w kopiec. Złote monety stapały się ze sobą, a ogromne klejnoty pękały pod ciśnieniem. Pagórek miał u podstawy koło siedmiu metrów średnicy i był zbity, jednak Drizzt poczuł po przeciwnej stronie płomień. Odskoczył od sterty, a jego płaszcz dymił i przyczepiło się do niego stopione złoto.

Drizzt wyłonił się z wyciągniętymi sejmitarami, gdy smok się cofał. Drow natarł śmiało, bezmyślnie, zamachując się z całej siły. Zatrzymał się oszołomiony po zaledwie dwóch ciosach, a obydwie sejmitary pulsowały mu boleśnie w dłoniach. Równie dobrze mógłby uderzać nimi o kamienną ścianę!

Hefajstos, z głową w górze, nie zwrócił uwagi na atak. - Moje złoto! - zawodził. Następnie spojrzął w dół, a jego płonące oczy znów przewiercały drowa. - Moje złoto! - powtórzył złowieszczo Hefajstos.

Drizzt wzruszył niewinnie ramionami i rzucił się do biegu.

Hefajstos zamachnął się ogonem, uderzając nim w kolejny kopiec i zasypując pomieszczenie latającymi złotymi i srebrnymi monetami oraz klejnotami. - Moje złoto! - smok grzmiał bez przerwy, przedzierając się przez zbite sterty.

Drizzt położył się za kolejnym kopcem. - Pomóż mi, Guenhwyvar - poprosił, upuszczając figurkę.

- Czuję cię, złodzieju! - wycedził smok niedaleko od kopca Drizzta.

W odpowiedzi, na czubek sterty wskoczyła pantera, zaryczała buntowniczo, po czym odskoczyła. Znajdujący się na dole Drizzt słuchał uważnie, licząc kroki, gdy Hefajstos parł do przodu.

- Pożrę cię, zmiennokształtny! - zagrzmiał smok i opuścił rozwartą paszczę na Guenhwyvar.

Jednak zęby, smocze zęby, nie miały większego wpływu na niematerialną mgłę, którą stała się Guenhwyvar.

Drizzt zdołał wsunąć do kieszeni kilka błyskotek, gdy uciekał, a jego odwrót osłaniany był harmidrem wywoływanym przez rozwścieczonego smoka. Komnata była wielka i Drizzt nie zdążył jej jeszcze opuścić, gdy Hefajstos otrząsnął się i go zauważył. Zdumiony, lecz nie mniej wściekły, smok ryknął i rzucił się za Drizztem.

W języku goblinów, o którym Drizzt wiedział z książki, że Hefajstos nim mówi, Drizzt wrzasnął - Kiedy głupia bestia wyjdzie za mną na zewnątrz, przyjdźcie i zabierzcie resztę!

Hefajstos zatrzymał się raptownie i obrócił, spoglądając na niski tunel, który prowadził do kopalni. Głupi smok był w strasznym dylemacie, tak bardzo chciał rozgnieść bezczelnego drowa, lecz obawiał się kradzieży z tyłu. Podszedł do tunelu i wałnął pokrytą łuską głową w skałę powyżej, dla dobrego wrażenia, po czym cofnął się, by wszystko przemyśleć.

Smok wiedział, że złodzieje dotarli już do wyjścia. Musiał wyłonić się na otwartą przestrzeń, jeśli chciał ich złapać - a nie była to rozsądna propozycja jak na tę porę roku, zważywszy na lukratywne zajęcie bestii. W końcu Hefajstos rozwiązał ten dylemat tak, jak sobie radził z każdym problemem. Przysiągł zjeść całą następną wyprawę kupców, która tu przyjdzie. Odzyskawszy dumę tym postanowieniem, o którym bez wątpienia zapomni, gdy wróci do snu, smok przeszedł się po komnacie, zbierając złoto z powrotem w sterty i ocalając co mógł, z tego, co nieuważnie stopił.

## 22

### DO DOMU

- Przeprowadziłeś nas! - krzyknął brat Herschel. Wszyscy mnisi, oprócz Jankina, rzucili się, by uściskać mocno Drizzta, gdy tylko ten dogonił ich w kamienistej dolinie na zachód od wejścia do legowiska smoka.

- Jeśli jest jakiś sposób, w jaki możemy ci się odwdzińczyć...?

Drizzt w odpowiedzi opróżnił swoje kieszenie i pięć par oczu rozszerzyło się, gdy wysypywały się złote cacka i świecidelka. Zwłaszcza jeden klejnot, pięciocentymetrowy rubin, obiecywał bogactwo przekraczające wszystko, co bracia kiedykolwiek sobie wyobrażali.

- Dla was - wyjaśnił Drizzt. - To wszystko. Nie potrzebuję skarbów.

Mnisi rozejrzeli się pełnym winy wzrokiem, żaden z nich nie chciał ujawniać łupów przechowywanych we własnych kieszeniach. - Może powinieneś trochę zatrzymać - zaproponował Mateusz - jeśli wciąż zamierzasz żyć samodzielnie.

- Zamierzam - powiedział stanowczo Drizzt.

- Nie możesz tu zostać - stwierdził Mateusz. - Gdzie pójdziesz?

Drizzt nie zastanawiał się nad tym. Wiedział tylko, że jego miejsce na pewno nie jest wśród Płaczących Braci. Rozmyślał przez chwilę, przypominając sobie liczne ślepe krańce dróg, którymi podróżował. Nagle w jego umyśle pojawiła się idea.

- Ty to powiedziałeś - Drizzt rzekł do Jankina. - Nazwałeś to miejsce na tydzień przed tym, jak weszliśmy do tunelu.

Jankin spojrzał na niego z zaciekawieniem.

- Dekapolis - powiedział Drizzt. - Kraina łotrów, gdzie łotr może znaleźć swoje miejsce.

- Dekapolis? - wyjąkał Mateusz. - Chyba powinieneś jeszcze raz zastanowić się nad swoją decyzją, przyjacielu. Dolina Lodowego Wichru nie jest zbyt przyjaznym miejscem.

- Wiecznie wieje wiatr - dodał Jankin z tęsknotą w swych ciemnych i głębokich oczach. - Pełen piekącego piasku i mroźny. Pójdę z tobą!

- I potwory! - odezwał się jeden z pozostałych, uderzając Jankina w tył głowy. - Yeti z tundry, białe niedźwiedzie i dzicy barbarzyńcy! Nie, nie poszedłbym do Dekapolis, nawet gdyby sam Hefajstos próbował mnie tam zagonić!

- Cóż, smok mógłby - powiedział Herschel, spoglądając nerwowo w kierunku niezbyt oddalonego legowiska. - W pobliżu są jakieś gospodarstwa. Może moglibyśmy spędzić tam noc i jutro wrócić do tunelu.

- Nie pójdę z wami - powtórzył Drizzt. - Nazwaliście Dekapolis nieprzyjaznym miejscem, lecz czy w Mirabar zostanę ciepło przyjęty?

- Pójdziemy tej nocy do rolników - odparł Mateusz, rozważając ponownie jego słowa. - Kupimy ci tam konia i potrzebne zapasy. W ogóle nie chcę, żebyś odchodził - rzekł - lecz Dekapolis wydaje się dobrym wyborem... - spojrzał wymownie na Jankina - ...dla drowa. Wielu znalazło tam swoje miejsce. Naprawdę jest to dom dla kogoś, kto go nie posiada.

Drizzt dostrzegał w głosie brata szczerą i doceniał jego wdzięczność. - Jak je odnajdę? - spytał.

- Idź wzdłuż gór - odpowiedział Mateusz. - Utrzymuj je zawsze po swojej prawej ręce. Gdy dotrzesz do ich krańca, znajdziesz się w Dolinie Lodowego Wichru. Zaledwie jeden szczyt znajduje się na równinie na północ od Grzbietu Świata. Wokół niego zbudowane są miasta. Niech będą one tym, na co masz nadzieję.

Mnisi zaczęli się przygotowywać do wymarszu. Drizzt założył ręce za głowę i oparł się o

ścianę doliny. Rzeczywiście był to czas rozstania z braćmi, nie mógł się jednak pozbyć poczucia winy i samotności. Drobne bogactwo, jakie zabrał ze smoczego legowiska, znacznie zmieni życie jego towarzyszy, ochroni ich i da im wszystko, co potrzebne, jednak nie mogło nic zrobić z barierami, jakim stawiał czoła Drizzt.

Dekapolis, kraina, którą Mateusz nazwał domem dla bezdomnych, miejsce ściągające tych, którzy nie mają dokąd pójść, dawało drowowi trochę nadziei. Jak wiele razy los sobie z niego zakpił? Do jak wielu bram zbliżał się z nadzieją tylko po to, by zostać zawrócony przez ostrze włóczni? Tym razem będzie inaczej, mówił sobie Drizzt, bowiem jeśli nie zdoła znaleźć dla siebie miejsca w krainie łotrów, nie będzie dla niego miejsca już nigdzie.

Dla osaczonego drowa, który tak długo uciekał od tragedii, winy i uprzedzeń, od których nie mógł uciec, nadzieja nie była przyjemnym uczuciem.

\* \* \*

Tej nocy, gdy mnisi udali się do niewielkiej wioski, Drizzt obozował w małym zagajniku. Wrócili następnego poranka, prowadząc dobrego konia, lecz jeden z ich grupy był nieobecny.

- Gdzie jest Jankin? - spytał zatroskany Drizzt.

- Związany w stodole - odparł Mateusz - Próbował uciec w nocy, wrócić...

- Do Hefajstosa - dokończył za niego Drizzt.

- Jeśli w ciągu dnia to będzie mu dalej chodzić po głowie, możemy go po prostu puścić - dodał z niesmakiem Herschel.

- Oto twój koń - powiedział Mateusz - jeżeli przez noc nie zmieniłeś zdania.

- A oto nowe odzienie - rzekł Herschel. Podał Drizztowi porządny, podbity futrem płaszcz.

Drow dostrzegł nietypową dla braci hojność i niemal zmienił zdanie. Nie mógł jednak odrzucić swych innych potrzeb.

Aby okazać swoje zdecydowanie, drow podszedł prosto do zwierzęcia, zamierzając się na nie wspiąć. Drizzt widział wcześniej konia, jednak nigdy z tak bliska. Był zdumiony siłą zwierzęcia, mięśniami falującymi wzdłuż szyi, a również wysokością jego grzbietu.

Spędził chwilę wpatrując się koniowi w oczy, przekazując mu swoje zamiary najlepiej jak umiał. Następnie, ku zaskoczeniu wszystkich, nawet samego drowa, koń się schylił, pozwalając Drizztowi z łatwością wspiąć się na siodło.

- Masz podejście do koni - stwierdził Mateusz. - Nigdy nie wspominałeś, że jesteś wyszkolonym jeźdźcem.

Drizzt tylko przytaknął i robił co mógł, by utrzymać się w siodle, gdy koń przeszedł w kłus. Sporo czasu zajęło drowowi określenie, w jaki sposób kontroluje się zwierzę i pojechał daleko na wschód - w złą stronę - zanim zdołał zawrócić. Drizzt bez przerwy starał się zachować swą fasadę, a mnisi, nigdy nie posiadający koni dla siebie, tylko przytakiwali i uśmiechali się.

Kilka godzin później Drizzt jechał na zachód, wzdłuż południowych zboczy Grzbietu

Świata.

\* \* \*

- Płaczący Bracia - wyszeptał Roddy McGristle, spoglądając ze skały na bandę, która kilka dni później wracała do tunelu.

- Co? - zapał Tephanis, wylatując ze swego worka, by dołączyć do Roddy'ego. Po raz pierwszy szybkość skrzata okazała się zdradliwa. Zanim zdał sobie sprawę z tego, co mówi, Tephanis wypalił - To - niemożliwe! Przecież - smok...

Wzrok Roddy'ego padł na Tephanisa niczym cień niosącej burzę chmury.

- To - znaczy - ja - założyłem... - wyjąkał Tephanis, uświadomił sobie jednak, że Roddy, który znał tunel lepiej niż on i wiedział o zamiłowaniu skrzata do zamków, odgadł jego nierozważny uczynek.

- Wziąłeś na siebie zabicie drowa - powiedział spokojnie Roddy.

- Proszę, mój - panie - odparł Tephanis. - Ja - nie - chciałem... Ja - się - bałem - o - ciebie. Drow - jest - diabłem, powiadam! Wysłałem - ich - tunelem - do - smoka. Sądziłem, że - ty...

- Zapomnij o tym - warknął Roddy. - Zrobiłeś to, co zrobiłeś i skończmy już z tym. Teraz włącz do worka. Może uda nam się to naprawić, jeśli drow nie jest martwy.

Tephanis przytaknął z ulgą i wsunął się z powrotem do worka. Roddy podniósł go i zawołał psa.

- Porozmawiam z braćmi - obiecał łowca nagród - ale najpierw... - Roddy zamachnął się workiem i uderzył nim o kamienną ścianę.

- Panie! - dobiegł stłumiony krzyk skrzata.

- Ty kradnący drowy... - prychnął Roddy i bezlitośnie walił workiem o nie poddającą się skałę. Tephanis szamotał się przy kilku pierwszych uderzeniach, udało mu się nawet rozpocząć wycinanie otworu swoim małym sztyletem. Nagle jednak worek ściemniał od wilgoci i skrzat przestał się ruszać.

- Kradnący drowy mutancie - wymamrotał Roddy, odrzucając zakrwawiony pakunek. - Chodź, psie. Jeśli drow żyje, bracia będą wiedzieć, gdzie go znaleźć.

\* \* \*

Płaczący Bracia byli zakonem poświęconym cierpieniu i paru z nich, zwłaszcza Jankin, rzeczywiście sporo wycierpieli w życiu. Nikt z nich jednak nie wyobrażał sobie nigdy poziomu okrucieństwa, jaki reprezentują ręce dzikookiego Roddy'ego McGristle i zanim minęła godzina, Roddy również jechał na zachód wzdłuż południowej krawędzi łańcucha górskiego.

\* \* \*

Chłodny wschodni wiatr nappełniał jego uszy swą nie kończącą się pieśnią. Drizzt słyszał ją w każdej sekundzie, odkąd okrążył zachodnią krawędź Grzbietu Świata i skręcił na północny wschód, w jałowy obszar nazwany dzięki temu wiatrowi Doliną Lodowego Wichru. Z chęcią



przyjmował żałobny jęk i mroźne ukąszenia wiatru, bowiem dla Drizzta podmuch powietrza był łykiem wolności.

Kolejny symbol owej wolności, widok rozległego morza, pojawił się przed drowem, gdy okrążył łańcuch górski. Drizzt odwiedził kiedyś wybrzeże, w drodze do Luskan, i teraz chciał się zatrzymać, by znów przejechać kilka kilometrów do brzegu. Chłodny wiatr przypominał mu jednak o zbliżającej się zimie i drow zdawał sobie sprawę z trudności, na jakie natknie się, próbując podróżować doliną, gdy spadnie pierwszy śnieg.

Drizzt dostrzegł Kopiec Kelvina, samotną górę w tundrze na północ od wielkiego łańcucha, już pierwszego dnia, gdy skręcił w dolinę. Zbliżał się do niego z niepokojem, wyobrażając sobie ten pojedynczy szczyt jako drogowskaz do krainy, którą będzie nazywać domem. Niepewna nadzieja wypełniała go za każdym razem, gdy skupiał się na górze.

Minął kilka mniejszych grup, samotnych wozów czy garstek mężczyzn na koniach, zbliżał się bowiem do okolic Dekapolis drogą dla karawan, od południowego zachodu. Słońce znajdowało się nisko na zachodzie i jego światło było przytłumione. Drizzt trzymał nisko kaptur swego płaszcza, kryjąc swą mahoniową skórę. Kiwał uprzejmie głową do każdego mijanego podróżnika.

Sporą część okolicy zajmowały trzy jeziora, otaczające kamienisty Kopiec Kelvina, który wznosił się na trzysta metrów ponad poszarpaną równinę i był pokryty śniegiem nawet podczas krótkiego lata. Ze wszystkich dziesięciu miast, którym ten region zawdzięczał swą nazwę, jedynie najważniejsze z nich, Bryn Shander, leżało z dala od jezior. Znajdowało się ponad równiną, na małym wzgórzu a jego flaga powiewała pod naporem bezustannego wiatru. Trasa karawan, którą podróżował Drizzt, prowadziła właśnie do tego miasta, najważniejszego w regionie targu.

Na podstawie dymów wznoszących się z odległych palenisk Drizzt mógł stwierdzić, że o kilka kilometrów od osiedla na wzgórzu znajdowało się też kilka innych społeczności. Przez chwilę zastanawiał się nad drogą, niezdecydowany czy nie powinien udać się do jednego z tych mniejszych, oddalonych miasteczek, zamiast jechać prosto do głównej osady.

- Nie - powiedział stanowczo drow, wsuwając dłoń do kieszeni, by dotknąć onyksowej figurki. Drizzt popędził swego konia naprzód, w górę wzgórza, do bram otoczonego murem miasta.

- Kupiec? - spytał jeden z dwóch strażników, którzy stali znudzeni przy okutych żelazem wrotach. - Trochę za późno jak na handel.

- Nie kupiec - odparł Drizzt, zdenerwowany, że ta godzina nadeszła. Sięgnął powoli do kaptura, próbując powstrzymać drżenie dłoni.

- Z jakiego miasta w takim razie? - zapytał drugi strażnik. Drizzt puścił kaptur, odwaga go opuściła, gdy usłyszał to bezceremonialne pytanie.

- Z Mirabar - odpowiedział szczerze i wtedy, zanim zdążył się powstrzymać i zanim strażnicy zadali następne rozprasające jego uwagę pytanie, sięgnął w górę i ściągnął kaptur.

Dwie pary oczu otworzyły się szeroko, a ręce natychmiast opadły na przypięte do pasów

miecze.

- Nie! - odezwał się nagle Drizzt. - Nie, proszę. - W jego głosie i postawie ukazało się nagle znużenie, którego strażnicy nie mogli zrozumieć. Drizzt stracił już siłę do tych pozbawionych sensu walk. Przeciwno hordzie goblinów lub błakającemu się gigantowi sejmity drowa z łatwością pojawiały się w jego dłoniach, lecz przeciwno komuś, kto walczył z nim tylko z powodu niewłaściwego postrzegania, ostrza niezwykle ciążyły.

- Przybyłem z Mirabar - ciągnął Drizzt, a z każdą sylabą jego głos stawał się pewniejszy - do Dekapolis, aby spocząć tu w pokoju. - Rozłożył szeroko ręce, pokazując, że nie stanowi zagrożenia.

Strażnicy nie wiedzieli, jak zareagować. Żaden z nich nie widział nigdy mrocznego elfa - choć wiedzieli bez cienia wątpliwości, że Drizzt był właśnie nim - ani też nie słyszeli o ich rasie więcej, niż tylko snute przy kominku opowieści o pradawnej wojnie, która rozdzieliła ród elfów.

- Poczekaj tu - jeden ze strażników wyszeptał do drugiego, który wyglądał tak, jakby nie pochwałał tego polecenia. - Pójdę poinformować burmistrza Cassiusa. - Stuknął w okutą żelazem bramę i wślizgnął się do środka zaraz po tym, jak uchyliła się na tyle szeroko, by zdołał się zmieścić. Pozostały strażnik spoglądał na Drizzta nie mrugając oczyma i nie spuszczać dłoni z rękojeści miecza.

- Jeśli mnie zabijesz, wystrzeli do ciebie sto kusz - oznajmił, całkowicie bezskutecznie próbując mówić jak pewny siebie człowiek.

- Dlaczego miałbym to zrobić? - spytał niewinnie Drizzt, trzymając rozłożone ręce i spokojną postawę. Jak na razie spotkanie przebiegało pomyślnie, a przynajmniej tak uważał. W każdej innej osadzie, do której ośmielił się zbliżyć, ci, którzy widzieli go pierwsi, uciekali w przerażeniu lub gonili go z wyciągniętą bronią.

Drugi strażnik wrócił niedługo później z niskim i szczupłym mężczyzną, gładko ogolonym i z błyszczącymi, niebieskimi oczyma, które bez przerwy się wpatrywały w drowa, chłonąc każdy szczegół.

Spoglądał długo na Drizzta, rozważając każdy jego ruch i cechę wyglądu. - Jestem Cassius - powiedział w końcu. - Burmistrz Bryn Shander oraz Główny Burmistrz Rady Rządzącej Dekapolis.

Drizzt uklonił się nisko. - Jestem Drizzt Do'Urden - rzekł - z Mirabar i miejsc za nim się znajdujących, który teraz przybył do Dekapolis.

- Dlaczego? - spytał ostro Cassius, próbując zbić go z tropu. Drizzt wzruszył ramionami. - Czy powód jest niezbędny?

- Dla mrocznego elfa... być może - odpowiedział szczerze Cassius.

Akceptujący uśmiech Drizzta rozbroił burmistrza i uciszył dwóch strażników, którzy stali blisko po jego bokach. - Nie mogę zaoferować żadnego powodu poza moim pragnieniem przyjscia - ciągnął Drizzt. - Długa była moja droga, burmistrzu Cassiusie. Jestem znużony i potrzebuję

odpocząć. Dekapolis jest miejscem dla łotrów, jak mi powiedziano, a nie wątpię, że mroczny elf jest łotrem dla mieszkańców powierzchni.

Brzmiało to dość logicznie, a szczerość Drizzta była wyraźna dla burmistrza. Cassius opuścił podbródek na dłoń i rozmyślał przez długi czas. Nie obawiał się drowa ani nie wątpił w jego słowa, nie miał jednak zamiaru dopuścić do zamieszania, jakie drow wywoła w jego mieście.

- Bryn Shander nie jest miejscem dla ciebie - powiedział bezceremonialnie Cassius, a lawendowe oczy Drizzta zmrużyły się, gdy usłyszał to krzywdzące oświadczenie. Nie zrażony tym Cassius wskazał na północ. - Idź do Lonelywood, w lesie na północnym brzegu Maer Dualdon - zaproponował. Skierował następnie wzrok na południowy wschód. - Albo do Good Mead albo Dougan's Hole nad południowym jeziorem, Czerwonymi Wodami. Są to mniejsze miasta, gdzie wywołasz mniej zamieszania i mniej kłopotów.

- A jeśli odmówią mi wejścia? - spytał Drizzt. - Gdzie wtedy, dobry burmistrzu? Zginąć na wietrze na tej pustej równinie?

- Nie wiesz...

- Wiem - przerwał Drizzt. - Wiele razy grałem w tę grę. Kto powita drowa, nawet takiego który porzucił swój lud i jego zwyczaje i który niczego nie pragnie bardziej niż pokoju? - Głos Drizzta był stanowczy i nie wyrażał żalu, a Cassius znów uznał, że te słowa są prawdziwe.

Cassius naprawdę czuł sympatię do drowa. Sam był kiedyś łotrem i był zmuszony udać się na drugi koniec świata, do mroźnej Doliny Lodowego Wichru, by odnaleźć dom. Nie było żadnego dalszego krańca, Dolina Lodowego Wichru była ostatnim przystankiem. Wtedy Cassius wpadł na inną myśl, możliwe rozwiązanie tego dylematu, które będzie w zgodzie z jego sumieniem.

- Od jak dawna żyjesz na powierzchni? - spytał Cassius szczerze zainteresowany.

Drizzt zastanawiał się przez chwilę nad pytaniem, nie wiedział, co chce osiągnąć burmistrz.

- Siedem lat - odpowiedział.

- Na północy? - Tak.

- A mimo to, nie znalazłeś żadnego domu, żadnej wioski, która by cię przyjęła - rzekł Cassius. - Przetrwaleś nieprzyjemne zimy i, bez wątpienia, bardziej bezpośrednich przeciwników. Czy dobrze władasz tymi ostrzami, które masz przypięte do pasa?

- Jestem tropicielem - powiedział pewnym głosem Drizzt.

- Niezwykła profesja jak na drowa - stwierdził Cassius.

- Jestem tropicielem - powtórzył z większym naciskiem Drizzt. - Dobrze obeznanym w prawidłach natury oraz używaniu mojej broni.

- Nie wątpię - rzekł w zamyśleniu Cassius. Milczał przez chwilę, po czym powiedział - Jest miejsce, które daje osłonę i odosobnienie. - Burmistrz poprowadził wzrok Drizzta na północ, ku kamienistym zboczom Kopca Kelvina. - Za doliną krasnoludów leży góra - wyjaśnił Cassius - zaś za nią otwarta tundra. Byłoby dobrze dla Dekapolis, gdyby na północnych zboczach góry mieszkał

zwiadowca. Niebezpieczeństwo wydaje się zawsze przychodzić z tego kierunku.

- Przybyłem tu, by odnaleźć dom - wtrącił się Drizzt. - Ty zaś oferujesz mi kupę kamieni i obowiązek wobec tych, którym nic nie jestem winien. - Tak naprawdę propozycja ta przemawiała do tropicielskiej duszy Drizzta.

- Czy muszę ci mówić, że to nie jest takie proste? - odparł Cassius. - Nie wpuszczę drowa do Bryn Shander.

- Czy człowiek musiałby dowieść swojej wartości?

- Człowiek nie niesie ze sobą tak ponurej reputacji - odpowiedział bez wahania Cassius. - Gdybym był taki wielkoduszny, gdybym przywitał cię na samo twoje słowo i otworzył szeroko bramę, czy wszedłbyś i znalazł sobie dom? Obydwoje wiemy, że nie, drowie. Nikt w Bryn Shander nie byłby taki życzliwy, zapewniam cię. Powodowałbyś zamęt gdziekolwiek byś nie poszedł i, niezależnie od swojego charakteru i zamiarów, byłbyś zmuszany do walki. Podobnie będzie w innych miastach - ciągnął Cassius, zgadując, że jego słowa zagrały nutą prawdy w bezdomnym drowie. - Oferuję ci dziurę w kupie kamieni, w granicach Deka - polis, gdzie twoje czyny, dobre lub złe, określą ci reputację wykraczającą poza kolor skóry. Czy teraz moja propozycja wciąż wydaje się taka płytka?

- Będę potrzebował zapasów - powiedział Drizzt, akceptując prawdę zawartą w słowach Cassiusa. - A co z moim koniem? Nie sędzę, aby górskie zbocza były odpowiednim miejscem dla takiego zwierzęcia.

- Sprzedaj więc swego konia - zaproponował Cassius, - Mój strażnik weźmie za niego dobrą cenę i wróci tu z niezbędnymi ci zapasami.

Drizzt przez chwilę zastanawiał się nad tą sugestią, po czym podał wodze Cassiusowi.

Burmistrz odszedł wtedy, uważając się zadość przebiegłego. Nie tylko zapobiegł kłopotom, lecz również przekonał Drizzta, by pilnował jego granic, a wszystko to w miejscu, gdzie Bruenor Battlehammer i jego klan krasnoludów o ponurych twarzach z pewnością powstrzymają drowa przed sprawianiem jakichkolwiek problemów.

\* \* \*

Roddy McGristle wjechał swym wozem do małej wioski, leżącej w cieniu zachodniego krańca gór. Łowca nagród wiedział, że wkrótce spadnie śnieg i nie miał zamiaru dać się mu zaskoczyć w połowie drogi przez dolinę. Zostanie tutaj z rolnikami i przeczeka zimę. Nic nie mogło opuścić doliny, nie przechodząc przez tę okolice, i jeśli Drizzt tam poszedł, jak zeznali mnisi, nie miał gdzie uciec.

\* \* \*

Drizzt odszedł spod bram tej nocy, pomimo doskwierającego zimna. Bezpośrednia droga do góry prowadziła go wzdłuż wschodniej krawędzi skalistej rozpadliny, którą krasnoludy uważały za swój dom. Drizzt podjął szczególne środki ostrożności, by uniknąć strażników, których mógł

wystawić brodaty lud. Jak dotąd tylko raz napotkał krasnoludy, gdy przechodził obok Cytadeli Adbar w czasie najwcześniejszego okresu tułaczki po opuszczeniu Zagajnika Mooshiego, i nie było to przyjemne przeżycie. Krasnoludzkie patrole ściagały go, nie dając szansy na wyjaśnienia, i podążały za nim przez góry przez wiele dni.

Mimo całej rozwagi, z jaką przechodził obok doliny, Drizzt nie mógł zignorować wysokiej sterty kamieni, na którą się natknął, podejścia ze stopniami wykutymi w spiętrzonych głazach. Nie dotarł jeszcze do połowy drogi do góry, miał jeszcze sporo do przejścia w ciągu kilku nocnych godzin, a jednak zbaczał z drogi urzeczony przez poszerzającą się panoramę otaczających go światła miejskich.

Podejście nie było wysokie, miało około piętnastu metrów, jednak w płaskiej tundrze i czystym nocnym powietrzu Drizzt został uraczony widokiem pięciu miast: dwóch nad brzegiem jeziora na wschodzie, dwóch nad jeziorem na zachodzie, oraz Bryn Shander na swoim pagórku na południu.

Drizzt nie wiedział, ile minut minęło, bowiem widok ten wzniecał w nim zbyt wiele nadziei i wizji, by mógł to rejestrować. Był w Dekapolis od niecałego dnia, jednak czuł się już tutaj swobodnie, miał świadomość, że tysiące ludzi wokół góry usłyszą o nim i być może go zaakceptują.

Mrukliwy, dudniący głos wyrwał Drizzta z rozmyślań. Przykucnął defensywnie i przeczołgał się za głaz. Zbliżającą się sylwetkę wyróżniał strumień narzekań. Miała szerokie ramiona i była mniej więcej o głowę niższa od Drizzta, choć wyraźnie cięższa niż on. Drizzt wiedział, że to krasnolud, zanim postać przystanęła, by poprawić swój hełm uderzeniem głowy o kamień.

- Dagnaggit - wymamrotał krasnolud, drugi raz „poprawiając” hełm.

Drizzt był bardzo zaintrygowany, zdawał sobie jednak również sprawę, że mamroczący krasnolud nie przywitałby zbyt radośnie nie zapowiedzianego drowa w środku ciemnej nocy. Gdy krasnolud przesuwał się, aby znów poprawić nakrycie głowy, Drizzt zerwał się, biegnąc lekko i cicho z boku szlaku. Przemknął blisko krasnoluda, lecz zniknął z nie większym szmerem, niż czyni cień chmury.

- Ech? - mruknął krasnolud, gdy wstał, tym razem zadowolony z położenia hełmu. - Kto to?

- Co tu robisz? - Rozpoczął serię krótkich skoków, rozglądając się bacznie dookoła.

Była jedynie ciemność, kamienie i wiatr.

Pierwszy w tym sezonie śnieg opadał leniwie na Dolinę Lodowego Wichru, duże płatki zlatywały wykonując po drodze pełen nagłych zwrotów taniec, jakże inny od smagających wichrem

burz śnieżnych, tak charakterystycznych dla tego regionu. Młoda dziewczyna, Cattibrie, obserwowała to z wyraźnym oczarowaniem z progu swego mieszczącego się w jaskini domu, a kolor jej granatowych oczu wydawał się jeszcze czystszy na tle pokrywającego ziemię białego koca.

- Późno przychodzi, ale jak już jest, to pada mocno - wymamrotał Bruenor Battlehammer, rudowłosy krasnolud, stając za Cattibrie, swą adoptowaną córką. - To będzie niechybnie ciężka zima, jak wszystko tutaj dla białych smoków!

- Och, mój tatusiu! - odparła stanowczo Cattibrie. - Przestań narzekać! Patrz jak pięknie pada. Jest nieszkodliwy bez wichru, który go niesie.

- Ludzie - parsknął ironicznie krasnolud, wciąż stojąc za dziewczyną. Cattibrie nie mogła widzieć jego miny, czułej wobec niej, nawet gdy narzekał, jednak nie musiała. Bruenor był według szacunków Cattibrie w dziewięciu częściach krzykaczem i w jednej części zrzędą.

Cattibrie obróciła się nagle do krasnoluda, a jej długie do ramion, kasztanowe loki zawirowały wokół twarzy. - Mogę iść się pobawić? - spytała z pełnym nadziei uśmiechem. - Och, proszę tatusiu!

Bruenor wymusił swój najlepszy grymas. - No idź! - ryknął.

- Tylko głupcy wyglądają zimy w Dolinie Lodowego Wichru jako miejsca do zabawy! Okaż trochę rozsądku, dziewczyno! Ta pora roku zmrozi ci kości!

Uśmiech Cattibrie zniknął, lecz nie poddawała się tak łatwo.

- Dobrze mówisz jak na krasnoluda - odparła ku przerażeniu Bruenora. - Dobrze pasujecie do dziur i im mniej nieba widzicie, tym częściej się uśmiechacie! Ja mam jednak przed sobą długą zimę i to może być moja ostatnia szansa na zobaczenie nieba. Proszę, tatusiu?

Bruenor nie mógł utrzymać swego grymasu w obliczu roztaczanego przez jego córkę wdzięku, nie chciał jednak, aby wychodziła. - Obawiam się, że tam coś może łązić - wyjaśnił, starając się zabrzmieć stanowczo. - Wyczułem to na podejściu kilka nocy temu, choć nie widziałem. To może być biały lew albo biały niedźwiedź. Lepiej... - Bruenor nie skończył, bowiem rozczarowane spojrzenie Cattibrie powaliło w gruzy wymaginowane obawy krasnoluda.

Cattibrie nie była nowicjuską w kwestii niebezpieczeństw kryjących się w okolicy. Mieszkała z Bruenorem i jego krasno - ludzkim klanem od ponad siedmiu lat. Łupieżcza wyprawa go - blinów zabiła rodziców Cattibrie, gdy była zaledwie dzieckiem, i choć była człowiekiem, Bruenor zabrał ją do siebie.

- Jesteś uparta, moja dziewczynko! - Bruenor powiedział w odpowiedzi na nieugiętą, pełną żalu minę Cattibrie. - Idź i pobaw się więc, ale nie odchodź za daleko! Daj słowo, że będziesz się trzymać na odległość wzroku od jaskiń, a przy pasie zawieszisz miecz i róg.

Cattibrie podskoczyła do Bruenora i złożyła mu na policzku mokry pocałunek, który taktowny krasnolud szybko wytarł za plecami dziewczyny, gdy ta zniknęła w tunelu. Bruenor był

przywódcą klanu równie wytrzymałego jak obrabiany przez nich kamień. Za każdym jednak razem, gdy Cattibrie całowała go w policzek, krasnolud dochodził do wniosku, że się jej poddał.

- Ludzie! - warknął znów krasnolud i tupiąc ruszył tunelem w stronę kopalni, zamierzając przekuć kilka kawałków żelaza tylko po to, by przypomnieć sobie o swojej twardości.

\* \* \*

Łatwo było młodej, pełnej werwy dziewczynie usprawiedliwić sobie własne nieposłuszeństwo, gdy spojrzała poprzez dolinę z niższych zboczy Kopca Kelvina, niemal pięć kilometrów od frontowych drzwi Bruenora. Krasnolud powiedział Cattibrie, by trzymała jaskinie w zasięgu wzroku, i było tak, przynajmniej w tym wyżej położonym punkcie.

Cattibrie jednak, radośnie ześlizgując się w dół po wyboistym zboczu, odkryła wkrótce, że popełniła błąd nie zwracając uwagi na ostrzeżenia swego bardziej doświadczonego ojca. Dotarła na dno po przyjemnym zjeździe i pocierała właśnie o siebie dłońmi, by pozbyć się z nich zimna, kiedy usłyszała niski i złowieszczy warkot.

- Biały lew - poruszyła bezgłośnie wargami Cattibrie, przypominając sobie podejrzenia Bruenora. Kiedy spojrzała w górę, zauważyła, że jej ojciec niezbyt utrafił w sedno. Na dziewczynę istotnie spoglądał z nagiego, kamienistego pagórka wielki kot, jednak był czarny, nie biały, był wielką panterą, nie lwem.

Nieufnie Cattibrie wyciągnęła nóż z pochwy. - Trzymaj się z dala, kocie! - powiedziała z zaledwie lekkim drżeniem w głosie, ponieważ wiedziała, że strach skłaniał dzikie zwierzęta do ataku.

Guenhwyvar położyła po sobie uszy i położyła się na brzuchu, po czym wydała z siebie niski i dźwięczny ryk, który odbił się echem po całej kamienistej okolicy.

Cattibrie nie była w stanie nic odpowiedzieć na potęgę tego ryku ani na bardzo długie i liczne zęby, które pokazywała pantera. Rozglądała się w poszukiwaniu jakiejś drogi ucieczki, choć wiedziała, że nieważne gdzie pobiegnie, nie wydostanie się poza zasięg skoku kota.

- Guenhwyvar! - dobiegł z góry krzyk. Cattibrie spojrzała z powrotem na pokryte śniegiem zbocze i ujrzała szczupłą, odzianą w płaszcz sylwetkę, która ostrożnie szła w jej stronę. - Guenhwyvar! - krzyknął znów nowoprzybyły. - Odejdź stąd!

Pantera wydała z siebie gardłową odpowiedź, po czym odbiegła, przemykając po pokrytych śniegiem gładkich i wskakując na małe klify z taką łatwością, jakby poruszała się przez gładki i płaski teren.

Pomimo ciągłego strachu Cattibrie spoglądała za oddalającą się panterą ze szczerym podziwem. Zawsze uwielbiała zwierzęta i często je obserwowała, jednak gra napiętych mięśni Guenhwyvar była wspanialsza, niż wszystko co mogła sobie do tej pory wyobrazić. Kiedy wyszła w końcu z transu, zdała sobie sprawę, że szczupła postać jest tuż przy niej. Obróciła się, wciąż trzymając w dłoni nóż.

Ostrze jej wypadło i nagle straciła oddech, gdy spojrzała na drowa.

Drizzt również był oszołomiony spotkaniem. Chciał się upewnić, że z dziewczyną jest wszystko w porządku, jednak kiedy spojrzał na Cattibrie, wszystkie związane z tym zamierzeniem myśli uleciały mu z głowy.

Była mniej więcej w tym samym wieku co jasnowłosy chłopiec w gospodarstwie, zauważył od razu Drizzt, a myśl ta w nieunikniony sposób przywołała bolesne wspomnienia z Maldobar. Kiedy jednak drow przyjrzał się bliżej oczom Cattibrie, jego myśli podążyły jeszcze dalej w przeszłość, ku czasom gdy maszerował u boku swych mrocznych pobratymców. Oczy Cattibrie miały w sobie tę samą pełną radości i niewinną iskrę, którą Drizzt widział w oczach elfiej dziewczynki, uratowanej przez niego przed okrutnymi ostrzami jego okrutnych towarzyszy. Wspomnienia te zalały Drizzta, posłały go na tę krwawą polanę w elfim lesie, gdzie jego brat i inni brutalnie zabili zgromadzone tam elfy. W szale Drizzt niemal zabił elfie dziecko, niemal wszedł na tę samą mroczną drogę, którą jego pobratymcy podążali z taką ochotą.

Drizzt otrząsnął się z tych wspomnień i przypomniał sobie, że było to inne dziecko, z innej rasy. Chciał się przywitać, jednak dziewczyna zniknęła.

To przekłete słowo, „drizzit”, odbiło się kilkakrotnie echem w myślach drowa, gdy wracał do jaskini na północnym zboczu góry, gdzie urządził sobie dom.

\* \* \*

Tej samej nocy zima zaczęła się w pełni. Zimne wschodnie wichry wiejące z Lodowca Reghed spiętrzały śnieg w wysokie, niemożliwe do pokonania zaspy.

Cattibrie obserwowała śnieg z rozpaczą, obawiając się, że może minąć wiele tygodni, zanim znów będzie mogła iść pod Kopiec Kelvina. Nie powiedziała Bruenorowi ani innym krasno - ludom o drowie z obawy przed karą i tym, że Bruenor odgoni drowa. Spoglądając na spiętrzający się śnieg, Cattibrie żałowała, że nie okazała więcej odwagi, że nie pozostała i nie porozmawiała z tym dziwnym elfem. Każdy podmuch wiatru wzmagął ten żal i dziewczyna zastanawiała się, czy nie straciła na to jedynej szansy.

\* \* \*

- Idę do Bryn Shander - oznajmił Bruenor ponad dwa miesiące później. W typowej dla Doliny Lodowego Wichru zimie pojawiła się nieoczekiwana przerwa, rzadka styczniowa odwilż. Bruenor spoglądał podejrzliwie przez długą chwilę na swą córkę. - Zamierzasz wyjść tego dnia? - spytał.

- Jeśli mogę - odpowiedziała Cattibrie. - Jaskinia zaciska się już wokół mnie, a wiatr nie jest taki zimny.

- Powiem, żeby jakiś krasnolud czy dwóch z tobą poszło - zaproponował Bruenor.

Cattibrie, uważając, że to może być jej szansa na napotkanie drowa, obruszyła się na tę myśl. - Oni wszyscy naprawiają swoje drzwi! - odparła ostrzej, niż zamierzała. - Nie kłopotcz ich



kimś takim jak ja!

Bruenor zmrużył oczy. - Jesteś za bardzo uparta.

- Mam to po tatusiu - Cattibrie powiedziała z mrugnięciem, które powstrzymało jakiegokolwiek dalsze argumenty.

- Uważaj więc na siebie - zaczął Bruenor. - I trzymaj...

- ...jaskinie w zasięgu wzroku! - dokończyła za niego Cattibrie. Bruenor odwrócił się i tupiąc wyszedł z jaskini. Mamrotał bezradnie i przeklinał dzień, w którym wziął to ludzkie dziecko za córkę. Cattibrie tylko zaśmiała się na tę stale powtarzającą się reakcję.

Znów Guenwyvar pierwsza napotkała kasztanowowłosą dziewczynę. Cattibrie poszła prosto w stronę góry i przedzierała się przez zachodnie szlaki, gdy zauważyła czarną panterę nad sobą, obserwującą ją ze skalnej iglicy.

- Guenhwyvar - zawołała dziewczyna, przypominając sobie imię, którego użył drow. Pantera warknęła i zeskoczyła z iglicy.

- Guenhwyvar? - powtórzyła Cattibrie, mniej pewnie, bowiem pantera była już tylko tuzin kroków dalej. Guenhwyvar podniosła uszy na drugi odgłos swojego imienia i napięte mięśnie kocicy wyraźnie się rozluźniły.

Cattibrie zbliżała się powoli, stawiając ostrożnie i powoli stopy. - Gdzie jest mroczny elf, Guenhwyvar?. - spytała cicho. - Możesz mnie do niego zaprowadzić?

- A dlaczego chcesz do niego iść? - dobiegło z tyłu pytanie.

Cattibrie znieruchomiała, przypominając sobie przyjemny, melodyjny głos, po czym powoli odwróciła się w stronę drowa. Był tylko trzy kroki za nią. Cattibrie nie miała pojęcia, co powiedzieć, zaś Drizzt, znów pogrążony we wspomnieniach, stał cicho, obserwując i czekając.

- Jesteś drowem? - spytała Cattibrie, gdy cisza stała się nie do zniesienia. W chwili gdy usłyszała swoje słowa, złązała się w myśli za tak głupie pytanie.

- Jestem - odparł Drizzt. - Co to dla ciebie znaczy? Cattibrie wzruszyła ramionami, słysząc dziwne pytanie. - Słyszałam, że drowy są złe, ale ty na takiego nie wyglądasz.

- A więc podjęłaś wielkie ryzyko, przychodząc tu sama - stwierdził Drizzt. - Nie obawiaj się jednak - dodał szybko, widząc nagły niepokój dziewczyny. - Nie jestem zły i nie skrzywdzę cię. - Po miesiącach spędzonych samotnie w wygodnej, lecz pustej jaskini, Drizzt nie chciał, by spotkanie zakończyło się tak szybko.

Cattibrie przytaknęła, wierząc w jego słowa. - Nazywam się Cattibrie - powiedziała. - Moim ojcem jest Bruenor, Król Klanu Battlehammer.

Drizzt przekrzywił z zaciekawieniem głowę.

- Krasnoludy - wyjaśniła Cattibrie, wskazując na dolinę. Mówiąc to, zrozumiała zakłopotanie Drizzta. - On nie jest moim prawdziwym tatą - rzekła. - Bruenor wziął mnie, gdy byłam jeszcze dzieckiem, kiedy moi prawdziwi rodzice zostali...

Nie mogła dokończyć, lecz Drizzt, rozumiejąc jej ból, wcale tego od niej nie wymagał.

- Jestem Drizzt Do'Urden - wtrącił się drow. - Miło cię poznać Cattibrie, córko Bruenora.

Dobrze jest mieć kogoś, z kim można porozmawiać. Przez te wszystkie zimowe tygodnie miałem tylko Guenhwyvar, kiedy tylko była w pobliżu, a ona oczywiście nie mówi zbyt dużo!

Uśmiech Cattibrie niemal sięgnął jej uszu. Zerknęła przez ramię na panterę, rozłożoną teraz leniwie na ścieżce. - Jest piękna - stwierdziła Cattibrie.

Drizzt nie wątpił w szczerłość dziewczyny ani też w pełne podziwu spojrzenie, jakie skierowała na Guenhwyvar. - Chodź tu, Guenhwyvar - powiedział Drizzt, a pantera przeciągnęła się i powoli wstała. Guenhwyvar podeszła do Cattibrie, a Drizzt skinął głową, odpowiadając na widoczne, choć nie wypowiedziane życzenie dziewczyny. Z początku z wahaniem, a później już pewniej Cattibrie gładziła miękkie futro pantery, czując jej potęgę i doskonałość. Guenhwyvar bez skargi przyjmowała pieszczoty, a nawet stuknęła Cattibrie w bok, gdy dziewczyna przerwała na chwilę, dając jej do zrozumienia, że jej się to podoba.

- Jesteś sama? - spytał Drizzt.

Cattibrie przytaknęła. - Mój ojciec powiedział, żebym trzymała jaskinie w zasięgu wzroku. - Zaśmiała się. - Widzę je stąd dość dobrze, jak mi się wydaje!

Drizzt znów spojrzał na dolinę, ku przeciwległej ścianie znajdującej się jakieś dziesięć kilometrów dalej. - Twój ojciec nie byłby zadowolony. Ta kraina nie jest ujarzmiona. Jestem w górach zaledwie od dwóch miesięcy, a już dwa razy walczyłem z włośchatymi, białymi bestiami, których nie znam.

- Yeti z tundry - odparła Cattibrie. - Musisz mieszkać po północnej stronie. Yeti nie okrażają góry.

- Jesteś taka pewna? - spytał sarkastycznie Drizzt.

- Nigdy żadnego nie widziałam - odpowiedziała Cattibrie - ale nie boję się ich. Przyszłam tu, by znaleźć ciebie i udało mi się.

- Udało - rzekł Drizzt - i co teraz?

Cattibrie wzruszyła ramionami i powróciła do głaskania sierści Guenhwyvar.

- Chodź - zaproponował Drizzt. - Znajdźmy jakieś wygodniejsze miejsce do rozmowy. Blask śniegu kłuje mnie w oczy.

- Jesteś przyzwyczajony do ciemnych tuneli? - spytała z nadzieją Cattibrie, pragnąc usłyszeć opowieści o krainach rozciągających się poza granicami Dekapolis, jedyne znane jej miejsca.

Drizzt i dziewczyna spędzili ze sobą wspaniały dzień. Drow opowiedział jej o Menzoberranzan, zaś Cattibrie odwzajemniła się, mówiąc mu o Dolinie Lodowego Wichru, o swoim życiu wśród krasnoludów. Drizzt był szczególnie zainteresowany słuchaniem o Bruenorze i jego pobratymcach, byli jego najbliższymi sąsiadami.

- Bruenor mówi tak twardo jak kamień, ale ja znam go dobrze ! - Cattibrie zapewniła drowa.

- Jest miły, jak reszta klanu.

Drizzt ucieszył się, słysząc te słowa. Cieszył się też z tego, że nawiązał tę znajomość, zarówno z korzyści, jakie niesło za sobą posiadanie takiej przyjaciółki, jak i z tego, że po prostu lubił jej wdzięczne towarzystwo. Energia i werwa Cattibrie wręcz się z niej wylewały. W jej obecności drow nie przypominał sobie nieprzyjemnych wspomnień, mógł tylko uważać za słuszną swoją decyzję o ocaleniu elfiego dziecka tak wiele lat temu. Śpiewny głos Cattibrie i niedbały sposób, w jaki zarzucała sobie włosy na ramiona, zdejmowały z barków Drizzta brzemień winy z równą łatwością, jak gigant mógł ciskać głazem.

Ich opowieści mogłyby się ciągnąć cały dzień i noc, i jeszcze wiele tygodni później, jednak gdy Drizzt zauważył, że słońce opada w stronę zachodniego horyzontu, zdał sobie sprawę, że dziewczyna musi wracać do domu.

- Odprowadzę cię - zaproponował Drizzt.

- Nie - odparła Cattibrie. - Lepiej nie, Bruenor nie zrozumie, a ty mnie wpędzisz w masę kłopotów. Mogę wrócić sama, nie obawiaj się! Znam te szlaki lepiej niż ty, Drizzcie Do'Urden, i nie przegoniłbyś mnie, nawet gdybyś spróbował!

Drizzt zaśmiał się z tej przechwałki, lecz niemal w nią uwierzył. On i dziewczyna wyruszyli jednocześnie, idąc do najdalej na południe wysuniętej odnogi, gdzie pożegnali się obiecując sobie, że znów się spotkają podczas następnej odwilży, lub też wiosną, jeśli wcześniej się nie da.

Dziewczyna podskakiwała z radością, gdy wróciła do krasno - ludzkiego kompleksu, lecz jedno spojrzenie na ojca pozbawiło ją uczucia szczęścia. Tego poranka Bruenor poszedł do Bryn Shander, załatwić sprawę z Cassiusem. Krasnolud nie był przerażony dowiadując się, że mroczny elf zamieszkał tak blisko jego drzwi, przypuszczał jednak, że jego ciekawska - zbyt ciekawska - córka uzna to za coś wspaniałego.

- Trzymaj się z dala od góry - Bruenor powiedział, zaraz gdy zauważył Cattibrie, która wpadła w rozpacz.

- Ale mój tatusiu... - próbowała protestować.

- Daj słowo, dziewczyno! - polecił krasnolud. - Nie postawisz nogi na tej górze bez mojego pozwolenia! Tam, z tego co mówi Cassius, jest mroczny elf. Daj mi słowo!

Cattibrie skinęła bezradnie głową, po czym poszła za Bruenorem w głąb krasnoludzkiego kompleksu, mając świadomość, że trudno jej będzie zmienić zdanie ojca, i wiedząc również, że opinia Bruenora na temat Drizzta Do'Urden była daleka od sprawiedliwej .

\* \* \*

Kolejna odwilż nastąpiła miesiąc później, a Cattibrie dotrzymała obietnicy. Nie postawiła nogi na Kopcu Kelvina, lecz z otaczających go dolinek wołała Drizzta i Guenhwyvar. Drizzt i pantera, szukający dziewczyny podczas złagodzenia pogody, wkrótce znaleźli się u jej boku, tym razem w dolinie. Podzielili się kolejnymi opowieściami oraz obiadem, który spakowała Cattibrie.

Kiedy Cattibrie wróciła tego wieczora do krasnoludzkich kopalni, Brunenor sporo podejrzewał i zaledwie raz zapytał ją, czy dotrzymała słowa. Krasnolud zawsze ufał swojej córce, lecz tym razem gdy Cattibrie odpowiedziała, że nie była na Kopcu Kelvina, jego podejrzewania nie zmniejszyły się.

## 24

### OBJAWIENIA

Bruenor przez dłuższą część poranka przechadzał się po niższych zboczach Kopca Kelvina. Większość śniegu już stopniała i w powietrzu wisiała wiosna, jednak uparte zagłębienia wciąż utrudniały marsz. W jednej dłoni z toporem i tarczą, ozdobioną herbem Klanu Battlehammer, w drugiej ze spienionym kuflem, Brunenor parł przed siebie, cedząc przekleństwa na każde śliskie miejsce, na każdy zawadzający głaz, a w szczególności na mroczne elfy.

Gdy okrążył najdalej na północny zachód wysuniętą odnogę góry, jego długi, spiczasty nos był czerwony jak wiśnia od szczypiącego wiatru. - Czas na odpoczynek - mruknął krasnolud, zauważając kamienną alkowę, osłoniętą wysokimi ścianami przed niestrudzonym wichrem.

Bruenor nie był jedynym, który zauważył wygodne miejsce. Na chwilę zanim dotarł do szerokiej na trzy metry szczeliny w skalnej ścianie, nagłe uderzenie skórzastych skrzydeł uniosło przed nim wielką, podobną do insekta głowę. Rozpoznał bestię jako remorhaza, polarnego robaka, i nie był zbyt chętny, by rzucić się na niego.

Remorhaz wyłonił się z wnęki, ruszając w pościg, a jego węzowe, długie na dwanaście metrów ciało wiło się za nim niczym lodowatoblękitna wstęga. Wieloczęściowe owadzie oczy, lśniącej jasną bielą, skierowały się na krasnoluda. Krótkie, skórzaste skrzydła utrzymywały przednią część stwora w górze, gotową do ataku, zaś tuziny drepczących nóg ciągnęły resztę długiego ciała.

Bruenor czuł wzmagające się ciepło, gdy odwłok podekscytowanego potwora zaczął lśnić, najpierw przytłumionym brunatnym kolorem, później czerwienią.

- To zatrzyma na trochę wiatr! - zachichotał krasnolud, zdając sobie sprawę, że nie zdoła przegonić bestii. Przestał uciekać i potrząsnął groźnie toporem.

Remorhaz nacierał prosto na niego, a jego ogromna paszcza, wystarczająco duża, by połknąć w całości niewielki cel, opadła żarłocznie w dół.

Bruenor odskoczył w bok i podniósł tarczę, by powstrzymać paszczę przed odgryzieniem mu nóg, jednocześnie uderzył toporem pomiędzy rogi stwora.

Skrzydła łopotały zaciekle, podnosząc głowę w górę. Remorhaz rzucił się do kolejnego ataku, lecz Bruenor znów umknął. Wsunął wielki topór w zgięcie ręki z tarczą i wyciągnął długi sztylet, następnie zaś rzucił się naprzód, pomiędzy pierwszą parę nóg potwora.

Wielka głowa znów opadła, lecz Brunenor wślizgnął się już pod niski brzuch, najbardziej wrażliwe miejsce bestii. - Dajesz za wygraną? - zachichotał Bruenor wbijając sztylet pomiędzy

łuski.

Bruenor był zbyt wytrzymały i opancerzony, by do tej pory poważnie ucierpieć. Nagle potwór zaczął się przetaczać, zamierzając ugodzić krasnoluda swym rozpalonym odwłokiem.

- O nie, ty smoko - robako - ptako - insekcie! - zawył Bruenor, starając się utrzymać z dala od gorąca. Przemknął na bok stwora i pchnął z całej siły, przewracając pozbawionego równowagi remorhaza.

Śnieg zagotował się i zasyczał, gdy ognisty odwłok dotknął podłoża. Kopiąc i grzmocąc Bruenor przedzierał się przez wierzgające nogi, by dostać się do wrażliwej spodniej strony. Wyszczerbiony topór krasnoluda uderzył, otwierając długą i głęboką ranę.

Remorhaz zwinął się i zarzucił swym długim ciałem w tę i z powrotem, odrzucając Bruenora na bok. Krasnolud wstał natychmiast, lecz nie wystarczająco szybko, by uniknąć ataku. Palący odwłok ugodził Bruenora w łydkę, gdy próbował odskoczyć, i krasnolud zaczął kuśtykać, trzymając się za dymiące spodnie.

Znów się starli, lecz tym razem okazywali sobie znacznie więcej szacunku.

Paszcza otworzyła się. Bruenor szybkim zamachem pozbawił ją za pomocą topora zęba i odtrącił w bok. Ranna noga krasnoluda ugięła się jednak podczas tego ciosu i potykający się Bruenor nie był w stanie się odsunąć. Długi róg zaczepił go pod ramię i cisnął na bok.

Spadł ciężko na kamienie, otrząsnął i celowo uderzył głową o duży głaz, by poprawić hełm i pozbyć się zawrotów głowy.

Remorhaz zostawiał za sobą krwawy ślad, jednak nie poddawał się. Wielka paszcza otworzyła się i stwór zasyczał, a Bruenor wrzucił mu szybko kamień do gardła.

\* \* \*

Guenhwyvar ostrzegła Drizzta o kłopotach przy północno - zachodniej odnodze. Drow nigdy wcześniej nie widział polarnego robaka, jednak zaraz gdy zauważył walczących, wiedział, że krasnolud ma problem. Żałując, że zostawił łuk w jaskini, Drizzt wyciągnął sejmity i podążył za panterą w dół zbocza tak szybko, jak tylko pozwalał na to śliski szlak.

\* \* \*

- No chodź! - ryknął uparty krasnolud do remorhaza i potwór rzeczywiście rzucił się do ataku. Bruenor stanął wygodnie, zamierzając przynajmniej raz porządnie go trafić, zanim posłuży robakowi za posiłek.

Wielka głowa spadała na niego, lecz nagle remorhaz, słysząc z tyłu ryk, zawahał się i odwrócił wzrok.

- Głupie posunięcie! - krzyknął z zachwytem krasnolud i zamachnął się toporem w dolną szczękę potwora, rozcinając ją prosto pomiędzy dwoma siekaczami. Remorhaz pisnął z bólu, a jego skórzaste skrzydła załopotaly szaleńczo, próbując odsunąć głowę z zasięgu krasnoluda.

Bruenor znów trafił, a później trzeci raz, a każdy cios żłobił długie szczeliny w szczęce i

powodował, że głowa napastnika opadała coraz niżej.

- Chciałbyś mnie ugryźć, co? - krzyknął krasnolud. Wyciągnął rękę z tarczą i chwycił nią róg, gdy głowa remorhaza znów zaczęła się wznosić. Nagłe szarpnięcie obróciło głowę potwora pod wrażliwym kątem. Bruenor wykorzystał sytuację i uderzył zaciekle, wbijając potężny topór w czaszkę polarnego robaka.

Stwór trząsł się i miotał jeszcze przez chwilę, po czym znieruchomiał, choć jego odwłok wciąż lśnił ciepłem.

Drugi ryk Guenhwyvar oderwał wzrok dumnego krasnoluda od ofiary. Ranny i chwiejący się Bruenor spojrział w górę i zobaczył szybko zbliżających się Drizzta i jego panterę, drow trzymał wyciągnięte sejmitary.

- No chodźcie! - ryknął do nich obu Bruenor, źle rozumiejąc ich pośpiech. Stuknął toporem w swą ciężką tarczę. - Chodźcie i poznajcie moje ostrze!

Drizzt zatrzymał się gwałtownie i zawołał do Guenhwyvar, żeby zrobiła to samo. Pantera parła jednak dalej, z położonymi po sobie uszami.

- Odejdź, Guenhwyvar? - rozkazał Drizzt.

Pantera warknęła ostatni raz z oburzeniem i odskoczyła. Ciesząc się, że kot zniknął, Bruenor utkwiał wzrok w Drizzcie, stojącym przy drugim końcu powalonego polarnego robaka.

- Ty i ja, co? - wycedził krasnolud. - Masz wystarczająco dużo jaj, by zmierzyć się z moim toporem, drowie, czy też bardziej lubisz małe dziewczynki?

Wyraźne odniesienie do Cattibrie wywołało gniewny blask w oczach Drizzta, a jego uścisk na broni zacieśnił się.

Bruenor machnął swobodnie toporem. - No chodź - rzucił kpiąco. - Czy masz wystarczająco dużo jaj, by podejść i zabawić się z krasnoludem?

Drizzt chciał krzyczeć tak głośno, by usłyszał go cały świat. Chciał przeskoczyć nad martwym potworem i rozgnieść krasnoluda, zaprzeczyć jego słowom czystą, brutalną siłą, lecz nie mógł. Drizzt nie mógł odrzucić Mielikki i nie mógł zdradzić Mooshiego. Musiał jeszcze raz zdusić swą wściekłość, musiał przyjąć obelgi ze stoickim spokojem oraz świadomością, że on i jego bogini wiedzieli, co kryje się w jego sercu.

Sejmitary wsunęły się do pochw i Drizzt odszedł, a Guenhwyvar ruszyła za nim.

Bruenor z zaciekawieniem spoglądał na parę. Z początku uznał drowa za tchórza, nagle jednak, gdy podniecenie walką stopniowo się zmniejszyło, Bruenor zaczął się zastanawiać nad zamiarami drowa. Czy zbiegał w dół, by dobić obydwu walczących, jak Bruenor z początku zakładał? Czy też, może, szedł mu z pomocą?

- Nie - mruknął krasnolud, odrzucając tę możliwość. - Nie mroczny elf!

Droga powrotna była długa dla kulejącego krasnoluda i dała Bruenorowi wiele okazji, by odtworzyć w myślach wydarzenia z północno - zachodniej odnogi. Gdy dotarł w końcu do jaskiń,

słońce już dawno zaszło i Cattibrie oraz kilku krasnoludów szykowało się, gotowi wyruszyć na poszukiwania.

- Jesteś ranny - stwierdził jeden z krasnoludów. Cattibrie natychmiast wyobraziła sobie walkę pomiędzy Drizztem a jej ojcem.

- Polarny robak - wyjaśnił niedbale krasnolud. - Pokonałem go, ale dostałem oparzenie za swoje wysiłki.

Krasnoludy pokiwały głowami, doceniając męstwo swojego przywódcy - polarny robak nie był łatwy do zabicia - a Cattibrie westchnęła słyszalnie.

- Widziałem drowa! - warknął na nią Bruenor, podejrzewając źródło westchnienia.

Krasnolud wciąż był zakłopotany z powodu spotkania z mrocznym elfem oraz pozycją Cattibrie w tym wszystkim. Czy Cattibrie poznała mrocznego elfa?

- Widziałem go! - ciągnął Bruenor, mówiąc teraz bardziej do pozostałych krasnoludów. - Drowa i największego oraz najczarniejszego kota, na jakim kiedykolwiek spoczęły moje oczy. Szedł po mnie, zaraz gdy powaliłem robaka.

- Drizzt by tego nie zrobił! - Cattibrie przerwała, zanim jej ojciec przeszedł do typowego dla siebie snucia opowieści.

- Drizzt? - spytał Bruenor, a dziewczyna odwróciła wzrok, zdając sobie sprawę, że jej kłamstwo się wydało. Bruenor zignorował to, tylko na chwilę.

- Mówię! - ciągnął krasnolud. - Szedł na mnie z dwoma wyciągniętymi ostrzami! Pogoniłem jego i tego kota!

- Moglibyśmy na niego zapolować - zaproponował jeden z krasnoludów. - Wygnać go z góry! - Pozostali przytaknęli i zaczęli mamrotać swoje poparcie, jednak Bruenor, wciąż zastanawiający się nad zamiarami drowa, przerwał im.

- Góra jest jego - powiedział im Bruenor. - Cassius mu ją dał, a my nie chcemy kłopotów z Bryn Shander. Tak długo, jak drow będzie się trzymał z dala od nas, zostawimy go w spokoju.

- Jednak - ciągnął Bruenor, spoglądając bezpośrednio na Cattibrie - nie wolno ci nigdy więcej z nim rozmawiać, ani zbliżać się do niego!

- Ale... - zaczęła bezskutecznie Cattibrie.

- Nigdy! - ryknął Bruenor. - Dasz mi teraz swoje słowo, dziewczyno, albo, na Moradina, obetnę temu mrocznemu elfowi głowę!

Cattibrie zawahała się, znajdując się w strasznym potrzasku.

- Daj słowo! - rozkazał Bruenor.

- Masz moje słowo - wymamrotała dziewczyna i uciekła do ciemnego schronienia jaskini.

\* \* \*

- Cassius, burmistrz Bryn Shander, wysłał mnie do ciebie - wyjaśnił opryskliwy mężczyzna.

- Mówi, że wiesz o drowie więcej niż inni.

Bruenor rozejrzał się po swojej oficjalnej sali audiencyjnej, gdzie stały krasnoludy. Żaden z nich nie był pod szczególnym wrażeniem nieokrzesanego przybysza. Bruenor opuścił brodatą twarz na dłoń i ziewnął szeroko, zdecydowany pozostać poza tym wyraźnym konfliktem. Mógł wygnać tego źle wychowanego człowieka i jego psa ze swojej siedziby i nie przejmować się już nim więcej, jednak Cattibrie, siedząca obok swego ojca, poruszyła się niespokojnie.

Roddy McGristle nie przegapił tego wiele mówiącego ruchu. - Cassius mówi, że musieliście widzieć drowa, jeśli jest tak blisko.

- Jeśli którykolwiek z mojego ludu go widział - odparł niedbale Bruenor - to o tym nie mówił. Jeśli chodzi o twojego drowa, to nam nie przeszkadza.

Cattibrie spojrzała z zaciekawieniem na ojca i odetchnęła lżej.

- Nie przeszkadza? - mruknął Roddy, a w jego oku pojawiła się chytryść. - Nie, nie on. - Powoli i dramatycznie traper zdjął kaptur, odsłaniając swe blizny. - Nie przeszkadza, dopóki nie dostaniesz czegoś, czego się nie spodziewasz!

- Drow ci to dał? - spytał Bruenor niezbyt poruszony widokiem. - Ciekawe szramy, lepsze niż większość, które widziałem.

- Zabił mi psa! - warknął Roddy.

- Według mnie nie wygląda na martwego - zażartował Bruenor, wywołując chichot w każdym zakamarku sali.

- Mojego drugiego psa - warknął Roddy, rozumiejąc jak postąpić z tym upartym krasnoludem. - Nie obchodzę cię ani trochę i bardzo dobrze. Nie dla siebie jednak ścigam tego drowa ani nie dla nagrody za jego głowę. Słyszałeś kiedyś o Maldobar?

Bruenor wzruszył ramionami.

- Na północ od Sundabar - wyjaśnił Roddy. - Małe, spokojne miejsce. Sami rolnicy. Jedna rodzina, Thistledownowie, mieszkała na skraju wioski, trzy pokolenia w jednym domu, jak to bywa w porządnym rodzinach. Bartłomiej Thistledown był dobrym człowiekiem, mówię ci, a także jego ojciec i jego dzieci, czterech chłopaków i córka podobna do twojej. Wysocy, pełni werwy i miłości do świata.

Bruenor podejrzewał, dokąd zmierza ten nieokrzesany mężczyzna, zaś z tego, że Cattibrie wierci się niespokojnie, domyślił się, że jego spostrzegawcza córka również wiedziała.

- Dobra rodzina - zamyślił się Roddy, przybierając zadumaną minę. - Dziewięcioro w domu. - Twarz traperza spoważniała nagle i spojrzał prosto na Bruenora. - Dziewięcioro zginęło w domu - oznajmił. - Zabici przez waszego drowa, a jedno zżarte przez jego diabelskiego kota!

Cattibrie próbowała odpowiedzieć, lecz słowa wydobyły się z niej jako niezrozumiałe wrzask. Bruenor cieszył się z jej zakłopotania, bowiem jeśli mówiłaby wyraźnie, jej argumenty dałyby traperowi więcej, niż tego chciał Bruenor. Krasnolud położył rękę na ramionach swej córki i odpowiedział spokojnie Roddy'emu - Przeszedłeś do nas z mroczną opowieścią. Wstrząsnąłeś moją



córką, a ja nie lubię, jak moja córka jest wstrząśnięta!

- Proszę cię o wybaczenie, królewski krasnoludzie - powiedział kłaniając się Roddy. - Jednak musiałeś usłyszeć o niebezpieczeństwie czającym się za twoimi drzwiami. Drow jest zły, tak jak jego diabelski kot! Nie chcę, aby powtórzyła się tragedia Maldobar.

- I nie powtórzy się w moich komnatach - zapewnił go Bruenor. - Nie jesteśmy prostymi wieśniakami, weź to sobie do serca. Drow nie będzie nas niepokoił bardziej niż ty do tej pory.

Roddy nie był zaskoczony, że Bruenor mu nie pomoże, wiedział jednak dobrze, że krasnolud, a przynajmniej jego córka, wiedzieli więcej o lokalizacji Drizzta, niż powiedzieli. - Jeśli nie dla mnie, to dla Bartłomieja Thistledowna, błagam cię, dobry krasnoludzie. Powiedz mi, jeśli wiesz, gdzie mogę znaleźć czarnego demona. Jeśli zaś nie wiesz, daj mi kilku żołnierzy, by pomogli mi go wywęszyć.

- Moje krasnoludy mają sporo roboty z wytopem - wyjaśnił Bruenor. - Nie mogą tracić czasu, ścigając czyjeś diabły. - Bruenora nie obchodziło tak naprawdę, w jaki sposób Roddy schwyta drowa, jednak opowieść trapera potwierdzała przekonanie krasnoluda, że mrocznego elfa powinno się unikać, a dotyczyło to zwłaszcza jego córki. Bruenor mógł pomóc Roddy'emu i skończyć z tym wszystkim, bardziej by pozbyć się ich obu z doliny niż z jakichś etycznych powodów, nie mógł jednak zignorować wyraźnego roztrzęsienia Cattibrie.

Roddy bezskutecznie próbował ukryć swój gniew, szukając jakiejś innej możliwości. - Gdzie byś się udał, gdybyś uciekał, Królu Bruenorze? Znasz tę górę lepiej niż ktokolwiek, tak mi powiedział Cassius. Gdzie powinienem szukać?

Bruenor zauważył, że cieszyło go zakłopotanie tego nieprzyjemnego człowieka. - Wielka dolina - powiedział zagadkowo. - Rozległa góra. Dużo dziur. - Siedział w milczeniu przez długą chwilę, potrząsając głową.

Fasada Roddy'ego spadła całkowicie. - Pomagasz drowowi zabójcy?! - ryknął. - Nazywasz się królem, ale jesteś...

Bruenor zerwał się ze swego kamiennego tronu, a Roddy cofnął się dla bezpieczeństwa o kilka kroków i położył dłoń na rękojeści Broczyciela.

- Mam słowo jednego łotra przeciwko drugiemu łotrowi! - warknął na niego Bruenor. - Według mnie, jeden równie dobry lub zły jak drugi!

- Nie według Thistledownów! - krzyknął Roddy, a jego pies, wyczuwając wściekłość swego pana, obnażył zęby i warknął groźnie.

Bruenor spojrział z zaciekawieniem na dziwną, żółtą bestię. Zbliżała się pora kolacji, a kłótnie zawsze wywoływały u krasnoluda głód! Zastanawiał się, jak smakowałby mu żółty pies.

- Nie masz nic innego, co mógłbyś mi dać? - zapytał Roddy.

- Mogę dać ci mój but - odwarknął Bruenor. Kilku dobrze uzbrojonych krasnoludzkich żołnierzy podeszło bliżej, by zapewnić, że porywczy człowiek nie zrobi nic głupiego. - Mógłbym ci

zapropnować kolację - ciągnął Bruenor, ale za bardzo śmierdzisz jak na mój stół, a nie wyglądasz na takiego, który się myje.

Roddy pociągnął za smycz swego psa i wyszedł, tupiąc swymi ciężkimi buciorami i trzaskając każdymi drzwiami, przez które przeszedł. Na znak Bruenora czterech żołnierzy poszło za traperem, by upewnić się, że wyjdzie bez żadnych nieszczęśliwych wypadków. W oficjalnej sali audiencyjnej reszta krasnoludów śmiała się ze sposobu, w jaki ich król poradził sobie z człowiekiem.

Cattibrie nie dołączyła się do ich radości, jak zauważył Bruenor, i krasnolud sądził, iż wie dlaczego. Opowieść Roddy'ego, nieważne czy prawdziwa, zaszczepiła w dziewczynie pewne wątpliwości.

- No i masz - Bruenor powiedział do niej szorstko, próbując przepchnąć ją przez krawędź w ich sprzeczce. - Drow jest ściganym zabójcą. Teraz będziesz brać moje ostrzeżenia do serca, dziewczyno!

Cattibrie przygryzła wargi. Drizzt nie mówił jej zbyt wiele o swoim życiu na powierzchni, nie mogła jednak uwierzyć, by drow, którego poznała, był zdolny do morderstwa. Nie mogła również zaprzeczyć temu, co oczywiste: Drizzt był mrocznym elfem, zaś ten fakt, przynajmniej dla jej bardziej doświadczonego ojca czynił wiary godną opowieść McGristle'a.

- Słyszysz mnie, dziewczyno? - warknął Bruenor.

- Musisz zebrać ich wszystkich razem - powiedziała nagle Cattibrie. - Drowa i Cassiusa, i paskudnego McGristle'a. Musisz...

- To nie mój problem! - ryknął Bruenor, przerywając jej. Łzy napłynęły Cattibrie do oczu w obliczu nagłego gniewu jej ojca. Cały świat wydawał się wywracać przed nią do góry nogami. Drizzt był w niebezpieczeństwie, a jeszcze bardziej prawda o jej przeszłości. Równie bolesne było dla Cattibrie, że jej ojciec, którego kochała i podziwiała przez całe pamiętane życie, wydawał się teraz być głuchy na zew sprawiedliwości.

W tej strasznej chwili Cattibrie zrobiła jedyną rzecz, jaką jedenastolatka mogła zrobić w takiej sytuacji - odwróciła się od Bruenora i uciekła.

\* \* \*

Cattibrie sama nie wiedziała, co ma zamiar osiągnąć, gdy zauważyła, że biegnie dolnymi szlakami Kopca Kelvina, łamiąc obietnicę daną Bruenorowi. Cattibrie nie mogła powstrzymać pragnienia pójścia tam, choć niewiele mogła zaoferować Drizztowi poza ostrzeżeniem, że szuka go McGristle.

Nie mogła uporządkować wszystkich swoich zmartwień, lecz nagle stanęła przed drowem i zrozumiała prawdziwy powód, dla którego uciekła. Nie przyszła dla Drizzta, choć chciała, żeby był bezpieczny. Zrobiła to dla własnego spokoju.

- Nigdy nie mówiłeś o Thistledownach z Maldobar - powiedziała lodowatym tonem na

przywitanie, pozbawiając drowa uśmiechu. Mroczna mina, która pokryła twarz Drizzta, wyraźnie ukazywała jego ból.

Uważając że Drizzt, w związku ze swoją melancholią, przyjął oskarżenie o tragedię, zraniona dziewczyna odwróciła się, by uciec. Drizzt chwycił ją jednak za ramię, obrócił i przyciągnął do siebie. Naprawdę byłby przekłętą istotą, gdyby ta dziewczyna, która zaakceptowała go całym swoim sercem, uwierzyła w te kłamstwa.

- Nikogo nie zabiłem - wyszeptał Drizzt ponad łkaniem Cattibrie - poza potworami, które zabiły Thistledownów. Daję ci moje słowo! - Następnie przytoczył opowieść, w całości, mówiąc nawet o swej ucieczce przed drużyną Dove Falconhand.

- A teraz jestem tutaj - zakończył - i pragnę zostawić to wszystko za sobą, choć nigdy, obiecuję, nigdy o tym nie zapomnę!

- Snujecie dwie różne opowieści - odparła Cattibrie. - To znaczy ty i McGristle.

- McGristle? - wydyszał Drizzt, jakby nagle został pozbawiony oddechu. Drow nie widział nieokrzesanego mężczyzny od lat i uważał Roddy'ego za odległą przeszłość.

- Przeszedł dzisiaj - wyjaśniła Cattibrie. - Wielki człowiek z żółtym psem. Ściga cię.

Owo potwierdzenie zszokowało Drizzta. Czy kiedykolwiek zdoła uciec od swej przeszłości? Jeśli nie, czy kiedykolwiek zdoła odnaleźć akceptację?

- McGristle mówi, że ich zabiłeś - ciągnęła Cattibrie.

- A więc masz tylko nasze słowa - stwierdził Drizzt - i nie ma dowodów, by wykazać słuszność którejś z opowieści. - Cisza, która zapadła, wydawała się ciągnąć godzinami.

- Nie lubię tego brzydkiego brutala - pociągnęła nosem Cattibrie i uśmiechnęła się pierwszy raz, odkąd spotkała McGristle'a.

Potwierdzenie ich przyjaźni uderzyło silnie w Drizzta, nie mógł jednak zapomnieć o kłopotach, jakie majaczyły w pobliżu. Będzie musiał walczyć z Roddym, a może również z innymi, jeśli łowca nagród zdoła wywołać niepokój - co nie było zbyt trudnym zadaniem, zważywszy na pochodzenie Drizzta. Drow mógł też uciec, znów przyjmując za dom drogę.

- Co zrobisz? - spytała Cattibrie, wyczuwając jego rozterki.

- Nie bój się o mnie - zapewnił ją Drizzt i mówiąc to, przytulił ją sposobem, który mógł być jego sposobem na pożegnanie. - Dzień się kończy. Musisz wracać do domu.

- On cię znajdzie - odparła ponuro Cattibrie.

- Nie - powiedział spokojnie Drizzt. - Przynajmniej nie szybko. Z Guenhwyvar przy boku utrzymam McGristle'a z dala, dopóki nie obmyślę, co należy zrobić. A teraz idź! Noc zbliża się szybko i nie sądzę, aby twojemu ojcu podobało się, że tu przysłaś.

Wzmianka o tym, że będzie musiała stanąć przed Brueorem sprawiła, że Cattibrie szybko pożegnała się z Drizztem, czule go obejmując. Jej kroki były lżejsze, gdy schodziła z góry. Nie pomogła w niczym Drizztowi, przynajmniej z tego co wiedziała, jednak kłopoty drowa wydawały

się odległe w porównaniu z ulgą odczuwaną z tego, iż jej przyjaciel nie jest potworem, za którego niektórzy go uważają.

Ta noc rzeczywiście będzie mroczna dla Drizzta Do'Urden. Uważał McGristle'a za dawny problem, jednak niebezpieczeństwo pojawiło się tutaj i nikt oprócz Cattibrie nie stanął w jego obronie.

Będzie musiał walczyć sam - znów - jeśli w ogóle będzie walczył. Nie miał żadnych sprzymierzeńców oprócz Guenhwyvar i swoich sejmitarów, zaś perspektywa potyczki z McGristlem - wygranej bądź przegranej - nie przemawiała do niego.

- To nie jest dom - Drizzt mruknął do mroźnego wiatru. Wyciągnął onyksową figurkę i przyzwał swą towarzyszkę. - Chodź, moja przyjaciółko - powiedział do pantery. - Odejdźmy, zanim nasz przeciwnik do nas przyjdzie.

Guenhwyvar trzymała czujnie straż, gdy Drizzt pakował swój ekwipunek, gdy znużony drogą drow opróżniał swój dom.

## 25

### KRASNOLUDZKIE ŻARTY

Cattibrie usłyszała warczenie psa, nie zdążyła jednak zareagować, gdy wielki mężczyzna wyskoczył zza głazu i chwycił ją mocno za rękę. - Wiedziałem, że wiesz! - krzyknął McGristle, dmuchając swym nieświeżym oddechem prosto w twarz dziewczyny.

Cattibrie kopnęła go w pieszczel. - Puść mnie! - krzyknęła. Roddy był zaskoczony, że w jej głosie nie było śladu strachu. Potrząsnął nią mocno, gdy znów spróbowała go kopnąć.

- Przyszedłeś w góry z jakiegoś powodu - powiedział pewnym głosem Roddy, nie zwalnając uchwytu. - Przyszedłeś, żeby zobaczyć się z drowem, wiedziałem, że się z nim przyjaźnisz. Widziałem to w twoich oczach!

- Nic nie wiesz! - Cattibrie wycodziła mu w twarz. - Mówisz kłamstwa.

- A więc drow opowiedział ci swoją historyjkę o Thistledownach, co? - odparł Roddy, łatwo odgadując, o co chodzi dziewczynie. Cattibrie wiedziała, że ze złości zrobiła błąd, że dała temu łajdakowi potwierdzenie.

- Drow? - rzekła z roztargnieniem Cattibrie. - Nie mam zamiaru zgadywać, o co ci chodzi. Śmiech Roddy'ego zakpił z niej. - Byłaś z drowem, dziewczyno. Powiedziałaś to wystarczająco wyraźnie. A teraz zaprowadzisz mnie do niego.

Cattibrie parsknęła, co wywołało kolejne silne potrząśnięcie.

Grymas Roddy'ego zelżał nagle i Cattibrie jeszcze mniej spodobało się to, co zobaczyła w jego oczach. - Jesteś bystrą dziewczyną, co? - wycodził Roddy, chwytając drugie ramię Cattibrie i odwracając ją ostro do siebie. - Pełną życia, co? Zabierzesz mnie do drowa, dziewczyno, bez wątpienia. Możemy jednak najpierw zrobić coś innego, coś, co pokaże ci, że nie należy złościć

takich jak Roddy McGristle. - Jego pieszczoty policzka Cattibrie wydawały się śmieszne i groteskowe, lecz zarazem straszne i niewątpliwie groźne, a Cattibrie poczuła, że zwymiotuje.

Cattibrie dawała z siebie w tej chwili wszystko, by stać przed Roddy'm. Była tylko młodą dziewczyną, lecz została wychowana wśród ponurych krasnoludów z Klanu Battlehammer, dumnej i twardej grupy. Bruenor był wojownikiem, podobnie więc było z jego córką. Kolano Cattibrie trafiło Roddy'ego w pachwinę i gdy jego uścisk nagle zelżał, dziewczyna podniosła dłoń, by podrapać go w twarz. Kopnęła go drugi raz, z mniejszym skutkiem, lecz obronny unik Roddy'ego pozwolił jej się wyszarpnąć i niemal uwolnić.

Jednak żelazny uścisk Roddy'ego zacieśnił się na jej nadgarstku. Następnie Cattibrie poczuła, jak równie silny uchwyt łapie jej wolną dłoń i zanim zdołała zrozumieć, co się dzieje, została wyrwana z uścisku Roddy'ego i weszła przed nią ciemna sylwetka.

- A więc przyszedłeś spotkać się ze swoim losem - Roddy parsknął z lubością do Drizzta.

- Uciekaj - Drizzt powiedział do Cattibrie. - To nie twoja sprawa. - Cattibrie, wstrząśnięta i niezwykle przerażona, nie spierała się z nim.

Sękate dłonie Roddy'ego chwyciły rękojeść Broczyciela. Łowca nagród walczył już wcześniej z drowem i nie miał zamiaru próbować dotrzymać kroku jego zwinnym unikom i obrotom. Kiwnąwszy głową, puścił psa.

Pies przebył połowę drogi do Drizzta i właśnie zamierzał na niego skoczyć, gdy wpadła na niego Guenhwyvar i odrzuciła go daleko na bok. Pies podniósł się. Nie był poważnie ranny, ale teraz cofał się o kilka kroków za każdym razem, gdy pantera na niego powarkiwała.

- Dość tego - powiedział Drizzt, stając się nagle poważny. - Ścigałeś mnie przez te wszystkie lata. Doceniam twój upór, lecz mówię ci, że twój gniew jest wymierzony w złą stronę. Nie zabiłem Thistledownów. Nigdy nie podniósłbym na nich broni!

- Do Dziewięciu Piekieł z Thistledownami! - ryknął Roddy. - Myślisz, że o to chodzi?

- Moja głowa nie przyniesie ci nagrody - odparł Drizzt.

- Do Dziewięciu Piekieł ze złotem! - wrzasnął Roddy. - Zabrałeś mi psa, drowie, i moje ucho! - Stuknął brudnym palcem w bok poznaczonej szramami twarzy.

Drizzt chciał zaprotestować, chciał przypomnieć Roddy'emu, że to on zainicjował walkę i że to jego topór powalił drzewo, które rozorało mu twarz. Drizzt rozumiał jednak motywację Roddy'ego i wiedział, że same słowa go nie ukoją. Drizzt zranił jego dumę, zaś dla takiego człowieka jak Roddy taka rana znacznie przewyższała jakikolwiek fizyczny ból.

- Nie chcę walczyć - powiedział stanowczo Drizzt. - Zabierz swojego psa i odejdz, dając słowo, że nie będziesz już mnie ścigał.

Kpiący śmiech Roddy'ego wywołał na grzbiecie Drizzta dreszcze. - Będę cię ścigał do końca świata, drowie! - ryknął Roddy. - I za każdym razem znajdę. Żadna dziura nie jest na tyle głęboka, żebyś się przede mną schował. Żadne morze na tyle rozległe! Dostanę cię, drowie!

Dostanę cię teraz, a jeśli uciekniesz, dostanę cię później!

Roddy błysnął żółtymi zębami i ostrożnie podszedł w stronę Drizzta. - Dostanę cię, drowie - warknął jeszcze raz łowca nagród, tym razem cicho. Nagła szarża doprowadziła go bliżej i Broczyciel wykonał dziki zamach. Drizzt odskoczył do tyłu.

Drugi atak sugerował podobny rezultat, jednak Roddy, zamiast napierać do przodu, wykonał zwodnicze uderzenie od wewnętrznej, które musnęło Drizzta w podbródek.

Natychmiast dopadł do drowa, wymachując zaciekle toporem. - Stój spokojnie! - krzyczał Roddy, gdy Drizzt zręcznie umykał, odskakiwał lub uchylał się przed każdym ciosem. Drizzt wiedział, że kusi los, nie kontruując dzikich uderzeń, miał jednak nadzieję, że jeśli zmęczy zwalistego mężczyznę, zdoła odnaleźć jakiś bardziej pokojowe rozwiązanie.

Roddy był zręczny i szybki jak na swoje rozmiary, lecz Drizzt był znacznie szybszy, poza tym drow wierzył, że jest w stanie grać w tę grę znacznie dłużej.

Broczyciel nadleciał z boku, kierując się w stronę piersi Drizzta. Atak ten był zwodniczy, Roddy chciał, by Drizzt uchylił się pod nim, a on kopnie wtedy drowa w twarz.

Drizzt dostrzegł podstęp. Zamiast uchylić się, podskoczył, wykonał koziołka nad toporem i opadł lekko na ziemię, jeszcze bliżej Roddy'ego. Teraz Drizzt zaatakował, uderzając obydwoma rękojęściami sejmitarów w twarz Roddy'ego. Łowca nagród zachwiał się do tyłu, czując jak z nosa wylewa mu się ciepła krew.

- Odejdź - poradził szczerze Drizzt. - Zabierz swojego psa do Maldobar albo innego miejsca, które uważasz za dom.

Jeśli Drizzt sądził, że Roddy podda się w obliczu dalszego upokorzenia, znacznie się mylił. Roddy ryknął z wściekłości i rzucił się do ataku, opuszczając ramię, by uderzyć nim drowa.

Drizzt uderzył rękojęściami broni w opuszczoną głowę Roddy'ego i rzucił się ponad jego grzbietem. Łowca nagród padł ciężko na ziemię, lecz szybko przyklęknął na kolana, wyciągając sztylet i rzucając nim w Drizzta, gdy drow się odwracał.

Drizzt ujrzał w ostatniej chwili srebrny błysk i opuścił ostrze w dół, by odbić broń. Poleciał następny sztylet, a za nim kolejny, zaś za każdym razem Roddy zbliżał się do nie mogącego się skupić drowa.

- Znam twoje sztuczki, drowie - powiedział Roddy z paskudnym uśmiechem. Dwa szybkie kroki doprowadziły go tuż do Drizzta i Broczyciel znów uderzył.

Drizzt rzucił się w bok i podniósł kilka kroków dalej. Bezustanna pewność siebie Roddy'ego zaczynała denerwować drowa. Trafił łowcę nagród ciosami, które powaliłyby większość mężczyzn i zastanawiał się, jak wiele jeszcze może wytrzymać zwalisty człowiek. Myśl ta doprowadziła Drizzta do nieuniknionego wniosku, że być może będzie musiał zacząć trafiać Roddy'ego czymś więcej niż tylko rękojęściami sejmitarów.

Broczyciel znów nacierał z boku. Tym razem Drizzt nie unikał. Wszedł w promień ostrza

topora i zablokował je jednym z sejmitarów, wskutek czego Roddy był odsłonięty na cios drugą bronią. Trzy szybkie dźgnięcia zamknęły jedno z oczu trapera, lecz łowca nagród tylko się uśmiechnął i rzucił do ataku, chwytając Drizzta i rzucając go, jako lżejszego z walczących, na ziemię.

Drizzt wił się i wrywał, rozumiejąc, że zdradziło go własne sumienie. W tak bliskim zwarciu nie mógł dorównać sile Roddy'ego, a ograniczona możliwość poruszania pozbawiała go przewagi prędkości. Roddy utrzymywał się na górze i manewrował jedną ręką, by opuścić Broczyciela w dół.

Skowyt żółtego psa był jedynym ostrzeżeniem, jakie dostał, a to nie zwróciło jego uwagi na tyle, by zdołał uniknąć ataku pantery. Guenhwyvar zrzuciła Roddy'ego z Drizzta i przygniotła go do ziemi. Zwalisty mężczyzna zachował wystarczająco przytomności umysłu, by trafić przemykającą panterę, raniąc Guenhwyvar w udo.

Uparty pies rzucił się do ataku, lecz Guenhwyvar otrząsnęła się, zawróciła wokół Roddy'ego i odegnała ogara.

Kiedy Roddy odwrócił się z powrotem do Drizzta, napotkał dziką serię ciosów zadanych sejmitarami, ciosów, za którymi nie mógł nadążyć wzrokiem i ich odbić. Drizzt widział atak na panterę i ogień w jego lawendowych oczach nie dawał już szans na kompromis. W twarz Roddy'ego uderzyła rękojeść, zaś po niej płaz drugiego ostrza. Stopa kopnęła go w żołądek, pierś, a następnie w pachwinę. Nieugięty Roddy przyjął to wszystko z parsknięciem, lecz rozwścieczony drow wciąż nacierał. Jeden z sejmitarów znów zetknął się z toporem i Roddy przeszedł do szarży, sądząc, że znów zdoła przewrócić Drizzta.

Druga broń Drizzta uderzyła jednak wcześniej, rozcinając Roddy'emu przedramię. Łowca nagród cofnął się i chwycił za zranioną rękę, gdy Broczyciel upadał na ziemię.

Drizzt nie zwolnił tempa. Jego szarża zbiła Roddy'ego z tropu i po kilku kopnięciach oraz ciosach pięścią mężczyzna zaczął się chwiać. Następnie Drizzt podskoczył wysoko i kopnął obunóż, trafiając dokładnie w szczękę Roddy'ego i powalając go na ziemię. Mimo to, traper otrząsnął się i próbował wstać, jednak tym razem łowca nagród poczuł po obu stronach szyi ostrza sejmitarów.

- Mówiłem ci, żebyś odszedł - powiedział ponuro Drizzt, nie odsuwając ostrzy i pozwalając Roddy'emu czuć chłodny metal.

- Zabij mnie - powiedział spokojnie Roddy, wyczuwając słabość w swoim przeciwniku. - Jeśli masz wystarczająco siły!

Drizzt zawahał się. - Odejdź - powiedział najspokojniej, jak tylko mógł.

Roddy roześmiał się. - Zabij mnie, ty czarnoskóry diable! - ryknął, starając się podnieść, choć pozostał na kolanach. - Zabij mnie, albo ja zabiję ciebie! Nie wąpię w to, drowie. Będę cię ścigał na koniec świata i pod nim, jeśli będzie potrzeba!

Drizzt zbladł i zerknął na Guenhwyvar, szukając u niej wsparcia.

- Zabij mnie! - krzyknął Roddy, zahaczając o histerię. Chwyił nadgarstki Drizzta i pociągnął je do siebie. Po obydwu stronach szyi mężczyzny pojawiły się strumyczki krwi. - Zabij mnie, tak jak zabiłeś mojego psa!

Przeżony Drizzt starał się wycofać, jednak uchwyt Roddy'ego był niczym żelazo.

- Nie masz do tego jaj? - ryknął łowca nagród. - No to ci pomogę! - Szarpnął mocno nadgarstkami, wycinając głębsze rany, a jeśli ten szalenciec czuł ból, nie było tego po nim widać.

Drizzta osaczyły fale mieszanych uczuć. Chciał w tej chwili zabić Roddy'ego, bardziej z ogłupiałej frustracji niż z zemsty, jednak wiedział, że nie jest w stanie. Z tego co wiedział drow, jedynym przewinieniem Roddy'ego było nieusprawiedliwione polowanie na niego, a to nie był wystarczający powód. W związku z tym, co było dla niego cenne, Drizzt musiał szanować ludzkie życie, nawet tak nędzne jak Roddy'ego McGristle'a.

- Zabij mnie! - wrzeszczał raz za razem Roddy, odczuwając wypaczoną przyjemność w rosnącej odrazie Drizzta.

- Nie! - Drizzt krzyknął Roddy'emu w twarz z wystarczającą siłą, by uciszyć łowcę nagród. Rozwścieczony do granic możliwości, Drizzt nie czekał, aż Roddy ponowi swoje szalone wrzaski. Wbił traperowi kolano w podbródek, uwolnił swe nadgarstki z uchwytu Roddy'ego i uderzył jednocześnie rękojeściami broni w skronie łowcy nagród.

Roddy wywrócił oczy, jednak nie zemdlał, uparcie odpychał ciosy. Drizzt, przeżony swoimi własnymi czynami i trwającym uporem łowcy nagród, uderzał w niego raz za razem w końcu go unieruchamiając.

Kiedy wściekłość zelżała, Drizzt stanął nad zwalistym mężczyzną, drząc i wycierając łzy ze swych lawendowych oczu. - Odpędź stąd tego psa! - wrzasnął do Guenhwyvar. Następnie upuścił w przestrachu swoją zakrwawioną broń i przyklęknął, by upewnić się, że Roddy żyje.

\* \* \*

Roddy obudził się i zauważył, że jego żółty pies stoi nad nim. Zapadała noc i znów zerwał się wiatr. Bolała go głowa i ręka, jednak zdusił ból, pragnąc tylko wznowić polowanie. Pies natychmiast wyczuł trop prowadzący z powrotem na południe. Złość Roddy'ego zelżała tylko trochę, gdy po okrążeniu skalistego wyniesienia natknął się na czekających na niego rudobrodego krasnoluda i dziewczynę.

- Nie powinienesz być dotykać mojej dziewczynki, McGristle - powiedział stanowczo Bruenor. - Nie powinienesz być dotykać mojej dziewczynki.

- Ona się zmówiła z drowem! - zaprotestował Roddy. - Powiedziała temu diabelskiemu mordercy, że idę!

- Drizzt nie jest mordercą! - wrzasnęła Cattibrie. - On wcale nie zabił rolników! Mówi, że ty tak mówisz tylko po to, żeby inni pomogli ci go zabić! - Cattibrie zdała sobie nagle sprawę, że



właśnie przyznała przed swoim ojcem, iż spotkała się z drowem. Gdy Cattibrie napotkała Bruenora, powiedziała mu tylko, jak szorstko postąpił z nią McGristle.

- Poszłaś do niego - powiedział Bruenor, wyraźnie dotknięty. - Okłamałaś mnie i poszłaś do drowa! Mówiłem ci, żebyś tego nie robiła. Powiedziałaś, że nie...

Żal Bruenora dotknął silnie Cattibrie, lecz trzymała się mocno swoich przekonań. Bruenor wychował ją tak, aby była szczerą, lecz wiązało się to również ze szczerością wobec tego, co według niej było słuszne. - Kiedyś powiedziałeś mi, że każdy otrzymuje to, na co zasłużył - rzekła Cattibrie. - Powiedziałeś mi, że każdy jest inny i każdy powinien być postrzegany takim, jaki jest. Widziałam Drizzta i widziałam w nim prawdę. On nie jest zabójcą! A on jest... - wskazała oskarżająco na McGristle'a - ...kłamcą! Nie odczuwam dumy ze swojego kłamstwa, ale nie mogłam pozwolić, by on schwytał Drizzta!

Bruenor rozważał przez chwilę jej słowa, po czym otoczył jedną ręką jej talię i przytulił ją mocno do siebie. Wciąż bolało go oszustwo córki, jednak krasnolud był dumny, że dziewczyna trzymała się tego, w co wierzyła. Tak naprawdę Bruenor nie przyszedł tutaj szukać Cattibrie, która według niego dąsała się gdzieś w kopalniach, lecz by odnaleźć drowa. Im dłużej przypominał sobie walkę z remorhazem, tym bardziej był przekonany, że Drizzt schodził w dół, by mu pomóc, nie walczył z nim. Teraz, w świetle ostatnich wydarzeń, nie miał już zbyt dużych wątpliwości.

- Drizzt przyszedł i uwolnił mnie od niego - ciągnęła Cattibrie. - Ocalił mnie.

- Drow jej namieszał - powiedział Roddy, wyczuwając zmianę nastawienia Bruenora i nie chcąc walki z niebezpiecznym krasnoludem. - To morderczy pies, powiadam, i tak samo powiedziałały Bartłomiej Thistledown, gdyby martwi mogli mówić!

- Ba! - parsknął Bruenor. - Nie znasz mojej dziewczynki i powinienes się lepiej zastanowić przed powiedzeniem, że kłamie. Mówiłem ci już wcześniej, McGristle, że nie lubię, jak mój a córka jest wstrząśnięta! Sądzę, że powinienes się wynieść z mojej doliny. Sądzę, że powinienes się wynieść w tej chwili.

Roddy warknął i to samo zrobił jego pies, skacząc pomiędzy traperą i krasnoluda i szczerząc zęby na Bruenora. Krasnolud wzruszył ramionami i również warknął na bestię, jeszcze bardziej ją prowokując.

Pies rzucił się w stronę kostki krasnoluda, a Bruenor szybko wsunął mu ciężki but do pyska i przycisnął jego dolną szczękę do ziemi. - 1 zabierz ze sobą swojego cuchnącego psa! - ryknął Bruenor, choć podobał mu się mięsisty bok psa i znów sądził, że dałoby się znaleźć lepsze zastosowanie dla kapryśnej bestii.

- Pójdę tam, gdzie będę chciał, krasnoludzie! - krzyknął Roddy. - Mam zamiar dostać drowa, a jeśli on jest w dolinie, to ja też!

Bruenor dostrzegł czystą frustrację w głosie mężczyzny, po czym przyjrzał się bliżej otarciom na twarzy Roddy'ego i ranie na jego przedramieniu. - Drow od ciebie uciekł - powiedział

krasrólud, a jego chichot zabolął dotkliwie trapera.

- Nie na długo - obiecał Roddy. - I żaden krasrólud nie stanie mi na drodze!

- Wracaj do kopalni - rzeki Bruenor do Cattibrie. - Powiedz pozostałym, że mogę się trochę spóźnić na kolację. - Topór opuścił ramię Bruenora.

- Włucz mu porządnie - mruknęła pod nosem Cattibrie, ani trochę nie wątpiąc w męstwo swego ojca. Pocałowała Bruenora w czubek hełmu, po czym radośnie pobiegła. Ojciec jej zaufał i nic na świecie nie mogło już potoczyć się źle.

\* \* \*

Niedługo później Roddy McGristle i jego trójnogi pies opuścili dolinę. Roddy zauważył w Drizzcie słabość i uznał, że może ją wykorzystać przeciwko drowowi, nie dostrzegł jednak takich oznak w Bruenorze Battlehammerze. Kiedy Bruenor powalił Roddy'ego, co nie zajęło mu zbyt wiele czasu, traper nawet przez chwilę nie wątpił, że gdyby poprosił krasróluda, by go zabił, Bruenor z ochotą spełniłby jego życzenie.

Z czubka południowego podejścia, gdzie poszedł spojrzeć ostatni raz na Dekapolis, Drizzt obserwował, jak wóz wytacza się z doliny, podejrzewając, że należy on do łowcy nagród. Nie wiedząc co to wszystko oznacza, lecz niezbyt wierząc, że Roddy przeszedł zmianę w sercu, Drizzt spojrział na swój spakowany ekwipunek i zaczął zastanawiać się, gdzie teraz powinien pójść.

Zaczęły się zapalać światła w miastach i Drizzt spoglądał na nie z mieszanymi uczuciami. Był na tym podejściu kilka razy, oczarowany jego otoczeniem i myśląc, że odnalazł dom. Jakże inny był teraz ten widok! Pojawienie się McGristle'a przypomniało Drizztowi, że wciąż jest wyrzutkiem i nigdy nie będzie miał domu.

- Drizzit - mruknął do siebie owo przeklęte słowo. W tym momencie Drizzt nie wierzył, że kiedykolwiek odnajdzie dom, nie wierzył, że drow, który w sercu nie był drowem, mógł znaleźć dla siebie miejsce w całych krainach, czy to na powierzchni, czy w Podmroku. Nadzieja, zawsze ulotna w znużonym sercu Drizzta, całkowicie go opuściła.

- Podejście Bruenora, tak zwie się to miejsce - odezwał się za Drizztem opryskliwy głos. Obrócił się, myśląc o ucieczce, jednak rudobrody krasrólud był zbyt blisko, aby się obok niego przemknąć. Guenhwyvar pospieszyła do boku drowa, obnażając zęby.

- Trzymaj swojego zwierzaka z dala, elfie - powiedział Bruenor. - Bo jeśli kot smakuje tak samo paskudnie jak pies, to go nie chcę!

- To jest moje miejsce - ciągnął krasrólud. - Ja jestem Bruenor, a to jest Podejście Bruenora!

- Nie widziałem żadnych znaków własności - odparł z oburzeniem Drizzt. Jego cierpliwość wyczerpała się na długiej drodze, która teraz wydawała się jeszcze dłuższa. - Znam teraz twoje roszczenia, odejdę więc. Uszy do góry, krasróludzie. Nie wrócę.

Bruenor podniósł dłoń, zarówno po to, by uciszyć drowa, jak i powstrzymać go przed odejściem. - To tylko sterta kamieni - powiedział, zbliżając się do przeprosin tak bardzo, jak nigdy

dotąd. - Nazwałem ją moją własną, ale czy tak jest? To tylko cholerna sterta kamieni!

Drizzt przekrzywił głowę, słysząc nieoczekiwane przekomarzenie krasnoluda.

- Nic nie jest takie, na jakie wygląda, drowie! - oznajmił Bruenor. - Nic! Próbujesz iść za tym, co znasz, prawda? Ale nagle odkrywasz, że to, co znałeś, nie jest tym, co sądziłeś, że znasz! Myślałem, że pies będzie dobrze smakował, wyglądał na dobrego, a teraz mój żołądek przeklina mnie przy każdym ruchu!

Druga wzmianka o psie wywołała nagłe objawienie związane z powodem odejścia Roddy'ego McGristle. - Odesłałeś go - powiedział Drizzt, wskazując na drogę z doliny. - Odeгнаłeś McGristle'a z mojego tropu.

Bruenor ledwo go słyszał, zresztą i tak z pewnością nie przyznałby się do tak dobrodusznego uczynku. - Nigdy nie ufałem ludziom - powiedział stanowczo. - Nigdy nie wiadomo, o co takiemu chodzi, a gdy już się dowiesz, często jest za późno, by wszystko naprawić! Zawsze jednak miałem proste myśli o innych ludach. Elf jest w końcu elfem i tak samo jest z gnomem. Orki zaś są zwyczajnie głupie i brzydkie. Nigdy nie znałem żadnego, który byłby inny, a paru już widziałem! - Bruenor klepnął swój topór, a Drizzt nie przegapił znaczenia tego gestu.

- Tak było z moimi myślami o drowach - ciągnął Bruenor. - Nigdy żadnego nie spotkałem i nigdy nie chciałem spotkać. Kto chciałby, że się tak zapytam? Drowy są złe, mają niegodziwe serca, tak mówił mi tata i tata taty i każdy, kto kiedykolwiek mi o nich mówił. - Spojrzał na światła Termalaine nad Maer Dualdon na zachodzie, potrząsnął głową i kopnął kamień. - Teraz usłyszałem, że drow wałęsa mi się po dolinie, a co ma z tym zrobić król? A później moja córka idzie do niego! - W oczach Bruenora zapłonął nagły ogień, zduślił go jednak szybko, jakby się wstydząc obecności Drizzta. - Skłamała mi w - twarz, nigdy nie zrobiła tego wcześniej, i już nigdy nie zrobi, jeśli jest rozsądna!

- To nie była jej wina - zaczął Drizzt, lecz Bruenor zamachał dziko rękoma, by odrzucić to wszystko.

- Sądziłem, że znałem to, co znałem - podjął po krótkiej chwili Bruenor, a w jego głosie brzmiał niemal żal. - Miałem dobrze określony świat. To łatwe, jeśli siedzi się we własnej dziurze.

Spojrzał znów na Drizzta, prosto w przyćmiony blask jego lawendowych oczu. - Podejście Bruenora? - spytał krasnolud, wzruszając ze zrezygnowaniem ramionami. - Co to znaczy, drowie, dawać nazwę stercie kamieni? Choć sądziłem... wiedziałem, że pies będzie dobrze smakował. - Bruenor przejechał dłonią po żołądku i zmarszczył brwi. - Nazwij to więc stertą kamieni, nie mam do niej więcej praw niż ty! Nazwij to więc Podejściem Drizzta i wykop mnie stąd!

- Nie zrobię tego - odpowiedział cicho Drizzt. - Nie wiem, czy bym mógł, nawet gdybym chciał!

- Nazwij to, jak sobie życzysz! - krzyknął Bruenor, stając się nagle zmartwiony. - I nazwij psa krową, choć to nie zmieni sposobu, w jaki będzie smakował! - Bruenor rozłożył niespokojnie

ręce i odwrócił się, schodząc w dół kamienistą ścieżką i mamrocząc na każdym kroku.

- I uważaj na moją dziewczynkę - Drizzt usłyszał przez resztę pomrukiwań. - Jeśli ma taki orczy rozum, żeby chodzić do śmierdzących yeti i pełnej robali góry! Wiedz, że uważam cię... - reszta ucichła, gdy Bruenor zniknął za załomem.

Drizzt nie był w stanie przekopać się przez ten pełny przekomarzania dialog, jednak nie musiał układać przemowy Bruenora w doskonałym porządku. Opuścił rękę na Guenhwyvar, mając nadzieję, że pantera podziela panoramiczny widok, który nagle stał się wspaniały. Drizzt wiedział już wtedy, że będzie wielokrotnie siadać na tym podejściu, Podejściu Bruenora, i obserwować, jak gwiazdy migocząc budzą się do życia, bowiem dodając do siebie wszystko, co powiedział krasnolud, Drizzt wyróżnił jedną frazę, słowa, na które czekał od tak wielu lat.

Witaj w domu.

## EPILOG

*Ze wszystkich ras w poznanych krainach żadna nie wprawia w większe zakłopotanie niż ludzie. Mooshie przekonał mnie, że bogowie nie są zewnętrznymi istotami, lecz raczej uosobieniami tego, co znajduje się w naszych sercach. Jeśli to prawda, to liczni, różnorodni bogowie ludzkich sekt - bóstwa o zdecydowanie odmiennych postawach - sporo ujawniają na temat tej rasy.*

*Jeśli zbliżasz się do niziołka, elfa, krasnoluda lub przedstawiciela jakiejś innej rasy, dobrej czy złej, masz ogólne pojęcie, czego się spodziewać. Są oczywiście wyjątki, sam jestem jednym z wyraźniej szych! Krasnolud jednak będzie najprawdopodobniej opryskliwy, choć uczciwy, zaś nigdy nie spotkałem elfa ani nie słyszałem o żadnym, który przedkładałby jaskinię nad otwarte niebo. Upodobania człowieka są natomiast charakterystyczne tylko dla niego - jeśli potrafi je w ogóle określić.*

*Jeśli chodzi o kategorie dobra i zła, ludzka rasa musi być oceniana na/ostrożniej. Walczyłem z przesiąkniętymi złem ludzkimi zabójcami, spotkałem ludzkich czarodziejów tak opętanych własną mocą że bezlitośnie niszczyli wszelkie inne istoty na swojej drodze, a także widziałem miasta, w których grupy ludzi żerowały na nieszczęśnikach ze swej własnej rasy, mieszkając w królewskich pałacach, podczas gdy inni mężczyźni i kobiety, a nawet dzieci, głodowali i umierali w rynsztokach błotnistych ulic. Spotkałem jednak również innych ludzi - Cattibrie, Mooshiego, Wulfgara, Agorwala z Termalaine - których honoru nie można było kwestionować i których poświęcenie dla dobra krain podczas ich krótkich żywotów przekraczało możliwości większości krasnoludów i elfów, mogących żyć przez pół tysiąclecia i więcej.*

*Są rzeczywiście wprawiającą w zakłopotanie rasą i los świata w coraz większym stopniu spada w ich sięgające coraz dalej ręce. Może to się okazać delikatną równowagą, jednak z pewnością nie będzie nużące. Ludzie dysponują zakresem charakterów znacznie szerszym niż jakiegokolwiek inne istoty, są jedyną „dobrą” rasą, która toczy wojny sama ze sobą - z niepokojącą*

częstotliwością.

*Elfy z powierzchni żywią nadzieję, że to się zakończy. Ci, którzy żyli najdłużej i widzieli narodziny wielu stuleci, wierzą, że ludzka rasa dojrzeje do dobroci, że obecne w niej zło rozpadnie się w nicłość, pozostawiając świat tym, którzy pozostaną.*

*W mieście moich narodzin doświadczyłem ograniczeń zła. samozniszczenia i niezdolności do osiągania wyższych celów, nawet takich, które opierały się na zdobyciu potęgi. Z tego powodują również wierzę w ludzi i w krainy. Oprócz tego, że są najbardziej różnorodni, ludzie są również najbardziej elastyczni, w największym stopniu skłonni nie zgadzać się z tą częścią ich samych, o której dowiadują się, że jest fałszywa.*

*Moje przetrwanie opierało się na przeświadczeniu, że w życiu istnieje wyższy cel: że zasady są nagrodą samą w sobie. Nie mogę więc spoglądać w przyszłość z rozpaczą, lecz raczej z wyższymi nadziejami oraz z determinacją, że mogę pomagać wznosić się na te wyżyny.*

*Oto jest więc moja opowieść, przekazana tak kompletnie, jak mogę ją sobie przypomnieć i tak kompletnie, jak postanowiłem ją rozgłosić. Przebyłem długą drogę pełną kolein i zapór i dopiero teraz, gdy tak wiele zostawiłem za sobą, jestem w stanie szczerze ją zrelacjonować.*

*W tamtych dniach nie mogłem nigdy spoglądać w przeszłość i śmiać się, cena była zbyt wielka, by mógł się przez nią precyzyjnie humor. Często przypominałem sobie jednak Zaknafaína, Belwara i Mooshiego, oraz innych przyjaciół, których zostawiłem za sobą.*

*Często zastanawiałem się też nad licznymi przeciwnikami, którym stawiałem czoła, nad licznymi żywotami, które zakończyły moje ostrza. Wiodłem gwałtowne życie w gwałtownym świecie, pełnym wrogów dla mnie i tych, którzy byli mi bliscy. Byłem chwalony za doskonale cięcia moich seymitarów, za moje umiejętności w walce, i muszę przyznać, że wiele razy pozwalałem sobie odczuwać dumę z tych ciężko nabytych zdolności.*

*Za każdym jednak razem, gdy wydobywam się z ekscytacji i dokładniej wszystko rozważam, żałuję, że nie było inaczej. Czuję ból wspominając Masoja Plun'ett, jedyne go drowa, którego kiedykolwiek zabiłem. To on zainicjował naszą walkę i z pewnością zabiłby mnie, gdybym nie okazał się silniejszy. Mogę usprawiedliwiać moje czyny z tego pamiętnego dnia, jednak nigdy nie będę czuł się swobodnie, jeśli chodzi o ich konieczność. Powinny istnieć lepsze sposoby niż miecz.*

*W świecie tak przepętnionym niebezpieczeństwem, gdzie błąkają się orki i trolle, mogłoby się wydawać, że ten, który potrafi walczyć, jest najczęściej okrzykiwany bohaterem i cieszy się podziwem pokoleń. Uważam, że w „bohaterze” jest jednak coś więcej niż tylko siła ramienia czy męstwo w walce. Mooshie był tak naprawdę bohaterem, bowiem przełamał niedogodności, bowiem nigdy nawet nie mrugnął w obliczu niekorzystnego stosunku sił, a głównie dlatego, że postępował z wyraźnym zdefiniowanym kodeksem zasad. Czy mniej można powiedzieć o Belwarze Dissengulpie, pozbawionym dłoni głębinowym gnomie, który zaprzyjaźnił się z drowem renegatem? Albo o Clackerze, który wolał poświęcić swoje życie, niż sprowadzić niebezpieczeństwo na przyjaciół?*

*Również Wulfgara z Doliny Lodowego Wichru nazywam bohaterem, bowiem przedkłada zasady nad żądze walki. Wulfgar przełamał nieprawidłowy sposób postrzegania wpojony mu podczas dzikiego dzieciństwa, nauczył się postrzegać świat raczej jako miejsce nadziei niż pole ewentualnych podbojów. Zaś Bruenor, krasnolud, który wpoił Wulfgarowi tą istotną różnicę, słuszniej jest królem niż ktokolwiek kiedykolwiek w krainach. Uosabia sobą te cechy, które najbardziej ceni jego lud. Z chęcią będą chronić Bruenora za cenę własnego życia, śpiewając pieśń dla niego, nawet gdy mój dech będzie zamierał.*

*Poza tym, kiedy odnalazł siłę, by przeciwstawić się Opiekunce Malice, mój ojciec również stał się bohaterem. Zaknafein, który przez większą część swojego życia przegrywał walkę o zasady i tożsamość, w końcu ją wygrał.*

*Żaden z tych wojowników nie jest jednak w stanie przyćmić młodej dziewczyny, którą poznałem, gdy pierwszy raz przybyłem do Dekapolis. Ze wszystkich osób, jakie kiedykolwiek spotkałem, nikt nie odznaczał się wyższymi zasadami honoru i przyzwoitości niż Cattibrie. Widziała wiele bitew, a mimo to, jej oczy błyszczą niewinnością, a jej uśmiech nie jest splamiony. Smutny nastanie dzień, i niech cały świat pogrzeży się wtedy w żalu, gdy fałszywa nuta cynizmu zakłóci harmonię jej melodyjnego głosu.*

*Zazwyczaj ci, którzy nazywają mnie bohaterem, mówią wyłącznie o moim męstwie w walce i nie wiedzą nic o zasadach, które rządzą moimi ostrzami. Akceptuję ich podejście dla tego, co jest warte, dla ich satysfakcji, nie mojej. Kiedy Cattibrie tak mnie nazywa, wtedy pozwalam memu sercu nasycać się satysfakcją świadomości, że zostałem oceniony za moje serce, nie trzymającą miecz rękę, wtedy ośmielałem się wierzyć, że to miano jest usprawiedliwione.*

*Tak kończy się moja opowieść - czy ośmielałem się to powiedzieć? Siedzę teraz wygodnie obok mój ego przyjaciela, słusznego króla Mithrilowej Hali, a wszystko jest ciche, spokojne i korzystne. Drow rzeczywiście odnalazł swój dom i miejsce. Muszą sobie jednak przypominać, że jestem miody. Mogę przeżyć dziesięć razy więcej lat niż te, które już minęły. Pomimo zaś mojego aktualnego zadowolenia, świat pozostaje niebezpiecznym miejscem, gdzie tropiciel musi się trzymać swoich zasad, lecz również swojej broni.*

*Czy ośmielałem się twierdzić, że moja opowieść jest przekazana w pełni?*

*Nie sądzę.*

- Drizzt Do'Urden